



**EDITH WHARTON**

**Świat zabawy**

Tytuł oryginału: „The House of Mirth”



## CZEŚĆ PIERWSZA

### 1

Selden przystanął zdumiony. W ruchliwym tłumie, który wypełnia po południu Grand Central Station, orzeźwił go niespodziewany widok Lily Bart.

Był poniedziałek, początek września, Selden wracał do pracy z krótkiego wypadu na wieś; ale co robiła panna Bart w mieście o tej porze roku? Gdyby miała wygląd osoby czekającej na pociąg, mógłby przypuszczać, iż przyłapał ją w momencie przenoszenia się z jednej rezydencji do drugiej, gdzie po zakończeniu sezonu w Newport domagano się jej obecności, lecz zbił go z tropu jej roztargniony wyraz twarzy. Stała z dala od tłumy, obojętnie pozwalając mu płynąć dwoma strumieniami - na peron i na ulicę. Niezdecydowanie malujące się na jej twarzy mogło równie dobrze kryć w sobie jakiś zupełnie konkretny zamiar. Pomyślał, że czeka na kogoś, i nie wiadomo dlaczego zaciekało go to. Nie dostrzegł w Lily Bart nic nowego - zawsze patrzył na nią z pewnym zainteresowaniem: miała w sobie coś, co budziło w człowieku różne domysły - jej najprostsze postęпки wydawały się konsekwencją jakichś dalekosiężnych planów. Odruch ciekawości kazał mu zboczyć z drogi do wyjścia, żeby przejść obok Lily. Wiedział, że jeśli nie zechce być dostrzeżona, to potrafi się wyknać, i rozbawiła go myśl, że wystawia na próbę jej zręczność.

- Panie Selden... co za szczęśliwy traf!

Podeszła do niego uśmiechnięta, niemal uradowana. Kilka przechodzących osób zwolniło kroku, by przyjrzeć się pannie Bart - postać jej potrafiła przyciągnąć oczy nawet kogoś, kto mieszkał pod miastem i pędził do ostatniego pociągu.

Selden jeszcze nigdy nie widział jej tak promiennej. Jej głowa wyraziście odbijała od szarego tłumu, rzucając się tu bardziej w oczy niż na sali balowej, a twarz pod czarnym kapeluszem i wolał ku zyskiwała dziewczęcą gładkość i świeżość barw, które zaczynała już tracić po jedenastu latach zabaw do późna i niezmożonych tańców. Czyżby jedenaście? - zastanowił się mimowolnie Selden - i czy naprawdę obchodziła już swoje dwudzieste dziewiąte urodziny, jak twierdziły życzliwe przyjaciółki?

- Cóż za szczęście! - powtórzyła. - Jak to miło z pańskiej strony, że pospieszył mi pan na ratunek!

Selden odparł wesoło, że spełnił tylko swoją życiową misję, i zapytał, w jaki sposób chce być uratowana.

- Och, jakikolwiek... choćby przez rozmowę tu, na ławce. Jeśli można przegadać kotylion, to równie dobrze można przegadać parę pociągów, zanim przyjdzie ten, na który czekam, prawda? Upał tu nie większy niż w cieplarni pani van Osburgh... a niektóre kobiety nawet nie są brzydsze.

Roześmiała się i dodała, że przyjechała do Nowego Jorku z Tuxedo w drodze do Trenorów, właścicieli Bellomont, i uciekł jej pociąg odchodzący o trzeciej piętnaście do Rhinebeck.

- A następny jest dopiero o pół do szóstej. - Spojrzała na mały, wysadzany drogimi kamieniami zegarek, tonący wśród koronek. - Bite dwie godziny czekania. Nie wiem, co ze sobą zrobić. Moja pokojówka przyjechała tu rano, żeby mi kupić parę rzeczy, i miała o pierwszej pojechać do Bellomont, dom mojej ciotki jest zamknięty, a ja tu nie znam żywej duszy.

- Żałosnym wzrokiem powiodła po hali dworcowej. - A jednak goręcej tu niż u pani van Osburgh. Jeśli ma pan czas, proszę mnie zaprowadzić gdzieś, gdzie mogłabym odetchnąć świeżym powietrzem.

Oświadczył, że jest całkowicie na jej usługi; zaczynała go bawić ta przygoda. Lily Bart zawsze sprawiała mu przyjemność swoim widokiem, a krążyła po orbicie tak odległej od jego dróg, że tym zabawniejsze wydało mu się to nagłe zbliżenie, wynikłe z jej propozycji.

- Może pójdziemy do Sherry'ego na herbatę?

Uśmiechnęła się potakująco, ale zaraz potem lekko się skrzywiła.

- Tyle ludzi przyjeżdża do miasta w poniedziałek, na pewno spotkamy mnóstwo nudziarzy. Nie powinno mi to robić żadnej różnicy, przywykłam do tego od wieków, ale o panu powiedzieć tego nie można - dodała wesoło.

- Marzę o herbacie... tylko w jakimś spokojniejszym miejscu, dobrze?

Odpowiedział uśmiechem na jej uśmiech. Przejawy ostrożności interesowały go w niej zupełnie tak samo jak nieroztropność - był przekonany, że jedno i drugie wynika z jakiegoś starannie opracowanego planu działania.

- Nie mamy tu, w Nowym Jorku, dużego wyboru - powiedział - ale najpierw znajdę dorożkę, a potem coś wymyślimy.

Powiódł ją przez tłum powracających wycieczkowiczów, pospolitych dziewcząt w dziwacznych kapeluszach i kobiet o płaskich biustach, objuczonych paczkami i wachlarzami z liści palmowych. Czy to możliwe, żeby Lily należała do tej samej co one rasy? Na tle ich szarości i prostac-

twa w całej pełni odczuł jej wyrafinowanie. Powietrze było rześkie po krótkiej ulewie, niebo jeszcze zasnute chmurami, ulice mokre.

- Ach, jak rozkosznie! Przejdźmy się - rzekła Lily, gdy wyszli z dworca.

Skęcili w Madison Avenue i nie spiesząc się poszli w kierunku północnym. Czując u swego boku długi, lekki krok tej młodej kobiety rozkoszował się jej bliskością, wdzięcznym kształtem uszka, sprężystą falą włosów zaczesanych do góry, czarną linią prostych, gęstych rzęs. Była w niej jednocześnie moc i doskonałość, siła i wytworność. Ile musiało kosztować stworzenie czegoś takiego, przemknęło mu niejasno przez myśl, ile brzydkich, pospolitych istot trzeba było poświęcić - w tajemniczy sposób - dla wyprodukowania takiej Lily

Bart? Zdawał sobie sprawę, że wyróżniają ją zalety powierzchniowe - uroda i wytworność były tu jak piękna polewa na zwykłej glinie. Lecz przecież - myślał dalej, niezadowolony z tego porównania - trudno

o wytworne wykończenie, gdy materiał pospolity; więc może nie był pospolity i tylko warunki nadały mu błahy kształt?

W tym momencie słońce wyjrzało zza chmur i szybko otwarta parasolka położyła kres rozkoszom jego oczu. W chwilę potem Lily przystanąła z westchnieniem.

- O Boże! Tak mi gorąco i tak mi się chce pić... jakież ten Nowy Jork jest ohydny. - Posłała zrozpaczone spojrzenie w głąb ponurej ulicy. - Inne miasta stroją się na lato, a Nowy Jork robi wrażenie, jakby w ogóle nie był ubrany. - Zerknęła w najbliższą przecznicę.

- O, jakaś litościwa dusza posadziła tam parę drzew. Chodźmy do cienia.

- Rad jestem, że moja ulica spotyka się z pani uznaniem - rzekł Selden, gdy skręcili za róg.

- Pańska ulica? To pan tu mieszka?

Obiegła zaciekawionym spojrzeniem fasady domów z cegły i piaskowca, w najdziwaczniejszych stylach, zgodnie z amerykańskim upodobaniem do wszystkiego, co nowe; pełne kwiatów skrzynki w oknach, ocienionych markizami, mile przyciągały oko.

- Ach, tak... naturalni... „Benedick”. To bardzo ładny dom!

Pierwszy raz go widzę. - Spojrzała na stojący po przeciwnej stronie ulicy dom z marmurowym gankiem i pseudokolonialną fasadą. - Które są pańskie okna? Te z rozpiętą markizą?

- Tak, na najwyższym piętrze.

- I ten uroczy balkonik też należy do pana? Jak tam musi być rozkosznie chłodno!

Milczał przez chwilę, potem rzekł: - Może pani wejść na górę i przekonać się. Potrafię na poczekaniu przyrządzić herbatę... i nie grozi pani żaden nudziarz.

Poczerwieniła - wciąż jeszcze posiadała sztukę oblewania się rumieńcem we właściwej chwili - lecz rzuconą od niechcienia propozycję z równą swobodą przyjęła.

- Czemu nie? Trudno oprzeć się takiej pokusie, więc zaryzykuje.

- Och, nie jestem niebezpieczny - dorzucił równie lekkim tonem. A w istocie nigdy nie wydawała mu się tak ponętna, jak w tym momencie. Wiedział, że przyjęła jego zaproszenie bez żadnej ukrytej myśli i jej odruchowa zgoda, pozbawiona jakiegokolwiek wyrachowania, stanowiła dla niego podniecającą niespodziankę.

Na progu mieszkania przystanął, szukając klucza. - Nie ma tu nikogo, mam tylko służącego, który przychodzi rano... może nawet przygotował wszystko do herbaty i postarał się o ciasto.

Wprowadził Lily do maleńkiego przedpokoju obwieszzonego starymi rycinami. Spojrzała na stole, wśród jego rękawiczek i lasek, spiętrzony stos listów i gazet... potem znalazła się w małej bibliotece, ciemnej, lecz nie ponurej, o ścianach wyłożonych książkami, z przyjemnym spłowiałym tureckim dywanem na podłodze, biurkiem zaślany papierami i z niskim stoliczkiem pod oknem, zastawionym, jak przewidywał Selden, przyborami do herbaty. Silniejszy powiew wiatru rozchylił muślinowe firanki i wpędził do pokoju świeżą falę zapachu goździków i petunii ze skrzynki na balkonie.

Lily z westchnieniem opadła na jedno ze zniszczonych, obitych skórą, krzesel.

- Cóż to za rozkosz mieć taki zakątek wyłącznie dla siebie! Nędzny jest los kobiety.

Odchyliła się w krzesle rozkosznym gestem niezadowolenia.

- Są przecież kobiety, które cieszą się posiadaniem własnego mieszkania - zauważył Selden szukając w szafie ciasta.

- Och... nauczycielki... albo wdowy. Ale nie panny... nie biedne, nieszczęsne panny na wydaniu!

- Znam pannę, która mieszka sama.

Wyprostowała się na krzesle, zdumiona.

- Zna pan?

- Znam.

- Och, wiem. Gerty Farish. - Uśmiechnęła się nieco złośliwie. - To nie jest „panna na wydaniu”, a poza tym mieszka okropnie, nie ma pokojówki i jada okropne rzeczy. Jej kucharka jest jednocześnie

praczką i całe jedzenie czuć mydłem. Dobrze pan wie, że nie zniosłabym czegoś podobnego.

- Nie powinna pani jadać u niej wtedy, kiedy ma pranie - odrzekł Selden krając ciasto.

Roześmieli się oboje, Selden ukląkł przy stole, by zapalić pod kociołkiem, a Lily sypała herbatę do imbryczka, pokrytego zieloną glazurą. Widok jej dłoni, jak wyrzeźbionej w kości słoniowej, różowych podłużnych paznokci i bransoletki z szafirami obejmującej smukłą kiść, uświadomił mu całą ironię zawartą w propozycji, by Lily Bart wiodła takie życie, jakie wybrała sobie jego kuzynka, Gerty Farish. Lily była w tak oczywisty sposób produktem pewnej określonej kultury, że jej bransoletki można by uważać za kajdany, którymi skuta była ze swoim losem.

Jakby czytając w jego myślach odezwała się z ujmującą skruchą: - Wyraziłam się bardzo brzydko o Gerty. Zapomniałam, że to pańska kuzynka. Ale, wie pan, jesteśmy takie różne: ona lubi być dobra, ja lubię być szczęśliwa. Poza tym ona jest wolna, ja nie. Gdybym była wolna, to chyba potrafiłabym się czuć szczęśliwa w jej mieszkaniu. Wyobrażam sobie, jaka to rozkosz kupić meble według własnego upodobania i ohydne graty oddać handlarzowi starzyzną. Czuję, że gdybym mogła urządzić inaczej salon ciotki, od razu stałabym się o wiele lepsza.

- A to naprawdę taki brzydki salon? - spytał ze współczuciem. Uśmiechnęła się do niego znad imbryczka, który mu podsunęła, by nalał wrzątku.

- Widać z tego, jak rzadko pan tam bywa. Dlaczego nie częściej?

- Gdy przychodzę, to nie po to, by oglądać meble pani Peniston.

- Nonsens - powiedziała. - Wcale pan nie przychodzi, a przecież, gdy się spotkamy, tak nam dobrze ze sobą.

- Może nie przychodzę właśnie z tego powodu - odparł prosto z mostu. - Boję się, że nie ma w tym domu śmietanki... czy mogę służyć plasterkiem cytryny?

- Nawet to wolę. - Patrzała, jak ukroił plasterek cytryny i włożył go do jej filiżanki. - Nie z tego powodu - podjęła rozmowę - pan u nas nie bywa. - Pochyliła się do przodu z wyrazem zakłopotania

w swoich urzekających oczach. - Chciałabym wiedzieć, jaki pan jest. Wiem oczywiście, że są mężczyźni, którzy mnie nie lubią. To się widzi na pierwszy rzut oka. Są inni, którzy się mnie boją: myślą, że chcę wyjść za nich. - Uśmiechnęła się do niego z wyrazem szczerości. - Ale nie sądzę, żeby pan mnie nie lubił... i na pewno nie przypuszcza pan, że chcę zostać pańską żoną.

- Nie... nie posądzam pani o to.

- A więc...?

Podszedł z filiżanką do kominka i oparty o jego gzyms przyglądał się jej, coraz bardziej rozbawiony wyzwaniem w jej oczach - że też chciało jej się tracić strzały dla tak skromnej, jak on, zdobyczy... Może nie chciała wyjść z wprawy? A może po prostu tego typu panny nie umieją mówić o niczym innym, tylko o sobie?...

- A więc - powiedział - może to właśnie jest powodem?

- Co?

- Fakt, że pani nie chce wyjść za mnie.

Mówiąc te słowa poczuł lekki dreszcz na plecach, ale jej śmiech go uspokoił.

- Kochany panie Selden, to naprawdę niegodne pana. Udawać zakochanego we mnie to głupie z pańskiej strony, a głupota panu nie przystoi.

Oparła się wygodnie i piła herbatę z miną tak czarująco surową, że gdyby byli w salonie jej ciotki, spróbowałyby może zadać kłam jej rozumowaniu.

- Czyż nie widzi pan, że kręci się koło mnie dosyć mężczyzn prawiących mi słodkie słówka? A tymczasem ja pragnę przyjaciela, który mówiłby mi rzeczy przykre, jeśli trzeba. Czasem wydaje mi się, że mógłby pan zostać takim przyjacielem - **nie wiem** czemu. Może dlatego, że nie jest pan przemądrzały **ani** zarozumiały i nie musiałabym niczego przed panem udawać ani **mieć się** na baczości.

Głos jej spoważniał, gdy to mówiła, podnosząc na niego wzrok do głębi zatroskany.

- Nie wyobraża pan sobie, jak ja potrzebuję takiego przyjaciela - powiedziała. - Ciotka moja pełna jest staroświeckich zasad, których



można było przestrzegać pięćdziesiąt lat temu. Mam zawsze takie uczucie, że wymagają one noszenia muślinowej sukienki z bufiastymi rękawami. A inne kobiety - moje najlepsze przyjaciółki - no cóż, kochają mnie albo nienawidzą, ale jest im najzupełniej obojętne, co się ze mną stanie. Za długo bywam w świecie - znudziłam już ludzi; zaczynają mówić, że powinnam wyjść za mąż.

Zapadło milczenie; Selden namyślał się nad odpowiedzią, która ożywiłaby nastrój, lecz zamiast tego wybrał najprostsze pytanie:

- Więc dlaczego pani nie wyjdzie za mąż?

Zaczerwieniła się. - A jednak jest pan przyjacielem, jak widzę - odparła ze śmiechem - i doczekałam się jednej z tych nieprzyjemnych rzeczy, o które prosiłam.

- Nie chciałem być nieprzyjemny - odrzekł życzliwie. - Czyż małżeństwo nie jest pani powołaniem? Czy nie do tego was wychowują?

Westchnęła. - Chyba tak. A do czegożby innego?

- No właśnie. Skoczyć odważnie do wody i raz na zawsze mieć to za sobą.

Wzruszyła ramionami.

- Mówi pan tak, jak gdybym powinna rzucić się na szyję pierwszemu lepszemu.

- Nie to miałem na myśli; nie to, że jest pani przyparta do muru. Na pewno znajdzie się ktoś z odpowiednimi kwalifikacjami.

Potrząsnęła głową ze znużeniem. - Odrzuciłam jedną czy dwie dobre partie, gdy weszłam w świat... każda młoda dziewczyna tak robi... Wie pan przecież, że nic nie mam... oprócz dużych wymagań... Jestem kobietą, która musi mieć mnóstwo pieniędzy.

Selden odwrócił się, by sięgnąć po pudełko papierosów stojące na kominku.

- Co się stało z Dillworthem? - zapytał.

- Och, jego matka przestraszyła się - bała się, że każę zmienić oprawę wszystkich klejnotów rodzinnych. I chciała ode mnie przyrzeczenia, że nie przemebluję salonu.

- A właśnie w tym celu wyszłaby pani za Dillwortha!

- Oczywiście. Wysłała więc syna do Indii.

- Trudno... Może pani zrobić lepszą partię.

Podał jej pudełko, z którego wzięła cztery papierosy, jednego włożyła między wargi, resztę wsunęła do małej, złotej papierošnicy przyczepionej do długiego sznura pereł.

- Czy nie czas już na mnie? Nie. Mogę się jeszcze parę razy zaciągnąć. - Wychyliła się do przodu i przytknęła koniec swego papierosa do papierosa Seldena, który z uczuciem prawdziwej przyjemności podziwiał czarne rzęsy równiutko osadzone w gładkich, białych powiekach i różowawe cienie pod oczami przenikające w czystą bladość policzków.

Pałac papierosa Lily zaczęła się kręcić po pokoju i oglądać książki na półkach. Przyciągały jej oczy niektóre tomy o dojrzałym odcieniu pięknie wyprawionego safianu - pieściła je nie wzrokiem znawcy, tylko kogoś niezmiernie wrażliwego na barwę i fakturę przedmiotu.

- Zna się pan na książkach, prawda? Zbiera pan pierwsze wydania i białe kruki? - spytała rzeczowo.

- Na tyle, na ile mogę sobie pozwolić nie posiadając wielkich funduszków. Uda mi się czasem coś znaleźć w małych antykwariatach, bywam też na wielkich aukcjach.

Przysiadł na poręczu fotela, przy którym stała Lily: pytała go o najrzadsze tytuły, o to, czyja kolekcja uchodzi za najwspanialszą na świecie i jaka jest najwyższa cena zapłacona kiedykolwiek za jeden tom.

Tak przyjemnie było patrzeć na nią, gdy brała z półki jedną książkę po drugiej, by przerzucić kartki, na jej pochylony profil na tle starych woluminów, że Selden ciągnął swoje wywody nie zastanawiając się, skąd takie zainteresowanie u panny Bart. Lecz że nigdy nie mógł być dłużej w jej towarzystwie bez dociekania pobudek jej uczynków, tak więc i tym razem, gdy tylko Lily odłożyła na miejsce pierwsze wydanie La Bruyde'a i odwróciła do niego twarz, zapytał sam siebie, do czego ona właściwie zmierza. Pytanie, które mu zadała, niczego nie wyjaśniło. Milcząc przez chwilę, z uśmiechem zachęcającym i jednocześnie ostrzegającym przed wszelką poufałością, spytała ni stąd, ni zowąd:

- Czy nigdy nie żałuje pan, że nie może sobie pozwolić na kupno każdej upragnionej książki?

Poszedł za jej wzrokiem obiegającym pokój, podniszczone meble i obdrapane ściany.

- Nigdy nie żałuję? Czyżby mnie pani miała za świętego?

- A lubi pan pracować?

- Och, praca sama w sobie nie jest zła, zresztą... lubię prawo.

- Nie chodzi o to, tylko... o uczucie skrepowania i monotonii... nigdy nie ma pan ochoty wyrwać się stąd, zobaczyć inne miejsca, innych ludzi?

- Jak najbardziej, zwłaszcza kiedy widzę moich przyjaciół spieszących na statek.

Westchnęła ze współczuciem. - Czy aż tak bardzo, że gotów by pan w tym celu się ożenić?

Selden roześmiał się.

- A niech mnie Pan Bóg broni!

Lily wstała z krzesła i rzuciła papieros do kominka.

- I na tym polega różnica: panna musi, a mężczyzna może, jeśli chce. - Obrzuciła go krytycznym spojrzeniem. - Ubranie ma pan znoszone, ale komu to przeszkadza? Zapraszają pana na kolacje. Gdybym ja się tak prezentowała, nikt by mnie nie zaprosił; kobieta musi dobrze wyglądać. Strój jest dla niej tłem, ramą - nie stanowi o powodzeniu, ale jest jego częścią. Komu potrzebna jest kobieta wyglądająca niepozornie? Oczekuje się od nas, że będziemy zawsze śliczne i wytworne, a jeżeli nie możemy osiągnąć tego własnymi siłami, musimy znaleźć partnera.

Selden patrzył na nią rozbawiony; mimo błagalnego spojrzenia tych ślicznych oczu żadną miarą nie mógł wzruszyć się sytuacją panny Bart.

- Niejeden kapitał chętnie zgodzi się na taką lokatę. Jeszcze dziś wieczorem, u Trenorów, może pani spotkać swoje przeznaczenie.

Spojrzała na niego pytająco.

- Myślałam, że pan tam będzie - Och nie, nie w takim charakterze! Ale będzie tam mnóstwo pańskich znajomych... Gwen van Osburgh, państwo Wetherall, lady Cressida Raith - i George Dorset z żoną.

Zawahała się na chwilę przy ostatnim nazwisku, zerkając na Seldena spod oka, lecz on nie drgnął.

- Pani Trenor prosiła mnie, żebym przyjechał, ale nie mogę wyrwać się przed końcem tygodnia; poza tym te wielkie zebrania nudzą mnie.

- Mnie także!

- Więc po cóż jechać?

- Zapomina pan, że to się łączy z moimi planami! A poza tym, gdybym nie była tam, to musiałabym grać w bezika z ciotką w Richfield Springs.

- Równie okropnie, jak wyjść za Dillwortha - zgodził się z nią i oboje wybuchnęli śmiechem zadowoleni z tak nieoczekiwanej między nimi zażyłości.

Zerknęła na zegarek.

- O Boże! Muszę lecieć. Jest już po piątej.

Przystanąła na chwilę przed lustrem wiszącym nad kominkiem i wiazała woalkę gestem, który uwydatnił *smukłość* jej sylwetki; był w niej jakiś leśny wdzięk - „nimfa w niewoli salonowych konwensów” - pomyślał Selden; pewna figlarność i niewymuszona, właściwa jej naturze swoboda dodawały tyle czarowi wszystkiemu, co w Lily Bart były sztuczne.

Powiódł ją do przedpokoju, gdzie pożegnalnym ruchem wyciągnęła do niego dłoń. - Rozkosznie było tu u pana... a poza tym musi pan mi oddać wizytę.

- Czy nie chce pani, bym odprowadził ją na dworzec?

- Nie, nie, pożegnamy się tutaj.

Z czarującym uśmiechem pozwoliła przez moment przetrzymać swą dłoń.

- W takim razie żegnam i życzę szczęścia w Bellomont! - powiedział otwierając przed nią drzwi.

Na podeście schodów rozejrzała się. Jedna szansa na tysiąc, że kogoś tu spotka, lecz nigdy nie wiadomo - Lily zawsze opłacała swoje rzadkie wykroczenia gwałtownym przyływem ostrożności. Nie spostrzegła nikogo prócz pomywaczki myjącej schody. Jej otęła postać i otaczające ją przyrządy zajmowały tyle miejsca, że Lily musiała zebrać spódnicę i niemal otrzeć się o ścianę, by ją wymi-

nać. Tymczasem kobieta przerwała pracę i ciekawie podniosła na nią oczy.

- Przepraszam - powiedziała Lily znacząco, by wytknąć jej brak uprzejmości.

Ta bez słowa odsunęła wiadro nie odrywając oczu od panny Bart, która przesunęła się obok niej z szelestem jedwabiu. Co ona myśli? Czyż nie można nigdy pozwolić sobie na najmniejsze, najniewinniejsze uchybienie przyjętym obyczajom, żeby nie wywołać ohydnych podejrzeń? Lecz już w połowie następnego piętra Lily uśmiechnęła się do siebie na myśl, że spojrzenie pomywaczki mogło ją zaniepokoić. Biedaczka była zapewne oszołomiona tak niezwykłym na tych schodach zjawiskiem. Ale czy podobne do niej zjawiska istotnie są niezwykle w tym domu? Panna Bart, nie obeznana z moralnym kodeksem kawalerskich mieszkań, znów się zarumieniła - czyżby uparte spojrzenie tej baby miało znaczyć, że widywała już na tych schodach samotne damy? Wyśmiała w duchu własne obawy i zbiegła na dół zaprzątnięta jedynie myślą, czy znajdzie jakąś dorożkę, nie dochodząc do Fifth Avenue.

Ze stopni marmurowego portyku rzuciła spojrzenie w głąb ulicy. Dorożki ani śladu. Za to na środku chodnika wpadła na małego mężczyznę o błyszczącej twarzy i z gardenią w butonierce.

- Panna Bart! Cóż za niespodzianka! - wykrzyknął zdziwiony uchylając kapelusza. - To się nazywa mieć szczęście - oświadczył z błyskiem zaciekawienia w małych oczkach.

- O, pan Rosedale! Jak się pan miewa? - powiedziała zdając sobie sprawę, że jej nie ukrywane niezadowolenie wywołało na jego twarzy poufały uśmiešek.

Objął ją spojrzeniem pełnym ciekawości i aprobaty. Był to nieco otyły mężczyzna w typie semickim, ale o jasnych włosach i różowej karnacji, w szykownym garniturze angielskiego kroju, w którym wyglądał jak wypchany; swoimi wąskimi oczkami miał zwyczaj patrzeć na ludzi jak na zbiorowisko osobliwości. Rzucił pytające spojrzenie na fasadę „Benedicka”.

- Pani w mieście na zakupach, jak sędzę - powiedział tonem, w którym była poufałość dotknięcia.

Panna Bart wzdrygnęła się lekko. - Tak... przyjechałam do mojej krawcowej. Spieszę się na pociąg, bo jadę do Trenorów... - tłumaczyła ze zbędnym pośpiechem.

- A... krawcowa... Nie wiedziałem, że w „Benedicku” są jakieś krawcowe.

- W „Benedicku”? - powtórzyła z lekkim zdziwieniem. - To tak nazywa się ten budynek?

- Tak jest. Benedick to stare określenie kawalera... Od szekspirowskiego Benedicka, który nie chciał się żenić, czy coś w tym rodzaju. Wiem, bo tak się złożyło, że ten dom jest moją własnością. - I z jeszcze poufalszym uśmiechem dodał: - Musi pani pozwolić, że ją odprowadzę na dworzec. Wszak Trenorowie są w Bellomont, prawda? Ledwie pani zdąży na piątą czterdzieści. Domyślam się, że krawcowa kazała pani długo czekać...

Lily zeszywniała. Powiedziała: - Dziękuję panu - i w tym momencie spostrzegła nadjeżdżającą dorożkę. Przywołała ją rozpaczliwym gestem. - Jest pan bardzo uprzejmy, ale nie mogę pana trudzić. - Podała rękę panu Rosedale'owi i nie bacząc na jego protesty wskoczyła do zbawczego pojazdu, resztką tchu rzucając woźnicy adres.

W dorożce z westchnieniem opadła na oparcie. Dlaczego młoda dziewczyna tak drogo musi płacić za każde odstępstwo od konwencji? Dlaczego nigdy nie można zachować się w sposób naturalny, bez osłaniania tego parawanem sztuczności? Poszła na herbatę do Seldena ulegając przelotnej zachciance - jak rzadko mogła sobie pozwolić na taki luksus! A jak drogo za to zapłaci! Pomimo całych lat czujności w ciągu pięciu minut popełniła dwa błędy. Zamiast głupiej bajeczki o krawcowej trzeba było po prostu powiedzieć, że była na herbacie u Seldena. Takie wyznanie odjęłoby całej sytuacji jakąkolwiek dwuznaczność. Ale skoro już dała się przyłapać na wykrętach, podwójnie niemądre było tak bezwzględne odtrącenie świadka jej porażki. Gdyby miała dość przytomności umysłu, by pozwolić Rosedale'owi odprowadzić się na dworzec, mogłaby za takie ustępstwo kupić jego milczenie. Miał on instynktowną, właściwą jego rasie zdolność szybkiej kalkulacji; przejść się z panną Bart po peronie Grand Central Station w godzinie szczytu to niezły interes, jak by się zapewne wyraził. Wiedział, oczywiście, że w Bellomont szykuje się duży zjazd, i liczył zapewne, że będzie uchodził za jednego z gości Trenorów. Pan Rosedale znajdował się jeszcze na tym stopniu drabiny towarzyskiej, gdzie wywoływanie takich wrażeń było rzeczą bardzo ważną.

Lily wiedziała o tym i to ją tak gniewało; wiedziała, że łatwo mogła natychmiast kupić jego milczenie - i jakie to będzie trudne w przyszłości. Pan Rosedale miał ambicje wiedzieć wszystko o wszystkich

i chwalić się tym; Lily była pewna, że w ciągu dwudziestu czterech godzin historia jej wizyty u krawcowej w „Benedicku” obiegnie całe kółko znajomych pana Rosedale'a. A najgorsze było to, że lekceważyła go i traktowała wyniośle od momentu, gdy tylko zjawił się na widowni. Stało się to za sprawą jej nierozważnego kuzynka, Jacka Stepneya, który (w zamian za łatwą do odgadnięcia przysługę) uzyskał dla niego zaproszenie na jeden z tych gromadnych „spędów” u van Osburghów. Od tej chwili Rosedale instynktownie Ignął do panny Bart, wiedziony mieszaniną artystycznej wrażliwości i interesu.

Rozumiała motywy jego działania, gdyż jej własne były bardzo podobne. Wychowanie i doświadczenie nauczyło ją traktować nowych znajomych uprzejmie, ponieważ nawet ktoś najmniej obiecujący może się kiedyś przydać, a jeśli się nie przydał, to pamięć jej dysponowała dużą liczbą ciemnych „zapadni”, w których ginęły niepotrzebne znajomości. Lecz w przypadku pana Rosedale'a jakiś instynktowny wstręt wziął górę nad wieloletnią towarzyską rutyną panny Bart i sprawił, że pan Rosedale bez żadnego osądu został wtrącony do takiej „zapadni” w jej pamięci.

Nie czuła dotychczas żadnych skrupułów. Grono jej najbliższych znajomych orzekło, że pan Rosedale jest „niemożliwy”, a Jack Stepney dostawał od wszystkich po nosie, ilekroć próbował spłacać swoje wobec niego długi namawiając przyjaciół, by zaprosili go na kolację. Nawet pani Trenor, którą pragnienie odmiany naraziło na kilka ryzykownych eksperymentów, oparła mu się, gdy próbował podsunąć jej Rosedale'a jako „nowość”.

Jack wreszcie poniechał walki, powiedział ze śmiechem: „Jeszcze zobaczycie!” i po męsku nie dał za wygraną; pokazywał się w modnych restauracjach z Rosedale'em i odpowiednimi damami, które wprawdzie rzucały się w oczy, lecz dla wyższych sfer towarzyskich nie istniały. Niewiele to pomogło - jak dotąd - tyle że Rosedale niewątpliwie płacił za te kolacje, więc najlepiej na tym wychodził jego dłużnik.

A zatem pan Rosedale nie był niebezpieczny, chyba że miał kogoś w rękę, a tak się właśnie stało z Lily Bart. Niezręcznym kłam-



stwem zdradziła, że ma coś do ukrycia; była pewna, że teraz się z nią porachuje. Coś w jego uśmiechu mówiło jej, że nie zapomni. Myśl ta prześladowała ją przez całą drogę na dworzec i goniła jeszcze na peronie z wytrwałością samego pana Rosedale'a.

Ledwie zdążyła zająć miejsce, gdy pociąg ruszył. Z gracją usadowiła się w rogu - instynkt, by wypaść jak najlepiej, nigdy jej nie opuszczał - i rozejrzała się mając nadzieję, że spotka kogoś z gości Trenorów. Pragnęła uciec od myśli o sobie, a rozmowa była jedynym znanym jej sposobem ucieczki.

Poszukiwania jej zostały wynagrodzone: w przeciwległym końcu wagonu, za płachtą rozłożonej gazety, dostrzegła bardzo jasnego blondyna z miękką rudawą brodą. Oczy jej pojaśniały i lekki uśmiešek rozprężył zaciśnięte wargi. Wiedziała, że Percy Gryce ma być w Bellomont, lecz nie liczyła aż na tyle szczęścia - w pociągu będzie go miała wyłącznie dla siebie! Fakt ten odpędził natychmiast wszystkie przykre myśli o panu Rosedale'u. Może mimo wszystko ten dzień zakończy się pomyślniej, niż się zaczął.

Zajęła się rozcinaniem kartek powieści, spokojnie obserwując spod opuszczonych rzęs swoją ofiarę i układając plan ataku. Coś w postawie pana Gryce'a, a może jego wyraźnie świadome skupienie, mówiło jej, że ją zauważył, bo czyż można aż do tego stopnia pograżyć się w lekturze popołudniowej gazety! Domyśliła się, że nieśmiałość nie pozwala mu podejść, będzie więc musiała obmyśleć sposób zbliżenia, który nie wyglądałby na zaczepkę z jej strony.

Rozbawiła ją myśl, że ktoś tak bogaty jak Percy Gryce może być nieśmiały; posiadała jednakże nieprzebrane zasoby wyrozumiałości dla takich cech, a poza tym jego nieśmiałość lepiej mogła służyć jej celom niż zbyt pewność siebie. Zakłopotanym Lily zawsze umiała przywrócić równowagę ducha, lecz nie była pewna, czy równie łatwo umie wprowadzić w zakłopotanie tych, co są bardzo pewni siebie.

Zaczekała, aż pociąg wynurzy się z tunelu i minie w pędzie krańce ubogich przedmieść na północ od miasta. Gdy zwolnił nieco w pobliżu Yonkers, Lily wstała i powoli przeszła przez wagon. Wagon zakółsał się, Gryce spostrzegł nagle smukłą dłoń chwytającą

na poręcz jego fotela. Zerwał się na równe nogi; jego młodzieńczą twarz zalała fala szkarłatu.

Pociąg zachybotał się ponownie i nieomal rzucił pannę Bart w jego miniona. Śmiejąc się odzyskała równowagę i odsunęła się, zdążyła jednak owionąć go zapachem swej sukni i zostawić na jego ramieniu ślad przelotnego dotknięcia.

- Ach, to pan, panie Gryce? Bardzo pana przepraszam... szukam posługacza, bo chcę dostać herbaty.

Podawała mu rękę i przez chwilę stali rozmawiając w przejściu. Tak, jedzie do Bellomont. Słyszał, że została zaproszona - i przyznając to ponownie się zarumienił. A czy również zabawi tam przez cały tydzień? Jak to dobrze.

W tym miejscu dwóch pasażerów, którzy w ostatniej chwili wsiedli na poprzedniej stacji, wtargnęło do wagonu i Lily musiała wracać na swoje miejsce.

- Fotel obok mnie jest wolny. Niech go pan zajmie - rzekła przez ramię i pan Gryce z niemałym zakłopotaniem zdołał dokonać zamiany miejsca.

- O! Jest posługacz... może dostaniemy herbaty.

Skinęła na niego i w chwilę później - jakby się ktoś uparł spełniać wszystkie jej życzenia - pomiędzy dwoma fotelami stanął mały stolik, pod którym pan Gryce z jej pomocą ułożył oblegające go pakunki.

Gdy podano herbatę, Percy Gryce z cichym zachwytem śledził poruszenia jej dłoni ponad tacką - dłonie te wydawały się jeszcze smuklejsze i wytworniejsze przez kontrast z ordynarną porcelaną i grubo pokrojonym chlebem. Zdumieniem nappełniał go fakt, że można z taką swobodą wykonać tak trudne zadanie, jak zaparzenie herbaty na oczach ludzi, i to w kołyszącym się pociągu. Nigdy by się nie ośmielił sam zażądać dla siebie herbaty z obawy, że wzbudzi uwagę współpasażerów, lecz że ściągnęła ją na siebie Lily, nie on, tym bezpieczniej mógł popijać atramentowy napar, szczerze uradowany tą sytuacją.

Lily, która czuła jeszcze w ustach wspaniałą herbatę Seldena, bynajmniej nie miała ochoty zabić tego smaku kolejową lurą najwyraźniej braną przez jej towarzysza za boski nektar; lecz dopeł-

niła miary jego radości i uśmiechnęła się, sądząc - i słusznie - że jednym z uroków herbaty jest fakt, że się ją pije we dwoje.

- Czy dobra?... Nie za mocną panu nalałam? - spytała troskliwie, na co odparł z przekonaniem, że nigdy lepszej nie pił.

To nawet może być prawda, pomyślała, i wyobraźnię jej podnieciło przypuszczenie, że pan Gryce, który mógł sobie pozwolić na najbardziej wyszukane zachcianki, w istocie podróżował może po raz pierwszy sam na sam z ładną kobietą.

A więc zrzędzeniem Opatrzności jej to przypadło wprowadzić go w życie! Nie każda młoda dziewczyna wiedziałaby, jak postąpić. Niejedna z nich położyłaby zbyt nacisk na sensacyjny element przygody starając się obudzić w nim zapal towarzyszący awanturniczym eskapadom. Lily dysponowała metodami subtelniej szymi. Pamiętała, co powiedział kiedyś jej kuzynek, Jack Stepney, o panu Grycie, że to taki młodzieniec, co obiecał mamie, iż nigdy nie wyjdzie na deszcz bez kaloszy. Kierując się tą wzmianką postanowiła stworzyć atmosferę domową, żeby jej towarzysz, zamiast sądzić, iż dopuszcza się czegoś zuchwałego czy niezwykłego, skłonny był pomyśleć, że dobrze jest mieć zawsze przy boku taką towarzyszkę, co mu zaparzy herbatę w pociągu.

Pomimo jej wysiłków rozmowa zaczęła się rwać, gdy zabrano tacę, i Lily zmuszona była innym okiem spojrzeć na ograniczenia pana Gryce'a. To nie okazji brakowało mu, lecz wyobraźni - ma podniebienie mózgowca i nigdy nie odróżni dobrej herbaty od lury. Pozostawał jej jeden temat, na jaki mogła liczyć niby na sprężynę, której wystarczy dotknąć, by puściła w ruch nieskomplikowany mechanizm takiego mężczyzny.

- A jak się panu wiedzie z pańskim zbiorem starych druków? - spytała pochylając się ku niemu.

Uniósł lekko powieki i oczy mu zabłysły. Lily poczuła się dumna z własnej zręczności.

- Nabyłem parę nowych rzeczy - odpowiedział z wyraźnym zadowoleniem, lecz głos zniżył, jakby bojąc się przekazać tę wiadomość współpasażerom; może zechcą go ograbić.

Zapytała ze zrozumieniem i zainteresowaniem o te ostatnie zakupy i ten sposób wciągnęła pana Gryce'a w rozmowę pozwalającą mu zapomnieć o sobie lub raczej być sobą bez skrępowania, gdyż temat był mu

doskonale znany i mógł tu wykazać swoją niezaprzeczną wyższość.

Pytała inteligentnie, słuchała z oddaniem; przygotowany na wyraz znużenia, który zwykle wkradał się na twarze jego słuchaczy, stał się bardziej rozmowny pod jej chłonnym spojrzeniem.

Garść wiadomości, które Lily z właściwą sobie przytomnością umysłu wyciągnęła od Seldena na wszelki wypadek, tak jej się teraz przydała, że skłonna była uważać wizytę u niego za najszcześniejsze wydarzenie dnia. Raz jeszcze dowiodła, jak umiejętnie potrafi wykorzystać przypadek, i w głowie jej zaczęły kiełkować niebezpieczne teorie zalecające działanie impulsywne, gdy uśmiechając się nie szczędziła uwagi rozmówcy. Jego wrażenia, choć mniej sprecyzowane, były również przyjemne.

Zainteresowanie pana Gryce'a dla starych druków amerykańskich nie zrodziło się samorzutnie; niepodobna było wyobrazić sobie, żeby miał jakieś gusty prawdziwie własne. To stryj zostawił mu znany już bibliofilm zbiór książek - jedyny tytuł do chwały w rodzinie Gryce'ów, bratanek zaś tak się szczycił tą kolekcją, jakby była jego własnym dziełem. Stopniowo też przywykł do tej myśli i odczuwał rodzaj osobistej satysfakcji, ilekroć napotkał jakąś wzmiankę o „amerykanach” Gryce'a. O ile unikał zwracania uwagi na swoją osobę, o tyle widok własnego nazwiska w druku napełniał go prawdziwą rozkoszą, która całkowicie nagradzała mu obawę osobistego rozgłosu.

Ludzie nieśmiali miewają swoje tajemne kompensacje i panna Bart była dość bystra, by wiedzieć, że za ostentacyjną skromnością kryje się zazwyczaj wielka próżność. Z człowiekiem bardziej pewnym siebie nie odważyłaby się rozprawiać tak długo na jeden temat lub okazywać tak przesadne zainteresowanie. Lecz trafnie odgadła, że egoizm pana Gryce'a był jak gleba nieustannie spragniona jakiegóż odżywki. Lily, na pozór zatopiona w rozmowie, potrafiła snuć w myśli własny wątek - tym razem umysł jej błyskawicznie powędrował w przyszłość, którą dzieliliby z panem Gryce'em we dwoje.

Gryce'owie pochodzili z Albany i całkiem niedawno osiedli w stolicy, dokąd się przenieśli po śmierci starego Jeffersona Gryce<sup>^</sup>, by objąć w posiadanie jego dom na Madison Avenue - przerażające domostwo o murach z brązowej cegły, wnętrzach z czarnego orzecha i z biblioteką Gryce'a w osobnej ogniotrwalej przybudówce, która wyglądała jak mauzoleum.

Lily wiedziała już o nich wszystko; przyjazd młodego Gryce'a do Nowego Jorku wzniecił niepokój w niejednym matczynym sercu, a jeśli dziewczyna nie ma drżącej o jej los matki, to sama musi pilnować swoich spraw. Zdołała zatem nie tylko zetknąć się z młodym Gryce'em, lecz nawet zawrzeć znajomość z jego matką, kobietą potężnej budowy, o donośnym głosie kaznodziei i umyśle wiecznie zaprzątniętym niegodziwością służby.

Po śmierci męża uznała, że interesy syna - jak mawiała - wymagają jego obecności w Nowym Jorku, i zamieszkała wraz z Percym w domu przy Madison Avenue.

Percy spędzał wszystkie dni w eleganckim biurze przy Broad Street, gdzie grono bladych, źle opłacanych urzędników zdążyło już posiwieć zarządzając majątkiem Gryce'ów, zaś on sam - z należnym mu szacunkiem - został wtajemniczony we wszystkie arkana sztuki gromadzenia pieniędzy.

Było to, jak dotąd, jedyne jego zajęcie i wiedząca o tym Lily zasługuje na wybaczenie, jeśli uważała, że nietrudno będzie zainteresować młodzieńca utrzymanego na tak skąpej diecie... Do tego stopnia poczuła się panią sytuacji, że poddała się całkowicie poczuciu bezpieczeństwa i wszelkie obawy co do pana Rosedale'a i ewentualnych związanych z jego osobą trudności zniknęły z jej myśli.

I trwałaby nadal w tym stanie ducha, gdyby nie fakt, że gdy pociąg zatrzymał się w Garrison, ujrzała na twarzy Percy'ego, zwróconej w stronę wejścia, wyraz lęku. Odgadła, że zaniepokoił go widok kogoś znajomego; w tę samą stronę zwróciły się wszystkie głowy, jak wówczas, gdy ona sama wchodziła do wagonu. Znała to i wcale nie była zaskoczona słysząc głos ładnej kobiety, która zjawiała się w towarzystwie pokojówki, bulteriera i lokaja zgiętego pod ciężarem bagażu.

O, Lily, czy jedziesz do Bellomont? No to nie możesz ustąpić miejsca, niestety! A ja bezwzględnie muszę siedzieć w tym wagonie... proszę mi to zaraz załatwić - zwróciła się do posługacza. - Czy nie można kogoś przesadzić? Chcę być w towarzystwie znajomych. O, pan Gryce... witam pana! Proszę, niech mu pan wytłumaczy, że muszę usiąść z wami. - Nie zwróciła uwagi na to, że jeden z pasażerów taszcząc swój tani sakwojaż usłużnie zmierzał ku wyjściu, zostawiwszy jej wolne miejsce, i stała nadal w przejściu, wywołując nastrój zamieszania, co często się zdarza ładnym kobietom w podróży.

Była to pani Dorset. Niższa i szczuplejsza od Lily Bart, ciało miała tak giętkie i ruchy tak zwinne, że - zdawało się - bez trudu można by ją przeciągnąć przez pierścionek, jak jedną z tych miękkich materii, które lubiła nosić. Owal drobnej, bladej twarzy był ramą dla pary ogromnych ciemnych oczu, których marzycielskie spojrzenie stanowiło ciekawy kontrast z pewnym siebie tonem głosu i sposobem bycia; jak trafnie zauważył któryś z jej przyjaciół, Berta Dorset była niby duch pozbawiony ciała, ale zajmujący bardzo dużo miejsca.

Spostrzegła wreszcie, iż fotel przy pannie Bart był do jej dyspozycji; rozsiadła się wygodnie i rozkładając swoje drobiazgi wyjaśniła, że przyjechała samochodem z Mount Kisco i przez godzinę umierała z nudów w Garrison, nie mając na pociechę nawet papierosów, bo niegodziwy mąż nie napełnił jej papierosnicy, zanim się rano z nim rozstała.

- Pewnie o tej porze i ty, Lily, nie masz już ani jednego? - zakończyła ze skargą w głosie.

Panna Bart złapała zdumione spojrzenie pana Gryce'a, którego ust nigdy nie splugawił tytoń.

- Co za nedorzeczne pytanie, Berto! - zawołała, rumieniąc się na myśl o papierosach, które wzięła od Seldena.

- Jak to, nie palisz? Kiedy rzuciłaś palenie? Ach... ty nigdy przecież... ani pan, panie Gryce, prawda? Co ja plotę... niemądra jestem... ale rozumiem...

I pani Dorset oparła się wygodnie o swoje poduszki podróżne z uśmiechem, który kazał Lily żałować, iż znalazło się obok niej wolne miejsce.

### 3

Brydż w Bellomont trwał zazwyczaj do późnych godzin nocnych i kładąc się spać Lily pomyślała, że grała o wiele za długo, żeby jej to mogło posłużyć.

Nie nęciły jej samotne rozmyślenia w czterech ścianach pokoju, przystanąła więc na szerokich stopniach schodów, by spojrzeć z góry na wielki hall, gdzie ostatni gracze zebrali się dokoła wysokich szklanek i srebrem zdobionych karafek, które lokaj wniósł przed chwilą na tacy i postawił na niskim stoliku opodal kominka.

Hall otaczały arkady z galeryjką wspartą na kolumnach z bladego żółtego marmuru. Kąty sali zdobiły kępy wysokich kwitnących roślin wtopionych w ciemną zieleń gęstych krzewów w donicach. Na karmazynowym dywanie drzemał chart i dwa czy trzy wyżyły rozkosznie wyciągnięte przy ogniu, a wiszący na środku hallu ogromny żyrandol rzucał blask na włosy kobiet i rozniecał iskry w ich klejnotach przy każdym ruchu.

Bywały chwile, gdy taki obraz zachwycał Lily, zaspokajając jej poczucie piękna i potrzebę zbytku, lecz bywało i tak, że podobne sceny boleśnie wzmagaly w niej świadomość kontrastu między otoczeniem a ograniczonością jej własnych środków do życia. Taki właśnie nastrój ogarnął ją teraz z przemożną siłą. Zirytowana odwróciła się od widoku pani Dorset, która cała lśniąca, w sukni naszytej dżetami, wiodła za sobą pana Gryce'a do przytulnej niszy pod galeryjką.

Lily nie obawiała się utracić świeżo zdobytej władzy nad tym młodzińcem. Pani Dorset mogła go olśnić i oszołomić, lecz nie posiadała ani potrzebnego, kunsztu, ani cierpliwości, by całkowicie podbić jego serce. Jednakże sama myśl, że inna kobieta może pozwolić sobie do woli na przyciąganie i odpychanie mężczyzny, ponieważ nie gra on żadnej poważniejszej roli w jej planach, budziła w Lily Bart uczucie zazdrości. Percy Gryce zadreślał ją przez całe popołudnie - jego nudny głos dotąd brzęczał jej w uszach - a jednak nie może zlekceważyć tego człowieka, jutro musi umacniać swój sukces poddając się nadal tej nudzie, gotowa do dalszej pobłażliwości i ustępstw, a wszystko po to, by - ewentualnie - podjął on decyzję, że zechce łaskawie nudzić ją do końca życia.

Nienawistny los! Ale jak go uniknąć? Nie miała wyboru. Mogła być sobą albo zostać drugą Gerty Farish. Gdy jednak weszła do swej sypialni tonącej w łagodnym, przyćmionym świetle i ogarnęła spojrzeniem koronkowy szlafroczek rozłożony na jedwabnej kołdrze, haftowane pantofelki przed kominkiem, w wazonie bukiet goździków napełniający wonią cały pokój, najnowszą powieść i czasopisma - nie rozcięte - obok lampy na stole, ujrzała oczami duszy ciasne, pozbawione wygód mieszkanie panny Farish z ohydnyimi tapetami na ścianach. Nie, nie była stworzona do życia w nędznym, pospolitym otoczeniu ani do brudnych kompromisów, do których zmusza bieda. Jedynie w atmosferze wielkiego zbytku mogła rozwinąć skrzydła; takiego tła potrzebowała, takim tylko powietrzem mogła oddychać. Ale jeśli to wszystko jest cudze? Jeszcze przed kilku laty wcale jej to nie przeszkadzało; chłoneła codzienną daninę przyjemności nie pytając, komu ją zawdzięcza. Ostatnio jednak coraz częściej drażniły ją wynikające z tego zobowiązania, coraz częściej czuła, że przepych, z którego korzysta, nie do niej należy. Bywały nawet chwile, kiedy miała świadomość, że za niego płaci.

Przez długi czas nie chciała grać w brydża. Wiedząc, że nie może sobie na to pozwolić, bała się, że nawyknę do tak kosztownego upodobania. Przykładem podobnego niebezpieczeństwa mógł być niejeden z jej znajomych, na przykład młody Ned Silverton, śliczny



jasnowłosy chłopiec, wpatrzony z niewolniczym zachwytem w panią Fisher, głośną rozwódkę, której oczy i stroje zwracały uwagę w nie mniejszym stopniu niż sensacyjne tytuły w prasie relacjonującej jej sprawę rozwodową. Lily pamiętała Neda, kiedy zjawił się w ich kółku - zabłąkany tu w swej beztroskiej niewinności i znany z tego, że pisywał wiersze w college'u. Jakże szybko uległ urokom pani Fisher i brydża, który narażał go na wydatki, domagające się nieraz ratunku ze strony niezamężnych sióstr Neda - uwielbiały jego poezje i gotowe były dla brata pić herbatę bez cukru. Lily widziała, jak piękne oczy Neda, w których więcej było poezji niż w jego wierszach, bywały zrazu pełne zdumienia, potem rozbawienia i wreszcie niepokoju; bala się, że ją to samo spotka, ponieważ w ciągu ostatniego roku spostrzegła, że w domach, w których gościła, oczekiwano od niej, by zasiadała do kart. Był to rodzaj zapłaty za gościnność przyjaciółek, za suknie i drobiazgi, którymi - przy sposobności - łątały braki w jej garderobie. Zaczęła więc grywać regularnie - i stała się ofiarą nałogu. Ostatnio raz i drugi wygrała znaczną sumę, lecz zamiast zachować ją na pokrycie przyszłych przegranych, wydała pieniądze na suknie i biżuterię; chcąc zaś powetować sobie te wydatki i coraz mocniej ulegając swej namiętności, grała za każdym razem o wyższą stawkę. Próbowwała usprawiedliwiać się przed sobą - kto zasiadał do kart u Trenorów, musiał grać wysoko, inaczej uważano by go za sknerę, lecz zdawała sobie sprawę, że ulega nałogowi i że w tym otoczeniu niewielką ma nadzieję oprzeć się swej namiętności.

Dzisiejszego wieczoru szczęście uparcie jej nie dopisywało. Gdy wróciła do swego pokoju, jej mała złota sakiewka wisząca na łańcuszku z breloczkami była prawie pusta. Otworzyła szafę, wyjęła z niej swoje pudło z biżuterią i zajrzała na spód, gdzie przechowywała pieniądze. Znalazła tam tylko dwadzieścia dolarów. Zaskoczona tym odkryciem sądziła przez chwilę, że ją okradziono. Lecz wzięwszy kartkę papieru i ołówek spróbowała obliczyć przy biurku, ile wydała w ciągu dnia, i pomimo wielkiego zmęczenia, które czuła w głowie, przekonała się - po kilkakrotnym przeliczeniu - że

przegrała trzysta dolarów. Przegrała! Ona, której potrzebny był każdy grosz! Gdy tymczasem Berta Dorset, obsypywana przez męża pieniędzmi, zgarnęła ze stolika co najmniej pięćset dolarów, zaś Judy Trenor, którą stać było na utratę nawet tysiąca dolarów w jeden wieczór, wstała od stolika z takim stosem banknotów, że nie mogła podać ręki gościom życzącym jej dobrej nocy.

Świat, w którym mieściły się podobne rzeczy, wydał się Lily bardzo nędzny, ale też nigdy nie mogła dociec, jakimi rządził się prawami, tak gorliwie pomijał w swoich kalkulacjach jej osobę.

Zaczęła się rozbierać nie wzywając pokojówki - już wcześniej kazała jej iść spać. Od zbyt dawna krępowały ją cudze kaprysy, by nie nauczyła się względów dla tych, którzy od jej woli byli zależni, a w chwilach rozgoryczenia uważała nawet, że jest w takiej samej sytuacji, jak jej pokojówka, tyle że ta ostatnia regularnie otrzymuje pieniądze.

Z twarzą bladą i zapadłą siedziała przed lustrem szczotkując włosy. Wtem spostrzegła z przerażeniem dwie, wyraźnie wyżłobione linie z dwóch stron ust - lekkie skazy na gładkim zarysie policzków.

- Och, muszę przestać się martwić! - zawołała. - Chyba, że to od tych żarówek... - Zerwała się z miejsca, zapaliła świece na toalecie, zgasła światło elektryczne i przyjrzała się sobie dokładnie. Błady owal jej twarzy wypłynął chwiejnie spośród cieni i w niepewnym blasku świec zdawał się przesłonięty mgłą; lecz dwie linie w kącikach ust pozostały.

Lily wstała i rozebrała się pospiesznie.

- To tylko dlatego, że jestem zmęczona i myślę o różnych okropnościach - powtarzała w duchu. Wydało jej się dodatkową niesprawiedliwością, że drobne troski zostawiają ślad na jej urodzie, która przed tymi troskami była przecież jedyną jej obroną.

Cóż robić! Stała się rzecz okropna i pozostanie. Niby wędrowiec, który po krótkim odpoczynku podnosi swój ciężar, by dźwigać go dalej, Lily zwróciła znużone myśli ku panu Gryce'owi. Była prawie pewna, że zdołała go „usidlić”; jeszcze kilka pracowitych dni i zostanie nagrodzona. Jednakże tak mało godna pożądania wydawała

się jej ta nagroda, że myśl o zwycięstwie nie była podniecająca. Uwolni się od kłopotów, nic ponadto. Jeszcze parę lat wcześniej byłoby to bardzo mało! Lecz ambicje jej powoli kurczyły się w trującym nastroju porażki. Ale skąd ta porażka? Czy z jej własnej winy, czy z winy przeznaczenia?

Przypomniały jej się słowa matki, która po utracie majątku z jakąś zacieklą mściwością powtarzała: „Ale ty wszystko odzyskasz - odzyskasz z tą swoją twarzą”. Wspomnienie to pociągnęło za sobą następne i Lily leżąc w ciemnościach wskrzeszała w myślach przeszłość, z której wynikała jej terażniejszość.

Dom rodzinny, gdzie zbierano się przy stole na obiad, tyłkowówcześnie gdy byli goście; wiecznie brzęczący dzwonek u drzwi wejściowych; szeregi pokojówek francuskich i angielskich, które wymawiały służbę pospiesznie plądrując szafy i komody; równie często zmieniające się dynastie piastunek i lokajów, kłótnie w spiżarni, kuchni i bawialni; nagle wypady do Europy i powroty z wypchanymi kuframi, których rozpakowanie ciągnęło się w nieskończoność; trwające pół roku narady, gdzie spędzić lato; konieczność zaciskania pasa na przemian ze wspaniałymi okresami rozrzutności - takie było tło jej najwcześniejszych wspomnień.

Tym burzliwym żywiołem, który się nazywał „dom”, rządziła energiczna i despotyczna matka, dość jeszcze młoda, by w tańcu zdzierać na strzępy balowe suknie; ojciec - mglista, bezbarwna postać - zajmował miejsce gdzieś pomiędzy kamerdynerem a człowiekiem przychodzącym nakręcać zegary. Lily rzadko widywała ojca w dzień. Zawsze był „w mieście”, a zimą dopiero późnym wieczorem słyszała jego człapanie na schodach i odgłos naciskanej klamki w pokoju szkolnym. Całował córkę w milczeniu i zadawał kilka pytań piastunce albo guwernantce, po czym przychodziła pokojówka pani Bart, żeby mu przypomnieć, że idą na proszony obiad, i ojciec pospiesznie opuszczał pokój, zegnając córkę skinieniem głowy.

Latem, gdy przyjeżdżał do nich na niedzielę do Newport albo Southampton, zdawał się jeszcze bardziej milczący i niepozorny niż zimą. Można było pomyśleć, że wypoczynek go męczył; całymi go-

dzinami siedział w cichym kącie werandy patrząc na morze, jakby nieświadom egzystencji żony, która rozprawiała hałaśliwie o parę kroków dalej. Najczęściej jednak pani Bart z córką wyjeżdżały na lato do Europy i nim parowiec przebył połowę drogi, pan Bart od dawna już był wymazany z pamięci swej żony i córki.

W nastroju bezładu i podniecenia światowego życia minęły dziecięce lata Lily Bart; łódź rodzinna płynęła zygzakiem - to porywał ją wartki prąd zabawy, to znów hamowała, niby podwodny nurt, nieustająca troska o pieniądze.

Lily nie mogła sobie przypomnieć, by kiedykolwiek było ich dość, a wszystkiemu zawsze zdawał się winien ojciec. Z pewnością nie pani Bart - przyjaciele uważali ją za wspaniałą gospodynię, która dokonuje wprost cudów, mając bardzo ograniczone środki. Życie ponad stan, sugerujące, że człowiek jest bogatszy, niż o tym świadczyło jego konto bankowe, było dla pani Bart i jej znajomych prawdziwym bohaterstwem. Lily była oczywiście dumna z tych talentów matki, która wychowała ją w przekonaniu, że bez względu na koszty trzeba mieć dobrego kucharza i - jak mawiała - „przyzwoite ubranie”. Najcięższym zarzutem, jaki mogła wysunąć pod adresem męża, było pytanie, czy pragnie, by żyli „jak hołota”. Zaprzeczenie uważała za upoważnienie, by natychmiast posłać telegram do Paryża po jedną lub dwie, całkiem zbędne, suknie i zatelefonować do jubilera, by jej przysłał bransoletkę z turkusami, którą oglądała tego ranka.

Lily знала ludzi żyjących „jak hołota”; ich powierzchowność i otoczenie usprawiedliwiałały wstręt matki do takiej formy bytowania. Byli to przeważnie krewni - mieszkali w ponurych domach, ozdabiali swoje bawialnie nudnymi rycinami w ramkach, mieli niechlujne pokojówki, które nieproszonym gościom w porze, gdy nikt szanujący się nie przyjmuje, mówiły: „pójdę zobaczyć”. Dość irytujący był fakt, że ci krewni często posiadali duży majątek, stąd też Lily nabrała przekonania, że jeśli ludzie żyją „jak hołota”, to z własnego wyboru albo z braku rozeznania, jak żyć należy. Wyrobiło to w niej poczucie wyższości i niepotrzebne nawet były kpiny pani Bart, że krewni to „sknery”; w córce jej rozwijało się z natury już dość silne upodobanie do przepychu.

Miała dziewiętnaście lat, gdy okoliczności zmusiły ją do zrewidowania poglądu na życie.

Rok wcześniej weszła w świat; debiut miała olśniewający, choć ściągnął nawałę rachunków do zapłacenia. Jeszcze nie zgasł na horyzoncie blask tego debiutu, gdy z nabrzmiąłych chmur padł grom. Nagłość ciosu powiększała jego grozę i Lily nieraz jeszcze wspominała z bolesną dokładnością każdy szczegół owego feralnego dnia.

Jadły z matką lunch, składający się z resztek pasztetu i łeosia w galarecie, nie dojezonych przez gości poprzedniego wieczoru; zjedanie takich resztek było bodaj jedynym znanym pannie Bart sposobem oszczędzania na wydatkach domowych. Lily czuła przyjemne znużenie, które jest haraczem płaconym przez młodość za przetańczoną noc; matka jej tryskała energią i świeżością, pomimo kilku bruzd dokoła ust i lekkich zmarszczek na skroniach, i robiła wrażenie, jakby najspokojniej całą noc przespała. Na środku stołu, pomiędzy kasztanami w topniejącym syropie i cukrzonymi wiśniami, wznosiła się piramida wspaniałych róż, których główki dzielnie trzymały się na mocnych łądygach, lecz płatki traciły już swoją różowość i zabarwiały się znużonym fioletem, rażąc zmysł estetyczny panny Bart.

- Doprawdy, mamó - rzekła z wyrzutem - mogłybyśmy sobie pozwolić na trochę świeżych kwiatów w południe. Parę żonkili albo konwalii...

Pani Bart spojrzała na córkę zdumiona. Czyż nie wszystko jedno, jak wygląda stół, kiedy siedzą przy nim same? O zbytek dbała tylko dla opinii w oczach świata. Jednakże rozczuliła ją naiwność córki.

- Konwalie o tej porze roku - rzekła spokojnie - są drogie, po dwa dolary za tuzin.

Słowa te nie wywarły żadnego wrażenia na Lily. Niewiele wiedziała o wartości pieniądza.

- Do tego wazonu wystarczy sześć tuzinów, nie więcej.

- Sześć tuzinów czego? - rozległ się od progu głos ojca.

Obydwie kobiety podniosły zdumiony wzrok; była to wprawdzie sobota, lecz nikt nie spodziewał się pana domu o tej porze. Jednakże

ani żona, ani córka nie interesowały się nim tak dalece, by zażądać Wyjaśnienia.

Pan Bart padł na krzesło i utkwiał roztargniony wzrok w talerzu, na którym lokaj podsunął mu porcję łososia w galarecie.

- Właśnie mówiłam do mamy - zaczęła Lily - że nie cierpię zwiędłych kwiatów na stole. A mama utrzymuje, że pęk konwalii nie kosztowałyby więcej niż dwanaście dolarów. Czy mogę powiedzieć w kwiaciarni, żeby nam przysyłano konwalie co dzień?

Pochyliła się przymilnie ku ojcu; rzadko odmawiał jej czegokolwiek i pani Bart nawet nauczyła córkę wstawiać się do ojca, kiedy Jej własne prośby zawodziły.

Pan Bart siedział milcząco, nie odrywając spojrzenia od łososia; był jeszcze bledszy niż zwykle, usta miał nie domknięte, rozwichrzone kosmyki rzadkich włosów opadały na czoło. Nagle spojrzał na córkę i roześmiał się. Śmiech ten był tak dziwny, że Lily zarumieniła się - zawsze bała się śmieszności, ojciec zaś zdawał się widzieć w jej żądaniu coś śmiesznego. Może uważał za niedorzeczność, że molestuje go o taką drobnostkę?

- Dwanaście dolarów... dwanaście dolarów dziennie na kwiaty? Ależ owszem, moja droga... każ przysłać za tysiąc dwieście dolarów...

I znów się roześmiał.

Pani Bart rzuciła na męża szybkie spojrzenie.

- Możecie odejść... zadzwonię na was - rzekła do lokaja.

Z wyrazem milczącej nagany lokaj opuścił pokój, odstawiwszy po drodze resztki pasztetu na bufet.

- Co się stało, Hudsonie? Czyś nie chory? - spytała pani Bart surowo.

Sceny w tym domu mogła robić tylko ona, nikt inny; poza tym nie znosiła, by mąż stroił z siebie widowisko dla służby.

- Czy nie jesteś chory? - powtórzyła.

- Chory?... Nie. Jestem zrujnowany - odpowiedział.

Lily wydała stłumiony okrzyk przerażenia, a pani Bart zerwała się na równe nogi.

- Zrujnowany?... - krzyknęła. Pohamowała się jednak natychmiast i z twarzą spokojną zwróciła się do Lily.

- Zamknij drzwi do kredensu.

Lily usłuchała jej; wracając do stołu ujrzała ojca pochylonego nad talerzem z łososiem - łokcie oparł na stole, głowę trzymał w dłoniach. Pani Bart stała przy nim z twarzą tak białą, że włosy wydały się przy niej nienaturalnie żółte. Spojrzała na Lily - wzrok miała straszny, lecz głos niesamowicie pogodny.

- Ojciec zasłabł... nie wie, co mówi. To nic... ale lepiej idź do siebie. I nie rozmawiaj ze służbą - dodała.

Lily zrobiła, jak jej kazano; gdy matka mówiła takim głosem, zawsze była jej posłuszna. Słowa matki nie zdołały wprowadzić jej w błąd: zrozumiała od razu, że są zrujnowani. Ten straszny fakt nawet w ponurych godzinach, które nastąpiły, przyćmiewał powolne, ciężkie konanie ojca. Pan Bart przestał istnieć dla żony z chwilą, gdy nie mógł już spełniać swego powołania. Siedziała przy nim z miną podróżnego czekającego na spóźniony odjazd pociągu.

Uczucia Lily były tkliwsze - ojciec budził w niej bezsilną litość połączoną z pewnym lękiem. Ale fakt, że przeważnie był nieprzytomny i w chwilę po jej wejściu do pokoju już jej nie zauważał, czynił go jeszcze bardziej obcym, niż kiedy o zmroku słyszała w dzieciennym pokoju jego powrót do domu. Uczucie litości dla niego, nie znajdując czynnego wyrazu, czyniło z niej jedynie widza, przebywającego w cieniu zaciętej, pełnej gniewu pani Bart, której każdy ruch, każde spojrzenie zdawało się mówić: „Współczujesz mu teraz, ale będziesz myślała inaczej, jak zobaczysz, co nam zrobił”.

Lily przyjęła z ulgą śmierć ojca.

Potem przyszła długa zima. Zostało trochę pieniędzy po nieboszczyku, lecz dla pani Bart były to kpiny z tego, do czego czuła się uprawniona. Co warte życie, kiedy człowiek jest zmuszony żyć „jak hołota”? Ogarnęła ją apatia pełna wściekłości - bezsilny gniew na los. Opuścił talent „dawania sobie rady”, przestała się nim szczyścić. Mogła zadawać sobie wiele trudu, gdy chodziło o utrzymanie włas-

nego powozu, ale jeśli najsprytniejsze wybiegi nie ukryją faktu, że ile chodzi na piechotę, to trudzić się nie warto.

Obydwie kobiety przenosiły się z miejsca na miejsce. To bawiły u krewnych, których prowadzenie domu pani Bart tak kiedyś krytykowała, a którzy biadali nad tym, że pozwalała Lily jadać śniadanie w łóżku, gdy dziewczyna nie miała przecież żadnych widoków na przyszłość, to znów wegetowały w tanich miejscowościach w głębi kontynentu, gdzie pani Bart gardziła zaproszeniami towarzyszek niedoli na pożywne herbatki. Unikała zwłaszcza dawnych przyjaciół i widowni swoich sukcesów. Ubóstwo uważała za hańbę i nawet w dowodach najszczerzej życzliwości doszukiwała się tonu wzgardy.

Pocieszało ją tylko jedno - myśl o urodzie Lily. Przyglądała się tej urodzie zachłannie, widząc w niej narzędzie zemsty nad niegodziwym losem - ostatni atut, podstawę do odbudowania życia. Wskazywała córce, co można osiągnąć posiadając taki dar. Gwałtownie przy tym występowała przeciw małżeństwu z miłości, tak gwałtownie, że Lily mogłaby przypuszczać, iż takim właśnie był związek jej rodziców, gdyby pani Bart nie zapewniała jej raz po raz, że do małżeństwa została „namówiona”, nigdy nie wyjaśniając przez kogo.

Lily oceniała należycie swoje szanse. Lecz ambicje jej były subtelniej sze od ambicji pani Bart. Gdy ta ostatnia miała za złe mężowi, że - w dawniejszych latach - „trwonił wieczory” na czytanie poezji, Lily - przeciwnie - bardzo lubiła poezje i dobre książki, lubiła obrazy i kwiaty i nie mogła się oprzeć przekonaniu, że takie gusty uszlachetniają jej pragnienie towarzyskich sukcesów. W głębi serca wcale nie pragnęła poślubić kogoś, kto byłby tylko bogaty - wstydziła się namiętności swojej matki do pieniędzy. Marzyła o angielskim lordzie, posiadającym ambicje polityczne i ogromne włości, albo - ewentualnie - o włoskim księciu z zamkiem w Apeninach i dziedzicznym urzędem przy Watykanie.

Kiedy to było? Jakież to dawne marzenia, równie błahe i naiwne jak dziecięce marzenia o francuskiej lalce z prawdziwymi włosami. Już dziesięć lat dzieliło ją od owych snów o angielskim lordzie i włoskim księciu. Dziesięć niewesołych lat.



Po dwóch latach głodnej tułaczki pani Bart zmarła - zabiło ją uczucie obrzydzenia do życia, marnego życia wśród miernoty. A już po pierwszym roku rozwiały się jej marzenia o świetnym mariażu Lily.

- Nikt nie może się z tobą ożenić, skoro cię nie widzi... A kto może cię zobaczyć w tych strasznych dziurach, w których mieszkamy... - Była to niezmienna nuta jej lamentów. Zostawiła też córce ostatnie swoje pouczenie, by unikała ubóstwa. - Nie poddawaj się biedzie, nie daj się przygnieść. Idź przebojem... Jesteś młoda i potrafisz to zrobić.

Umarła podczas jednego z krótkich pobytów w Nowym Jorku, gdzie natychmiast zebrała się rada rodzinna, złożona z bogatych krewnych, którymi Lily nauczyła się pogardzać za to, że żyją „jak hołota”. Mieli rozstrzygnąć o jej losie i być może domyślali się, jakie dla nich żywi uczucia, bo jakoś nikt nie kwapił się do opieki nad tą panną. Zdawało się już, że sprawa pozostanie nie rozstrzygnięta, gdy pani Peniston oznajmiła z westchnieniem: - Spróbuję wziąć ją na rok.

Pani Peniston, wdowa, była siostrą pani Bart; bynajmniej nie najbogatsza z rodziny, dawała jednak wiele powodów do przekonania, że sama Opatrzność powierzyła jej opiekę nad Lily Bart. Po pierwsze - żyła samotnie i będzie zachwycona posiadaniem młodej towarzyski. Po drugie - odbywała niekiedy wojaże i Lily, obyta z cudzoziemskimi zwyczajami, może świadczyć ciotce wiele usług w podróży. W istocie jednak nie te względy wpłynęły na panią Peniston. Wzięła do siebie dziewczynę po prostu dlatego, że nikt inny nie chciał tego zrobić. Panią Peniston cechował szczególny rodzaj wstydu, który nie pozwalała na publiczne ujawnienie samolubstwa, choć nigdy nie przeszkadza w jego ukrywaniu. Na bezludnej wyspie podobnie heroiczny czyn byłby dla niej niepodobieństwem, lecz w tym małym światku, gdzie wszystkie oczy były na nią zwrócone, wyświadczenie dobrodziejstwa sprawiało jej przyjemność.

Spotkała ją nagroda należna bezinteresowności - siostrzenica okazała się miłą towarzyską. Była przygotowana na to, że Lily będzie uparta, zarozumiała i „obca” - bo nawet pani Peniston, jeżdżąca niekiedy za granicę, bała się, jak cała jej rodzina, wszystkiego, co

cudzoziemskie; dziewczyna jednak okazywała uległość, która dla umysłu przenikliwszego niż umysł pani Peniston mniej byłaby uspokajająca od jawnego egoizmu młodości. Nieszczęście, zamiast zahartować Lily, uczyniło ją bardziej giętką, a wszystko, co giętkie, trudniejsze jest do złamania.

Uległość siostrzenicy w żadnej mierze nie dała się we znaki pani Peniston... Lily nie miała zamiaru wyzyskiwać dobroci ciotki. Była jej prawdziwie wdzięczna za ofiarowane schronienie - zamożne mieszkanie ciotki, przynajmniej dla oka, nie nosiło cech miernoty. Lecz różne są postacie miernoty i Lily wkrótce przekonała się, że zupełnie tak samo nie brak jej w kosztownym trybie życia ciotki, jak w fałszywym blichtrze prowincjonalnych pensjonatów.

Pani Peniston należała do owych epizodycznych postaci, które tłumnie przewijają się przez nasze życie i których niepodobna wyobrazić sobie jako ośrodka jakiejkolwiek działalności. Wyróżniała ją z tłumu jedynie fakt, iż miała babkę z van Alstynów, starej, zamożnej i pracowitej rodziny nowojorskiej, a pokrewieństwo to objawiało się w czystej jak lodowiec bawialni i doskonałej kuchni. Będąc częścią starego Nowego Jorku, który zawsze dobrze żył, kosztownie się ubierał i niewiele ponadto robił, wiernie przestrzegając odziedziczonych tradycji. Wobec życia była tylko widzem i umysł miała podobny do owych małych lusterek, które jej holenderscy przodkowie przytwierdzali nad oknem, aby z nieprzeniknionej głębi swoich domostw mogli widzieć, co się dzieje na ulicy.

Pani Peniston posiadała willę w New Jersey, ale nie mieszkała tam od śmierci męża - zdarzenia już bardzo odległego w czasie. Wieś uważała za odludzie, drzewa za siedlisko wilgoci, ponadto dręczyła ją zawsze obawa przed spotkaniem byka. Chcąc się od tego wszystkiego uchronić, odwiedzała bardziej ludne uzdrowiska, gdzie wynajmowała dom i przyglądała się życiu z werandy.

Lily szybko pojęła, że pod skrzydłami takiej opiekunki może zaznać jedynie materialnych korzyści - dobrego jedzenia i kosztownych strojów; nie zamierzała tego lekceważyć, ale chętnie wymieniłaby na coś, co jej matka nazywała „szansą”. Wzdychała na

myśl, czego by to ona ze swoją niespożytą energią dokonała, mając środki pani Peniston. Lily nie brakowało własnej energii, lecz krępowała ją konieczność stosowania się do przyzwyczajień ciotki. Za wszelką cenę musiała zachować jej względy, zanim, jak mawiała mama, nie stanie na własnych nogach.

Nie nęcił jej tułaczy żywot ubogiej krewnej, więc stosując się do pani Peniston musiała poniekąd przybrać również jej bierną postawę. Z początku wyobrażała sobie, że uda jej się wciągnąć ciotkę w wir życia towarzyskiego, lecz siła bezwładu była w pani Peniston tak wielka, że wszystkie próby spęły na niczym. Ruszyć ciotkę z miejsca było wysiłkiem tak samo daremnym, jak przesunąć mebel przymocowany do podłogi stalowymi śrubami. Natomiast była ona prawdziwie po amerykańsku pobłażliwa dla płóchej młodości swej siostrzenicy. Pobłażała również niektórym jej przyzwyczajeniom. Uważała za rzecz naturalną, że Lily wydaje wszystkie swoje pieniądze na stroje, i od czasu do czasu powiększała jej skromne dochody „hojnym darem” przeznaczonym na ten sam cel. Lily - niebywale praktyczna - wolałaby stałą pensję, lecz pani Peniston lubiła jej dorywcze odruchy wdzięczności wywołane niespodziewanym czekiem i być może miała dość przebiegłości, by zauważyć, że podobna metoda podtrzymywała w jej siostrzenicy zdrowe poczucie zależności. Nie czuła się w obowiązku robienia dla Lily czegoś więcej. Trzymając się na boku, pozostawiała jej swobodę działania, z której Lily początkowo korzystała z wielką pewnością siebie. Stopniowo jednak zaczęła wątpić we własne siły, by w końcu kurczowym wysiłkiem walczyć o grunt pod nogami na szerokiej arenie, która niegdyś zdawała się cała należeć do niej.

Jak do tego doszło? Nie wiedziała. Nieraz winiła nadmierną bierność ciotki, kiedy indziej wyrzucała sobie brak dostatecznej bierności. Może zbyt gorliwie dążyła do zwycięstwa? Może brakowało jej cierpliwości, uległości obłudy? Lecz ani oskarżając się o popełnione błędy, ani się rozgrzeszając, nie mogła zmienić ogólnej sumy porażki. Młodsze i brzydsze od niej dziewczęta tuzinami wychodziły za mąż, a ona miała dwadzieścia dziewięć lat i wciąż była panną Lily Bart.

Zaczynała odczuwać napady gniewnego buntu przeciw losowi, pragnęła porzucić ten wyścig do szczęścia i stworzyć sobie życie niezależne. Lecz jakiego rodzaju? Pieniądzy jej starczało za ledwie na krawcową i długi karciane, a jej kapryśne zainteresowania, którym dawała zaszczytne miano „gustów”, nie zapewniłyby zadowolenia z życia w skromnym zaciszu. O, nie - była zbyt inteligentna, by nie być uczciwa wobec siebie, by nie przyznać, że nienawidzi mieroty tak samo jak jej matka. Postanowiła walczyć do ostatniego tchnienia, nie dać się pognać, dźwigać się ku górze, aż osiągnie lśniące wyżyny powodzenia, które - niczym śliska skała - tak łatwo umykały spod jej stóp.

RS

Następnego ranka panna Bart znalazła na tacy ze śniadaniem bilecik od pani domu:

*Najmilsza Lily, czy mogłabyś zajrzeć do mego buduaru około dziesiątej - jeśli cię ta pora nie brzydzi - i pomóc mi w moich kłopotach?*

Lily odrzuciła bilecik i z westchnieniem oparła się o poduszki. Zejść na dół o dziesiątej rano to naprawdę coś obrzydliwego! W Bellomont równało się to wstaniu o wschodzie słońca. W dodatku Lily wiedziała, o co chodzi. Sekretarka pani Trenor, panna Pragg, wyjechała nagle - trzeba będzie pisać listy i zaproszenia na obiad, odszukać zagubione adresy i wypełnić podobnie nudne obowiązki towarzyskie. W takich wypadkach panna Bart zwykle ratowała sytuację i czyniła to bez szemrania.

Dziś jednakże bilecik pani Trenor pogłębił w niej uczucie zależności, którego doznała poprzedniego wieczora przejrzawszy swoją książeczkę czekową. A nie dopuszczający odmowy ton tego liściku powiększył jeszcze rozdrażnienie Lily. Jeśli już ktoś zrywa się z łóżka o dziesiątej rano, i to do nudnego pisania listów, to niechże w zamian za to spotka się z jakimś uznaniem. Tymczasem głos pani Trenor nic takiego nie zapowiadał.

- To ładnie, żeś przysłała, Lily - powiedziała wzdychając nad stosem listów, rachunków i domowych rozliczeń, który nadawał absurdalnie praktyczny charakter smukłej sylwetce biureczka. - To

straszne, ile się tego dziś zebrało - dodała i odsunawszy na bok papiery, ustąpiła swego miejsca pannie Bart.

Pani Trenor była postawną jasnowłosą kobietą o obfitych kształtach, które dość skutecznie ratował wysoki wzrost. Różowa karnacja blondynki przetrwała z powodzeniem czterdzieści lat spędzonych na błahej krzątaniu i tylko rysy twarzy jakby straciły na wyrazie. Prowadziła życie pani domu, która dużo przyjmuje, lecz nie z nadmiernej gościnności ale po prostu dlatego, że może żyć tylko w tłumie. Ten typ zainteresowań chronił ją od zwykłej kobiecej zazdrości - tak osobiste uczucie mogła w niej obudzić jedynie osoba, która odważyłaby się wydawać wspanialsze obiady i bardziej udane przyjęcia niż ona. Jej towarzyskie talenty, wsparte rachunkiem bankowym małżonka, zawsze zapewniały jej ostateczne zwycięstwo w podobnej konkurencji, zaś powodzenie wyrobiło w niej ogromną wyrozumiałość dla kobiet. Panna Bart, w swej utylitarnej klasyfikacji przyjaciółek, zaliczała ją do tych, które prawdopodobnie nigdy jej nie zawiodą.

- To doprawdy nieludzkie ze strony tej Pragg wyjechać właśnie teraz! - oświadczyła pani Trenor, gdy Lily usiadła przy biurku. - Kiedyś zaprosiłam mnóstwo ludzi na tydzień, zawieruszyłam gdzieś listę gości i nie mogłam sobie przypomnieć, kto przyjedzie. A tym razem też będzie skandal. Nie miałam zamiaru zapraszać Wetherallów - to wina Gusa. Oni nie uznają Carry Fisher, wiesz? Jak gdyby można się było bez niej obejść! Oczywiście, to bez sensu, że drugi raz się rozwiodła - ona zawsze przesadza - ale powiedziała, że jedyne pieniądze, jakie można wyciągnąć z Fishera, to alimenty. A biedaczka musi się liczyć z każdym groszem. Alicja Wetherall naprawdę dziwaczy! Zupełnie nie zdaje sobie sprawy, co się dzieje na świecie. Słusznie powiedział ktoś niedawno, że dziś prawie w każdej rodzinie trafia się rozwód albo zapalenie ślepej kiszki. Poza tym Carry to jedyna osoba, która potrafi rozerwać Gusa, kiedy dom jest pełen nudziarzy. Czy zauważyłaś, że lubią ją wszyscy mężowie? Wszyscy z wyjątkiem jej własnego.

Pani Trenor zamilkła - cieszył ją widok panny Bart zmagającej się z chaosem korespondencji na jej biurku. - Wiesz - podjęła po

chwili - raz do roku podejmujemy biskupa. Tak nie mam szczęścia do tych biskupich wizyt - dodała pani Trenor, w której obecne kłopoty obudziły falę wspomnień. - Zeszłego roku Gus zupełnie zapomniał, że przyjedzie biskup, i zaprosił Wintonów i Farleyów, a to ni mniej, ni więcej tylko w sumie pięć rozwodów i sześcioro dzieci do spółki! W tym tygodniu też nic mi się nie udało i Berta Dorset jest najwyraźniej zła na mnie.

- Na ciebie? Dlaczego?

- Bo zapewniłam ją, że Lawrence Selden przyjedzie, a on mi odmówił, i Berta nie wiadomo dlaczego uważa, że to moja wina.

Lily odłożyła pióro i patrząc z roztargnieniem na rozpoczęty list powiedziała: - Sądziałam, że między nimi wszystko już skończone.

- Z jego strony tak. I oczywiście Berta od tego czasu też nie próżnowała. Ale zdaje mi się, że w tej chwili nie jest nikim zajęta i dano mi do zrozumienia, żebym zaprosiła Seldena. Zaprosiłam, ale przecież nie mogę go zmusić do przyjazdu, a teraz Berta, żeby się na mnie zemścić, będzie dla wszystkich nieznośna.

- Przecież może zemścić się na nim i być bardzo miła dla kogoś innego.

Pani Trenor potrząsnęła głową.

- Wcale by się tym nie przejął i ona o tym wie. Zresztą kogo tu mamy? Alice Wetherall nie spuszcza oka z Lucjana. Ned Silverton nie może oczu oderwać od Carry Fisher - biedny chłopiec! Gus jest Bertą znudzony, Jack Stepney za dobrze ją zna... Owszem, jest jeszcze Percy Gryce - dodała z uśmiechem prostując się w krześle.

Twarz Lily Bart pozostała nieruchoma.

- Och, Berta i pan Gryce to nie jest dobrana para.

- Sądzisz, że ona drażniłaby go, a on ją nudził? To wcale nie najgorszy początek. Ale mam nadzieję, że nie przyjdzie jej do głowy uwodzić go, ponieważ zaprosiłam go tutaj dla ciebie.

Lily roześmiała się.

- *Merci du compliment!* Trudno mi będzie rywalizować z Bertą.

- Myślisz, że chcę ci tylko pochlebić? Nic podobnego. Wszyscy wiedzą, że jesteś od niej tysiąc razy ładniejsza i mądrzejsza, tylko

nie jesteś niezdolna. A właśnie niezdolna i zła kobieta ma zawsze w życiu to, czego chce.

Panna Bart otworzyła szeroko oczy.

- Myślałam, że tak lubisz Bertę.

- Oczywiście, że lubię... bezpieczniej jest lubić ludzi niebezpiecznych. A ona naprawdę jest niebezpieczna i w tej chwili gotowa jak nigdy do jakiejś niegodziwości. Wnoszę to z zachowania jej męża. Ten człowiek - jak barometr - zawsze wie, kiedy Berta...

- Co? Zbłądzi?

- Fe! Nie bądź bezwstydna! Wiesz, że on wciąż w nią wierzy. Zresztą wcale nie twierdzę, że jest naprawdę złą kobietą. Po prostu lubi dokuczać ludziom, szczególnie własnemu mężowi.

- Który jest stworzony do tego i wcale się nie dziwię, że Berta woli weselsze towarzystwo.

- O, George wcale nie jest taki nudny, jak ci się wydaje. Gdyby go Berta nie dręczyła, byłby zupełnie inny. Albo przynajmniej zostawiła w spokoju i pozwoliła mu żyć po swojemu. Ale ona boi się wypuścić go z rąk ze względu na pieniądze i dlatego, kiedy George nie jest o nią zazdrosny, ona udaje, że jest zazdrosna o niego.

Lily, zajęta pisaniem, milczała, a jej przyjaciółka - pani domu pograżyła się w myślach coraz bardziej zasepiona.

- Wiesz co! - wykrzyknęła po dłuższej pauzie. - Myślę, że zadzwonię do Seldena i powiem, że po prostu musi przyjechać.

- Och, proszę cię, nie rób tego - odparła Lily i nagle zarumieniła się. Rumieniec ten zaskoczył ją nie mniej niż jej towarzyszkę, która nie będąc z natury bystrą obserwatorką patrzyła na Lily ze zdziwieniem.

- Mój Boże! Jakaś ty ładna, Lily!... Dlaczego? Czy tak nie lubisz Seldena?

- Przeciwnie, lubię go. Ale jeśli kieruje tobą szlachetny zamiar obrony mnie przed Bertą, to myślę... że... że nie potrzebuję obrony.

Pani Trenor zeszywniała w krześle. - Lily!... Percy?... Chcesz powiedzieć, że sprawa jest załatwiona? - wykrzyknęła.

Lily odparła z uśmiechem: - Chcę tylko powiedzieć, że pan Gryce i ja zamierzamy zostać bardzo dobrymi przyjaciółmi.



- Rozumiem... - Pani Trenor utkwiała w niej spojrzenie pełne zachwytu. - Wiesz, że on podobno ma osiemset tysięcy rocznie, a wydaje parę groszy, na jakieś stare książki, nic poza tym. Matka jest chora na serce i zostawi mu w spadku jeszcze więcej. O, Lily... tylko bądź ostrożna - dodała błagalnie.

- Na przykład nie tłumacz mu, że jego książki to stare szpargały?  
- odparła panna Bart wciąż pogodnie uśmiechnięta.

- Broń Boże! Zresztą ty cudownie umiesz mówić z ludźmi o tym, co im odpowiada. Ale on jest okropnie nieśmiały i byle czym się gorszy... i...

- Czemu nie powiesz otwarcie, Judy? Mam opinię panny polującej na bogatego męża, prawda?

- Ach nie, nie to miałam na myśli. Zresztą on by w to nie uwierzył. .. na początku - odparła pani Trenor z naiwną przebiegłością. - Tylko wiesz, jak tu czasem bywa wesoło... zwrócę uwagę Gusowi i Jackowi... bo jeśli Gryce pomyśli, że jesteś tym, co jego matka nazywa „postępową panną” ... och, wiesz zresztą, o co chodzi... nie wkładaj dziś wieczorem tej krepdeszynowej pąsowej sukni i nie pal papierosów, jeśli możesz, moja droga, ja cię proszę!

Lily z uśmiechem odsunęła napisany list.

- Jesteś bardzo dobra, Judy. Schowam papierosy i włożę tę suknię, którą nosiłaś w zeszłym roku i dziś mi podarowałaś. A jeśli ci naprawdę zależy na moim powodzeniu, to wieczorem nie zapraszaj mnie do kart, dobrze?

- Chodzi ci o brydża? To on i brydża nie lubi? Ach, Lily, będziesz miała z nim okropne życie! Ale oczywiście nie poproszę cię... czemu nie uprzedziłaś mnie wczoraj wieczorem. Zrobię wszystko, moje kaczętko, żebyś była szczęśliwa. -1 pani Trenor objęła Lily długim uściskiem, gotowa z kobiecym entuzjazmem pomóc wielkiej miłości.

- Czy jesteś pewna, że nie chcesz, żebym telefonowała do Selde-na? - spytała troskliwie.

- Jestem pewna - odpowiedziała Lily.

Następne trzy dni dowiodły - ku wielkiemu zadowoleniu pani Trenor - że Lily potrafi świetnie dawać sobie radę bez niczyjej pomocy.

W sobotnie popołudnie siedząc na tarasie Lily uśmiechała się do siebie na myśl o obawach pani Trenor. Jeśli kiedykolwiek potrzebne jej były jakieś przestrogi, to czas nauczył ją niejednego i mogła sobie pochlebiać, że już wie, jak dostosować szybkość działania do obiektu swoich zabiegów'. Jeśli chodzi o pana Gryce'a, to uważała za najlepsze schlebiać mu, udawać zaangażowanie i zręcznie wyrobić w nim podświadome poczucie coraz większej zażyłości. Otoczenie bardzo temu sprzyjało. Wierna swojej obietnicy, pani Trenor nie zapraszała jej do brydża i nawet dała innym do zrozumienia, że nie powinni się dziwić, iż Lily stroni od kart. Dzięki temu została otoczona kobiecą troskliwością towarzyszącą wszystkim pannom,

o które się ktoś stara. Wśród towarzyskiego ożywienia panującego w Bellomont umożliwiono jej pewnego rodzaju samotność - trudno było o większe względy dla konkurów, nawet gdyby je ozdabiały atrybuty prawdziwej miłości. Grono znajomych Lily dawało tym dowód, że pochwała i sprzyja jej zamiarom, a pan Gryce ogromnie zyskał w jej oczach, gdyż spostrzegła, że wzbudza szacunek.

W pogodne wrześniowe popołudnie taras w Bellomont sprzyjał sentymentalnym rozmyśleniom i oparta o jego balustradę Lily, mając przed sobą widok na ogród, a za plecami ożywione towarzystwo przy stoliku z herbatą, mogłaby się oddać uczuciu bliżej nieokreślonego szczęścia. Jednakże myśli jej krążyły dokoła zupełnie konkretnych przyjemności, czekających ją dzięki osobie pana Gryce'a,

który siedział niespokojnie na brzegu krzesła i słuchał perory Carry Fisher. Ta z wrodzoną energią i doskonale opanowaną sztuką gestu

i spojrzenia wmawiała mu, iż bezwzględnie powinien przyłączyć się do grona ludzi walczących o reformy w mieście.

Reformy były najnowszym hobby pani Fisher po okresie równie gorącego zapału dla socjalizmu i - jeszcze wcześniej - dla Christian Science. Carry Fisher była kobietą niewielkiego wzrostu, obdarzoną ognistym temperamentem i wybitnym nerwem dramatycznym. Pełniała jednak błąd typowy dla wszystkich zapaleńców - nie dostrzegała chłodu swoich słuchaczy, i Lily szczerze bawiła się widokiem jej nieświadomości, iż mówi do człowieka, który całą swą

postawą wyrażał stanowczy opór. Lily wiedziała dobrze, że w panu Grysie walczą dwa uczucia: obawa przeziębienia, jeżeli pozostanie dłużej na dworze o tej porze dnia, i strach, że jeśli ruszy z miejsca, pani Fisher pójdzie za nim i każe mu podpisać jakąś deklarację, a do tego rodzaju zobowiązań czuł wrodzony wstręt. Słał więc tęskne i udęczone spojrzenia w stronę panny Bart, lecz napotykał w odpowiedzi tylko jej coraz głębsze, łagodne i pełne wdzięku zamyślenie. Panna Bart umiała uwydatniać swoje zalety, doceniając wartość kontrastu; zdawała sobie sprawę, ile zyskuje jej spokój na tle nie-pohamowanej gadatliwości pani Fisher.

Z zamyślenia wyrwał ją widok kuzynka, Jacka Stepneya, i panny Gwen van Osburgh wracających przez ogród z kortu tenisowego.

Para ta, otoczona podobnie romantyczną atmosferą co Lily, wzbudzała w niej niesmak; w jakiś sposób widziała w niej karykaturę własnej sytuacji...

- Jak niecierpliwi są mężczyźni - pomyślała Lily. - Mojemu kuzynkowi wystarczy spokojnie czekać, żeby zdobyć wszystko, czego pragnie - ta dziewczyna sama wyda się za niego, gdy tymczasem ja muszę kalkulować, kombinować i uważać na każdy krok, manewrować jak w tańcu, gdzie jeden fałszywy ruch niszczy całą figurę.

Usiadła na najwyższym stopniu tarasu i oparła głowę o balustradę obrośniętą gałązkami kapryfolium. Zapach późno kwitnących kwiatów zdawał się emanować z przepojonego ciszą krajobrazu, który ręka ludzka umiejętnie doprowadziła do szczytów sielskiej elegancji. Na pierwszym planie jaśniały ciepłe tony ogrodów. Za trawnikiem z piramidą bladozłotych klonów i aksamitnych świerków łagodnie opadały pastwiska upstrzone pasącym się bydłem, zaś w głębi tego pejzażu, na rozległej równinie, rozlewisko rzeki lśniło w srebrzystym świetle września niby jezioro.

Lily nie miała ochoty przyłączyć się do grona zebranego dokoła stolika z herbatą. Reprezentowało ono wybraną przez nią przyszłość, i to jej wystarczyło; nie zamierzała przyspieszać czekających ją rozkoszy. Pewność, że kiedy tylko zechce, może poślubić pana Gryce'a, zdjęła jej kamień z serca, a perspektywa przewyciężenia

dreńczęcych kłopotów pieniężnych stanowiła taką ulgę, że mniej świadoma osoba mogłaby to wziąć za uczucie szczęścia. Prozaiczne troski miały się ku końcowi. Będzie mogła urządzić sobie życie wedle własnej woli, znajdzie się na rajskich wyżynach stabilizacji, do kąd wierzyciele nie mają wstępu. Będzie miała stroje szykowniejsze niż Judy Trenor i o wiele, ale to o wiele więcej biżuterii niż Berta Dorset. Uwolni się na zawsze od nieuchronnych zabiegów i wysiłków ludzi niezamożnych, od upokorzeń. Zamiast konieczności schlebiania innym sama będzie przyjmować pochlebstwa; zamiast okazywania wdzięczności będzie jej teraz doznawać od innych. Miała z ludźmi dawne porachunki - teraz je wyrówna, za doznane dobrodziejstwa będzie mogła zapłacić. Nie wątpiła w potęgę swojej mocy. Wiedziała, że pan Gryce to człowiek niezdolny do żadnych porywów uczucia. Rozsądek był w nim wadą, a dobre rady najniebezpieczniejszym pożywieniem. Lily spotykała już takich ludzi i wiedziała, że natury nieufne i zamknięte szukają jakiegoś ujścia dla swego egoizmu. Postanowiła być dla niego tym samym, czym była dotąd jego kolekcja rzadkich druków - przedmiotem dumy, na który nie będzie żałował pieniędzy. Skoro hojność dla samego siebie to jedna z form skąpstwa, Lily postanowiła utożsamić się z próżnością męża po to, by spełnianie jej życzeń stało się dla niego najmiłą formą dogadzania sobie samemu. Wymagałoby to na początku równie sprytnych zabiegów, od których małżeństwo miało ją uwolnić, lecz była przekonana, że po krótkim czasie zdolna będzie opanować sytuację. Jakżeż mogłaby nie wierzyć we własne siły? Uroda nie była dla niej wartością efemeryczną, jaką bywa w niedoświadczonych rękach; umiała ją podwoić, dbać o nią, posługiwać się nią tak umiejętnie, że zyskała wartość czegoś trwałego. Czuła, iż starczy jej tej urody, by dotrzeć szczęśliwie do celu.

A cel ten, ogólnie biorąc, wart był trudu. Życie przestało być tak ironiczne, jak sądziła jeszcze przed trzema dniami. Znajdzie się dla niej miejsce w tym zatłoczonym, samolubnym świecie zabawy, z którego jeszcze niedawno ubóstwo zdawało się ją wykluczać. Ludzie, z których kpiła jednocześnie im zazdroszcząc, chętnie robili jej

miejsce w zaczarowanym kręgu, ku któremu zwracała wszystkie swoje pragnienia. Wcale nie byli aż tak brutalni, bezwzględni i zajęci sobą, jak przypuszczała, lub raczej - przestanie ją to razić, gdy nie trzeba będzie im schlebiać i przymilać się.

Widziane w różowych barwach towarzystwo, w którym obracała się Lily Bart, posiadało mnóstwo cech przyjemnych. Podobała jej się elegancja tych ludzi, ich lekkość i opanowanie; gładkość manier i sposób bycia pozbawiony przesady; nawet zarozumiałość, zadufanie graniczące czasem z tępotą, brała za naturalną oznakę towarzyskiej wyższości. Byli panami jedyne go świata, który ceniła, i byli gotowi przyjąć ją w szeregi, by rządziła wraz z nimi. Czująca rodzące się w niej przywiązanie do wartości, które szanowali, znajdowała wyrozumiałość dla ograniczeń, którym podlegali, przestawała wierzyć w to, w co oni nie wierzyli, i zaczynała litować się nad wszystkimi, którzy nie mogli żyć w podobny sposób.

Skośne promienie zachodzącego słońca prześwietlały park. Poprzez gałęzie drzew zamigotały na drodze koła pojazdu - nadjeżdżali nowi goście. Za plecami Lily wszczął się ruch - towarzystwo zebrane przy stole rozchodziło się. Potem usłyszała za sobą kroki na tarasie. Przypuszczała, że to pan Gryce znalazł wreszcie sposób wyjścia z opresji i uśmiechnęła się doceniając wagę jego postanowienia, by pospieszyć do niej zamiast do ognia na kominku.

Odwróciła się, aby przywitać go tak, jak na to zasługiwała podobna galanteria, lecz uśmiech zamienił się w rumieniec zaskoczenia, ponieważ zbliżającym się mężczyzną był Lawrence Selden.

- Więc jednak przyjechałem, jak pani widzi - rzekł. Nie zdążyła mu odpowiedzieć, gdyż, przerywając nudną pogawędkę z panem domu nieuchwytnie zaborczym ruchem stanęła pomiędzy nimi pani Dorset.

Punktualne zjawienie się eleganckiego breku świadczyło, że święci się każdą niedzielę w Bellomont; brek miał zawieźć domowników do kościoła tuż za bramą parku. Było rzeczą drugorzędną, czy kto wsiadł do breku, czy nie, gdyż samo jego pojawienie się świadczyło o pobożnych zamiarach rodziny, a pani Trenor, słysząc jego odjazd sprzed bramy, miała nawet uczucie, jakby z tego pojazdu naprawdę skorzystała. Sądziła, że jej córki bywają w kościele każdej niedzieli, lecz któż miał to sprawdzić? Francuska guwernantka chodziła do kościoła katolickiego, matka zmęczona po całym tygodniu opuszczała swój pokój dopiero w porze lunchu i tylko pan August Trenor od czasu do czasu, po nocy spędzonej zbyt wesoło, wtlaczał na swoje potężne ciało przyciasny tużurek i wyrywał córki z przyjemnej drzemki. Najczęściej jednak - tłumaczyła Lily panu Gryce'owi - ojciec zapominał o swoim obowiązku i gdy dzwony kościelne rozlegały się po całym parku, brek odjeżdżał pusty. Ogromnie ją raziło takie zaniedbywanie obowiązków religijnych - mówiła dalej - gdyż wychowano ją w innych tradycjach i będąc w Bellomont zawsze towarzyszyła Muriel i Hildzie do kościoła. Przy sposobności zwierzyła się, iż pierwszego wieczoru została gwałtem wciągnięta do brydża, ale nie znając zasad gry straciła ogromną sumę pieniędzy. Pan Gryce niewątpliwie dobrze bawił się w Bellomont, lecz bywały chwile, gdy przerażały go rozmowy męczyzn i wyraz twarzy kobiet. Cieszyła wtedy myśl, że i panna Bart,

przy całej swojej pewności siebie i opanowaniu, nie czuła się dobrze w tej dwuznacznej atmosferze.

Przez długi czas pan Gryce i brek czekali na pustym podejździe - dama nie nadchodziła. Nagle dały się słyszeć głosy i szelest sukien w drzwiach. Pan Gryce chowając zegarek do kieszonki drgnął i odwrócił się, lecz tylko po to, by pomóc pani Wetherall wsiąść do pojazdu.

Byłby się może trochę pocieszył, gdyby wiedział, że panna Bart naprawdę zamierzała pójść do kościoła. W tym celu wstała nawet wcześniej niż zwykle. Nie wątpiła ani przez chwilę, że widok jej osoby w popielatej, skromniej sukni i słynnych jej rzęs spuszczo-nych nad książką do nabożeństwa uczynią pewne wydarzenie, które zaplanowała na przechadzkę po drugim śniadaniu - wydarzeniem nieuniknionym! Krótko mówiąc - nigdy nie była bardziej zdecydowana; lecz biedna Lily, mimo pozorów chłodu i wyrachowania, była w istocie miękka jak wosk, jak wodna roślina unoszona prądem fali, który tego właśnie dnia kierował wszystkie jej myśli ku Seldenowi. Dlaczego przyjechał? Żeby zobaczyć się z nią czy z Bertą Dorset? Była to ostatnia rzecz, którą powinna się obecnie interesować. Lecz Lily nie spoczęła, póki nie dowiedziała się od pani Trenor, że Selden przyjechał z własnej woli.

- Nawet nie zatelefonował, przypadkiem znalazł bryczkę na stacji. Może jednak nie wszystko skończone pomiędzy nim i Bertą? - zastanawiała się odchodząc, by przygotować do obiadu bileciki z nazwiskami gości.

Może - pomyślała Lily - lecz skończy się wkrótce, chyba że jej, Lily, zabraknie sprytu. Jeśli nawet Selden przyjechał dla pani Dorset, to pozostanie dla niej.

Pani Trenor, wierna zasadzie sprawiania przyjemności zameżnym przyjaciółkom, posadziła przy obiedzie Seldena przy pani Dorset, i - szanując prastare tradycje swatki - rozdzieliła młodą parę: pan Gryce miał za towarzyszkę pannę Gwen van Osburgh, a Lily Bart - George'a Dorseta. Lily nie była niepokojona przez tego dżentelmena konwersacją i mogła oddać się całkowicie własnym myślom. Dorset miał ponure usposobienie i trudności z trawieniem i całą swoją uwa-

gę koncentrował na wyszukiwaniu w każdej potrawie szkodliwych dla zdrowia przypraw, od czego mógł go oderwać jedynie głos żony. Lecz jego żona nie brała udziału w ogólnej rozmowie przy stole. Przyciszonym głosem rozmawiała z Seldenem, odwróciwszy się wydekoltowanymi plecami w stronę gospodarza; ten jednak wcale nie czuł się tym dotknięty i z wesołą niefrasobliwością człowieka wolnego konsumował smakołyki przebogatego menu.

Lily mogła ze swego miejsca przyglądać się pani Dorset, a przenosząc wzrok nieco dalej, porównywać Lawrence'a Seldena z panem Gryce'em. I to porównanie stało się przyczyną jej zguby. Dlaczego tak nagle zainteresowała się Seldenem? Znała go co najmniej od ośmiu lat: lubiła jego towarzystwo przy stole, wydawał się sympatyczniejszy od większości mężczyzn, a nawet czasem niejasno żałowała, że nie posiada tych niezbędnych zalet, które przykułyby jej uwagę, lecz zbyt zajęta dotąd własnymi sprawami, uważała jego osobę jedynie za część przyjemnego otoczenia. I nagle Lily, zawsze świadoma swoich uczuć i poglądów, zrozumiała, że obecność Seldena rzuciła nowe światło na to otoczenie i że właśnie dlatego tak się zainteresowała tym człowiekiem. Nie był umysłem wybitnym czy w ogóle kimś wyjątkowym, nie, lecz zachowywał pewien dystans do wszystkiego, miał zadowoloną minę obojętnego widza, żyjącego poza prętami owej złoczonej klatki, w której oni wszyscy tkwili, budząc nieustanną ciekawość spolsztwa. Jakżeż ponętny wydał się Lily świat poza klatką, teraz, gdy jej drzwi się za nią zatrzasnęły! Zdawała sobie sprawę, że w rzeczywistości drzwi tej klatki nigdy nie są zatrzaśnięte - stoją zawsze otworem; lecz większość więźniów przypominała muchy w butelce, z której wydostać się nie sposób. Selden tym się różnił od innych, że zawsze pamiętał, jak wydostać się na wolność.

I dlatego to on zdjął Lily bielmo z oczu. Oderwała od Seldena wzrok i rozglądając się dokoła stwierdziła, że patrzy na swój mały światek jego spojrzeniem. Wydało jej się, że różowe lampy przygasły i nadeszła szarość świtu. Pobiegnęła oczami wzdłuż długiego stołu przyglądając się gościom - każdemu po kolei - począwszy od Gusa



Trenora z jego ciężkim, wtulonym w ramiona łbem żarłoka, schylnym nad siewką w auszpiku, aż po panią Trenor, która siedząc przy drugim końcu stołu, tam gdzie kończyła się girlanda ze storczyków, swoją krzykliwą elegancją przypominała wystawę jubilera rozjarzoną elektrycznym światłem. A między tym dwojgiem same miernoty! Najpospolitsi i jakże nudni ludzie! Ta Carry Fisher, notoryczna rozwódka, z wydekoltowanym biustem, przewracająca oczami, pozująca na wcielenie pikanterii; młody Silverton, który zamierzał żyć z pracy krytyka i pisać epepeję, a żył z łaski przyjaciół i krytykował trufle na grzankach; Alice Wetherall - chodząca lista gości, której największą troską był zawsze tekst zaproszeń i ozdobny druk karty dań; kuzynek Stepney z tym zarozumiałym uśmiechem i niepokojem w oczach, w pół drogi między panną z posagiem i komornikiem; Gwen van Osburgh z naiwną pewnością siebie dziewczyny, której zawsze kładziono do głowy, że nie ma na świecie człowieka bogatszego od jej ojca.

Lily uśmiechnęła się. Jakże oni wszyscy wydawali się inni jeszcze parę godzin temu! Byli symbolem tego, co zyskiwała. Teraz przypominali o tym, co traci. Jeszcze tego popołudnia wydawali się pełni wspaniałych wartości, teraz widziała w nich tylko gromadę hałaśliwych nudziarzy. Blask ich możliwości pokrywał ubóstwo dokonania. Darowała im samolubstwo, ale niechby przynajmniej mieli więcej wdzięku! Ze wstydem przypominała sobie, jak jeszcze przed paru godzinami ulegała przyciągającej sile ich kryteriów. Przymknęła oczy na chwilę i ujrzała pod powiekami wizję pustego, monotonnego życia niby długą białą drogę bez cienia, bez jednego zakrętu; przebędzie ją w wygodnym powozie, to fakt, zamiast wlec się pieczo, lecz piechur może czasem urozmaicić sobie wędrówkę jakimś przyjemnym skrótem, niedostępnym dla tych w karecie.

Podawano już słodycze, gdy do uszu jej dobiegło jedno zdanie z rozmowy sąsiadów. Panna Corby, zawodowa dowcipnisia, żartowała z Jacka Stepneya w związku z jego bliskimi zaręczynami. Żarty uważała za swój obowiązek i każdą rozmowę rozpoczynała - rzecz by można - od wywinięcia błazeńskiego koziołka.

- Naturalnie Sim Rosedale będzie pańskim pierwszym drużbą.

- Pyszna myśl! Jakiż wspaniały prezent dostałbym za to od niego! Sim Rosedale! Dźwięk tego nazwiska, jeszcze wstrętniejszego przez zdrobnienie imienia, odczuła jak obleśne, pożądlive spojrzenie. Oznaczało ono jedną z nienawistnych możliwości, czających się na horyzoncie. Jeśli nie poślubi Gryce'a, to może przyjść dzień, gdy będzie zmuszona do uprzejmości wobec takich ludzi jak Rosedale. Jeśli nie wyjdzie za Gryce'a? Ależ wyjdzie za niego! Była pewna siebie i pewna jego. Otrząsnęła się z myśli błędzących przyjemnie po bocznych ścieżkach i mocną stopą stanęła na środku długiej białej drogi... Wróciwszy do siebie tego wieczoru, znalazła wraz z ostatnią pocztą plik świeżych rachunków. Pani Peniston, jako osoba sumienna, odesłała je wszystkie do Bellomont.

Nazajutrz zatem panna Bart wstała najgłębiej przekonana, że pójście do kościoła jest jej obowiązkiem. Mężnie oderwała się od przy smaków śniadania, nie tracąc czasu zadzwoniła na pokojówkę, kazała przygotować popielatą suknię i pójść do pani Trenor z prośbą o pożyczenie książeczki do nabożeństwa.

Postępowała zbyt rozsądnie, by nie doznać ukłucia buntowniczych myśli. Mała iskierka wystarczała do rozpalenia wyobraźni, a widok popielatej sukni i pożyczonej książeczki do nabożeństwa rzucił światło na czekającą ją przyszłość. Każdej niedzieli z Percym w kościele! We własnej, pierwszej ławce najdroższej świątymi Nowego Jorku. Nazwisko ich będzie figurowało na liście wszystkich instytucji dobroczynnych, a za parę lat Percy, kiedy postarzeje się i utyje, wejdzie do zarządu rady nadzorczej parafii.

Raz do roku zaproszą na obiad księdza rektora i mąż poprosi ją, by dokładnie przejrzała listę gości, czy nie ma wśród nich rozwódek, prócz tych, które dały dowód skrucy przez powtórne małżeństwo, i to z jakimś milionerem. Była to za ledwie cząstka tej strasznej nudy, jaka ją czekała. A któż by się zgodził umierać z nudów w taki śliczny poranek? Lily dobrze spała i wzięła orzeźwiająca kąpiel, która korzystnie zaróżowiła jej gładkie policzki. Ani jednej zmarszczki tego ranka! Zresztą możliwe, że lustro stało pod innym, lepszym kątem.

Poranek jej sprzyjał; zapowiadał dzień jakby stworzony na węgry. Powietrze zdawało się przesycone rozpyloną złocistością, za łąkami tonącymi w rosie i kwieciu płonęły jesienne zarumienione drzewa rozległych gajów, a wzgórza za rzeką rozpływały się w mglistym błękicie. Lily całym swoim ciałem, każdą kroplą krwi domagała się szczęścia.

Odłós kół wyrwał ją z nastroju rozmarzenia: przechyliwszy się przez balustradę dojrzała brek, odjeżdżający ze swym ładunkiem. Spóźniła się! Lecz daleka była od niepokoju. Rzut oka na przygnębioną twarz pana Gryce'a pozwalał przypuszczać, że jej poranna nieobecność tym bardziej zaostri jego apetyt na popołudnie. Tej popołudniowej przechadzki nie zamierzała przeoczyć, wystarczyło jedno spojrzenie na sekretarzyk z plikiem rachunków, by pamiętać, że umówione spotkanie z panem Gryce'em było konieczne. Tymczasem jednak miała ranek dla siebie. Nie wiadomo tylko, co robi pani Dorset, ale ta nigdy nie schodziła przed śniadaniem - podobno lekarze zabronili jej przebywania na ostrym porannym powietrzu. O pozostałych gościach nie myślała - gdziekolwiek przebywali, nie mogli pokrzyżować jej planów.

W sukni o wiele bardziej stosownej w tak piękny ranek niż popielaty strój do kościoła zeszła ze schodów z cichym szelestem jedwabiu, z parasolką w ręku i z minką osoby pragnącej zażyć ruchu na świeżym powietrzu. W wielkim pustym hallu psy drzemiące przy kominku podskoczyły radośnie na jej widok, lecz odpędziła je ruchem dłoni, obiecując wspólny spacer o innej porze. Następnie minęła również pusty salon i weszła do biblioteki, która znajdowała się na końcu domu i stanowiła niemal jedyną ocalałą część starego dworu. Obszerna biblioteka miała kształt podłużny, a klasyczne odrzwia, stare holenderskie kafle kominka i mosiężne ozdoby na kunsztownie kutej kracie świadczyły o tradycjach pozostawionych za oceanem ojczyzny; podobnie jak kilka rodzinnych portretów, wiszących między półkami; były to wizerunki panów o wydatnych szczękach i w perukach z harcapami i pań ciasno zesznurowanych w pasie i w ogromnych czepcach. Stare, poniszczone książki, zapeł-

niające półki, pochodziły z tej samej epoki co portrety - następne pokolenia Trenorów nic do nich nie dodały.

W tej bibliotece nikt nigdy nie czytał; czasem służyła za palarnię lub cichy kącik do flirtu. Tu mogę zastać jedyną w Bellomont osobę przywykłą do korzystania z biblioteki - pomyślała panna Bart, sunąc cicho po grubym starym dywanie pomiędzy rozstawionymi tu i ówdzie głębokimi fotelami. Zanim doszła do środka pokoju, przekonała się, że przecucia jej nie zawiodły.

W drugim końcu biblioteki siedział Lawrence Selden z otwartą książką na kolanach, lecz rozmawiał z damą w koronkach zajmującą sąsiedni fotel i w taki sposób opartą o poręcz, by najlepiej podkreślić przesadną smukłość swojej sylwetki, która odcinała się wyraziście od ciemniej skóry obicia.

Na widok tej pary Lily przystanęła, jednakże po chwili namysłu zaszeleściła spódnicą, by zwrócić na siebie uwagę. Pani Dorset podniosła głowę z wyraźnym niezadowoleniem, Selden ze zwykłym swoim spokojnym uśmiechem. Jego spokój wytrącił Lily z równowagi, lecz być wytrąconym z równowagi znaczyło w jej przypadku dokonać tym większego wysiłku dla odzyskania pewności siebie.

- Mój Boże, czyżbym się spóźniła? - zapytała podając rękę Seldenowi, który wstał, aby się z nią przywitać.

- Spóźniła? - spytała szorstko pani Dorset. - Chyba nie na drugie śniadanie, bo jeszcze nie pora, ale może umówiłaś się na wcześniejszą godzinę?

- Tak, niestety - odparły Lily tonem znaczącym.

- Doprawdy? To może przeszkadzam? Lecz pan Selden jest najzupełniej na twoje usługi.

Powiedziała to blada z gniewu, czując, że Lily bawi się jej zakłopotaniem.

- Ależ zostań, moja droga - powiedziała wesoło i naturalnie panna Bart. - Nie mam najmniejszego zamiaru wypędzać cię stąd.

- Jesteś bardzo miła, moja kochana Lily, ale nigdy nie przeszkadzam panu Seldenowi w jego zobowiązaniach.

Słowa te wygłoszone zostały tonem niejako właścicielki, co nie uszło uwagi Seldena, który zarumienił się z gniewu i, by to ukryć, schylił się po książkę, którą odłożył.

Lily otwarła szeroko swoje prześliczne oczy i lekko się roześmiała. - Ależ pan Selden nie ma żadnych wobec mnie zobowiązań! To ja mam obowiązek pójść do kościoła. Umówiłam się, że pójdę do kościoła, ale boję się, że nasz omnibus pojechał beze mnie. Czy już odjechali, nie wie pan?

Selden odpowiedział, że już dość dawno słyszał turkot odjeżdżającego pojazdu.

- Wobec tego muszę pójść piechotą. Obiecałam Hildzie i Muriel, że pójdę z nimi do kościoła. Sądzi pan, że już za późno? W każdym razie mam tę zasługę, że próbowałam - i ten zysk, że opuściłam nabożeństwo. Jeśli chodzi o mnie - nie żałuję!

Przyjaźnie skinąwszy głową na pożegnanie panna Bart wyszła przez oszklone drzwi i szeleszcząc spódnicami z wdziękiem popłynęła ścieżką w głąb ogrodu.

Kierowała się w stronę kościoła, lecz bez pośpiechu, co nie uszło uwagi mężczyzny, który odprowadzał ją rozbawionym spojrzeniem. W istocie Lily odczuwała bardzo przykre rozczarowanie. Wszystkie jej plany tego ranka wynikały z przypuszczenia, że Selden przyjechał do Bellomont dla niej. Wychodząc z pokoju spodziewała się, że będzie na nią czatował. Czyż to możliwe, że przyjechał dla Berty Dorset? Zapewne dlatego ukazała się o godzinie, w której żaden zwykły śmiertelnik nigdy jej nie oglądał.

Zajęta myślami Lily szła coraz wolniej, zdając sobie sprawę, że już nawet na kazanie nie zdąży, wreszcie znalazłszy się w głębi parku przestała myśleć o kościele i usiadła na ławeczce. Było tu prześlicznie i Lily wiedziała dobrze, że jej obecność podnosi urodę tego miejsca; przywykła rozkoszować się samotnością w towarzystwie i żal jej było, że tak się marnuje połączenie ślicznej dziewczyny z romantyczną scenerią. Lecz nikt nie nadchodził. Po próżnym czekaniu wstała i ruszyła dalej. Ogarnęło ją zmęczenie, jakaś iskra w niej zgasła, życie przestało nęcić. Nie wiedziała, czego oczekiwa-

ła, a jednak fakt, że do niczego nie doszło, rzucił cień na niebo; dokuczało jej niejasne uczucie porażki, rozczarowania, wewnętrznej pustki dotkliwszej niż otaczająca ją samotność.

Przystanąła i niespokojnie spojrzała przed siebie wodząc końcem parasolki po ścieżce obrośniętej paprociami. Nagle usłyszała za sobą kroki.

- Ależ pani szybko chodzi! - zauważył Selden przystając obok niej. - Myślałem, że nigdy pani nie dogonię.

- Aż się pan zadyszał! - odparła wesoło. - A ja siedziałam godzinę pod tamtym drzewem.

- Czekając na mnie, mam nadzieję.

- Czekałam, żeby się przekonać, czy też pan przyjdzie.

- Nie była pani tego pewna?

- Owszem, gdybym czekała dostatecznie długo. Ale nie mogłam sobie na to pozwolić.

- Dlaczego? Z powodu śniadania?

- Nie. Z powodu innego zobowiązania.

- Obietnicy pójścia z Muriel i Hildą do kościoła?

- Obietnicy powrotu z kościoła z kimś innym.

- Rozumiem. Mogłem być pewny, że nie brak pani towarzystwa.

Czy ten ktoś będzie tędy wracał do domu?

Lily roześmiała się. - Tego właśnie nie wiem. A żeby się dowiedzieć, muszę być w kościele przed końcem nabożeństwa.

- Jeśli pani w tym przeszkodzę, wówczas ten ktoś, rozżalony, powróci brekiem.

Spojrzeli na siebie z taką samą przyjemnością jak wówczas w czasie herbaty u Seldena, gdy nagle twarz Lily się zmieniła.

- On już tu jest - rzekła.

Selden idąc śladem jej spojrzenia ujrzał zbliżającą się ku nim gromadkę - najwidoczniej pani Wetherall domagała się pieszego powrotu do domu, a reszta towarzystwa uważała za swój obowiązek jej towarzyszyć.

- Czy nie poświęci mi pani popołudnia? - rzucił szybko. - Jutro rano muszę wyjechać, jak pani wiadomo. Pójdziemy na spacer. Dobrze?

Popołudnie było prześliczne. Głęboka cisza ogarnęła powietrze, a blask amerykańskiej jesieni tonowała lekka mgiełka, która rozpraszała światło nie pozbawiając dnia jego słonecznej urody.

W cienistej głębi parku czuło się już lekko chłód, lecz na odkrytym wzniesieniu powietrze było lżejsze i schodząc długim zboczem Lily i jej towarzysz dotarli do miejsca, w którym panowało jeszcze lato. Ścieżka wiła się po łące wśród pojedynczych drzew, potem przeszła w wąską dróżkę obrośniętą kwiatami i purpurowymi krzakami jeżyn. Dalej powiodła ich znów w górę brzegiem lasu, wśród kęp paproci i gładkich dywanów zieleni spływającej w dół, to do sadu pełnego owoców, to na pastwisko zalane słońcem.

Lily nie należała do ludzi szczególnie wrażliwych na urok natury, lecz pociągała ją zawsze harmonia; doceniała piękno przyrody, jeśli stanowiło odpowiednie tło dla jej nastrojów. W tym krajobrazie, który miała przed oczami, odnajdywała samą siebie. Widok u jej stóp tchnął spokojem, rozmachem i niczym nie skrepowaną swobodą.

- Usiądźmy tu - zaproponował Selden, gdy doszli do skalnego występu, nad którym wśród omszonych głazów stromo rosły buki.

Lily zaróżowiona długim podejściem osunęła się na skałkę. Siedziała cicho z rozchylonymi ustami, oczy jej błędziły leniwie po rozległej dolinie. Selden wyciągnął się na trawie u stóp Lily; osłonił twarz kapeluszem od ukośnych promieni słońca i założył ręce pod głowę. Nie chciał rozmawiać. Milczenie Lily jakby stanowiło część

ogólnej ciszy i harmonii, a w nim samym było jedynie jakieś leniwe uczucie przyjemności tłumiące mocniejsze doznania, jak wrześnie-wa mgiełka wisząc nad doliną tłumiła blask słońca. Lecz w Lily, na pozór równie spokojnej, pulsował natłok myśli. Były w niej dwie istoty - jedną zawładnęło uczucie swobody i radości, drugą - jak niewolnika - dławił strach i lęk. Stopniowo jednak niewolnicze odruchy ustępowały, horyzont jakby się poszerzył, powietrza przybyło i duch odzyskawszy wolność sposobił się do lotu.

Nie umiałyby wytłumaczyć uczucia, które ją rozpieło i jakby niosło ponad ziemią oblaną słońcem. Czy to była miłość? Czy tylko nastrój płynący z przyjemnych myśli i doznań? Ile w tym było czaru pięknego popołudnia, zapachu jesiennego lasu, radości, że uciekła od nudy? Brakowało jej doświadczenia, pozwalającego zmierzyć jakość tych uczuć. Kochała się parę razy w wielkich fortunach i karierach, ale tylko raz w mężczyźnie. Dawno, przed laty, tuż po wejściu w świat, zakochała się w pewnym młodzieńcu, który nazywał się Herbert Melson, miał błękitne oczy i wijące się włosy - i nic poza tym. Dzięki tym oczom i czuprynie zdobył najstarszą pannę van Osburgh. Utył od tego czasu, sapał i bez przerwy opowiadał o swoich dzieciach. Jeśli Lily przypomniała sobie ten młodzieńczy afekt, to wcale nie po to, by porównać z tym, co teraz nią owładnęło; podobne tylko było uczucie lekkości i swobody, jak w walcu albo zalotach w ustronnej oranżerii. Nigdy więcej tego nie zaznała - aż dopiero dziś, lecz dziś było to coś innego, coś więcej niż ślepy odruch zmysłów. Jej uczucia dla Seldena miały nieprzeparty czar w tym, że je rozumiała; mogła dotknąć palcem każdego ogniwa w tym łańcuchu wzajemnego przyciągania.

Lawrence Selden cieszył się wśród przyjaciół popularnością - rzecz można - dyskretną, ale jego powściągliwość w towarzystwie nie czyniły z niego osoby niepozornej. Znane było powszechnie jego wykształcenie, które uważano raczej za przeszkodę w błażej salonowej konwersacji. Lecz dla Lily właśnie to wykształcenie było szczególnie pociągające - szczyciła się rozległą znajomością literatury, zawsze miała w torbie podróżnej tomik poezji Omara Chajjama. Czuła, że taki człowiek jak Selden byłby bardziej doceniony



w kraju o starszej kulturze. Wyglądał też na to, czym był. Wzrostem przewyższał innych, subtelnie rzeźbione rysy twarzy, w tym kraju typów amorficznych, nadawały mu piętno szlachetnej rasy, zdradzały dziedzictwo niezliczonych pokoleń. Osoby ekspansywne uważały, że jest trochę sztywny, bardzo młode dziewczyny - że sarkastyczny, lecz zainteresowanie Lily podniecała ta uprzejma powściągliwość, daleka od wyniosłości. Wszystko w nim zaspokajało jej wybredne wymagania, nawet ironia, z jaką traktował to, co dla niej było święte. Biła od niego jakaś wyższość, podobnie jak od tych najbogatszych, których w życiu spotykała.

Wiedziona podświadomie tą myślą, odezwała się w końcu ze śmiechem:

- A wie pan, że dla pana nie dotrzymałam dziś dwóch danych obietnic? A pan dla mnie?

- Żadnej - odparł Selden ze spokojem.- Jedynym celem mojego przybycia do Bellomont była pani.

Spojrzała na niego spod oka i uśmiechnęła się lekko.

- Czy naprawdę przyjechał pan tutaj, aby mnie zobaczyć?

- Oczywiście.

Zamyśliła się.

- Dlaczego? - szepnęła bez cienia kokieterii.

- Bo jest pani zachwycająca we wszystkim, co pani robi. Lubię się pani przyglądać.

- Nie może pan wiedzieć, co bym robiła, gdyby tu pana nie było.

- Nie łudzę się, że mój przyjazd zmienił pani postępowanie choćby o włos.

- Nonsens. Gdyby pana tu nie było, pójdzie z panem na spacer byłoby fizyczną niemożliwością.

- Oczywiście. Lecz pani jest malarzem, a ja - szczyptą koloru, którym się pani dziś posługuje. Wywołać wrażenie, jakie się zawczasu obmyśliło - oto dowód pani talentu. - Przyjęła te słowa uśmiechem; tak nieomylnie trafiały w sedno, że musiały przemówić do jej poczucia humoru. Prawdą było, że postanowiła jego przypadkową obecność wykorzystać do ściśle określonego celu. Miała pójść z panem Gryce'em na

spacer. Ale tym razem nie będzie się spieszyć, niech jej konkurent poczuje, co to jest niepewność. Wymówiła się od spaceru bólem głowy - szkaradnym bólem głowy, który przeszkodził jej pójść do kościoła. Przy stole podczas śniadania miała wyraz twarzy pełen cierpiącej słody-

czy, w rękę trzymała flakonik z wodą kolońską. Te zupełnie nowe dla pana Gryce'a objawy wzbudziły w nim obawę o los przyszłych potomków. Czyżby panna była delikatnej konstytucji? Lecz współczucie wzię-

ło górę i pan Gryce błagał Lily, by nie narażała swojego zdrowia - świeże powietrze kojarzyło się w jego myślach z niebezpieczeństwem.

Lily przyjęła wyrazy współczucia z omdlewającą wdzięcznością i - skoro nie mogła mu zapewnić miłego spędzenia czasu - błagała, by przyłączył się do towarzystwa wybierającego się po lunchu samochodem do van Osburghów w Peekshill. Wzruszony jej szlachetnością i przestraszony perspektywą nudnego popołudnia, pan Gryce usłuchał rady i odjechał smutny. Gdy Tuszyli w aleję, Lily uśmiechnęła się - pan Gryce w podróżnym płaszczu z kapturem i w goglach przypominał ogromnego żuka.

Selden obserwował jej manewry z leniwym rozbawieniem. Był pewien, że w jej planach znajdzie się dla niego miejsce. Dom był pusty, gdy słysząc wreszcie kroki na schodach wyszedł z pokoju bilardowego na jej spotkanie. Była w kapeluszu i sukni spacerowej, psy skakały u jej boku radośnie.

- Sądziłam, że świeże powietrze może dobrze mi zrobić - wyjaśniła. Selden zgodził się, że warto spróbować tak prostego środka.

Wycieczkowicze pojechali na co najmniej cztery godziny. Lily i Selden mieli przed sobą wolne popołudnie; poczucie swobody i bezpieczeństwa dopełniło wrażenia lekkości psychicznej. Mając lyle czasu przed sobą i żadnego określonego tematu, Lily mogła rozkoszować się do woli rzadką sposobnością inteligentnej rozmowy. Czuła się do tego stopnia wolna od jakichkolwiek niższych pobudek, że zarzut Seldena podjęła z odruchem oburzenia.

- Nie wiem, dlaczego pan zawsze mnie oskarża o premedytację. Ładne ma pan o mnie wyobrażenie, jeśli uważa mnie pan za osobę niezdolną do poddania się impulsom.

- Och, wcale tak nie uważam. Czyż nie mówiłem już, że talent pani polega na umiejętności przetworzenia szczerych odruchów na świadome zamiary?

- Mój talent? - powtórzyła z odcieniem znużenia. - Czyż prawdziwą miarą talentu nie jest powodzenie?

Selden zsunął kapelusz z twarzy i zerknął na nią dyskretnie.

- Powodzenie? A cóż to jest powodzenie? Chciałbym usłyszeć, co pani o tym myśli.

- Powodzenie? Sukces w życiu? - Zawahała się. - To chyba znaczy wydobyć z życia, ile się da. Czy pan też tak uważa?

- Ja? Broń Boże! - Usiadł z nagłą energią, oparł łokcie na kolanach i patrząc w dal, na gładkie łąki, rzekł: - Dla mnie sukcesem jest osobista wolność.

- Wolność? Od czego? Od trosk i zmartwień?

- Niezależność od wszystkiego: pieniędzy, strachu przed ubóstwem, od wygod i niewygód, od tego wszystkiego, co materialne. Pościć coś, co nazywam rzeczpospolitą ducha - to nazywam sukcesem.

Nachyliła się ku niemu w odruchu zrozumienia. - Wiem, wiem. Jakie to dziwne, ale dziś właśnie czuję coś podobnego.

Odpowiedział jej spojrzeniem pełnym utajonej czułości. - Czy tak rzadko się to zdarza?

Zarumieniła się pod jego spojrzeniem.

- Pan mnie uważa za straszną materialistkę, prawda? Może to dlatego, że nigdy nie miałam wyboru. Chcę powiedzieć, że nie było nikogo, kto by mi mówił o sprawach ducha.

- Bo nie ma takich; tu trzeba drogę znaleźć samemu.

- Nigdy bym nie znalazła, gdyby mi pan nie powiedział.

- Och, istnieją drogowskazy, byle umieć je odczytać.

- Ależ ja umiem, umiem! - zawołała żywo. - Gdy widzę pana, czuję, że zaczynam sylabizować... litera na literze... a wczoraj... wczoraj wieczorem, przy obiedzie... dostrzegłam nagle jakby kawałek drogi wiodącej do pańskiego królestwa.

Selden nie odrywał od niej oczu, lecz patrzył już inaczej. Dotychczas znajdował w jej obecności i rozmowie estetyczną przyjemność, jaką

człowiek myślący znajduje w błażej rozmowie z pięknymi kobietami. Był jednym z podziwiających ją widzów i byłby się nawet zmartwił odkryciem pewnej słabości, która mogłaby pokrzyżować jej plany. Lecz teraz oznaki tej słabości jawiły mu się w niej jako rzecz najbardziej interesująca. Tego ranka zaskoczył ją w momencie, gdy nie całkiem panowała nad sobą - twarz miała bladą, zmienioną, a pewien ubytek urody dodał jej szczególnie przejmującego czaru. Tak wygląda, kiedy jest sama! - pomyślał. Następnie stwierdził, że zmienia się w jego obecności. Nie wątpił, że go lubi - i tu krył się niebezpieczny element ich znajomości. Ich rosnąca zażyłość - z jakiego punktu widzenia by ją analizował - nie mieściła się w powziętych z góry zamiarach Lily Bart, tego był pewien. A myśl, że stał się czymś nieprzewidzianym w karierze tak dokładnie zaplanowanej, podniecała tego mężczyznę, który zrezygnował już z sentymentalnych doświadczeń.

- No i cóż - spytał - czy chce pani zobaczyć więcej? I zostać jedną z nas?

Wyjął papierośnicę, do której Lily szybko wyciągnęła rękę. - Błagam o papierosa, tak strasznie dawno nie paliłam!

- Skąd taka nienaturalna wstrzemięźliwość? Wszyscy w Belmont palą.

- Tak... ale podobno młodej panie na wydaniu to nie uchodzi. A jestem w tej chwili panną na wydaniu.

- O! Obawiam się, że w takim razie nie będziemy mogli przyjąć pani do naszego państwa.

- Czyżby obowiązywał celibat?

- Bynajmniej, choć muszę przyznać, że niewielu mamy ludzi żonaty. Pani poślubi człowieka bardzo bogatego, a bogaczom równie trudno dostać się do nas, jak do królestwa niebieskiego.

- Jakież to niesprawiedliwe! O ile dobrze rozumiem, jednym z warunków jest nie poświęcać za wiele myśli pieniądзом, a przecież nie myśleć o pieniądzach można tylko wtedy, kiedy ma się ich bardzo dużo.

- Równie dobrze mogłaby pani twierdzić, że nie myślimy o powietrzu, bo go mamy pod dostatkiem. Ale pamiętają o nim nasze

płuca. Tak samo człowiek bogaty nie myśląc o pieniądzach oddycha nimi, a pozbawiony pieniędzy dusi się jak ryba bez wody.

Lily zamyślona śledziła niebieskie kółka dymu.

- Wydaje mi się - rzekła po chwili - że w środowisku tak bardzo potępianym spędza pan dużo czasu.

Selden przyjął tę uwagę ze spokojem.

- To prawda, lecz staram się pozostać niezależny jak zwierzę ziemno-wodne, póki moje płuca znoszą dobrze inną atmosferę. Widać pani, chodzi o to, żeby umieć zamienić złoto z powrotem w coś innego, a sekrety takiej alchemii są dla większości pani przyjaciół niedostępne.

Lily zamyśliła się. Po krótkiej pauzie podjęła ten temat. - A może ten, kto nas oskarża, zbyt pochopnie myśli, że należenie do tak zwanego towarzystwa jest celem samym w sobie, a nie środkiem? Nie sądzi pan? Tak samo jak ci, co pogardzają pieniądzem, myślą, że jedyny z niego pożytek to ciuć i ciuć, żeby cieszyć się widokiem worka pełnego pieniędzy. A przecież i jedno, i drugie daje zaledwie sposobności, które można wykorzystać mądrze albo głupio, zależnie od własnej inteligencji.

- Bardzo zdrowy pogląd, ale rzecz w tym, że świat zabawy jest celem samym w sobie dla tych, co do tego świata należą. Dla kogo towarzystwo stanowi odpoczynek po pracy, ten robi zeń właściwy użytek. Ale jeśli jednak staje się ono przedmiotem trudów, wysiłków i zabiegów, to wypacza charakter i niszczy właściwy układ życia. Owszem! - Selden uniósł się na łokciu. - Zbytek i przepych mają usprawiedliwienie w tym, co dały kulturze. Jednocześnie iluż ludzi niszczą! Dlaczego pani przyjaciele nazywają wszystkie szczytne myśli i ideały złudzeniem, a to, co pospolite i marne - prawdą? Omal nie nauczyłem się sam tego żargonu i wiem, jak słowa potrafią zmienić barwę przekonań.

Nigdy nie słyszała go mówiącego z takim żarem.

- Wiem, co pan ma na myśli! Pogardza pan wszystkim, czego pragnę, co chciałabym osiągnąć. Uważa pan to za niegodne mnie!

Selden uśmiechnął się, lecz bez ironii.

- A czyż nie składam pani hołdu w ten sposób?

Spojrzała na niego z powagą. - Przecież gdybym miała środki moich przyjaciół, mogłabym robić z nich lepszy użytek, prawda? Nie tylko kupować brylanty i samochody.

- Oczywiście. Przyjemność posiadania dużych pieniędzy można zawsze okupić założeniem szpitala.

- Jeśli uważa pan, że powinnam mieć dużo pieniędzy, to musi pan przyznać, że nie brakuje mi ambicji.

Selden roześmiał się.

- Droga panno Bart! Nie jestem Opatrznością i nie mogę pani zapewnić, że w przyszłości będzie się pani cieszyć z tego, co dziś tak pragnie osiąść.

- Przypuszcza pan, że po wszystkich trudach, aby osiągnąć to, czego pragnę, nie doznam zadowolenia? Przepowiada mi pan ponurą przyszłość.

- A pani jej nigdy sama nie przewiduje?

Dziwny rumieniec powoli wyplął na jej twarz - nie z podniecenia; był to rumieniec jakiegoś wzruszenia, odbicie wielkiego wysiłku wewnętrznego.

- Nieraz. Nieraz - odparła. - Ale pan ją maluje w takich czarnych kolorach!

Nic nie odpowiedział na ten okrzyk i przez chwilę siedzieli w milczeniu, czując, że coś między nimi zawisło w powietrzu.

- Dlaczego mnie pan krzywdzi! - krzyknęła Lily w nagłym porywie. - Dlaczego obrzydza mi pan to wszystko, co wybrałam, nic innego mi nie dając?

Słowa te obudziły Seldena z zamyślenia. Dlaczego sprowadził rozmowę na takie tory? Sam nie wiedział. Nigdy by nie przypuszczał, że w taki sposób spędzi samotne popołudnie z panną Bart. W tym momencie żadne z nich nie mówiło z rozmysłem; kierowani jakimś wewnętrznym głosem szukali się nawzajem poprzez niezbadaną głębię uczuć.

- Bo nie mam nic, co mógłbym pani zaofiarować - powiedział podnosząc się i patrząc jej prosto w twarz. - Gdybym miał, należałoby to do pani.

Dziwne te oświadczyzny przyjęła w sposób jeszcze dziwniejszy; ukryła twarz w dłoniach i rozplakała się.

Nie trwało to długo, bo gdy pochylił się ku niej i odciągnął jej rękę ruchem nie tyle namiętnym, ile poważnym, Lily zwróciła ku niemu twarz wzruszoną, lecz nie zdeformowaną przeżyciem, i Selden pomyślał, z pewnym okrucieństwem, że nawet w płaczu była artystką.

Myśl ta przywróciła mu panowanie nad głosem. - Czyż to nie naturalne - spytał tonem, w którym prócz ironii było trochę współczucia - że obrzydza mi to, czego nie mogę pani dać?

Na to oświadczenie rozpogodziła twarz i wysunęła rękę z jego uścisku bez kokieterii, raczej ruchem wyrzeczenia się czegoś, co do niej nie należało.

- Poniżej mnie pańska pewność - odparła łagodnie - że to są jedyne rzeczy, na których mi zależy.

Selden poczuł, że coś w nim drgnęło, lecz był to tylko ostatni odruch jego egoistycznej natury. Niemal natychmiast odpowiedział jej z całą prostotą: - Ale zależy pani na nich, prawda? I żadne moje życzenie tego nie zmieni.

Tak dalece nie zastanawiał się, dokąd go ta rozmowa doprowadzi, iż odczuł wyraźny zawód, gdy Lily odwróciła się do niego twarzą i powiedziała z wyraźną kpina: - Jest pan takim samym tchórzem jak ja, pomimo tych wzniosłych deklamacji. Powstrzymałby się pan od pięknych stów, gdyby pan nie był tak pewny mojej odpowiedzi. - Ta ostra riposta jakby go utwierdziła w niejasnych dotąd zamiarach.

- Wcale nie jestem tak pewny - odparł spokojnie - ale pozwalam sobie przypuszczać, że w tej chwili pani też nie wie, co mi odpowiedzieć.

Teraz ona spojrzała na niego ze zdziwieniem. - Czy pan chce się ze mną ożenić? - spytała po chwili.

Roześmiał się głośno. - Nie, nie chcę, ale może chciałbym, gdyby pani tego chciała.

- Otóż to! Jest pan taki pewny mnie, że swobodnie może się pan bawić w eksperymenty.

Cofnęła rękę, którą znów ścisnął, i przyjrzała mu się ze smutkiem.

- Nie bawię się w eksperymenty - odparł - a jeżeli już, to na sobie samym. Nie wiem, z jakim skutkiem, ale jeśli poślubienie pani ma być próbą, to gotów jestem podjąć ryzyko.

Uśmiechnęła się blado. - Byłoby to wielkie ryzyko, nigdy nie ukrywałam jak wielkie.

- To pani jest tchórzem - wykrzyknął porywczo.

Lily podniosła się, a on stał przed nią nie odrywając oczu od jej twarzy. Cicha samotność kończącego się dnia otoczyła ich zewsząd i jakby uniosła ponad ziemię. Cudowny nastrój tej godziny przeniknął ich do głębi, pulsująca w żyłach krew zdawała się popychać ich ku sobie, przyciągając, jak ziemia na jesieni przyciąga opadające liście.

- To ty jesteś tchórzem - powtórzył chwytając jej rękę w mocny uścisk.

Przyłgnęła do niego na chwilę, jakby skrzydła unoszące ją w powietrzu opadły zmęczone; czuł, że serce jej bije nie z radości, lecz z wysiłku. Potem, odsuwając się z uśmiechem, rzekła tonem ostrzeżenia: - Będę wyglądać okropnie w tanich sukniach, ale potrafię sama przybrać kapelusz.

Stali przez chwilę z minami psotnych dzieci, które wdrapały się na zakazany szczyt, skąd widać zupełnie inny świat. W rzeczywistości nad doliną u ich stóp powoli gęstniał zmierzch, a na niebo wypywał jasny księżyc.

Nagle dobiegło ich głośnie buczenie, jakby ogromnego chrapaszczka, i na szosie bielejącej w zmroku dojrzelili pędzący ciemny pojazd.

Lily ocknęła się z zadumy, przestała się uśmiechać i ruszyła z miejsca. - Nie miałam pojęcia, że jest tak późno. Będzie już zupełnie ciemno, kiedy wrócimy - dodała niemal z irytacją.

Selden drgnął zaskoczony; potrzebował dłuższej chwili, by spojrzeć na nią innymi oczami. - To nie był nikt z naszego towarzystwa - rzekł sucho. - Samochód jechał w przeciwną stronę.

- Wiem, wiem. - Przystanąła i pomimo zapadającego zmierzchu dostrzegł jej rumieniec. - Powiedziałam jednak, że źle się czuję... i że nie wyjdę. Wracajmy - szepnęła.



Nie spuszczać z niej oczu wyjął papierośnicę i bez pośpiechu zapalił papierosa. Czuł w tym momencie konieczność zademonstrowania jakimś naturalnym gestem, że jest panem sytuacji; zależało mu, jak młodemu chłopcu, by jego towarzyszką przekonała się, że spadając nie złamał sobie karku.

Czekała, aż zatli się płomień osłonięty dłonią; dopiero wtedy podsunął jej papierośnicę.

Sięgnęła po papierosa drżącą ręką i pochyliła się, żeby go zapalić nad płomieniem zapalki. Krążek czerwonego światła oświetlił dół jej twarzy i Selden dostrzegł, że zmusiła drżące wargi do uśmiechu.

- Czy mówił pan poważnie? - zapytała tonem dziwnie nienaturalnej wesołości, jakby w pośpiechu podjętym zamiast tonu właściwego.

Selden, lepiej panujący nad swoim głosem, odpowiedział:

- A czemuż by nie? Przecież widzi pani, że niczego nie ryzykowałem. - A gdy znieruchomiała i pobladła dotknięta do żywego tą odpowiedzią, dodał szybko. - Chodźmy.

RS

Głos pani Trenor, upominającej pannę Bart, świadczył o przyjaźni i oddaniu; miał w sobie ton tak osobistego strapienia, jakby pani Trenor wyrażała żal nad nieudanym przyjęciem.

- Mogę tylko powiedzieć, Lily, że cię zupełnie nie rozumiem! -  
Tonąc w koronkach i muślinach porannego negliżu odwróciła się z westchnieniem od stosu papierów na biurku i przyglądała się sztywno wyprostowanej Lily jak lekarz, który rezygnuje z siedzącej naprzeciw pacjentki.

- Gdybyś nie była mi powiedziała, że myślisz o nim na serio, ale to przecież było jasne jak słońce od samego początku! Nikt z nas nie mógł sobie wyobrazić, jak mogłaś z nim wytrzymać przez jedną chwilę, jeśli nie miałaś zamiaru wyjść za niego. Wszyscy ci pomagali, nikt nie przeszkadzał. Jeśli miałaś jakieś porachunki z Bertą, to trzeba było je odłożyć do stosowniej szej chwili - mogłaś równie dobrze odplacić jej za wszystko po ślubie! Mówiłam ci, że jest niebezpieczna. Przyjechała tu w okropnym humorze, przyjazd Seldena poprawił jej nastrój i gdybyś zostawiła ją w przekonaniu, że przyjechał dla niej, nigdy by tego nie zrobiła. Och, Lily, nie osiągniesz niczego, jeśli nie spoważniejesz.

Lily przyjęła to kazanie z zupełną obojętnością. Dlaczego miała-  
by się gniewać? Podobne wyrzuty czyniło jej własne sumienie, ale nawet przed nim musiała zachować pozory.

- Wiedziałam, że pan Selden wyjedzie dziś rano, a Percy przyjechał na tydzień.

Pani Trenor wymownym ruchem odsunęła te mizerne wykręty.

- Właśnie o to chodzi! Miał zamiar zostać, ale uciekł od ciebie.

Berta dopięła swego. Zbuntowała go. Uciekł pod skrzydła mamusi, a już ona go obroni przed tobą.

- Niechby i do śmierci - zgodziła się Lily rozbawiona.

- Jak możesz się śmiać - jęknęła jej przyjaciółka, wobec czego Lily z poważniejszą miną spytała: - Co też mu Berta nagadała?

- Wszystko. Coś okropnego! Wiesz, co mam na myśli, chociaż to oczywiście wcale nie jest okropne - ta historia z księciem Vari-gliano... z lordem Hubertem... i coś tam jeszcze o jakichś pieniąd-  
dach, które pożyczyłaś od starego van Alstyne'a. Czy to prawda?

- To kuzyn mego ojca.

- No, tego to, naturalnie, nie powiedziała.

Lily pobladła i powiedziała ostro: - Oddałam mu te pieniądze bez zwłoki. Pożyczyłam, bo przegrałam w brydża u van Osburghów.

- Tego nikt nie pamiętał. Zresztą Percy był przerażony samą my-  
ślą o długi karcianym. Och, Berta wiedziała, z kim ma do czynie-  
nia, wiedziała, co mu powiedzieć.

Przeszło godzinę trwało kazanie pani Trenor i stopniowo Lily za-  
częła patrzeć na sprawę oczami przyjaciółki, która nawet nie domy-  
ślała się, jaką wagę mają jej słowa. Gdy pani Trenor czyniła jej  
wyrzuty, że zniszczyła szansę przyćmienia swoich rywalek, myśli  
Lily krążyły dokoła rosnącej fali długów i coraz bliższego ubóstwa.  
Jakież szaleństwo zepchnęło ją z powrotem na te ciemne wody?  
Ostatnią kroplą goryczy była świadomość, że oto znów zaczyna się  
znana jej udręka zależności i upokorzeń.

- Droga Judy - powiedziała ujmując dłoń przyjaciółki. - Bardzo  
mi przykro, że byłam taka nieznośna. Jesteś aniołem dobroci. Pew-  
nie masz jakieś listy, na które trzeba odpowiedzieć. Miejże przynaj-  
mniej ze mnie jakiś pożytek.

Stół przy drugim śniadaniu świecił pustkami. Prócz Jacka Stepneya  
i męża Berty Dorset wszyscy mężczyźni wrócili do miasta (Lily boleś-  
nie odczuła ironię faktu, że Selden i Percy Gryce wyjechali tym samym  
pociągiem). Lady Cressida w towarzystwie Wetherallów udała się sa-

mochodem do jakiejś odległej wiejskiej posiadłości. W momentach zmniejszonego ożywienia pani Dorset opuszczała swój pokój dopiero późnym popołudniem, tego dnia jednak leniwie wkroczyła do jadalni przed końcem śniadania, z podkrążonymi i zapuchniętymi oczami, a spod maski obojętności wyzierała złośliwość.

Uniosła brwi i powiodła wzrokiem dokoła stołu. - Jak nas niewiele zostało. Ogromnie lubię spokój... a ty, Lily? Chciałabym, żeby nigdy nie było mężczyzn... o ileż przyjemniej jest bez nich. Ty się nie liczysz, George, nie rozmawia się z własnym mężem. Ale sądziłam, że pan Gryce zostanie do końca tygodnia - dodała tonem pytania. Czy nie miał tego zamiaru, Judy? Jakiż to miły chłopiec... Ciekawa jestem, co go wypędziło. Jest trochę nieśmiały i boję się, że mogliśmy go zgorszyć. Jest tak po staroświecku wychowany. Czy uwierzysz, Lily, że nigdy w życiu nie widział panny grającej w karty o pieniądze, dopóki nie zobaczył ciebie przed paru dniami? A sam nie wie, co robić z pieniędzmi.

Pani Fisher skwapliwie nachyliła się ku niej. - Ktoś powinien się zająć edukacją tego młodzieńca. To skandal, że nikt mu jeszcze nie uświadomił jego obowiązków obywatelskich. Ludzie bogaci powinni dobrze znać prawodawstwo swego kraju.

- Zdaje mi się, że zapoznał się z prawem rozwodowym - odparła pani Dorset patrząc na nią spokojnie. - Powiedział, że obiecał biskupowi podpisać jakąś petycję przeciw rozwodom.

Pani Fisher zarumieniła się pod pudrem, a Stepney rzekł wesoło patrząc na pannę Bart:

- Może myśli o małżeństwie i chce podreperować starą łajbę, zanim wsiądzie na pokład.

Jego narzeczona była zgorszona takim porównaniem, a Dorset zauważył sarkastycznie: - Mniejsza o łajbę! Niech sobie dobierze załogę, biedaczek!

Panna van Osburgh pragnąc się odciąć szukała argumentów. - Doprawdy nie wiem, dlaczego się z niego śmiejecie. Uważam, że jest bardzo miły i w każdym razie pannie, która za niego wyjdzie, niczego nie będzie brakowało.

Zaskoczona była faktem, że jej oświadczenie powitano jeszcze głośniejszym wybuchem śmiechu. Może by się pocieszyła, gdyby wiedziała, że nie wszystkim było wesoło. Jakże boleśnie wymowne były jej słowa dla Lily! Lecz nikt nie mógł sprawić jej większego bólu niż ona sama, bo nikt inny, nawet Judy Trenor, nie zdawał sobie sprawy z ogromu jej szaleństwa.

Z tych jałowych rozmyślań wyrwał ją szept pani domu, która odciągnęła ją na bok, kiedy wszyscy wstawali od stołu.

- Lily, kochanie, jeśli nie masz nic lepszego do roboty, to czy mogę powiedzieć Carry Fisher, że chcesz pojechać na stację po Gusa? Wraca o czwartej i wiem, że Carry zamierza wyjechać mu na spotkanie. Ja się naturalnie bardzo cieszę kiedy jest mu wesoło, ale ona strasznie naciąga go na pieniądze. A dziś tak się pali do tego, żeby się z nim zobaczyć, że pewnie znów ma mnóstwo długów i rachunków do zapłacenia. Zdaje mi się - dodała z goryczą - że alimenty płacą jej mężowie innych kobiet.

Panna Bart, jadąc na stację, miała dość czasu, by zastanowić się nad słowami przyjaciółki. Dlaczego ona, panna Bart, musi pokutować za to, że kiedyś, raz w życiu, pożyczyła na parę godzin trochę pieniędzy od własnego wujaszka, kiedy taka kobieta jak Carry Fisher żyje bezkarnie ze szczodrości przyjaciół i wyrozumiałości ich żon? Niestety, co wolno mężatce, nie wolno pannie. Ona mogła pożyczać tylko od przyjaciółek - i to nie za wiele, a najczęściej wołały dać jej suknię lub coś z biżuterii i dziwiły się, gdy dawała do zrozumienia, iż wołałaby czek. Kobiety

są hojne z natury, a te, wśród których przyszło jej żyć, były albo w takim

samym jak ona położeniu, albo odwrotnie - tak dalekie od jej trosk, że nie mogły ich pojąć. Tak, nie może zostać w Bellomont, nie może grać w brydża i narażać się na inne wydatki; musi się ograniczać, a jedynie nudne, szare życie jest życiem tanim. Wyjedzie jutro rano do Richfield.

Wydało jej się, że Gus Trenor ujrzawszy ją na stacji nie tylko się zdziwił, ale jakby doznał pewnej ulgi. Oddała mu lejce, a gdy ciężko wsiadł do wolantu, zostawiając jej zaledwie jedną trzecią siedzenia, rzekł: - Ho, ho, nieczęsto mnie taki zaszczyt spotyka. Musiała pani nie mieć absolutnie nic innego do roboty.

Gorąco było tego popołudnia i z tak bliskiej odległości Lily lepiej niż kiedykolwiek widziała, jaki był gruby i czerwony i że w kroplach potu kurz z pociągu przylepiał się do szerokich płaszczyzn jego policzków i karku odwróconego w jej stronę; ale spojrzenie małych, mętnych oczu zdradzało, iż kontakt ze stworzeniem tak smukłym i świeżym jak ona sprawił mu taką samą przyjemność jak łyk chłodnego napoju. To spostrzeżenie nastroiło ją do wesołej odpowiedzi. - Nieczęsto mam taką szansę. Za wiele pań się o nią ubiega.

- Zatem cieszę się, że pani wygrała. Wiem jednak, jak to się stało - żona panią przysłała. Mam rację?

Jak każdemu niezbyt inteligentnemu człowiekowi trafiał mu się przebłysk bystrości, i Lily nie mogła się nie przyłączyć do jego śmiechu, z jakim przyjął potwierdzenie swego przypuszczenia.

- Widzi pan, Judy uważa mnie za najbezpieczniejszą dla pana towarzyszkę i tak jest w istocie.

- Czyżby? Jeśli tak, to dlatego, że pani nigdy nie marnowałaaby czasu dla takiego jak ja starego grata... Pozwoli pani zapalić cygaro? Miałem podły dzień.

Zatrzymał wolant w cieniu wiejskiej drogi i oddawszy jej lejce zapalił cygaro. Płomień zapalki oblał jeszcze większym szkarłatem jego zgrzaną twarz i Lily odwróciła na moment oczy z uczuciem wstrętu. A jednak były kobiety, które uważały go za przystojnego!

- Nie ma pani pojęcia - podjął Trenor rozsiadając się wygodnie - ile człowiek musi się napracować, żeby na to wszystko jakoś starczyło. - Wskazał czubkiem bata rozciągające się przed nim żyzne, faliste łąny - część jego gruntów. - Judy nie zdaje sobie sprawy, ile wydaje, choć naturalnie mamy na wszystko - dodał szybko. - Człowiek musi jednak mieć oczy i uszy otwarte, żeby nie przegapić żadnej okazji. Moi rodzice szanowali każdy grosz i sporo odłożyli, na szczęście. Lecz gdy się wydaje w takim tempie, to nie wiem, co by było, gdyby mi się od czasu do czasu nie trafiła jakaś korzystna transakcja. Kobiety myślą, chciałem powiedzieć - Judy myśli, że nie mam nic innego do roboty, jak raz na miesiąc pojechać do miasta i poodcinać kupony od akcji, a tak naprawdę to muszę się dobrze

napocić, żeby utrzymać maszynę w ruchu. Choć dziś nie mogę narzekać - udał mi się jeden interesik dzięki Rosedale'owi, który jest przyjacielem Stepneya. A propos, panno Lily, bardzo bym się cieszył, gdyby pani namówiła Judytę, aby traktowała tego człowieka przyzwoicie. Jeśli go od czasu do czasu zaprosi na obiad, zrobię z nim, co zechcę. Zupełnie zwariował na punkcie poznania tych wszystkich, którzy go wcale nie chcą znać.

- Przecież Jack próbował już go wprowadzić, ale Rosedale okazał się niemożliwy!

- Nonsens! Dlatego, że jest gruby, poci się i ma maniery subiekta! A tymczasem ci, co dzisiaj mają dość sprytu, żeby go traktować przyzwoicie, niedługo bardzo dobrze na tym wyjdą. Za parę lat będzie wśród nas, czy tego chcemy, czy nie chcemy, a wtedy już za jedno zaproszenie na obiad nikomu nie da pół miliona dolarów w prezencie.

Myśli Lily odwróciły się od natrętnego Rosedale'a do początków rozmowy z Trenorem. Świat Wall Street! Dziwny świat jakichś „prezentów” i „pośredników”, ale może i ją uchroniłby od kłopotów? Nieraz słyszała o kobietach, które robią pieniądze na giełdzie przy pomocy przyjaciół; nie więcej od nich wiedziała o naturze tych transakcji, natomiast mglistość zmniejszała nieco ich wulgarność. Nie mogła sobie wyobrazić, by będąc nawet w najgorszych opałach mogła się poniżyć do korzystania z „poufnych informacji” pana Rosedale<sup>^</sup>, ale oto siedział przy niej człowiek o podobnych zaletach, z którym, jako mężem najdroższej przyjaciółki, łączył ją stosunek braterskiej zażyłości.

W głębi duszy Lily dobrze wiedziała, że może poruszyć Trenora niekoniecznie odwoływaniem się do braterskich uczuć; ale do tego stopnia dbała o zachowanie pozorów, że nawet wobec samej siebie szukała wybiegów, by zatuszować drastyczność sytuacji. Jej wybredne gusty miały swój moralny ekwiwalent: robiąc przegląd własnej duszy, niektórych drzwi nigdy nie otwierała.

Gdy dojechali do bram Bellomont, zwróciła się z uśmiechem do swego towarzysza. - Taki śliczny wieczór, nie ma pan ochoty na

małą przejażdżkę? Jestem dziś przez cały dzień przygnębiona i chciałabym odpocząć od ludzi z kimś, kto mi wybaczy, że nie będę zajmująca.

Kierując do niego tę prośbę połączoną ze skargą wyglądała tak prześlicznie, tak zdawała się ufać jego zrozumieniu i współczuciu, że Trenor pożałował, iż żona nie może zobaczyć, jak traktują go inne kobiety - nie takie stare szantażystki jak Carry Fisher, ale dziewczyna, za której jedno spojrzenie każdy mężczyzna skoczyłby w ogień.

- Co się stało? Skąd to przygnębienie? Czy ostatnia suknia od Douceta jest niedobra, czy może Judy ograła panią wczoraj do nitki?

Lily pokiwała głową z westchnieniem. - Skończyć muszę z Doucetem... i z brydżem. Nie mogę sobie na to pozwolić. W rzeczywistości nie mogę sobie pozwolić na nic z tego, co robią moje przyjaciółki. Prawdę mówiąc, w niczym nie mogę już dotrzymać kroku moim przyjaciółkom i obawiam, się, że nudzę Judy, bo nie gram już w karty i nie jestem tak szykownie ubrana jak inne kobiety. Pana też zanudzam opowiadaniem o moich kłopotach, ale to tylko dlatego, że chcę prosić o przysługę... o wielką przysługę.

Oczy ich spotkały się i Lily uśmiechnęła się w duchu, gdy w spojrzeniu Trenora dostrzegła cień przestachu. Zapewne przypomniały mu się metody pani Fisher.

- Ogromną przysługę - ciągnęła głosem łagodnym. - Widzi pan, Judy gniewa się na mnie i chciałabym, żeby pan nas pogodził...

- Gniewa się na panią? Och, to głupstwo! - Ulga, jakiej doznał, wyraziła się głośnym śmiechem. - Ależ ona jest pani bardzo odddana!

- To prawda i właśnie dlatego tak mi przykro. Prawdopodobnie wie pan, czego ode mnie chciała. Uparła się, biedaczka, żebym wyszła za mąż dla pieniędzy!

- Dla dużych pieniędzy? Na Boga, chyba nie chodzi pani o Gryce<sup>e</sup>? Czyżby? Oczywiście nikomu o tym nie powiem, może pani na to liczyć, ale Gryce? To nie do wiary! Jak Judy mogła myśleć, że wyjdzie pani za tego nadętego osła. Ale nie wyjdzie pani, prawda? Dała mu pani kosza i dlatego umknął rannym pociągiem? - Przechylił się do tyłu i jakby rozparty dumą z trafności swego sądu,



usiadł wygodniej zajmując jeszcze więcej miejsca. - Jak też Judy mogła pomyśleć coś podobnego? Byłbym ją uprzedził, że pani nie zechce mieć do czynienia z takim safandulą.

- Myślę czasem, że mężczyźni lepiej od kobiet rozumieją kobiety - westchnęła Lily.

- Niektórzy mężczyźni na pewno!

- Liczyłam na pana zrozumienie, dlatego chciałam z panem pomówić. Nie mogę wyjść za mąż dla pieniędzy - i nie mogę żyć jak kobiety z mojej sfery. Jestem niemal całkowicie zależna od mojej ciotki, która jest dla mnie bardzo dobra, ale nie wypłaca mi regularnej pensji, a ostatnio przegrałam dużo w karty. Oczywiście popłaciłam honorowe długi i właściwie nic mi nie zostało na inne wydatki, a jeśli będę prowadziła taki tryb życia, to wpadnę w nie lada tarapaty. Posiadam własne fundusze, ale obawiam się, że są źle ulokowane, bo z każdym rokiem przynoszą coraz mniej zysku, a tak zupełnie się na tym nie znam, że doprawdy nie wiem, czy agent mojej ciotki jest dobrym doradcą. - Zamilkła na krótką chwilę i dodała weselszym tonem: - Nie chciałam pana nudzić tym wszystkim, ale ogromnie mi zależy, żeby pan wytłumaczył Judy, że nie mogę obecnie żyć tak, jak trzeba żyć między wami. Jadę jutro do ciotki do Richfield i zostanę tam do końca jesieni. Odprawię pannę służącą i nauczę się sama reperować moją garderobę.

Powaga sytuacji, obraz uciśnionej piękności przedstawiony tonem tak lekkim wyrwały z ust Trenora cichy okrzyk oburzenia i współczucia. Dzień wcześniej, zapytany przez żonę o radę, powiedziałby, że panna o wybrednych gustach, nie mająca posagu powinna wyjść za pierwszego z brzegu bogacza, który jej się nawinie. Teraz jednak, mając przy boku tę pannę, szukającą jego współczucia, twierdzącą, że on lepiej ją rozumie niż najbliżsi przyjaciele, o czym świadczyła jej rozkoszna bliskość, Trenor gotów był przysiąc, że taki mariaż byłby świętokradztwem i że jest jego obowiązkiem, jako człowieka honoru, uchronić ją od skutków jej bezinteresowności. Tam do licha! Jeśli mógł wybawiać z kłopotów taką pijawkę jak Carry Fisher, do czego przywykł jak do palenia i picia, mógł chyba zrobić to samo

dla dziewczyny, która zaapelowała do jego wyższych uczuć, przyszła do niego ze swoim zmartwieniem jak dziecko.

Dawno już słońce zaszło, gdy Trenor i panna Bart wrócili z przejażdżki. Zanim dobiegła końca, Trenorowi udało się z pewnym powodzeniem przekonać Lily, że jeśli mu tylko zaufa, to bez żadnego ryzyka potrafi poważnie powiększyć jej kapitał. Nie mając najmniejszego pojęcia o manipulacjach giełdowych, nie mogła oczywiście zrozumieć technicznych wyrażań ani zauważyć, że wyjaśnienia Trenora stawały się miejscami dość mgliste; była jej nawet na rękę ta niejasność terminów i procedury, bo oszczędzała zakłopotania i tylko przebudzone nadzieje świeciły w dali jak lampy we mgle... Z chwilą, gdy wiedziała, że obecne kłopoty znikną, łatwo jej przyszło postanowienie, iż na przyszłość będzie takich kłopotów unikać, a skoro zniknęła też potrzeba oszczędzania i wyrzeczeń, Lily gotowa była stawić czoło wszystkiemu, co życie przyniesie. Nawet to, że w drodze powrotnej Trenor przysunął się bliżej i nakrył jej dłoń swoją dłonią, przyprawiło ją tylko o stłumiony dreszcz niechęci. Grała dalej. Trenor powinien myśleć, iż z jej strony uścisk ręki to odruch bezinteresownej sympatii, jaką w niej budził; odrodzone poczucie panowania nad mężczyzną nie tylko koło jej zranioną próżność, ale przesłoniło również fakt, iż ten mężczyzna już dawał jej znać o swoich prawach. To prostak i dureń - pomyślała Lily - udający władcę tam, gdzie jest tylko pionkiem; inteligentna dziewczyna, grając na jego próżności, utrzyma go bez trudu na przyzwoitym dystansie.

Pierwszy czek na tysiąc dolarów z nabazgranym podpisem Gusa Trenora w równej mierze wzmocnił zaufanie Lily we własne siły, co pozwolił spłacić wszystkie długi. Tak łatwy sposób pozbycia się wierzycieli usprawiedliwiał całkowicie transakcję z Gusem - Jakżeż byłaby niemądra, gdyby dała się zwieść staroświeckim skrupułom!

Łatwo też było utrzymać Trenora w dobrym humorze. Słuchała jego anegdotek, zwierzeń, śmiała się z jego dowcipów - i zdawało się, że nie wymagał od niej niczego więcej, a spokój, z jakim przyglądała się temu pani Trenor, świadczył, iż w rosnącej zażyłości Lily z jej mężem widzi dowód wdzięczności za okazaną jej dobroć.

- Tak się cieszę, że ty i Gus zaprzyjaźniliście się ze sobą - rzekła któregoś dnia z zadowoleniem. - Jesteś prawdziwym ideałem, że znosisz jego nudne anegdotki. Nie muszę teraz zapraszać tej Fisher, żeby utrzymać go w dobrym humorze. Gus spekuluje dla niej na giełdzie, ale jak przegra, to ona nigdy nie pokrywa straty.

Panna Bart z czystym sumieniem mogła się oburzyć na takie praktyki; z nią przecież było zupełnie inaczej! Nie mogłaby odmówić wyrównania straty, ponieważ Trenor zapewnił ją, że o żadnych stratach nie ma mowy. Przysyłając czek wyjaśnił, że dzięki Rosedale'owi zarobił dla niej pięć tysięcy dolarów, z czego cztery natychmiast znów zainwestował spodziewając się następnej „dużej zwwyżki”, stąd wywnioskowała, że posługuje się jej kapitałem i winna mu tylko tyle wdzięczności, ile jej wymaga drobna przysługa.

Wiadomość o zwyżce otrzymała parę tygodni później z okazji ślubu Jacka Stepneya z panną van Osburgh. Poproszono pannę Bart jako kuzynkę pana młodego, aby została druhną, lecz odmówiła. Zbyt wielu pannom towarzyszyła do ołtarza - następnym razem sama będzie bohaterką takiego wydarzenia.

Ślub odbył się w posiadłości van Osburghów nad Hudsonem - „skromny ślub w wiejskim kościółku”, na który specjalne pociągi przywożą tłumy gości, a ciżbę ciekawskich powstrzymuje kordon policji. Gdy we wnętrzu kościoła, przystrojonego storczykami i wypełnionego po brzegi przez wyższe sfery towarzyskie, święcono ceremonię zaślubin, przedstawiciele prasy z notatnikami w ręku torowali sobie drogę wśród stosów ślubnych darów, a u wejścia do kościoła agent syndykatu kinematograficznego ustawiał swój aparat.

Lily nieraz widziała siebie grającą główną rolę w podobnej scenie, otuloną mistycznym welonem, skupiającą powszechną uwagę. To, że uwolniła się od doraźnych kłopotów, dodało jej teraz skrzydeł - wzniosła się ponad zwątpienia, wierzyła - jak chyba nigdy - we własną urodę, siłę, wdzięk i wszystkie te zalety, które powinny wreszcie przyciągnąć szczęście; nawet popełnione błędy wydały jej się w tym nastroju łatwe do naprawienia.

Były to rozmyślania jak najbardziej na miejscu - w sąsiedniej ławce ujrzała pełen powagi profil i starannie przystrzyżoną brodę pana Percy'ego Gryce'a.

Miał nawet w swoim wyglądzie coś niemal weselnego - białą, jakby symboliczną gardenię w butonierce, co Lily wzięła za dobry omen. Uważała go za człowieka, którego konwencjonalny obraz ślubu może poruszyć uczuciowo, i już widziała siebie z Gryce'em w ustronnym zakątku oranżerii van Osburghów - och, potrafi zagrać na strunie odpowiednio nastrojonej!

Widok ciemnej głowy Seldena w przeciwległej ławce na chwilę wygrał ją z równowagi. Oblała ją fala krwi, zahamowana w następnej chwili przez odruch oporu i niechęci. Nie chciała go widzieć, nie dlatego, żeby się bała jego wpływu, lecz dlatego, że w jego obecności widziała znikomość własnych pragnień i czuła, że cały jej

świat chwieje się w posadach. Był poza tym żywym przypomnieniem największego błędu, jaki w życiu popełniła, i fakt, że stało się to z jego winy, nie usposabiał jej życzliwie.

- Moja kochana Lily, nigdy jeszcze nie widziałam cię tak ślicznej! Wyglądasz, jakby cię spotkało coś nadzwyczaj miłego!

Młoda osoba, która w ten sposób wyraziła zachwyt nad urodą przyjaciółki, sama urodą nie grzeszyła. Tylko przyjaciele Gertrudy Farish dostrzegali najpierw jej szczere otwarte spojrzenie i ujmujący uśmiech, a dopiero potem nieokreślony kolor oczu i za duże usta. Panna Bart litowała się nad brzydotą tej dziewczyny; jednocześnie irytował ją fakt, że ona własną brzydotą wcale się nie przejmuje. I - doprawdy - nikt nie musi przyznawać się do ubóstwa aż tak „praktycznym” kolorem sukni i najskromniejszym w świecie kapeluszem! Oczywiście, Gerty, będąc osobą biedną i niepozorną, słusznie postępuje, że poświęca czas filantropii i koncertom symfonicznym, ale jakżeż irytujące są jej zapewnienia, że życie nie zna większych przyjemności! Że bawić się i interesować wielu rzeczami można równie dobrze mieszkając na facjatce, jak w luksusowych apartamentach van Osburghów!...

- Chodźmy obejrzyć ślubne prezenty, zanim wszyscy opuszczą jadalnię - zaproponowała panna Farish, biorąc przyjaciółkę pod rękę. - Jakie świetne przyjęcie! - ciągnęła, gdy weszły do odległego salonu przeznaczanego na pomieszczenie na liczne dary ślubne panny młodej. - Dawno postanowiłam, że muszę być na tym ślubie, i wyobraź sobie, jak się szczęśliwie złożyło: Lawrence Selden przyjechał po mnie i przywiózł tutaj, a wieczorem zabiera mnie na obiad do restauracji. Jestem taka przejęta, jakby to był mój własny ślub!

Lily uśmiechnęła się. Wiedziała, że Selden był zawsze bardzo dobry dla swojej nudnej kuzynki, i czasem dziwiła się, czemu na próżno traci tyle czasu, lecz dziś ten fakt sprawił jej niemal przyjemność.

- Czy widzisz go często? - spytała.

- O tak, przychodzi zwykle w niedzielę, ostatnio trochę rzadziej. Jest mizerny i zdenerwowany, i jakby wytracony z równowagi. Dobry, kochany chłopak! Chciałabym, żeby ożenił się z jakąś dobrą dziewczyną-

ną. Nawet powiedziałam mu to dzisiaj, a on na to, że nie dba o naprawdę dobre dziewczyny, a te inne o niego nie dbają, ale oczywiście mówił to żartem. Nie mógłby ożenić się z dziewczyną, która nie byłaby naprawdę dobra. Ach, Lily, czy widziałaś kiedy takie perły?!

Zatrzymały się przy stole, na którym rozłożono biżuterię panny młodej, i Lily poczuła głęboką zazdrość w sercu, gdy pochyliła się nad klejnotami, które lśniły wspaniale w świetle lamp; mlecznym blaskiem promieniował sznur cudownie dobranych pereł, błyszcząły ostro rubiny odcinające się od aksamitu etui, ciemny błękit szafirów rozświetlała oprawa z brylantów. Blask klejnotów rozgrzał jak wino krew w jej żyłach. Bardziej od innych przejawów bogactwa były one dla niej symbolem życia, jakiego pragnęła - życia w wyrafinowanym zbytku, którego każdy szczegół byłby jak te klejnoty, a w ich oprawie błyszcząłaby ona - perła o niezrównanej piękności.

- Och, Lily, spójrz tylko na ten brylantowy wisiołek, jest wielki jak talerz! Od kogo? - Krótkowzroczna panna Farish pochyliła się nad załączonym biletem. - Pan Simon Rosedale! Szkaradny typ! Tutaj jest coś o wiele ładniejszego, widzisz ten wspaniały biały szafir? Wiele trudu musiał sobie zadać ten, kto go wybrał. Czyj to bilet? Percy Gryce. Nic dziwnego - dodała ze znaczącym uśmiechem. - Wiesz na pewno, jak jest oddany Ewuni van Osburgh... Poznali się sześć tygodni temu u Dorsetów i od razu idylla, prawdziwy romans! Doskonale dobrana z nich para! Ona spokojna, domatorka, on podobno jest taki sam.

Lily patrzyła jak przez mgłę na biały szafir w aksamitnym pudełeczku. Ewunia i Percy Gryce! Zabrzmiało to jak ironiczny śmiech. Najmłodsza panna van Osburgh, najpospolitsza, najnudniejsza z czterech pospolitych i nudnych córek, które pani van Osburgh z niezrównanym sprytem tak „ulokowała” - jedną po drugiej - że zapewniła im godną zazdrości egzystencję. Jakież to przygnębiające! Życie jest głupie! Głupie i niesprawiedliwe! Dlaczego miliony Percy'ego Gryce'a mają się połączyć z inną wielką fortuną, dlaczego ta niezgrabna dziewczyna znajdzie się w posiadaniu możliwości, których nigdy nie potrafi wykorzystać?

Obudziło ją z tych rozmyślań poufale dotknięcie i rozglądając się ujrzała Gusa Trenora. Jakim prawem dotknął jej dłoni? Na szczęście Gertruda Farish odeszła do innego stołu i byli sami.

- Jak babcię Kocham, Lily, wyglądasz zabójczo! - Trenor nie wiadomo kiedy zaczął jej mówić po imieniu i jakoś nie miała dotąd sposobności skarcić go za to. Zresztą w jej świecie wszyscy mężczyźni i kobiety mówili sobie po imieniu, tyle że w ustach Trenora brzmiało to nieprzyjemnie.

- No cóż - ciągnął wesoło, nie dostrzegając jej niezadowolenia - czy zdecydowałaś już, co z tych świecidełek będziesz jutro dublować u Tiffany'ego? Mam dla ciebie czek, który najzupełniej ci na to pozwoli.

Lily spojrzała na niego z przestraszeniem. Mówił głośniej niż zwykle, zaczerwieniony po weselnej libacji, a salon powoli nappełniał się gośćmi. Lecz gdy rzut oka przekonał ją, że rozmowy ich nikt nie słyszy, doznała uczucia prawdziwego zadowolenia.

- Nowa dywidenda? - spytała z uśmiechem podchodząc bliżej, by ich nie usłyszano.

- No, niezupełnie: była zwyczajka i udało mi się wyciągnąć dla ciebie cztery tysiące. Nieźle, prawda? Może przestaniesz uważać biednego starego Gusa za takiego osła, za jakiego mają go inni.

- Uważam, że jest pan najlepszym z moich przyjaciół, ale nie mogę tutaj należycie podziękować.

Przesłała mu spojrzenie, które zastąpiło uścisk dłoni, jakiego byłby zażądał, gdyby byli sami - a że nie byli sami, bardzo się z tego cieszyła. Dobra nowina tak ją uradowała, jak nagłe ustanie bólu. Jednak życie nie jest takie głupie i niesprawiedliwe! Natychmiast pomyślała, że jeszcze nie całkiem straciła Percy'ego Gryce'a, i uśmiechnęła się na myśl, jakby to było zabawnie odebrać go Ewuni van Osburgh. Jakież szanse miałaby ta głupia gaska, gdyby ona, Lily Bart, rozwinęła swoje talenty?

- Do diaska z podziękowaniem! Chciałbym mieć sposobność porozmawiania z tobą od czasu do czasu - narzekał Trenor. - Odkąd jesteśmy w takiej dobrej komitywie, widuję cię o wiele rzadziej, niż

kiedy byłaś przyjaciółką mojej żony - ciągnął nie zdając sobie sprawy ze słuszności własnych słów.

- Gdy byłam przyjaciółką Judy? Czy nie jestem nią zawsze? Do-  
prawdy, mówi pan takie niemądre rzeczy. Gdybym rezydowała  
w Bellomont bez przerwy, znudziłabym się panu o wiele prędzej niż  
Judycie; lecz niech pan odwiedzi mnie u ciotki, gdy będzie pan  
w Nowym Jorku. Pogawędzimy sobie, powie mi pan, jak mogę naj-  
lepiej ulokować moje fundusze.

Nadzieja przyjemnej pogawędki zdawała się nie wystarczać Tre-  
norowi. - Och, nie wiem - powiedział marszcząc brwi - czy będę  
mógł obiecać co dzień pieniądze. Jedno mogłabyś dla mnie zrobić;  
być uprzejma dla Rosedale'a. Nie mogę wpłynąć na Judy, żeby za-  
prosiła go do Bellomont, ale gdybyś teraz pozwoliła go przyprowa-  
dzić tutaj, zrobiłoby to dużą różnicę. Nie wiem, czy dziś choć jedna  
kobieta się do niego odezwała, a tymczasem jest to człowiek, który  
za uprzejmość umie się odplącić.

Panna Bart zrobiła niecierpliwy ruch ręką, ale nic nie powiedzia-  
ła. Ostatecznie, dość łatwo pozbędzie się w ten sposób swego długu  
u Trenora, a czyż nie miała własnych powodów, żeby być uprzejma  
dla Rosedale'a?

- Ależ sprowadź go pan, owszem - odrzekła z uśmiechem. -  
Może wydobędę coś z niego na własny rachunek.

Trenor zatrzymał się nagle i utkwiał w niej spojrzenie, pod którym  
się zarumieniła. - Słuchaj no. Lily, zapamiętaj sobie, że to sprytny  
facet. - Lily skwitowała jego słowa stłumionym, krótkim śmiechem  
i odwróciła się do okna, przy którym stali.

Poczuła potrzebę otwartej przestrzeni i świeżego powietrza -  
w salonie robiło się tłoczno. Na tarasie tkwiło przy likierach kilku  
panów palących papierosy. Pojedyncze pary znikwały w głębi ogrodu.

Gdy zjawiała się na tarasie, od grupy panów oderwał się ktoś i Li-  
ly znalazła się nagle oko w oko z Seldenem. Przywitał się z nią nie  
okazując nic więcej poza zadowoleniem, które każda ładna kobieta  
spodziewa się ujrzeć w oczach mężczyzny; odkrycie to, choć przy-  
kre dla jej próżności, było uspokajające dla nerwów. Ulgę jej przy-



niosła ucieczka od Trenora, mglistą obawę budziło spotkanie z Rosedale'em, tym przyjemniej było odpocząć przez chwilę w towarzystwie Seldena, który tak dobrze ją zawsze rozumiał.

- Cóż za szczęście! - powiedział uśmiechając się. - Właśnie zastanawiałem się, czy uda mi się zamienić z panią dwa słowa, zanim express porwie nas w siną dal. Przyjechałem tu z Gerty Farish i obiecałem

przypilnować, żeby nie spóźniła się na pociąg, ale jestem pewien, że wciąż jeszcze roztkliwia się nad prezentami ślubnymi. Uważa, że ilość i wartość tego wszystkiego to dowód bezinteresownych uczuć.

W głosie jego nie było śladu zakłopotania i Lily pomyślała z żalem, że bez trudu powrócił do tonu ich dawnych rozmów sprzed ostatniego spotkania w Bellomont. Beztroski uśmiech Seldena ranił jej próżność. Pragnęła być dla niego czymś więcej niż świadomą sobie pięknoscia, przelotną rozrywką dla oczu i myśli, i pragnienie to wyraziło się w jej słowach.

- Ach, zazdroszczę Gertrudzie, że posiada dar przyozdabiania romantycznymi uczuciami naszych brzydkich i prozaicznych uczynków! Nigdy nie odzyskam szacunku dla siebie, odkąd dowiedział mi pan, że moje dążenia są marne i nieistotne.

Ledwie powiedziała te słowa, a już poczuła ich niewłaściwość. Widocznie było jej przeznaczeniem ukazywać się Seldenowi z najgorszej strony.

- Przeciwnie - odparł lekkim tonem. - Myślałem, że za moją przyczyną przekonała się pani, o ile te dążenia były ważniejsze od czegokolwiek innego.

Na te słowa poczuła, że wewnętrzny poryw płynący z głębi jej serca natrafił na przeszkodę i został odepchnięty wstecz, jak rwący nurt, który rozbił się o skałę. Spojrzała na niego bezradnie oczami zranionego albo przestraszonego dziecka - to prawdziwe ja, które Selden umiał z niej wydobyć, nie przywykło do samodzielności!

Jej bezradność poruszyła go; jak zawsze odniósłby się obojętnie do stwierdzenia, że Lily w jego obecności rozkwita, lecz wystarczył jeden rzut oka w mrok jej duszy, do której tylko on miał klucz, by poczuł się znów blisko niej w ich własnym świecie.

- W każdym razie nie może pan już myśleć o mnie gorzej, niż pan o mnie mówi! - wyrzuciła z siebie z drżącym uśmiechem. Zanim Selden zdołał odpowiedzieć, strumień wzajemnego zrozumienia został nagle zahamowany pojawieniem się Gusa Trenora, który podszedł do Lily, ciągnąc za sobą pana Rosedale'a.

- Do diaska, Lily, myślałem, żeś się przede schowała. Szukamy cię wszędzie z Rosedale'em.

Głos jego miał ton małżeńskiej poufałości i Lily wydało się, że Rosedale to spostrzegł; dojrzała w jego małych oczkach coś, co mogłoby o tym świadczyć, i uczucie niechęci dla tego człowieka zamieniło się w odrazę.

Odpowiedziała na jego głęboki ukłon lekkim skinieniem głowy, z tym wyraźniejszym odcieniem pogardy, że Selden mógł się dziwić jej znajomościom. Stał oparty o framugę okna - obojętym widzem, który tak działał na nią spojrzeniem, że nie potrafiła uciec się do swoich zwykłych sztuczek. Obawa, by Selden nie podejrzewał, że zabiega o względy kogoś takiego jak Rosedale, hamowała na jej ustach banalne słowa grzeczności. Trenor odszedł, a Rosedale stał wciąż z miną wyczekującą, zaś ona stała naprzeciw niego ze wzrokiem na poziomie jego błyszczącej łysiny. Spojrzenie jej mówiło to, co milczenie dawało do zrozumienia.

Rosedale powoli poczerwieniał, przestępując z nogi na nogę, dotknął wielkiej czarnej perły w krawacie, nerwowo podkreślił wąsa, potem mierząc ją wzrokiem odstał o krok i zerknawszy spod oka na Seldena odezwał się: - Na mój honor - rzekł - w życiu nie widziałem czegoś tak szykownego! Czy to ostatnia kreacja tej krawcowej, którą pani odwiedza w „Benedicku”? Jeśli tak, to dziwię się bardzo, że inne panie też się u niej nie ubierają.

Słowa te zabrzmiały nader wymownie i Lily natychmiast zorientowała się, że przyczyniło się do tego jej milczenie. Nie patrząc na Seldena, czuła, że pojął zawartą w nich aluzję do jej wizyty w „Benedicku”. Była wściekła na Rosedale'a, ale zdawała sobie sprawę, że sytuacja wymaga ułagodzenia tego człowieka, nawet jeśli taki zabieg był jej wstrętny ze względu na obecność Seldena.

- Skąd pan wie, że inne panie nie ubierają się u mojej krawcowej? Przekonał się pan przecież, że nie boję się dawać jej adresu!

Słowa te i ton głosu tak wyraźnie włączyły Rosedale'a do tego uprzywilejowanego kółka, że małe oczka zabłysły mu radością, a wąsik podskoczył wesoło, gdy górną wargę uniósł znaczący uśmiech.

- Nie musi się pani obawiać niczego - zapewnił. - Mogłaby pani piękne stroje oddać innym damom i jeszcze by pani wszystkie pobiła na głowę.

- Dziękuję panu za te słowa, a będę jeszcze wdzięczniejsza, jeśli mnie pan zaprowadzi do jakiegoś cichego kącika i przyniesie szklankę lemoniady albo innego niewinnego napoju, zanim wszyscy popędzimy do pociągu.

Mówiąc to odwróciła się i pozwoliła, żeby szedł obok niej przez taras, na którym znów zaczęli się gromadzić goście; wszystkie nerwy miała napięte wiedząc, co Selden musiał pomyśleć o tej scenie.

Lecz poprzez gniew na przewrotność losu i banalną treść rozmowy z Rosedale'em przebijała uparta myśl, że nie może wyjechać, póki nie dowie się prawdy o Percym Grysie.

W domu panował ogólny nastrój zamętu - z chwilą gdy główni aktorzy zniknęli ze sceny, publiczność zaczynała opuszczać widownię. Lily nigdzie nie mogła dojrzeć ani Gryce'a, ani najmłodszej panny van Osburgh. Podejrzana nieobecność. Z właściwym sobie wdziękiem namówiła Rosedale'a, by przeszli się do cieplarni położonej na końcu domu. Za dużo jeszcze było osób w pokojach, które mijali, aby ich przejście zostało nie zauważone. Lily czuła, że towarzyszą im spojrzenia rozbawione i zaciekawione, które przyjmowała z kamiennym spokojem, a jej towarzysz - z wielkim zadowoleniem. Było jej obojętne w tym momencie, że widzą ją w towarzystwie Rosedale'a; wszystkie jej myśli skupiły się na przedmiocie poszukiwań. Nie było jednak Gryce'a w cieplarni i Lily, przejęta nagłym przecuciem niepowodzenia, zaczęła myśleć, jak by tu pozbyć się swego towarzysza, gdy nagle oboje wpadli na panią van Osburgh, zgrzaną i wyczerpaną, ale rozpromienioną; dobrze spełniła swoje obowiązki.

Rzuciła na nich uprzejme, lecz nic nie znaczące spojrzenie zmęczonej pani domu, gdy wtem wyraz jej twarzy zmienił się. Poufnym gestem odciągnęła Lily na bok.

- Moja kochana Lily, nie miałam czasu zamienić z tobą ani słowa, a teraz już pewnie uciekasz. Czy widziałaś Ewunię? Szukała ciebie wszędzie. Chciała ci w tajemnicy powiedzieć, co pewnie już słyszałaś. Zaręczyny będą ogłoszone dopiero w przyszłym tygodniu, ale ze względu na twoją przyjaźń z panem Gryce'em oboje chcieli, żebyś pierwsza dowiedziała się o ich szczęściu.

RS

Za czasów młodości pani Peniston wytworny świat powracał do miasta w październiku, dlatego też dziesiątego dnia tegoż miesiąca w jej mieszkaniu na Fifth Avenue podniesiono rolety i umierający gladiator z brązu, ustawiony w jednym z okien salonu, mógł na nowo przyglądać się tej mało uczęszczanej ulicy.

Pierwsze dwa tygodnie po powrocie z wakacji były dla pani Peniston czymś podobnym do rekolekcji zamkniętych. Przeglądała bieliznę i pościel w skupieniu, z jakim pokutnik zgłębia najskrytsze tajniki swego sumienia; tropiła mole niczym skruszony grzesznik badający własne wady i słabości. We wszystkich spiżarniach i schowkach każda półka musiała wydać swoje tajemnice, a w piwnicach - każda skrzynia z węglem. Ostatnim aktem było przybranie mebli w białe pokutnicze pokrowce i wtargnięcie do wnętrza domu wszystko oczyszczających mydlin.

Lily zwykle udawało się być poza domem w okresie generalnych porządków. Nie znosiła zapachu wosku i szarego mydła. Tym razem jednak różne powody sprowadziły ją wcześniej do miasta, a głównie fakt, że miała mniej niż zazwyczaj zaproszeń na jesień. Tak się przyzwyczaiła jeździć od jednej wiejskiej rezydencji do drugiej, iż boleśnie odczuła spadek swojej popularności. Powitano by ją serdecznie, ale w jakimś nowym charakterze. Panna Bart wszystkim się już przejadła. Nawet sobie samej śmiertelnie się znudziła. Chwilami pragnęła czegoś nowego, zupełnie innego, czego jeszcze nie znała,

lecz wyobraźnia jej nie potrafiła pokonać pewnego ograniczenia: widziała siebie królową w salonie, w wytwornym otoczeniu, wśród ludzi, którzy chłonęliby jej wdzięk i czar niby zapach jakiegoś rzadkiego kwiatu. Nawet w myślach niezdolna była przekroczyć granice dotychczasowego życia - pragnęła tylko innej oprawy.

Wróciwszy do Nowego Jorku - pełna obrzydzenia dla samej siebie - zastała dom ciotki nienaturalnie czysty: wydał jej się ponury i nudny jak grobowiec.

Siedząc w smutnym salonie, w świetle pojedynczej lampy - więcej świateł zapalała pani Peniston tylko dla gości - Lily zapatrzyła się w wizję nadchodzących lat: koniec młodości, szarość i nuda, niebawem osiągnie wiek średni, w którym przestanie bawić Judytę Trenor i jej gości, a będzie musiała bawić panią Peniston: wiecznie służyć cudzym zachciankom, nigdy nie być w całej pełni sobą.

Odgłos dzwonka u drzwi wejściowych rozległ się wyjątkowo donośnie w pustym domu, podkreślając uczucie bezgranicznej nudy. Gdybyż ten dzwonek był znakiem, że świat jeszcze o niej pamięta, że jej potrzebuje...

Zjawiła się pokojówka i oznajmiła, że ktoś chce się widzieć z panią. - To pani Haffen... i nie chce powiedzieć, jaką ma sprawę do paniąki.

Lily, której to nazwisko nic nie mówiło, otworzyła drzwi do przedpokoju i ujrzała kobietę w zniszczonym kapeluszu. Ze zdziwieniem poznała w niej posługaczkę, która myła schody poprzedniego dnia.

- Czy chcecie się ze mną widzieć? - spytała.

- Chciałabym panience coś powiedzieć - odrzekła kobieta tonem, po którym trudno było domyślić się intencji; nie był zaczepny, nie był też uniżony. Jednakże Lily, tknięta jakimś przeczuciem, skinęła na przybyłą, żeby poszła za nią do salonu i zamknęła drzwi za sobą. W Haffenowej poznała kobietę myjącą schody w „Benedicku”.

- Czego chcecie?

Haffenowa, jak zwykle kobiety z jej sfery, otulona była chustką, ipod której wyciągnęła zawiniątko w brudnej gazecie.

- Mam tu coś, co może chciałaby pani zobaczyć, panno Bart. - Nazwisko jej wymówiła znacząco, jak gdyby fakt, że je znała, był powodem jej przyjścia. W uszach Lily zabrzmiało to jak groźba.

- Czy znaleźliście coś, co należy do mnie? - spytała wyciągając rękę.

Pani Haffen cofnęła się. - Jeśli już o to się rozchodzi, to tak samo jest moje jak panienki.

Lily spojrzała na nią zdumiona. Nie ulegało teraz wątpliwości, że zjawienie się tej kobiety groziło czymś - ale czym? Pomimo swego doświadczenia Lily podobnych sytuacji nie znała, czuła tylko, że czym prędzej musi zakończyć to spotkanie.

- Nie rozumiem; jeśli to nie jest moje, to dlaczego przyszliście do mnie?

Pytanie to wcale nie zbiło z tropu przybyłej. Najwidoczniej miała już gotową odpowiedź, ale jak wszystkie kobiety z ludu, musiała opowiedzieć wszystko po kolei. Dopiero po dłuższej pauzie zaczęła mówić.

- Mój mąż był stróżem w „Benedicku”, ale od pierwszego jest bez pracy.

Lily milczała, więc kobieta ciągnęła dalej.

- Nie z naszej winy! Puścili nas z torbami. Chorowałam zeszłej zimy i cośmy mieli, wszystko poszło na operację, a teraz, że mąż tak długo jest bez zajęcia, to strasznie nam ciężko z dziećmi.

- Bardzo was żałuję - zaczęła Lily uspokojona w swoich obawach - ale jeśli macie mi coś do powiedzenia...

- Zaraz powiem. Kiedy byliśmy w „Benedicku”, co sobota sprzątałam pokoje u panów. Oni dostają tyle listów i papierów, że coś okropnego. Niektórzy panowie upychają to po koszach, albo rzucają na podłogę.

Ale pan Selden, pan Lawrence Selden, był zawsze bardzo uważny i wszystko palił, a w lecie darł w drobne kawałki. Ale czasem tyle tego było, że tylko składał na kupkę i darł przez pół... o, tak jak ten. - Rozwiązała sznurek, wyjęła z paczki list i położyła na stole: list był przedar-

ty na pół, lecz przyłożyła do siebie dwie połówki i wygładziła je ręką.

Lily zadrżała z oburzenia. Zetknęła się z czymś podłym, o czym mówi się szeptem! Nigdy nie przypuszczała, że ją to spotka. Cofnęła

RS



się ze wstrętem, lecz zatrzymało ją nagłe odkrycie: poznała pismo, duże, okrągłe, o męskim na pozór wyglądzie, lecz nie pozbawione cech kobiecej miękkości, a słowa nakreślone ciemnym atramentem na papierze o odcieniu pastelowym zabrzmiały jej w uszach jakby głośno wymówione.

Nie zdawała sobie sprawy z powagi sytuacji. Rozumiała tylko, że leży przed nią list pisany przez Bertę Dorset i adresowany najpewniej do Lawrence'a Seldena. Brak było daty, lecz czerń atramentu dowodziła, że list nie leżał długo. Paczka w ręku Haffenowej zawierała bez wątpienia więcej listów - sądząc z jej grubości - około tuzina. Leżący przed Lily list był krótki, lecz parę słów, które wpadły jej w oczy, zanim się zorientowała, że je czyta, mówiły o długiej historii, historii, nad którą od czterech lat uśmiechano się w salonach i wzruszano ramionami: jeszcze jeden epizod w nie kończącej się komedii ludzkiej. Teraz Lily widziała, jak się to wszystko może skończyć. Świat, w którym żyła, uważał, że mąż jest jedynym sędzią postępowania swojej żony; póki spotykało się z jego aprobatą albo przynajmniej obojętnością, żona była poza wszelkimi podejrzeniami. Lecz w wypadku człowieka o temperamencie Dorseta nie było mowy o przebaczeniu i ten, kto posiadał listy jego żony, mógł ją za jednym zamachem zniszczyć, zniszczyć fundamenty jej egzystencji. I w czyjeż to ręce wpadła tajemnica Bertę Dorset? Ta ironiczna refleksja zabarwiła na chwilę obrzydzenie Lily mimowolnym uczuciem tryumfu. Lecz wstręt wziął górę - instynktowny odruch dobrego tonu, dobrego wychowania i tych podświadomych, odziedziczonych skrupułów moralnych zwyciężył. Poczuli się cała zbrukana, splamiona, sponiewierana.

Cofnęła się, jakby chcąc się znaleźć jak najdalej od swego gościa.

- Nic nie wiem o tych listach i nie rozumiem, dlaczego je do mnie przynosicie.

- Powiem panience, dlaczego - odpowiedziała pani Haffen ze spokojem. - Przyniosłam te listy do sprzedania, bo nie mam innego sposobu, a jeżeli jutro nie zapłacimy komornego, to nas wyrzucą. Nigdy nie robiłam takich rzeczy. I jakby panienka porozmawiała z panem Seldenem albo z panem Rosedale'em - bo widziałam, jak

pani z nim rozmawiała tego dnia, kiedy pani wyszła od pana Seldena, to by może znów przyjął męża do pracy.

Lily zarumieniała się aż po korzonki włosów, słuchając słów Haffenowej. Więc to ją biorą za autorkę tych listów! W pierwszym porywie gniewu chciała zadzwonić i kazać wyrzucić tę kobietę za drzwi. Powstrzymała się od tego, kierowana jakimś niejasnym odruchem. Wzmianka o Seldenie zmieniła bieg jej myśli. Mniejsza o Bertę Dorset - jej listy mogły pójść, gdzie je los zanieśie, ale wplątany był w tę sprawę Selden! Na pewno chciałby, żeby te listy od Haffenowej odebrać! A więc musi je odebrać, rzecz prosta. O niczym innym nie myślała. Przez moment widziała, jak oddaje te listy Bercie Dorset i co na tym zyskuje, lecz myśl ta odsłoniła przed nią otchłań, znad której cofnęła się ze wstydem.

Tymczasem Haffenowa widząc jej wahanie pospiesznie rozwinięła paczkę i rozłożyła na stole jej zawartość. Wszystkie listy zlepione były ze sobą cienką bibułą, niektóre przedarte na pół, inne w drobniejszych fragmentach. Lily przebiegła je wzrokiem, łowiąc pojedyncze słowa tu i ówdzie, potem spytała cicho: - Ile chcecie?

Kobieta zaczerwieniła się z zadowolenia. Panienska była porządnie nastraszona! Przewidując łatwe zwycięstwo wymieniła ogromną sumę.

Lecz panna Bart okazała się trudną zdobyczą. Odmówiła zapłacenia żądanej kwoty i po chwili wahania zaproponowała jej połowę. Haffenowa zeszywniała. Wyciągnęła rękę po listy i składając je powoli zrobiła ruch, jakby chciała je na powrót zapakować w gazetę. - Przypuszczam, że są więcej warte dla pani niż dla mnie, biedny człowiek też musi żyć, nie tylko człowiek bogaty - zauważyła sentencjonalnie.

Serce Lily biło ze strachu, lecz słowa posługaczki wzmocniły jej upór. - Mylicie się - rzekła obojętnie. - Ofiaruję za te listy, ile mogę, ale znajdą się inne sposoby, żeby je dostać.

Haffenowa spojrzała podejrzliwie; dobrze wiedziała, że proceder, którym się zajęła, krył w sobie tyle samo niebezpieczeństw, co zysków, a ta pewna siebie pannica mogła się porządnie dobrać człowiekowi do skóry.

Przytknęła róg swojej chusty do oczu i mruczała spoza tej chusty, że nie trzeba znęcać się nad biednymi, że nigdy w życiu nic podobnego nie robiła i przysięga na wszystkie świętości, że razem z mężem postanowili nigdzie dalej z tymi listami nie chodzić.

Lily stała sztywno wyprostowana i tak daleko od posługaczki, jak mogła nie podnosząc głosu. Nieznośne były te targi, wiedziała jednak, że jeśli Haffenowa dostrzeże w niej wahanie, to wróci do swego pierwotnego żądania.

Nigdy potem nie mogła sobie przypomnieć, jak długo trwał ten pojedynek na słowa i co ostatecznie zdecydowało, że listy przeszły w jej posiadanie; wiedziała tylko, że wreszcie drzwi się zamknęły i została sama z paczką listów w ręku.

Nie miała najmniejszego zamiaru ich czytać; nawet odwiniecie brudnej gazety wydało jej się czymś poniżającym. Ale co z tymi papierami zrobić? Odbiorca listów chciał je zniszczyć - obowiązkiem jej było postąpić zgodnie z jego zamiarem. Lecz jak to zrobić, żeby ponownie nie wpadły w czyjeś niepowołane ręce? Kominek pani Peniston ział ponurą czernią, ogień palił się tutaj tylko, kiedy byli goście.

Lily skierowała kroki ku drzwiom, żeby pójść do siebie, gdy usłyszała trzask otwieranych drzwi wejściowych i do salonu weszła ciotka.

Pani Peniston była niską i dość otyłą kobietą o zwiędłej twarzy porysowanej zmarszczkami i starannie ułożonych siwych włosach. Ubierała się również z wielką dbałością, ale zawsze robiła wrażenie, że ma na sobie bardzo stare rzeczy, z innej epoki, czarne, obcisłe i błyszczące. Już do śniadania wkładała suknię przybraną dżetami i wąskie, opinające kostkę buciki i wyglądała jak spakowana i gotowa do drogi - choć nigdzie nie wyjeżdżała.

Rozejrzała się badawczo po salonie. - Zajeżdżając przed dom zauważyłam światło spod jednej rolety. To niewiarygodne, że też tej kobiety nie można nauczyć dokładności - zamruczała pod nosem.

Poprawiła niedokładnie spuszczoną roletę i usiadła w jednym z błyszczących purpurowych foteli. Zawsze siadała sztywno wyprostowana. - Moja kochana - zwróciła się do Lily - wyglądasz, jakbyś była zmęczona. Myślę, że to ślady podniecenia po weselu. Cornelia

van Alstynne dużo mi opowiadała. Nie podobały jej się suknie drухen. Dowiedziała się od Julii Melson, że kupione były po trzysta dolarów każda, lecz podobno wcale na to nie wyglądały. Cieszę się, że postanowiłaś nie być drухną, w kolorze różowym nie byłoby ci do twarzy

Wstała nagle, podeszła do kominka, gdzie na gzymsie pomiędzy dwoma wazami z malachitu stał staroświecki zegar z figurą Minerwy w zbroi. Przesunęła koronkową chusteczką pomiędzy hełmem a przyłbicą Minerwy. - Byłam pewna, że pokojówka nigdy tam nie ściera kurzu! - zawołała triumfalnie, pokazując mikroskopijny pyłek na chusteczce, i usiadłszy na powrót w fotelu ciągnęła: - Według Molly najlepiej ubraną kobietą na ślubie była pani Dorset. Podobno ubierasz się teraz u jakiegoś nowego krawca w Paryżu, który nie przyjmuje obstalunku, jeśli klientka nie spędzi z nim dnia w jego willy w Neuilly, chce dobrze się przyjrzeć osobie i przestudiować ją w jej życiu prywatnym, wyobraź sobie! Czy to nie dziwne? Ale Molly usłyszała, to z ust samej pani Dorset. Podobno willa jest prześlicznie urządzona aż przykro jej było odjeżdżać. Molly mówi, że nigdy nie była tak uroczą, wesołą i ożywioną. Chwaliła się, że to ona doprowadziła do skutku zaręczyny Ewuni van Osburgh z Percym Gryce'em. Mówią, że zaczyna się interesować tym niemądrym Nedom Silvertonem, któremu zawróciła w głowie Carry Fisher i który tak hazarduje się w karty. Pani Dorset zaprosiła do siebie Ewunię i Percy'ego Gryce'a, i stąd ten ślub. Matka Ewy jest w siódmym niebie, bo już prawie traciła nadzieję, że wyda za mąż tę najmłodszą córkę.

Pani Peniston przeniosła spojrzenie z mebli, które lustrowała wzrokiem, na siostrzenicę. - A wiesz, że Cornelia była tym naprawdę zdumiona. Słyszała, że to ty miałaś wyjść za młodego Gryce'a. Ktoś jej nawet mówił, że byliście zaręczeni i że kiedy pewnego ranka pan Gryce zniknął to wszyscy myśleli, że pojechał do miasta po pierścionek. - Lily wstała i skierowała się ku drzwiom. - Ciocia ma rację, jestem zmęczona i chyba się położę. - Pani Peniston z roz-targnieniem przyjęła jej pocałunek. Uwagę jej przykuły sztalugi z nie dokończonym portretem nieboszczyka pana Penistona; stały krzywo w stosunku do kanapy pod przeciwległą ścianą.

Znalazłszy się u siebie, Lily zapaliła lampę gazową i spojrzała na kominek. Podobnie jak w salonie, błyszczał wypolerowanym mosiądzem, ale łatwiej było spalić tu papiery nie narażając się na niezadowolone ciotki. Lecz nie spieszyła się. Rzuciwszy się na krzesło, znużonym wzrokiem obiegała pokój. Był obszerny i wygodny, lecz w porównaniu do tych jasnych i ze zbytkiem urządzonych apartamentów, w których Lily spędzała po tyle tygodni w roku, zdawał się ponury jak więzienie. Olbrzymia szafa i łóżko z czarnego orzecha przywędrowały z sypialni nieboszczyka Penistona. Lily próbowała poprawić nastrój tego pokoju toaletką przybraną koronkami i małym, malowanym sekretarzykiem, nad którym powiesiła na ścianie fotografie, lecz wystarczyło rozejrzeć się po pokoju, by stwierdzić bezowocność tych usiłowań. Jakież kontrast z subtelną elegancją, o jakiej marzyła! Z wytwornością, która przewyższałaby wszystkie znane jej wnętrza, która byłaby wyrazem jej zmysłu estetycznego i wybrednego smaku - a w tym nikt nie mógł jej dorównać!

Ciotka nie powiedziała jej nic nowego, ale przypomniała Bertę Dorset - uśmiechniętą, otoczoną pochlebstwami, zwycięską, kpiącą z Lily za pomocą aluzji, które każdy w jej małym kółku doskonale rozumiał. Ośmieszała ją, i to było najboleśniej. Śmieszność zabija! Lily dobrze wiedziała, że świat niszczył swoje ofiary bez przelania kropli krwi. Policzki jej pały na tę myśl; wstała i chwyciła paczkę listów. Nie, nie zniszczy ich! Słowa pani Peniston przeżarły jej duszę.

Podeszła do swego sekretarzyka, zapaliła świece i obwiązawszy pukiet listów, zapieczętowała je lakiem. Następnie otworzyła szafę i zamknęła listy w szkatułce. O ironio! - pomyślała. - Możliwość kupienia tych listów zawdzięczała Gusowi Trenorowi.

Monotonnie wlokły się dni jesienne. Panna Bart otrzymała parę liścików od Judyty Trenor z wyrzutami, że jej nie odwiedza w Bel-lomont, na które odpowiedziała wymijająco, tłumacząc, że musi zostać przy ciotce. Towarzystwo ciotki nudziło ją i jedynym zabawniejszym zajęciem było wydawanie nowo zdobytych pieniędzy. Pieniądze, jak wiadomo, szybko przychodzą, szybko się roz-chodzą. Lily wiedziała to od dzieciństwa. Odkładanie części dochodów na pewno było godne polecenia, ale cóż mogło grozić temu, kto tego nie robił? Cieszyła ją myśl, że przynajmniej przez parę miesięcy będzie niezależna od swoich przyjaciółek, że będzie mogła pokazywać się wśród ludzi bez obawy, że ktoś rozpozna na niej starą, przerobioną suknię Judyty Trenor.

Pewnego dnia wychodząc ze sklepu, gdzie spędziła godzinę nad dużym, pięknym i kosztownym neseserem z przyborami toaletowymi, spotkała pannę Farish, która tam przyszła z błahą naprawą zegarka. Lily postanowiła, że neseser kupi dopiero po zapłaceniu rachunku u krawcowej i dumna była z tej decyzji. Ponieważ w nastroju zadowolenia z siebie zawsze miała więcej względów dla innych, natych-miast spostrzegła przygnębienie swojej przyjaciółki. Okazało się, że Gerty Farish wracała właśnie z zebrania komitetu jakiejś instytucji fi-lantropijnej, która postawiła sobie za cel stworzenie pewnego rodzaju klubu dla młodych kobiet pracujących w biurach i kantorach, klubu z biblioteką i innymi rozrywkami, a nawet pokojami gościnnymi dla

potrzebujących chwilowego schronienia. Niestety, roczny bilans instytucji okazał się niekorzystny, po roku istnienia stwierdzono, że kasa świeci pustkami, i to było powodem przygnębienia Gerty. Jej opowiadania o różnych „przypadkach”, historie niedoli i tragedii młodych kobiet, którymi się opiekowała, nudziły zazwyczaj Lily, lecz dziś, dzięki jej żywej wyobraźni, skłonnej zawsze do dramatyzowania, ujrzała nagle siebie samą żyjącą takim życiem jak one i na moment zdrętwiała z przerażenia. Wyjęła małą złotą portmonetkę i wsunęła w dłoń panny Farish dar dla tych, którym los nie sprzyja. Kierując się dość dziwną logiką pomyślała, że ten wielkoduszny gest okupi jej rozrzutność w ubiegłych, a może i przyszłych latach. Zdumienie i wdzięczność panny Farish upewniły ją w tym uczuciu. Urosła we własnych oczach, choć była przekonana, że dobre samopoczucie zawdzięcza swej altruistycznej naturze.

Wkrótce po tym spotkaniu Lily otrzymała zaproszenie, by spędzić tydzień w górach Adirondack. Zaprosiła ją osoba o niepewnym pochodzeniu i wygórowanych ambicjach towarzyskich, którą dotychczas Lily starannie omijała - pani Wellingtonowa Bry (mąż jej znany był na giełdzie i w kołach sportowych jako Welly Bry). Ale czy to ważne, kto urządza przyjęcie? Byleby było udane. Taki pogląd głosiła Carry Fisher i Lily w swojej obecnej sytuacji całkowicie się z tym zgadzała. Pani Bry z determinacją poświęciła już jednego męża i parę innych rzeczy, by w hierarchii towarzyskiej wspiąć się jak najwyżej. Nawiązawszy znajomość z Carry Fisher, bardzo sprytnie oddała się całkowicie pod jej komendę, organizując towarzyską wyprawę w góry. Najpewniej i najlepiej wprowadza ludzi w progi wielkiego świata posiadanie dobrego kucharza - tak brzmiała pierwsza rada doświadczonej Carry, która na rozrywki również nie żałowała pieniędzy (tym łatwiej, że były cudze). W rezultacie goście państwa Bry byli zadowoleni, oni sami zaś mieli satysfakcję figurowania w kronice towarzyskiej obok paru innych rzucających się w oczy nazwisk, z których pierwszym było oczywiście nazwisko panny Bart. Traktowano ją z należnym szacunkiem. Zachwyty pani Bry były dla Lily jak lustro, w którym jej zadowolenie z siebie odzyskało dawne kształty.

Żaden owad nie buduje gniazda z nici tak cienkich i kruchych jak te, które podtrzymują ludzką próżność. Poczucie własnego znaczenia wśród tych nic nie znaczących ludzi wystarczyło, by przywrócić Lily przyjemną świadomość własnych możliwości. Po spacerach na świeżym powietrzu, powodujących szybkie krążenie krwi, wróciła do miasta odmłodzona i ze ślicznymi kolorami na policzkach. Patrzyła w przyszłość znowu pełna bliżej nieokreślonych nadziei; dobry nastrój, jak wezbrana fala, uniósł daleko wszystkie niepokoje.

W parę dni po powrocie do miasta nieprzyjemnie zaskoczyła ją wizyta pana Rosedale'a.

Lily miała bliżej nie określone przekonanie, że jego osoba łączy się w jakiś sposób ze spekulacjami na giełdzie, tak dla niej szczęśliwymi, i próbowała przyjąć go zgodnie z jego oczekiwaniami, lecz okazywał jej swoją sympatię w sposób, który ją mroził; zdawała sobie sprawę, że każdy dalszy krok w ich znajomości był z jej strony błędem.

Pan Rosedale, usadowiwszy się prędko w wygodnym fotelu, popijał herbatę z miną pełną zastrzeżeń. - Powinna pani udać się do mojego dostawcy po coś naprawdę dobrego - zauważył nie dostrzegając rezerwy i sztywności panny Bart. Być może właśnie jej chłód podniecał w nim namiętne pragnienie posiadania tego, co rzadkie i niedostępne. W każdym razie nie okazywał żadnej urazy i starał się na własną rękę nadać rozmowie lekkość i naturalność.

Celem jego wizyty było zaproszenie Lily do swej łoży na otwarcie sezonu operowego. - Będzie pani Fisher - dodał widząc jej wahanie. - Zamówiłem również pani bardzo oddanego wielbiciela, a ten nigdy mi nie wybaczy, jeśli pani nie przyjdzie. - Dla wyjaśnienia dodał z poufnym uśmiechem: - Gus Trenor obiecał specjalnie przyjechać do miasta. Przypuszczam, że pojechałby o wiele dalej, żeby panią zobaczyć.

Panna Bart poczuła głuchy gniew, słysząc swoje nazwisko łączone z Trenorem; w ustach Rosedale'a brzmiało to szczególnie nieprzyjemnie.

- Trenorowie to moi najbliżsi przyjaciele i wszyscy pojechalibyśmy nawet bardzo daleko, żeby się zobaczyć - odparła zajęta parzeniem nowej porcji herbaty.



Uśmiech gościa stawał się coraz poufalszy. - No, nie myślałem w tej chwili o pani Trenor.. Mówią, że i Gus nie zawsze myśli o żonie. - Powiedziawszy to poczuł, że posunął się za daleko, i zmienił temat rozmowy. - A propos, jak pani sprzyja szczęście na giełdzie? Słyszałem, że w zeszłym miesiącu Trenor zebrał dla pani niezłą sumkę.

Lily nagłym ruchem odstawiła imbryczek. Czuła, że ręce jej drżą, więc złożyła je na kolanach i mocno zacisnęła, lecz usta jej również drżały i przez chwilę obawiała się, że drżenie udzieli się jej głosowi. Kiedy jednak zaczęła mówić, głos jej zabrzmiał pewnie. - Miałam istotnie trochę pieniędzy, a pan Trenor - mój doradca w takich wypadkach - namówił mnie nakupno akcji. Agent mojej ciotki chciał, bym ulokowała

pieniądze na hipotecę. - I lekkim tonem dodała: - No i dopisało mi „szczęście”, jak pan mówi. Panu ono też zawsze sprzyja, prawda?

Zniknęła gdzieś jej sztywność, nieuchwytną zmianą tonu i zachowania dopuszczała niemiłego gościa o krok bliżej do zażyłości. W takich chwilach dodawał jej sił instynkt samoobrony. Nie pierwszy też raz skorzystała ze swojej urody, by odwrócić uwagę od niemiłych tematów.

Przyjęła zaproszenie do opery. Pan Rosedale wyszedł przekonany, że swoim zachowaniem znacznie powiększył własne szanse u panny Bart. Zawsze uważał, że ma sposób na kobiety i nie brakuje mu w tym niezbędnej delikatności. Szybkość, z jaką „przywołał do porządku” (tak to ujmował) pannę Bart, potwierdziła jego zaufanie we własne siły, dowiodła mu raz jeszcze, że posiada talent poskramiania „płoczej płci”.

To, że panna szybko porzuciła sprawę transakcji z Trenorem, dowodziło słuszności jego podejrzeń. Była najwyraźniej przestraszona, a pan Rosedale, gdyby nie miał innego sposobu zdobycia jej życzliwości, nie pogardziłby wykorzystaniem tego przestachu.

Istotnie, zostawił Lily przejętą wstrętem i lękiem. Czy to możliwe, żeby Trenor mówił o niej z Rosedalem? Nieprawdopodobne! Mimo wszystkich swoich wad był to przecież dżentelmen! Głęboko wpojona tradycja dobrych obyczajów działała w nim niemal jak instynkt. A jednak ze skurczem serca Lily przypomniwała sobie słowa Judy Tre-

nor, że bywają chwile w życiu każdego mężczyzny, kiedy „plecie głupstwa”. Widocznie Trenor przy takiej okazji wypaplał wszystko! Odzyskawszy równowagę pomyślała, że wystarczy trochę pochlebstw i od czasu do czasu przyjęcie zaproszenia, aby Rosedale stał się nieszkodliwy. Ukazanie się w jego łoży w operze to konieczność! A jeśli Judyta Trenor obiecała przyjmować go tej zimy, to ona, Lily Bart, wykorzysta swoją przewagę; trudno - kto pierwszy, ten lepszy!

Przez parę dni po wizycie Rosedale'a Lily gnębiła świadomość jej zależności od Trenora. Niewątpliwie zdobył jakieś prawa, ale jakie? Gdybyż mogła wiedzieć dokładniej o naturze jego „transakcji”! Lecz zrozumienie machinacji giełdowych przerastało jej siły, a cyfry zawsze były dla niej zagadką.

W wieczór otwarcia sezonu operowego była jednak wolna od wszelkich obaw do tego stopnia, że widok rumianego oblicza Trenora, którego nie widziała od dnia ślubu u van Osburghów, sprawił jej prawdziwą przyjemność. Pokazać się światu u boku Rosedale'a w okolicznościach tak rzucających się w oczy nie było przyjemne; wielką ulgą była obecność kogoś o tak wysokiej pozycji towarzyskiej jak Trenor. Lily, podniecona jak zwykle możliwością pokazania w miejscu publicznym swojej urody, podkreślonej wyjątkowo pięknym strojem, czuła na sobie uparty wzrok tego mężczyzny, lecz przyjmowała jego spojrzenia jako część ogólnego hołdu - budziła powszechny zachwyt i wiedziała o tym dobrze. Ach, jak przyjemnie być młodą i piękną, świadomą sprężystości własnego ciała, gładkości cery, tego szczególnego blasku i uroku, którym góruje się ponad tłumem, jak w sferze umysłu góruje nad tłumem geniusz!

Rozkoszy tej chwili nie zatruwała prozaiczna myśl, że jej wspinał wieczorową toaletę opłacił pan Gus Trenor. Ten jednak nie był aż tak poetycznie usposobiony, by o tym zapomnieć. W czasie antraktu zwrócił się do niej w głębi łoży bez żadnych wstępów: - Słuchaj no, Lily, kiedy ja cię wreszcie zobaczę? Zdaje się, że zupełnie zapominasz o moim istnieniu, chyba że chcesz coś ode mnie wy dostać. - I dodał tonem nachmurzonego władcy: - Dlaczego właściwie nie moglibyśmy wybrać się gdzieś... jak wtedy w Bellomont, kiedy

spotkałem cię na dworcu? - Mówiąc to nachylił się tak blisko, że Lili poczuła, jak bił od niego zapach tłumaczący ciemny rumieniec na jego twarzy. Na myśl, że szorstka odpowiedź mogłaby wywołać niepożądany wybuch, Lily pohamowała się i pokonując wstręt, jaki ją ogarnął, odparła ze śmiechem: - Doprawdy nie wiem, jak można wiejską przejażdżkę bryczką odbyć w mieście! Ale przecież nie zawsze jestem otoczona tłumem wielbicieli i jeśli mnie pan zawiadomisz, którego popołudnia zamierzasz przyjść do mojej ciotki, to obiecuję, że będziemy mogli pogawędzić swobodnie.

- Zbyłaś mnie taką samą obietnicą na weselu u van Osburghów. Po prostu teraz, kiedy otrzymałaś ode mnie to, czego chciałaś, wolisz mieć przy sobie kogoś innego. - Przy ostatnich słowach podniósł głos, a Lily zarumieniła się z gniewu. Pohamowała się ponownie, chcąc pozostać panią sytuacji i położyła mu dłoń na ramieniu.

- Nie bądźże szalony, Gus. Nie mogę pozwolić, żebyś mówił do mnie w ten śmieszny sposób. Jeżeli naprawdę chcesz się ze mną widzieć, to możemy spotkać się któregoś dnia w parku. Będziemy spacerować i karmić wiewiórki, i pływać łódką po stawie.

Mówiła to z uśmiechem i spojrzeniem, które łagodziło drwiący ton jej głosu i sprawiło, że Trenor stał się nagle uległy jak baranek.

- Dobrze... Przyjdiesz jutro? Jutro o godzinie trzeciej w głównej alei... na samym końcu? Będę punktualny; pamiętaj nie każ mi czekać na próżno, błagam cię, Lily!

Szczyściem dla panny Bart dalszej rozmowie przeszkodziło wejście do łoży Dorseta. Nie należał on do mężczyzn łatwo objawiających podziw; jego długa szara twarz i oczy o nieufnym spojrzeniu były jak zabarykadowane przed wszelkimi zewnętrznymi oznakami wzruszenia. Lecz gdy chodziło o jej wpływ na innych, intuicja nigdy Lily nie zawiodła. Wskazując Dorsetowi miejsce obok siebie była pewna, że sprawia mu przyjemność. Niewiele kobiet zadawało sobie trud, żeby się Dorsetowi podobać, a Lily była dla niego w Bellomont bardzo miła i teraz także przyjęła go czarującym uśmiechem.

- A więc znowu czeka nas sześć miesięcy tego hałasu i wrzasku!  
- poskarżył się żalonym głosem. - Różnica między tym sezonem

a ubiegłym jest tylko taka, że panie mają nowe stroje. Bo śpiewacy nie mają nowych głosów. Moja żona, która jest muzykalna, jak pani wie, każe mi przechodzić taki kurs każdej zimy. Pół biedy, kiedy jest włoska opera, bo jest czas na strawienie obiadu, ale jak dają Wagnera, musimy połykać obiad w pośpiechu i ja za to pokutuję. A potem te przeciągi tutaj... Ale prawda... przyszedłem, żeby powiedzieć, że moja żona zaprasza panią do nas na przyszłą niedzielę. Na miłość boską, niech pani nie odmawia! Będzie miała u siebie całą gromadę nudziarzy - tak zwanych intelektualistów - to jej nowy kaprys, a ja nie jestem pewny, czy to nie gorsze od muzyki. Noszą długie włosy i zaczynają dyskutować już przy zupie... Przeprowadza ich do nas ten osioł Silverton... pisze wiersze, jak pani wiadomo, i bardzo się zaprzyjaźnił z Bertą. Co prawda, ona, gdyby chciała, mogłaby pisać lepsze, moim zdaniem.

To zastanawiające zaproszenie sprawiło Lily prawdziwą przyjemność; oznaczało wiele. Od czasu epizodu z panem Gryce'em ukryta niechęć rozdzielała obydwie kobiety. Teraz Lily stwierdziła ze zdumieniem, że nie czuje już pragnienia zemsty. Malajskie przysłowie mówi: „Jeśli chcesz przebaczyć swemu wrogowi, to najpierw wyrządź mu krzywdę”. Lily doświadczyła na sobie prawdy tych słów. Gdyby zniszczyła listy pani Dorset, nienawidziłaby jej w dalszym ciągu; fakt, że te listy były w jej rękach, całkowicie zaspokoił pragnienie odwetu.

Z uśmiechem przyjęła zaproszenie, widząc w ponownym nawiązaniu stosunków z Dorsetami możliwość ucieczki od natręctwa Trenora.

Wakacje minęły i sezon w Nowym Jorku zaczął się na dobre. Wieczorami potok powozów płynął przez Fifth Avenue do modnych dzielnic dokoła Central Parku, gdzie oświetlone okna i ozdobny daszek rozpięty nad wejściem świadczyły, że dom otwarty jest dla gości. Boczne dopływy głównego nurtu niosły tłumy do teatrów, restauracji i opery i pani Peniston umiała - sądząc z docierających do jej okna odgłosów - bezbłędnie powiedzieć, czy van Osburghowie wydają bal, czy też wzmocniony turkot kół znaczy, że skończyło się przedstawienie w operze i zaczyna się przyjęcie u Sherry'ego.

Tego roku pani Peniston orzekła, że sezon „zapowiada się marnie” dla wszystkich z wyjątkiem państwa Bry'ów i pana Simona Rosedale'a. Jesień przyniosła krach na giełdzie. Nawet niezależne od rynku fortuny ucierpiały pośrednio i modny świat nudził się w swoich wiejskich rezydencjach lub przyjeżdżał do miasta *incognito*; ustały wielkie zabawy, zaczęły wchodzić w modę małe zebrania towarzyskie i krótkie obiady.

Kiedy większość ludzi ponosi straty, ten, kto się bogaci, zwraca na siebie zawistną uwagę. Na Wall Street mówiono, że Welly Bry i Rosedale odkryli tajemnicę sukcesu, zwłaszcza ten ostatni. Podobno podwoił swój majątek; krążyły pogłoski, że kupuje świeżo wykończony dom jednej z ofiar krachu. Chodziło o człowieka, który kiedyś w krótkim czasie zarobił tyleż milionów dolarów, ile ostatnio stracił; wybudował sobie wówczas wspaniałą rezydencję na Fifth

Avenue, zapełnił galerię dziełami starych mistrzów, a teraz został cichaczem wywieziony z kraju wraz z płatną pielęgniarzką i lekarzem. Jego dzieła starych mistrzów wierzyliście otoczyli strażą, a ludzie, których podejmował u siebie, twierdzili teraz, że przychodzili na obiady jedynie po to, by oglądać obrazy. Pan Rosedale postanowił, że jego kariera będzie swoim charakterem mniej przypominać meteor. Nastrój ogólnego przygnębienia stwarzał mu niezwykłą sposobność zabłyśnięcia na horyzoncie towarzyskim, do czego zaczął się przygotowywać z właściwą sobie cierpliwością i namysłem. Na początku ogromne usługi oddała mu pani Fisher. Wprowadziła już ona w wyższe sfery tyłu nowobogackich, że można było porównać ją do jakiegoś elementu dekoracji teatralnej, po którym doświadczony widz bezbłędnie zgadywał, co się będzie działo na scenie. Lecz pan Rosedale wolał na dłuższą metę mieć dla siebie tło mniej ograne. Był wrażliwy na takie odcienie, o co panna Bart nigdy by go nie posądziła, gdyż maniere jego się nie zmieniły. On zaś coraz jaśniej widział, że właśnie panna Bart posiadała zalety, którymi skutecznie mogłaby uzupełnić jego towarzyskie „ja”.

Oczywiście takie rzeczy nie mieściły się w polu widzenia pani Peniston, dla której świat był panoramą przedstawiającą tylko szczegóły pierwszego planu; lepiej wiedziała, gdzie Carry Fisher znalazła kucharza dla Bry'ów, niż to, co się działo z jej własną siostrzenicą. Nie brakowało wszakże dostawców wiadomości. Umysł jej kuzynki, Grace Stepney, niby lep na muchy, wyłapywał każdą plotkę i trzymał w więzach nieubłaganej pamięci.

Lily byłaby zdumiona, gdyby wiedziała, ile drobnych faktów dotyczących jej osoby Grace Stepney ma w pamięci. Grace nie była z natury złośliwa i nie czuła żadnej niechęci do Lily, ale myślała, że Lily jej nie lubi. Nawet ta odrobina uprzejmości, jaką Lily okazywała panu Rosedale'owi, byłaby jej zjednała pannę Stepney na całe życie, lecz skądże Lily mogła wiedzieć, że warto zabiegać o taką przyjaciółkę?

Pani Peniston nie lubiła wydawać proszonych obiadów, miała jednak wysokie poczucie obowiązków rodzinnych i gdy Jackowie

Stepneyowie powrócili z podróży poślubnej, uważała za swój obowiązek zapalić lampy w salonie i wydobyć najlepsze srebra stołowe z ukrycia, w którym spoczywały przez długie miesiące. Oznajmiła też niebacznie swojej kuzynce Grace, że ponieważ obiad będzie zebraniem rodzinnym, to ona też weźmie w nim udział.

Przez cały tydzień perspektywa ta rozjaśniała bezbarwną egzystencję panny Stepney, po czym dano jej do zrozumienia, że lepiej będzie, jeśli przyjdzie jakiegoś innego dnia. Panna Stepney wiedziała dokładnie, co zaszło. To Lily, dla której obiady rodzinne były śmiertelnie nudne, przekonała ciotkę, że towarzystwo osób „interesujących” o wiele bardziej przypadnie do gustu młodej parze. Pani Peniston w sprawach towarzyskich polegała ślepo na swojej siostrzenicy. Ostatecznie Grace mogła przyjść każdego innego dnia; dlaczego miałyby się obrazić, że ją teraz pominięto.

Właśnie dlatego, że Grace mogła przyjść byle kiedy - wszyscy wiedzieli, że wieczory ma nie zajęte - pominięcie jej w uroczystym obiedzie rodzinnym legło ponurym cieniem na jej duszy. Nie wątpiła, że ma to do zawdzięczenia Lily, i głucha niechęć do kuzynki zamieniła się w otwartą zawziętość.

W parę dni po owym obiedzie odwiedziła swoją kuzynkę. Pani Peniston, która umiała połączyć robotę szydełkową z obserwacją tego, co się dzieje na Fifth Avenue, słuchając jej odłożyła nagle robótkę. - Co ty mówisz, Grace! - krzyknęła i tak zbladła, że Grace przestraszyła się. - Lily i Gus Trenor?

- Och, kuzynko Julio... ja, oczywiście, nie sądzę...

- Nie wiem, co sądzisz - odparła pani Peniston drżącym, piskliwym głosem. - Za moich młodych lat nikt nigdy o niczym podobnym nie słyszał. Nie wiem, czy dobrze cię zrozumiałam - ludzie mówią, że on się w niej kocha?

Zgroza pani Peniston była szczerą. Zawsze dobrze wprowadzona w tajniki kroniki towarzyskiej, zachowała mimo to niewinność pensjonarki, która uważa, że skandale, o jakich czyta w romansach, nie mogą się zdarzyć w najbliższym sąsiedztwie. Miała wyobraźnię okrytą pokrowcem jak mebel w salonie. Zdawała sobie sprawę, że „towa-

rzystwo" się zmieniło, przedyskutowała nawet sprawę rozwodów ze swoim księdzem rektorem i chwilami rada była, że Lily nie wyszła jeszcze za mąż, ale na myśl, że imię młodej dziewczyny może być związane z nazwiskiem człowieka żonatego, ogarnęła ją zgroza.

Panna Stepney uśmiechnęła się w odpowiedzi na pytanie kuzynki. Taka nieznajomość świata doprawdy budzi litość!

- Ludzie zawsze mówią rzeczy przykre, a że Lily się afiszuje - to fakt. Ktoś ją widział niedawno z Trenorem... w parku... i to późno, przy zapalonych latarniach...

- Lily się afiszuje? Co ludzie mówią? Że on zamierza się rozwieść z żoną i ożenić z Lily?

- O nie. On tego nie zrobi... to tylko flirt, nic więcej!

- Flirt? Między moją siostrzenicą a człowiekiem żonatym? Czy chcesz mi wmówić, że Lily ze swoją urodą i swoimi zaletami traci czas dla tego opasłego durnia, który mógłby być jej ojcem?

- Kiedy właśnie mówi się, że ona wcale nie traci czasu! Ktoś tak pięk-

ny i czarujący jak Lily nie zajmowałby się takim Trenorem, gdyby...

- Gdyby co? - powtórzyła pani Peniston.

Przyjemnie było podrażnić panią Peniston, ale nie do tego stopnia, żeby wprowadzić ją w gniew. Skończyłyby się zaproszenia na obiady i podarunki w postaci znoszonych sukien. Lecz nienawiść do Lily przeważyła w pannie Stepney wzgląd na osobiste korzyści - i przynosi to zaszczyt jej płci. Pani Peniston wybrała złą chwilę na zachwalanie wdzięków siostrzenicy.

- Gdyby... - szepnęła Grace pochylając się naprzód - gdyby uprzejmość dla Trenora nie przynosiła materialnych zysków.

Pani Peniston ponownie odłożyła na bok robótkę. Cała sprawa ukazała jej się teraz w innym świetle. Czyżby uboga krewna miała prawo szarpać jej nerwy?! - Jeśli sprawia ci przyjemność irytowanie mnie podobnymi insynuacjami - rzekła zimno - to mogłabyś przynajmniej wybrać odpowiedniejszą porę. Wiesz, jak mnie wyczerpało to przyjęcie wydane dla rodziny. Muszę teraz odpocząć!

Wzmianka o rodzinnym obiedzie, na który nie została zaproszona, rozproszyła ostatnie skrupuły panny Stepney. - Czy kuzynka na-



prawdę sądzi, że mówienie takich rzeczy sprawia mi przyjemność?

- powiedziała hamując złość. - Jako członek rodziny sądziłam, że powinnam powiedzieć, co ludzie mówią o naszej Lily.

- Właściwie jeszcze nie powiedziałaś, co mówią.

- Nie przypuszczałam, że będę musiała postawić kropkę nad i. Mówi się, że Gus Trenor płaci rachunki Lily.

- Płaci jej rachunki? - Pani Peniston wybuchnęła śmiechem. - A gdzie ty mogłaś słyszeć podobne idiotyzmy! Lily ma własne dochody... a ja jestem dla niej bardzo szczodra...

- O, wiemy o tym wszyscy - przerwała panna Stepney sucho. Ale Lily ma wspaniałe stroje...

- Lubię, żeby była dobrze ubrana... tak być powinno.

- Zgadza się. Ale ma prócz tego długi karciane.

- Długi karciane? - Głos pani Peniston zadrżał z gniewu, oburzenia i przerażenia. Czyżby Grace Stepney postradała zmysły? - Co to znaczy długi karciane? Kto ci powiedział, że moja siostrzenica gra w karty o pieniądze?

- Na miłość boską, niech kuzynka nie patrzy na mnie tak, jakbym chciała nastawić ją przeciwko Lily. Wszyscy wiedzą, że ona przepada za brydżem. Pani Gryce sama mi powiedziała, że namiętność Lily do kart odstraszyła od niej Percy'ego... zdaje się, że był naprawdę zakochany... Wszyscy grają w karty o pieniądze, toteż ludzie skłonni są przebaczyć Lily...

- Przebaczyć co?

- To, że bywa w kłopotach... i że przyjmuje atencje od takich mężczyzn jak Gus Trenor... Mówią, że Judyta Trenor poróżniła się z nią z tego powodu... Ale przykro mi, że to wszystko powiedziałam. .. chociaż zrobiłam to z dobrego serca.

Naiwne niedowiarstwo pani Peniston sprawiło, że pożegnała swoją kuzynkę z pogardą. Lecz umysły niedostępne dla argumentów rozumowych mają zazwyczaj jakąś szczelinę, przez którą łatwo przenika podejrzenie, by pozostać tam na długo.

Pani Peniston nie cierpiała scen i dlatego starała się nie wnikać głębiej w życie i obyczaje swojej siostrzenicy. Za jej młodych lat

dziewczęta nie potrzebowały ścisłego nadzoru. Trafiały się oczywiście panny „płochę”, ale przypisywano im „nadmiar temperamentu”, i najpoważniejszy zarzut, jaki mogły usłyszeć, to to, że nie są „wytworne”. Lecz płochy panien nowoczesnych była jednoznaczna z niemoralnością, a myśl o niemoralności była dla pani Peniston nie do przyjęcia, jak kuchenne zapachy w salonie.

Nie zamierzała na razie powtórzyć Lily tego, co usłyszała, lecz w duszy jej zrodziła się uraza do siostrzenicy. Jak młoda dziewczyna może dopuścić do tego, by o niej mówiono! Okropność!

RS

Panna Bart istotnie błędziła po manowcach i nikt lepiej od niej nie zdawał sobie z tego sprawy; jakiś fatalizm kierował jej krokami od jednego zakrętu do drugiego i właściwą drogę spostrzegła za późno.

Wizyta Lily u Dorsetów zakończyła się odkryciem obu pań, że mogą być sobie nawzajem pożyteczne. Berta Dorset rozpoczęła właśnie nowy eksperyment uczuciowy, którego niewinną ofiarą był należący poprzednio do pani Fisher Ned SiWerton, a w takich chwilach, jak zauważyła kiedyś Judyta Trenor, Berta szczególnie dbała o rozrywki dla męża. Lily, dzięki doświadczeniu, które zyskała zajmując się panem Percym Gryce 'em, umiała sobie radzić z humorami Dorseta, a jeśli chęć podobania się była tym razem o wiele mniejsza, to trudności, w jakich się znalazła, kazały wykorzystać najbliższą sposobność. Liczyła na to, że przyjaźń z Dorsetami zapewni jej efekty towarzyskie. Wiedziała, że ludzie zaczynali o niej mówić, chociaż nie była tym przerażona w takim samym stopniu jak jej ciotka. Świat zawsze roił się od podobnych plotek - flirt pięknej panny z żonatym mężczyzną był wyzwaniem rzuconym kawalerom.

Przerażał ją tylko sam Trenor. Ich przechadzka po parku nie była przyjemna. Trenor ożenił się w młodym wieku, a po ślubie w stosunkach z kobietami bynajmniej nie bawił się w prawienie sentymentalnych bredni - te, jak ścieżki labiryntu, prowadzą donikąd. Lily czuła, że stopniowo traci władzę nad sytuacją. Trenor był w bardzo złym usposobieniu. Dotknął go spadek akcji na giełdzie; wydatki domowe

zaczęły mu ciążyć; zdawało mu się, że jego życzenia ze wszystkich stron napotykają opór, a przywykł do łatwego powodzenia.

Pani Trenor bawiła jeszcze w Bellomont, ale jej dom w Nowym Jorku był otwarty, gdyż przyjeżdżała od czasu do czasu, by zakosztować rozrywek wielkiego świata. Jej stosunek do Lily nie uległ zmianie, natomiast w postępowaniu innych pań zaznaczył się pewien chłód. Kąśliwe uwagi w rodzaju: „ten Żydek, który kupił dom Greinera... podobno pani, panno Bart, zna go dobrze...”, dowiodły Lily, iż wpadła w niełaskę tej części towarzystwa, która najmniej się przyczyniała do zabawy, ale za to przywłaszczyła sobie prawo orzekania, co wypada, a co jest niewłaściwe.

Bry'owie po wielu naradach z nowo pozyskanymi przyjaciółmi zdecydowali się na śmiały krok - postanowili wydać wielkie przyjęcie. Postanowili zaatakować towarzystwo na całym froncie, choć możliwości ich były ograniczone zaledwie do garstki znajomych; podobną taktykę można porównać do wkroczenia w obcy kraj bez dostatecznej liczby wywiadowców, lecz metoda zaskoczenia, jak wiadomo, prowadzi czasem do świetnych zwycięstw i Bry'owie skłonni byli postawić wszystko na jedną kartę.

Pani Fisher, jak zwykle poproszona o zajęcie się tą sprawą, orzekła, że najprędzej mogą przyciągnąć upragnioną zdobycz żywe obrazy i dobra muzyka; używając właściwego jej daru perswazji namówiła tuzin modnych pań, ażeby wystąpiły w żywych obrazach, które obiecał ułożyć, niezdolny oprzeć się argumentom pani Fisher, słynny malarz portrecista, Paul Morpeth.

Lily była w swoim żywiole. Pod kierunkiem Morpetha jej zmysł estetyczny mógł nareszcie w pełni wypowiedzieć się przy układaniu draperii, studiowaniu póz, komponowaniu świateł i cieni wśród przepychu przebogatych kostiumów historycznych. Ale największą ze wszystkiego była radość, że zabłyśnie swoją urodą w zupełnie nowej postaci, pokaże światu, że jej piękność potrafi budzić nowe emocje i sublimować je.

Towarzystwo, zaskoczone w chwili nudy, uległo pokusie: stawił się niemal cały modny świat i publiczność była prawie tak samo

świetna jak widowisko. Wśród tych, co ulegli pokusie, był Lawrence Selden. Dawno już przekonał się, że rozrywkę może znaleźć jedynie wśród małego grona ludzi równych mu poziomem umysłowym. Ale lubił efekty widowiskowe i od ludzi bardzo bogatych oczekiwał, że nie będą wydawać pieniędzy na byle co.

Tego zarzutu na pewno nie można było postawić Bry'om. Ich niedawno zbudowana rezydencja posiadała może pewne braki, jeśli chodzi o wygodę mieszkańców, lecz jako miejsce zabaw i uroczystości mogła się równać z owymi przybytkami rozkoszy, jakie architekci włoscy wznosili dla udzielnych książąt. Z tą tylko różnicą, że wszystko pachniało imitacją; trzeba było dotknąć marmurowych kolumn, żeby się przekonać, że nie są z tektury, i usiąść na krytych adamaszkiem złożonych fotelach, by mieć pewność, że nie są namalowane na ścianie.

Po wypróbowaniu jednego z takich foteli Selden usiadł w rogu sali balowej i z niekłamanym zadowoleniem przyglądał się zebranym gościom. Tłum, który zapełnił olbrzymią salę, nie powodując tłoku, mienił się niby kobierzec z kosztownych tkanin lśniący klejnotami na kobiecych ramionach, i pięknie harmonizował ze ścianami bogatymi w festony i złocenia pod przepyszным weneckim sufitem. Panie, które przyjęły zaproszenie Bry'ów, rozglądały się po sali, by się przekonać, ile też znajomych uczyniło to samo.

Gerty Farish, siedząca obok Seldena, rozkoszowała się całym otoczeniem, jak zwykle bezkrytycznie, co tak bardzo drażniło pannę Bart mającą wybredniejsze gusty.

- Czy to nie pocziwie ze strony Lily, że postarała się o zaproszenie dla mnie? Byłoby mi bardzo przykro, gdybym tego wszystkiego nie widziała... Spójrz na perły pani Dorset... najmniejsza z nich opłaciłaby całoroczne utrzymanie naszego klubu. Czy mówiłam już, że Lily dała nam trzysta dolarów? A potem zebrała masę pieniędzy od swoich znajomych... pani Bry dała nam pięćset, a pan Rosedale - tysiąc. . Tak mnie to gniewa, gdy słyszę, jak mówią o niej, że jest zimna i zarozumiała! Dziewczęta w naszym klubie myślą zupełnie inaczej... Wiesz, że Lily była u nas dwa razy! Jedna z naszych dziewcząt powiedziała, że gdy patrzy na nią, to tak się czuje, jakby spędziła

dzień na wsi. A Lily siedziała i śmiała się, i rozmawiała z nimi... i zdawało się, że robi to jej taką samą przyjemność jak im... Wciąż pytają, kiedy znów przyjdzie, i przyrzekła mi... Ooo!

Kurtyna ze starego adamaszku, kryjąca scenę wzniesioną na końcu sali, rozsunęła się i ukazał się pierwszy obraz: grono nimf tańczących na zasłanej kwiatami murawie przedstawiało *Wiosnę* Botticellego.

Selden umiał się poddać urokom wizji jak dziecko czarowi bajki. Dla umysłów prostszych *tableaux vivants* pozostaną, mimo wszelkich walorów artystycznych, jedynie rodzajem figur woskowych. Ale żywsza wyobraźnia i większa wrażliwość wyczuje w żywych obrazach coś pośredniego między faktem a urojeniem. Pod kierownictwem Morpetha sceny następowały po sobie tworząc wspaniałą fryz, w którym kształty ludzkich ciał i blask ruchliwych oczu ujęto w kompozycję artystyczną, pełną jednak uroku prawdziwego życia.

Sceny zaczerpnięto ze znanych arcydzieł malarstwa i nikt nie mógł lepiej przedstawić Hiszpanki z obrazów Goi niż Carry Fisher ze swoją twarzą okrągłą i nadmiernie śniadą, z błyszczącymi oczami i pociągającym szczerym uśmiechem; panna Smedden o bujnych kształtach wspaniale uosabiała tycjanowską *Wenus* unoszącą nad głową złotą tacę pełną winogron, a młoda pani van Alstyne, jasnooka, wiotka blondynka o urodzie flamandzkiej, w czarnym atlasowym stroju na de arkady zawieszanej makatą, bezbłędnie imitowała któryś z portretów van Dycka. Potem była grupa kaufmannowskich nimf strojących w girlandy ołtarz Miłości; uczta Paola Veronese'a w przepychu wspaniałych marmurów, tkanin, sznurów pereł na kobiecych głowach; komedianti Watteau, którzy grali na lutniach leżąc w niedbałych pozach pod fontanną na łące pełnej słońca. Indywidualność aktorów tak umiejętnie była dobrana do scen, które przedstawiali, że nawet widz obdarzony najskromniejszą dozą wyobraźni musiał odczuć siłę kontrastu, gdy kurtyna rozsunęła się nagle i wszyscy zobaczyli obraz, który był po prostu portretem panny Bart. Zgodny szmer zachwytu przebiegł salę, a był on hołdem nie dla kopii portretu pani Lloyd pędzla Reynoldsa, lecz dla urody i wdzięku żywej, z krwi i kości, Lily Bart.

Wykazała dużo inteligencji wybierając obraz, który przedstawiał osobę tak bardzo w jej typie, że mogła się wcielić w panią Lloyd, wcale nie przestając być sobą. Wydawało się, że nie zstąpiła z płótna Reynoldsa, lecz że weszła na nie, odpędzając widmo zmarłej piękności własną promienną urodą. Blade draperie i gąszcz zielonych liści stanowiły tło, na którym wspaniale rysowały się kształty smukłej postaci od czubka stopy aż po uniesione w górę ramię. Szlachetna swobodna postawa i wdzięk pełen polotu wyrażały pewną wzniosłość urody Lily, którą Selden zawsze wyczuwał w jej obecności i o której zapominał, gdy tracił ją z oczu. Siła poezji bijąca z tego zjawiska, które miał przed oczami, tak uderzyła Seldena, iż wydało mu się, że po raz pierwszy widzi prawdziwą Lily Bart, wolną od trywialności swego światka i chwytającą na moment nutę odwiecznej harmonii, której częścią była jej własna piękność.

- Diabelnie to śmiało wystąpić w tak swobodnym stroju!... ale też pewnie chciała nam pokazać, jakie ma kształty!... - zauważył półgłosem Ned van Alstyne, doświadczony znawca kobiet; ilekroć rozsunęta kurtyna pozwalała mu studiować kształty pań, jego na-perfumowane wąsy ocierały się o ramię Seldena.

Selden przyjął te słowa milczeniem. Obudziły w nim odruch oburzenia i pogardy. W takim oto świecie żyje Lily, według takiej miary jest sądzona!

Zanim kurtyna opadła, Selden miał czas odczuć całą tragedię jej życia. I wydało mu się, że jej piękność, oderwana od wszystkiego, co ją poniżało i odzierało z uroku, błagalnie wyciągała do niego ręce z tego świata, w którym się kiedyś oboje spotkali na chwilę i w którym całą duszą pragnął znowu się znaleźć obok niej.

Ocknął się pod dotknięciem czyichś zachwyconych palców. - Czy ona nie była przecudna? Czy nie podoba ci się najlepiej w tej prostej sukni? To jest właśnie prawdziwa Lily... Lily, jaką ja znam.

- Jaką znamy oboje - poprawił, na co jego kuzynka wykrzyknęła z radością: - Powtórzę jej to! Ona zawsze twierdzi, że ty jej nie lubisz.

Selden nie widział Lily od dnia wesela u van Osburghów i unikał jej rozmyślnie. Tego wieczoru jednak po skończonym widowisku,

unoszony przez tłum, który opuszczał salę balową, zdawał sobie sprawę, że prędzej czy później znajdzie Lily. Tym razem odwlekał spotkanie, ponieważ pragnął jeszcze przez chwilę sycić się uczuciem zachwyty i oddania.

Lily nie miała najmniejszych wątpliwości, co oznaczał szmer widowni, gdy ukazała się na scenie. Żaden inny obraz nie został powitany takim wyrazem uznania. Nie chcąc osłabiać tego wrażenia, poczekała, aż goście rozproszą się przed kolacją, i by ponownie załłysnąć w całej krasie, weszła do salonu dopiero, gdy zaczął zapełniać się ludźmi. W jednej chwili została otoczona, a osobiste komentarze na temat jej tryumfu stały się rozkosznym przedłużeniem zbiorowego poklasku. W takich chwilach Lily traciła coś ze swojego wyrafinowania i więcej jej zależało na ilości podziwu niż na jego jakości. Gdyby Selden zbliżył się do niej odrobinę wcześniej, byłby widział, że Lily obdarza Neda van Alstynę'a i George'a Dorseta takim spojrzeniem, jakie pragnął pozyskać tylko dla siebie. Szczęśliwy traf zrzucił, że gdy podszedł, Lily stała sama i jej roziskrzona oczy nabrały głębi; nawet w chwili upojenia Lily jak zwykle odczuła szybsze tętno w obecności Seldena. We wzroku, jakim jej odpowiedział, odczytała rozkoszne potwierdzenie odniesionego tryumfu i przez chwilę wydawało jej się, iż tylko dla niego pragnęła być piękna.

Selden bez słowa podał jej ramię i poszli pod prąd napływającej fali gości; twarze dokoła Lily przesuwały się jak we śnie, nie patrzyła, dokąd ją Selden prowadzi, dopóki nie minęli oszklonych drzwi na końcu długiego szeregu pokojów. Znaleźli się w cichym zakątku ogrodu zimowego, tchnącego wonią kwiatów i zieleni.

Żwir zaskrzypiał pod ich stopami, ogarnął ich półmrok jasnej letniej nocy. Światło wiszących lamp rzeźbiło pieczary w gąszczu zieleni i bielilo łuki wody tryskającej na rozkwitłe lilie. Miejsce było jak zaklęte - nic nie mąciło ciszy prócz plusku fontanny i dalekich odgłosów muzyki, dobiegających jakby z głębi jeziora.

Selden i Lily przystanęli - nie rzeczywistość fantastycznej scenarii szła w parze z tym, co przeżywali. Wcale by się nie zdziwili, gdyby odczuli na twarzach powiew lata albo ujrzeli pomiędzy gałę-



ziami krzewów łuk roziskrzonego gwiazdami nieba. Urzekła ich cisza i spokój tego ustronia i napełniała rozkoszą świadomość, że są tu sami we dwoje.

W końcu Lily cofnęła swoją rękę i odeszła parę kroków; jej smukła, biała postać w białej sukni jaśniała na tle ciemnych krzewów. Selden postąpił za nią i wciąż milcząc usiedli obok siebie na ławce przy fontannie.

Nagle Lily podniosła na niego oczy i szepnęła z błagalną powagą dziecka: - Nigdy pan ze mną nie rozmawia... myśli pan o mnie bardzo źle.

- Źle o pani myślę, to fakt - przyznał.

- To dlaczego nigdy się nie widzimy? Dlaczego nie możemy być parą przyjaciół? Przyrzekł mi pan kiedyś pomoc - ciągnęła tym samym tonem, jakby z trudem dobysząc słów.

- Jedyne rozwiązanie, w jaki sposób mogę pomóc, to tylko... kochając panią - odrzekł Selden cichym głosem.

Lily nic nie odpowiedziała. Miękkim ruchem zwróciła ku niemu swoją twarz jak kwiat. On pochylił się ku niej.

Lily cofnęła się i wstała. Selden podniósł się również i tak stojąc patrzyli na siebie. Nagle ona pochwyciła jego rękę i przytuliła na chwilę do swojej twarzy. - Ach, kochaj mnie, kochaj, ale mi tego nie mów! - westchnęła, topiąc swoje spojrzenie w jego oczach. Zanim zdążył przemówić, odwróciła się, wyminęła łuk zwisających gałęzi i znikła w rozjarzonym światłami salonie za oranżerią.

Selden stał, gdzie go zostawiła. Zbyt dobrze znał ulotność pięknych chwil, by próbować iść za Lily. Wyszedł z oranżerii i mijając opustoszałe pokoje, kierował się ku wyjściu. W marmurowym przedsionku zastał kilka pań w przepysznych wieczorowych okryciach, a w garderobie spotkał van Alstyne'a i Trenora.

- Cóż to, i ty wychodzisz? - spytał van Alstyne. - Nie chcesz patrzeć, jak nasze boginie opychają się zupą żółwiową... Mieliśmy prawdziwy pokaz pięknych pań, ale żadna nie może się równać z tą moją małą kuzyneczką... Do dzisiejszego wieczora nie wiedziałem, jaką Lily ma pyszną figurę!

- Za to teraz wszyscy wiedzą - mruknął Trenor wciągając na siebie futro. - Moim zdaniem, dowiodła bardzo złego smaku... nie, nie, te cygara to nie dla mnie. Człowiek nigdy nie wie, co będzie palił w domu nowobogackich... Czemu nie zostaje na kolacji? Nie lubię tłoku, w którym do nikogo słowa nie można przemówić... Moja żona miała rację, że nie chciała przyjść. Mówi, że życie jest za krótkie, żeby tracić czas dla nowych ludzi.

RS

Lily, zbudziwszy się z przyjemnych snów, znalazła przy łóżku dwa bileciki.

Jeden był od pani Trenor z wiadomością, że przyjeżdża do miasta po południu na krótko i ma nadzieję, że panna Bart będzie mogła zjeść z nią obiad. Drugi był od Seldena. Pisał, że ważna sprawa wzywa go do Albany, skąd nie powróci przed wieczorem, i prosił Lily, ażeby go zawiadomiła, o której godzinie dnia następnego będzie mogła się z nim zobaczyć.

Lily, oparta o poduszki, patrzyła w zadumie na jego list. Czyżby naprawdę zamierzał jej się oświadczyć? Już raz powiedziała mu, żeby nie żywił żadnej nadziei, a jego postępowanie dowiodło, że bardzo rozsądnie pogodził się z sytuacją, nieco przy tym raniąc jej próżność. Skoro nie może go poślubić, lepiej będzie dla niego i łatwiej dla niej, jeżeli napisze parę słów przyjaznych, pomijając jego prośbę o spotkanie - nie był człowiekiem, który by nie zrozumiał tego rodzaju wskazówki. To umożliwi im dalszą znajomość na zwykłej, przyjacielskiej stopie. Epizod poprzedniej nocy nie może mieć dalszego ciągu.

Wyskoczyła z łóżka i podbiegła do biurka, żeby napisać od razu, póki jeszcze mogła ufać sile swego postanowienia. Ciągłe żywe były w niej wrażenia ubiegłego wieczoru, a widok pisma Seldena przypomniawszy jej kulminacyjny moment tryumfu - tę chwilę w oranżerii, gdy czytała w jego oczach, że żadna filozofia nie obro-

ni go przed jej władzą. Przyjemnie byłoby przeżyć to jeszcze raz... a z nikim innym nie było to możliwe. Czy musi teraz wyrzec się rozkosznych wspomnień? Odmówić Seldenowi spotkania?... Chwyła za pióro i napisała bez namysłu: „Jutro o czwartej”, a wsuwając bilecik do koperty szepnęła: - Mogę to cofnąć przed jutrem...

Zaproszenie Judyty Trenor przyjęła z wielkim zadowoleniem. Niewątpliwie potwierdzało ich przyjazne stosunki. Prawdopodobnie Judyta wzywa ją, pomyślała Lily, żeby się dowiedzieć o przyjęciu u Bry'ów. Lily gotowa była zaspokoić jej ciekawość. Tak się jednak złożyło, że była proszona na obiad, więc zadzwoniwszy na pokojówkę wysłała telegram do Judyty z wiadomością, że będzie u niej wieczorem o godzinie dziesiątej. Była proszona na obiad do Carry Fisher.

Wychodziła stamtąd niechętnie; obiad był zabawny, miała też ochotę na wypalenie jeszcze jednego papierosa i wysłuchanie kilku pieśni. Nie mogła jednak sprawić zawodu Judycie i wkrótce po dziesiątej poprosiła panią domu, żeby kazała posłać po dorożkę.

Zajechawszy przed dom Trenorów na Fifth Avenue, Lily czekała dość długo przed drzwiami. Gdy ją wreszcie wpuszczono do przed-sionka, zdziwiła się, że zamiast lokaja we fraku widzi przed sobą jakąś niechlujną osobę w perkalowym fartuchu, lecz na progu zjawił się Trenor i zdjawszy z niej płaszcz pociągnął za sobą do pokoju.

- Chodźmy dalej... czy ten pokój nie wygląda, jakby czekał na umarłego? ... Nigdy nie zrozumiem, dlaczego Judyta każe okrywać meble tym strasznym białym płótnem... Wyglądasz na zmarzniętą, bo i wieczór jest zimny... Ale to nic... Wypijesz kieliszek wódki i rozgrzejesz się przy kominku... musisz spróbować moich egipskich papierosów... ten mały Turek z ambasady przysłał mi pudełko... Jeśli będą ci smakowały, zatelegrafuję do Stambułu, to przyślą.

Gadając bez przerwy, zaprowadził Lily do obszernego pokoju na tyłach domu, w którym zwykle przesiadywała pani Trenor i w którym czuło się jej obecność: były kwiaty, dzienniki, biurko zarzucone papierami, paliła się lampa i brakowało tylko energicznej postaci Judyty wstającej z fotela przy kominku.

Lily przerwała wywody Trenora. - Gdzie Judyta? - spytała sięgając po egipskiego papierosa z pudełka, które leżało na stoliku obok kilku karafek. Trenor pochylił się nad jedną z nich, by odczytać napis na srebrnej tabliczce. - Odrobinę koniaku z wodą sodową, dobrze?... Wciąż wyglądasz na przemarzniętą... Ja się też napiję... dla towarzystwa - i nalał sobie pełną szklanę. - Judyta?... Judyta ma piekielny ból głowy... leży na górze i prosiła, żeby cię przeprosić... Usiądź, Lily, przy kominku, wyglądasz na zmęczoną... Pozwól, że cię usadowię wygodnie... bądź tak dobra...

Wziął ją za rękę i pociągnął do niskiego stołeczka, ale ona przystanęła i spokojnie oswobodziła swoją rękę.

- Czy Judyta tak źle się czuje, że nie będzie mogła się widzieć ze mną? Nie chce, żebym poszła na górę?

Trenor wychylił szklanę, którą sobie nalał, odstawił ją na stolik i dopiero wtedy odpowiedział: - Nie sądzę... prawdę mówiąc, ona nie może się widzieć z nikim... Zasnęła nagle... i prosiła, żeby ci powiedzieć, że jest jej strasznie przykro...

- Przypuszczam, że jeśli czuje się tak źle, to nie wróci rano do Bellomont i będę mogła przyjść jutro... A teraz zechciej łaskawie posłać po dorożkę dla mnie - odparła Lily z uśmiechem i zgasiała papierosa.

Nie podobało jej się niezwykle podniecenie Trenora, które niewątpliwie było skutkiem picia; myśl, że jest z nim sama, gdy jej przyjaciółka znajduje się na górze, na drugim końcu wielkiego, pustego domu, nie dodawała jej ochoty na przedłużanie tego sam na sam.

Tymczasem Trenor przybliżył się i położył rękę na ramieniu Lily. - Słuchaj, Lily. Gdyby Judyta tu była, siedziałybyście i plotkowały do białego rana... A mnie nie poświęcisz pięciu minut?

- Nie dzisiaj... bo...

- A więc dobrze... w takim razie wezmę je sobie sam i nawet więcej, tyle, ile zechcę...

Stanął na progu, głęboko wsunawszy ręce w kieszenie. Skinął głową w stronę fotela przy kominku. - Proszę, - zechciej tam usiąść... mam z tobą do pomówienia.

Porywczość brała górę w Lily nad jej obawami. Wyprostował się i postąpiła ku drzwiom. - Jeśli masz mi coś do powiedzenia, Gus, to powiesz innym razem. Pójdę na górę do Judyty, chyba natychmiast pošlesz po dorożkę.

Parsknął śmiechem: - Owszem, droga pani, idź na górę, ale Judyty nie znajdziesz. Jej tam nie ma.

Lily spojrzała na niego z przerażeniem. - Jak to? Judyty nie ma w domu?... Nie ma jej w mieście? - zawołała.

- Tak, to właśnie chciałem powiedzieć. - Nadrabiał miną, lecz pod wzrokiem Lily jego zuchwałość powoli nabierała tonów ponurych.

- Przecież gdyby nie przyjechała, dałaby mi znać. - Lily wciąż jeszcze nie wierzyła własnym uszom.

- Telefonowała do mnie po południu, żebym cię zawiadomił.

- Nie otrzymałam żadnej wiadomości.

- Bo też żadnej nie wysłałem.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Lily patrzyła na swego przeciwnika z wyrazem najwyższej pogardy. - Jeśli nacieszyłeś się już swoim głupim kawałem, nie wiem, do jakiego celu miał służyć, to jeszcze raz proszę, żebyś posłał po dorożkę. Jest już po jedenastej. - Mówiąc to zdawała sobie sprawę, że uderza w niewłaściwy ton.

- Tylko nie tak z góry, moja panno. - Trenor znów posunął się ku drzwiom i odciął jej drogę do wyjścia. - Zrobiłem ci kawał, przyznaję, ale jeżeli myślisz, że się wstydzę, to się grubo mylisz. Bóg mi świadkiem, że dość długo wzdychałem jak osioł... A przez ten czas łaskawa pani pozwalała całej bandzie idiotów na zalecanki, pozwalała im drwić ze mnie...

- O, nigdy nie przypuszczałam... - zawołała Lily ze śmiechem. Lecz umilkła natychmiast pod jego spojrzeniem. Trenor mówił tonem stanowczym i zaciętym, który zmieszał Lily bardziej niż jego poprzednie podniecenie. Opuściła ją na chwilę zwykła przytomność umysłu. Nieraz zdarzało jej się znaleźć w trudnej sytuacji, z której skutecznie ratowała się dowcipną ripostą, lecz bijące ze strachu serce mówiło jej teraz, że nie pomogą tu żadne wybiegi. By zyskać na czasie rzekła: - Nie rozumiem, czego chcesz.

Trenor wsunął krzesło między nią a drzwi, siadł okrakiem i patrząc ku niej zaczął: - Powiem, czego chcę; chcę, żebyśmy wiedzieli dokładnie, jak jest między nami. Do diabła! Kiedy człowiek płaci za obiad, to ma chyba prawo zasiąść do stołu!

Lily poczerwieniała z gniewu i upokorzenia, widząc, że będzie musiała szukać sposobów pojednania tam, gdzie chciała upokorzyć.

- Nie wiem, Gus, co masz na myśli... ale chyba sam rozumiesz, że nie mogę tu stać i rozmawiać z tobą o tej godzinie...

- Do licha! Chodzisz do mieszkań kawalerskich w jasny dzień... to widocznie nie zawsze tak dbasz o pozory...

Brutalność ciosu wprawiła Lily w oszołomienie jak uderzenie pięścią. A więc Rosedale powiedział! W taki sposób mówią o niej mężczyźni! Poczowała się nagle bezbronna i słaba, w gardle wzbierał szloch. Jednocześnie jej drugie „ja” nakazywało czujność, szeptało ostrzeżenie, że musi uważać na każde swoje słowo, na każdy gest.

- Jeśli sprowadziłeś mnie tutaj, żebym słuchała zniewag...

Trenor roześmiał się. - Nie ma co się bawić w teatralne frazesy.

Wcale nie chcę cię znieważać, ale za długo igrałaś z moimi uczuciami. Nie ja zaczynałem, zwabiłaś mnie i zabrałaś się do dzieła.

Chciałaś wystrychnąć mnie na dudka... i bardzo łatwo ci to poszło... Myślałaś, że możesz mnie wyzyskać, a potem cisnąć w kałużę, jak pustą sakiewkę... Ale, moja pani, nie jest to uczciwa gra, o nie! Dzisiaj musisz mi zapłacić!

Wstał z krzesła, wyprostował się groźnie i zrobił parę kroków w jej stronę. Twarz miał oblaną ciemnym rumieńcem; Lily nie ruszała się z miejsca, choć drżała każdym nerwem.

- Zapłacić? - rzekła. - Czy jestem ci winna pieniądze?

- O, nie żądam zapłaty w gotówce - odpowiedział ze śmiechem.

- Ale istnieje coś, co nazywa się *fair play*!... Jeśli ktoś zarabia dzięki cudzym pieniądzom... niech mnie wszyscy diabli!... nie podziękowałaś mi choćby jednym spojrzeniem!

- Twoje pieniądze? Doradzałeś, jak mam lokować moje pieniądze... wiesz przecież, że zupełnie nie znam się na interesach... mówiłeś, że wszystko w porządku...

- I jest w porządku, Lily, niczego nie wymawiam, pragnąłbym ci dać dziesięć razy więcej, chcę tylko od ciebie słowa podziękii. -  
Podszedł jeszcze bliżej i wyciągnął rękę.

- Dziękuję ci. Zawsze wiedziałeś, że jestem ci wdzięczna. Ale ostatecznie zrobiłeś tylko to, co robi każdy przyjaciel, a od przyjaciela każdy może przyjąć.

- Nie wątpię - odparł Trenor ze zjadliwym uśmiechem - żeś już korzystała z takich przysług... i wyprowadzała w pole innych przyjaciół... Nie dbam o to, jak załatwiłaś swoje rachunki z innymi, jeśli z nich zadrwiłaś, tym lepiej dla mnie. I nie wytrzeszczaj na mnie swoich pięknych oczu! Wiem, że nie tak powinien mówić mężczyzna do młodej dziewczyny... Lily, wiesz, że szaleję za tobą, niech diabli wezmą wszystkie pieniądze, mam ich dość... to było brutalne z mojej strony, Lily... Lily.. spójrz na mnie...

Uczucie upokorzenia uderzyło w nią z siłą huraganu; nie wiedziała, co w niej silniejsze - wstyd czy strach. Szacunek dla samej siebie byłby ją uczynił nietykalną, ale to nikt inny, tylko przecież ona sama siebie zhańbiła! Sama jest winna swojemu osamotnieniu!

Trenor chwycił ją za rękę i to dotknięcie wróciło jej przytomność umysłu. Cofnęła się i rozpaczliwie siląc się na pogardę odparła: - Powiedziałam już, że nie rozumiem ciebie... a jeśli jestem ci winna pieniądze, to je oddam...

Na obliczu Trenora odmalowała się wściekłość - odruch wstrętu, z jakim Lily cofnęła się, obudził drzemiącego w nim prostaka. - Ach tak!... Pożyczysz od Seldena albo Rosedale'a... a potem wyprowadzisz ich w pole, tak jak mnie!... Chyba... chyba... że załatwiłaś już inne rachunki i ja jestem jedyny, który dostał kosza.

Lily stała milcząca, przykuta do miejsca. Słowa Trenora gorsze były od jego dotknięcia! Czowała w całym ciele bicie serca - w gardle, w nogach, w bezsilnych, bezużytecznych rękach. Powiodła dokoła rozpaczliwym wzrokiem. Dzwonek na służbę! Czy wezwać pomocy? Nieuchronny skandal! Ohydne plotki! Musi sama wywalczyć sobie dro-

gę do wyjścia. Wystarczy, że służba wie, iż jest sama w domu z Trenorem - musi stąd wyjść w sposób, który nie budziłby żadnych domysłów.



Podniosła głowę i po raz ostatni spojrzała mu prosto w twarz.

- Jestem tu z panem sama - powiedziała. - Co masz mi jeszcze do powiedzenia?

Ku jej zdumieniu Trenor bez słowa wytrzeszczył na nią oczy. Wyrzuciwszy z siebie potok słów oprzytomniał; płomień podniecenia nagle zgasł. Trenor stał opanowany i upokorzony. Odezwały się w nim stare nawyki i hamulce, wrodzone poczucie słuszności zapanowało nad umysłem, który namiętność wytrąciła z równowagi. Miał przerażony wzrok lunatyka, który obudził się nad brzegiem przepaści.

- Idź do domu! Idź stąd! Precz! - wyjąkał, odwrócił się do Lily plecami i podszedł do kominka.

Tak niespodziewanie uwolniona od wszystkich obaw Lily odzyskała przytomność umysłu. Jak przez mgłę słyszała, że poleca Trenorowi głosem, który był jej własnym, a jednak jakby niezależnym od niej, żeby zadzwonił na służącą, kazał sprowadzić dorożkę i dopomógł jej wsiąść. Nie wiedziała, skąd brała na to siły, wiedziała tylko, że powinna opuścić dom jawnie; w przedśionku w obecności zaspanego portiera wymieniła kilka słów z Trenorem, obarczając go zwykłymi poleceniami dla Judyty, przez cały czas do głębi przejęta wstrętem i pogardą dla tego człowieka.

Odetchnęła za progiem na widok ulicy - poczuła upojenie wolnością jak więzień, gdy po raz pierwszy oddycha świeżym powietrzem; uderzyła ją pustka Fifth Avenue, domyśliła się, że godzina jest późna i kątem oka dojrzała postać mężczyzny - dziwnie znajomą sylwetkę - znikającą za rogiem w mroku bocznej ulicy. Lecz w dorożce przyszła reakcja; wsłuchując się w miarowy stukot kół, czuła, jak ogarnia ją mrok. - Nie mogę myśleć... nie mogę myśleć - jęknęła. Wydała się sobie obca, albo raczej wydało jej się, że są w niej dwie różne istoty, ta, którą zawsze znała, i jakaś nowa, wstrętna, do której została przykuta.

Otworzyła oczy i patrzyła na mijane ulice - znane, a jednak obce. Wszystko, na co patrzyła, było takie same, a jednak inne. Między dziś a wczoraj powstała wielka przepaść. Wszystko, co było w przeszłości, wydawało się proste, naturalne, pełne dziennego światła -

ona zaś znajdowała się tam, gdzie panował mrok i hańba! Sama! Przerazała ją samotność. Czekała noc - taka długa! Będzie musiała spędzić te godziny w samotności, bezsennie drząc w pościeli.

Nie cierpiała swego pokoju u pani Peniston - był brzydki, pozbawmy osobistego piętna, nic w nim nie było naprawdę jej własnością. A we własnym pokoju człowiek może znaleźć schronienie jak w ludzkich ramionach, może ukoić rozdarte, pozbawione wszelkiej pociechy serce. Lily nie miała na kim się oprzeć. Łączył ją z ciotką stosunek tak powierzchowny, jak z przypadkowym współlokatorem, którego się mija na schodach. Ale gdyby nawet istniała między nimi bliższa zażyłość, trudno było sobie wyobrazić, żeby kobieta o mentalności pani Peniston mogła okazać Lily zrozumienie i pocieszyć ją w biedzie. Zresztą z wielkiego bólu można się tylko w połowie wyświadczać, a współczucie, za którym idą pytania, posiada niedużą moc leczniczą. Lily pragnęła zanurzyć się w cieniu obejmujących ją ramion w milczeniu, bez słów, chciała zaznać wstrzymującego oddech współczucia.

Nagle zerwała się na równe nogi. Gerty! Była niedaleko jej mieszkania! Przez zasuwany otwór w dachu dorożki krzyknęła adres woźnicy. Nie było jeszcze tak późno - Gerty pewnie jeszcze nie śpi. A gdyby nawet spała, odgłos dzwonka przeniknie do każdego zakątka jej małego mieszkania i zbudzi ją, by pospieszyła na wezwanie przyjaciółki.

Przywiązanie Gerty do przyjaciółki zmieniło się w uwielbienie od czasu, gdy Lily, wiedzona swoją nienasyconą ciekawością, wciągnęła się w krąg spraw, którymi żyła panna Farish. Idea dobroczynności pobudziła Lily do czynu: zwiedziła przytułek dla dziewcząt i w ten sposób po raz pierwszy poznała dramatyczne kontrasty ludzkiego losu. Z filozoficznym spokojem przyjmowała zawsze fakt, że takie egzystencje jak jej własna wyrastały ponad szarą przeciętność. Że jasny, ograniczony krąg, w którym życie osiągnęło wspaniałą pełnię, otoczony był smutną strefą ubóstwa, uważała za tak naturalne, jak to, że dokoła cieplarni pełnej podzwrotnikowych kwiatów może panować słotna zimowa noc. Lecz co innego abstrakcyjne pojęcie ubóstwa, a co innego bezpośredni kontakt z ludzką biedą - i to odkrycie stało się dla Lily wstrząsem, który potrafi niekiedy do gruntu zmienić człowiekowi życie.

Nie zmieniło życia Lily Bart, ponieważ z natury swej nie była ona zdolna do takiej przemiany, ale na razie świat różny od tego, w jakim żyła, ogromnie ją zainteresował. Pierwszy swój dobroczynny dar uzupełniła osobistą pomocą dla kilku wybranek panny Farish, a podziw i uwielbienie, z jakim spotkała się wśród pracujących dziewcząt, jak najbardziej odpowiadały jej nigdy nie nasyconej chęci podobać się.

Gerty Farish nie była tak wytrawną znawczynią charakterów ludzkich, by rozwikłać różnorodne nici, z jakich utkana była filantro-

pia Lily. Kierowała się w życiu bardzo prostymi pojęciami i nie wahała się przypisać swojej przyjaciółce „przemiany serca”, tak często wywołanej przez obcowanie z biedą. Oboje przecież z Seldenem znali „prawdziwą Lily!”

Nazajutrz po przyjęciu u Bry'ów Gerty Farish otrzymała od Seldena depezę z zapytaniem, czy może przyjść do niej tego wieczora na obiad. Uszczęśliwiona perspektywą miłej wizyty zajęła się przygotowaniami, które wywołały niemałe zamieszanie w jej małym gospodarstwie.

Selden depezę wysłał z Alabany. Sprawa, która go tam ściągnęła, nie była tak skomplikowana, by pochłonąć całą jego uwagę, i pozwoliła skupić się na wciąż żywych wrażeniach z poprzedniego wieczoru. Rozumiał, co się z nim dzieje: płacił, na co się od dawna zanosilo, za dotychczasowe dobrowolne wyrzeczenia. Z rozmysłem unikał związania się węzłem małżeńskim, nie żeby mu do tego brakowało możliwości, lecz ponieważ był, podobnie jak Lily, choć w inny sposób, ofiarą swego otoczenia. Gdy oświadczył Gerty Farish, że nie ożeniłby się z „miłą” dziewczyną, mówił prawdę: w języku jego kuzynki „miła dziewczyna” oznaczała osobę pełną zalet praktycznych, lecz pozbawioną tego, co dla Seldena stanowiło źródło rozkoszy - wdzięku.

Los chciał, że Selden miał pełną wdzięku matkę - zachowany w pamięci jej obraz, całej w uśmiechach i kaszmirowych szalach, promieniował nie dającym się określić czarem. Ojciec zaś należał do mężczyzn, którzy kobiecym czarem potrafili się delectować: umieli go pobudzić, otoczyć uwielbieniem, dostarczając podniety sprawić, że kobieta do późnych lat zachowuje niezniszczalny wdzięk kobiecości. W oczach wielu przyjaciół Seldena rodzice jego byli ludźmi niezamożnymi, jednakże wzrastał on w atmosferze, w której ograniczone środki uważano jedynie za hamulec dla bezcelowego zbytku. W skromnie urządzonej domu meble i przedmioty uderzały smakiem i wysoką klasą, wewnątrz zdradzało wstrzemięźliwość i zarazem wytworność mieszkańców, czego przykład dawała pani Selden, umiejąca tak nosić starą aksamitną suknię, jakby była nowa. Męż-

czynna jest w tej szczęśliwej sytuacji, że wcześniej może się wyrwać z kręgu domowych poglądów, i Selden jeszcze przed ukończeniem studiów wiedział, że istnieje tyleż sposobów obchodzenia się bez pieniędzy, co wydawania ich. Na szczęście nie znalazł równie przyjemnego jak ten, który stosowano w domu, a zwłaszcza jego pojęcie o kobietach zabarwiło się na zawsze wspomnieniem tej jednej, która wpoila mu poczucie wartości. Po niej to odziedziczył obojętność stoika wobec wartości materialnych i epikurejski dar rozkoszowania się urokami życia. (Nigdzie jedno i drugie nie występuje tak mocno ze sobą sprzężone, jak w charakterze ładnej kobiety.) Sentymentalnym przygodom przyznawał miejsce drugorzędne, chociaż potrafił zrozumieć, że miłość, gdy jest uczuciem wielkim, głębokim, zajmuje centralne miejsce w życiu. Jeśli chodzi o niego, to nigdy nie zadowoliliby się czymś innym; nie wyobrażał sobie wielkiego uczucia, które powstałoby z litości i nie budziłoby wzajemności. Ale teraz - to małe „ale” jak gąbką wymazało wszystkie jego postanowienia. Seldena najbardziej interesowało w tej chwili, kiedy Lily otrzyma jego bilecik. O której godzinie przyjdzie jej odpowiedź, od jakich słów się zacznie? W treść odpowiedzi nie wątpił - był całkiem pewien oddania Lily, tak jak i swego. Czas pozwalał mu dumać nad wszystkimi rozkosznymi szczegółami tego faktu. Selden był jak spracowany robotnik, który odpoczywa w świąteczny ranek przyglądając się w ciszy, jak smuga słońca wędruje po pokoju. Olśniony nowym światłem, w żadnym razie nie był nim oślepiiony. Wiedział, co mówiono o Lily Bart, ale potrafił oddzielić kobietę, którą znał, od powierzchownej jej oceny przez innych. Przypomniały mu się słowa Gerty Farish i pomyślał, że mądrość świata jest ślepa wobec przenikliwości, jaką posiada niewinność. Zatęsknił nagle za towarzystwem osoby, która potwierdziłaby prawdę, do jakiej doszedł drogą własnej intuicji, i korzystając z wolnej chwili w sądzie wysłał depezę do Gerty Farish.

Po powrocie do miasta pojechał prosto do klubu, gdzie spodziewał się zastać bilecik od panny Bart. Ale w swojej skrzynce znalazł tylko parę słów od Gerty, zawiadamiającej, że czeka go z radością;

zawiedziony zabierał się do wyjścia, gdy wezwał go jakiś głos z pa-  
larni. - Lawrence? Jesz tutaj obiad? Siadaj ze mną.

Ujrzał Trenora z gazetą sportową w ręku. Przed nim stała wysoka  
szklanka.

Selden podziękował i wymówił się zaproszeniem.

- Tam do licha! Wygląda na to, że wszyscy są dziś zaproszeni!  
Będę miał cały klub dla siebie. Wiesz przecież, jak ja żyję tej zi-  
my... tłukę się po pustym domu. O mało nie dostaję melancholii  
przy tych samotnych obiadach... Ulituj się nade mną!

- Przykro mi... ale naprawdę nie mogę.

Selden, odwracając się, zauważył ciemny rumieniec na twarzy  
Trenora, odrażające krople potu na białym czole, bogate pierścienie  
wciśnięte na grube, czerwone palce. Zwierzę brało tu górę... zwie-  
rzę, ukryte na dnie szklanki. A on słyszał, jak łączono nazwisko te-  
go człowieka z imieniem Lily! Jakież to niesmaczne!

W domu znalazł bilecik od Lily. Wiedział, co mu przynosi, zanim  
złamał pieczętkę - szarą pieczętkę z napisem „W dal!” pod statkiem  
o rozwiniętych żaglach. Och, zabierze ją w dal, by uciec od tej brzy-  
doty, od małości, od duchowej udręki!

W małym saloniku Gerty wszystko powitało go jakimś szczególnym  
blaskiem. Jakie to dziwne, pomyślał, że ciasnota i niski sufit nic nie  
znaczą, gdy człowiek znajduje się w stanie uniesienia!... W czasie  
obiadu, który nadzwyczajnie mu smakował, powiedział Gerty, że po-  
winna wyjść za mąż - miałyby ochotę swatać wszystkich. Czy te ciaste-  
czka sama upiekła? Nie powinna marnować takiego talentu dla siebie  
samej. Z uczuciem dumy przypomniał sobie, że Lily potrafi nosić swo-  
je kapelusze, powiedziała mu to w czasie ich spaceru w Bellomont.

Nie wspominał o Lily aż do końca obiadu. Gdy powrócili do sa-  
loniku i Gerty nalewała kawę do starych filiżanek swojej babki,  
kształtem przypominających skorupkę jajka, wzrok Seldena padł na  
nową fotografię panny Bart. Zdjęcie nie było złe, ale gdybyż można  
było uwiecznić ją tak, jak wyglądała ubiegłego wieczoru! Gerty  
zgodziła się z nim - Lily nigdy jeszcze nie wyglądała tak cudownie.  
- Na twarzy Lily malował się jakiś nowy wyraz, coś odmiennego -

mówił Selden popijając kawę. - Kawa jest wyśmienita! Nie da się porównać z tą lurą, jaką nam dają w klubie! - i poprosił o drugą filiżankę. - Biedni ci kawalerowie!

Potem oboje zastanawiali się, dlaczego Lily nie ma szczęścia. Gerty mówiła o jej szlachetnych porywach, o tym, że dręczy ją wewnętrzny niepokój i uczucie niezadowolenia z siebie. Fakt, że życie, jakie prowadziła, nigdy jej nie zadowalało, dowodził, iż stworzona jest do rzeczy lepszych. Mogła już nie raz wyjść za mąż, zrobić tak zwaną świetną

partię, którą nauczono ją uważać za jedyny cel w życiu, ale gdy nadarzała się sposobność, Lily zawsze cofała się w ostatniej chwili. Percy Gryce, na przykład, był w niej zakochany - wszyscy w Bellomont przypuszczali, że są zaręczeni, nikt nie mógł pojąć, dlaczego dała mu kosza. W tym miejscu Selden odczuł pogardę dla samego siebie za przypuszczenie, które wówczas wydało mu się jedynie słuszne. Jeśli Lily dała kosza panu Percy'emu Gryce'owi, to on, Selden, miał w ręku klucz tajemnicy i w jego wyobraźni wzgórze Bellomont zapłonęły nie zachodnią zorzą, lecz blaskiem jutrzeńki! To on wahał się wówczas! Dawno zaznałby tej radości, która mu teraz pierś rozpiera!

- Lily jest sobą z niewielu ludźmi - powiedział i dodał: - Bądź dla niej dobra, Gerty, proszę cię... Ona ma taką naturę, że stanie się tym, za co jest uważana... dopomożesz jej, żeby miała najlepsze o sobie pojęcie, prawda?... Mówisz, że jest dziś u Carry Fisher? - Spojrzał na zegar wskazujący kwadrans na jedenastą. - Chyba wstąpię tam na chwilę... Otrzymałem zaproszenie... zdążę jeszcze, żeby posłuchać muzyki, ona zawsze dba o to, żeby wieczór był interesujący... Nie siedziałem za długo, Gerty?

U pani Fisher, gdy wszedł do salonu, słuchano jakiejś pieśni. Zajął miejsce obok gospodyni i rozglądał się szukając wzrokiem panny Bart. Nie było jej. Mieli się zobaczyć o czwartej następnego dnia, ale czas czekania wydał mu się za długi i gdy śpiew ustał, pochylił się ku pani Fisher i na wpół zawstydzony swoją niecierpliwością zapytał, czy panna Bart była u niej na obiedzie.

- Lily? Przed chwilą wyszła. Cudownie wyglądała wczoraj, nie uważa pan?

- Kto taki? Lily? - spytał Jack Stepney z głębi pobliskiego fotela. - No nie! Kiedy młoda dziewczyna staje jak na licytację...

- Pewnie pan nie wie, że Jack stał się cenzorem naszych obyczajów - rzekła ze śmiechem pani Fisher do Seldena.

- W każdym razie królowała dziś w „Kronice towarzyskiej”, to fakt - dorzucił Stepney wśród ogólnego śmiechu.

- Owszem, naczytałem się - przyznał pan van Alstyne gładząc wąsy, by ukryć uśmiešek. - Czy kupuję to brukowe piśmko? Skądże znowu! Ktoś mi je pokazał, ale już przedtem słyszałem o pannie Bart. Taka ładna dziewczyna najlepiej by zrobiła, gdyby wyszła za męża, wtedy nikt o nic nie pyta. W naszym niedoskonałym społeczeństwie młode mężatki wciąż jeszcze mają nie tylko przywileje, ale również obowiązki.

- Zdaje mi się, że Lily gotowa jest wziąć na siebie te obowiązki jako pani Rosedale - zauważyła ze śmiechem Carry Fisher.

- Rosedale? Na miłość boską! - zawołał van Alstyne upuszczając binokle. - Stepney, to twoja wina, tyś nam narzucił tego gburę.

- A niech to licho porwie, masz rację! Ale w naszej rodzinie nie wychodzi się za Rosedale'a - bronił się Jack Stepney. Jego żona obwieszona biżuterią ze ślubnej wyprawy przywołała go do porządku sentencjonalną uwagą: - Na miejscu twojej kuzynki nie miałabym zbyt wielkich wymagań.

- Podobno nawet Rosedale zniechęcił się plotkami, które o niej krążą - wtrąciła pani Fisher - ale wczoraj wieczorem zupełnie stracił głowę na jej widok. Wiecie, co powiedział: „Mój Boże, gdybym mógł nakłonić Morpetha, żeby ją tak namalował! Taki portret za dziesięć lat byłby wart o sto procent więcej...”

- A to pyszne!... Ale czy jej tu gdzieś nie ma? - zawołał van Alstyne i nałożywszy binokle z niepokojem rozejrzał się dokoła.

- Nie ma jej. Wyszła, gdy piliście poncz. Dokąd poszła? Nie słyszałem o żadnym przyjęciu.

- Zdaje mi się, że nie poszła na żadne przyjęcie - odezwał się młody i naiwny Farish, który przyszedł późno. - Pomogłem jej wsiąść do dorożki i słyszałem, że dała woźnicy adres Trenorów.



- Ależ Judyty nie ma w mieście! Telefonowała do mnie dziś z Bellomont - zawołała pani Stepney.

- Och, nie wiem doprawdy... w każdym razie Trenor jest w domu - ciągnął młody Farish, a poczuwszy ostrzegające kopnięcie w nogę i słysząc stłumione śmiechy urwał, zmieszany. - Zresztą... mogę się mylić, nie mam pamięci do numerów...

Selden wstał i pożegnał panią domu. Dusił się w tej atmosferze i sam sobie się dziwił, że pozostał tak długo. Za drzwiami przypomniał sobie słowa Lily: „Zdaje się, że spędza pan bardzo dużo czasu w towarzystwie, które się panu nie podoba”. Tak... ale cóż go tam przywiodło, jeśli nie chęć ujrzenia jej? Świat zabawy był jej żywiołem, nie jego. Czy zdoła otworzyć przed Lily szersze horyzonty, jeśli jego własne były tak ciasne? Jeśli za każdym razem widział Lily w takich barwach, w jakie stroiły ją cudze umysły?...

W nastroju przygnębienia ruszył przed siebie spragniony świeżego powietrza i szedł chciwie wdychając orzeźwiający chłód nocy, gdy na rogu Fifth Avenue dogonił go van Alstyne.

- Spacererek? Dobry sposób, żeby oczyścić się z dymu papierosów. Od czasu, kiedy kobiety zaczęły palić, mamy zamiast powietrza nikotyne. Zabawne, ale dym papierosów równie skutecznie rozdziela małżeństwa jak rozwód.

Nic nie mogło bardziej klócić się z nastrojem Seldena jak poobiednie aforyzmy jego towarzysza. Na szczęście van Alstyne ograniczał się do twierdzeń natury ogólnej i Selden słuchając go mógł trzymać na wodzy swoje nerwy.

Van Alstyne lubił uchodzić za bystrego obserwatora zjawisk społecznych i mając za słuchacza Seldena, pragnął wykazać się trafnością swoich sądów. Pani Fisher mieszkała na wschodniej bocznej ulicy w pobliżu Central Parku i gdy obaj mężczyźni skręcili w Fifth Avenue, rozwój tej szybko zmieniającej się arterii pobudził van Alstyne'a do komentarzy.

- Spójrzmy na dom Greinera, typowy przykład wspinania się po drabinie społecznej. Jego architektura to prawdziwy bigos najróżniejszych stylów, ale gdyby nie było żadnego, właściciel wzbudził-

by podejrzenie, że zabrakło mu pieniędzy. W sam raz dla Rose-  
dale'a - zwraca uwagę i imponuje prowincjuszom. Rosedale zresztą  
stopniowo wyjdzie z tego i zechce mieć dom, który tłum ominie,  
a przed którym zatrzymają się nieliczni, zwłaszcza jak ożeni się  
z moją roztropną kuzyneczką...

Selden przerwał mu pytaniem: - A dom Wellingtona Bry'a? Nie-  
zły jest w swoim rodzaju, prawda?

- Aaaa, to już dom ludzi, którzy wspięli się na następny szczebel  
drabiny społecznej: widzimy tu chęć pokazania, że było się w Europie  
i posiada się jakiś styl. Pani Bry na pewno uważa, że to kopia Trianon

- w Ameryce każda rezydencja z marmurowym portykiem i złocony-  
mi meblami uchodzi za kopię Trianon... - van Alstyne zatrzymał się  
naprzeciw domu Trenorów. - Kto to powiedział, że pani Trenor jest  
w mieście? - zauważył. - Dom jest ciemny, a Gus mieszka od tyłu...

- I dodał: - Słyszałem, że pani Trenor zamierza budować nową salę  
balową, nie daje jej spokoju, że Bry'owie mają wielką jak ujeżdżalnia  
koni... Spójrz pan - ciągnął i Selden z musu przystanął również. - Tam  
ma być sala balowa z galerią, nad nią pokój bilardowy i...

Laska, którą van Alstyne wymachiwał wskazując na ciemne ok-  
na, opadła nagle i z ust jego wyrwało się zdumione: - Oho!... - bo-  
wiem drzwi frontowe otwarły się i na tle oświetlonego przedsionka  
zarysowały się dwie postacie. W tej samej chwili nadjechała doroż-  
ka i jedna z tych postaci, otulona w wieczorowy płaszcz, zbiegła ze  
stopni, gdy druga, czarna, otyła, pozostała w kręgu światła.

Przez sekundę dwaj widzowie patrzyli w milczeniu. Drzwi się  
zamknęły, dorożka ruszyła z miejsca - rozegrała się przed nimi  
scena jak w stereoskopie.

Van Alstyne gwizdnął cicho: - Hm... panie Selden, ani słowa  
o tym, co? Proszę, ponieważ chodzi o moją kuzynkę... zresztą po-  
zory często myślą, a Fifth Avenue jest tak źle oświetlona...

- Dobranoc - odparł Selden i skreślił w najbliższą przecznicę nie  
dostrzegając wyciągniętej ręki swego towarzysza.

Po odejściu Seldena Gerty zakrzętnęła się żywo. Umówiła się na  
dzień następny wczesnym rankiem z okręgową inspektorką. Zgasiła

lampę, przysypała ogień na kominku i poszła do sypialni, by się rozebrać. Wtem u drzwi odezwał się dzwonek. Narzuciła szlafrok i otwarte drzwi ujrzała przed sobą Lily Bart. Usłyszała spazmatyczny krzyk: - Gerty! - W następnej chwili poczuła, że Lily chwytając ją w objęcia i tuli się do niej.

- Lily! Co się stało?

Panna Bart puściła ją i stała oddychając z trudem, jak ktoś, kto po długiej ucieczce dopadł wreszcie kryjówki.

- Tak mi było zimno... Nie mogłam iść do domu...

Współczucie powstrzymało wyrazy zdziwienia na ustach Gerty

i sprawiło, że w milczeniu wprowadziła przyjaciółkę do saloniku i posadziła ją przy dogasającym kominku.

- Drzewo jeszcze się tli... za chwilę będzie ciepło. - Uklękła i pod jej sprawnymi rękami buchnął po chwili płomień. Bez słowa patrzyły na siebie, wreszcie Lily powtórzyła: - Nie mogłam iść do domu.

- Nie... nie... i przyszedłaś tutaj, moja kochana! Jesteś zziębnięta i zmęczona... siedź spokojnie, zaraz zrobię ci herbaty...

Gerty nieświadomie przybrała swój ton zawodowej pocieszycielki; wiedziała, że nie należy dotykać rany, gdy jeszcze krwawi.

Lily siedziała w milczeniu, pochylona nad ogniem: brzęk filiżanek za jej plecami przynosił ukojenie, podobnie jak znane odgłosy kołyszą do snu dziecko, które nie może zasnąć. Ale gdy Gerty stanęła przy niej z herbatą, odsunęła ją i powiodła błędnym wzrokiem po dobrze jej znanym pokoju.

- Przyszedłam tutaj, bo nie mogłam znieść samotności.

Gerty odstawiła filiżankę i uklękła obok przyjaciółki. - Lily! Coś się stało... czy nie możesz mi tego powiedzieć?

Lily otrząsnęła się z apatii i przylgnęła do Gerty w nowym napadzie trwogi. - Pozwolisz mi tu zostać? Jak zrobi się jasno, nie będę się już bała... Która godzina? Czy noc prędko się skończy? Bezsenność jest straszna... Wszystko cię prześladowa, stoi nad tobą przy łóżku...

Gerty chwyciła jej błędzące dłonie: - Lily, spójrz na mnie! Czy coś się stało?... Powiedz, co cię przestraszyło... parę słów... żebym mogła ci pomóc.

Lily potrząsnęła głową. - Nie jestem przestraszona... to niewłaściwe słowo... Wyobraź sobie, że pewnego ranka spoglądasz w lustro i widzisz, że jesteś ohydna, że z twoją twarzą stało się coś strasznego, jakaś okropna zmiana w czasie kiedy spałaś... Ja się właśnie tak czuję. Nie mogę myśleć o sobie... Wiesz, jak nienawidzę brzydoty, zawsze odwracałam się od wszystkiego, co brzydkie... Zresztą - nie mogę ci tego wytłumaczyć... nie zrozumiałabyś... Ktoś mi powiedział, że mój ojciec cierpiał na bezsenność... leżał i myślał o okropnych rzeczach. A nie był zły, tylko nieszczęśliwy. Ale ja jestem zła... bardzo zła... wszystkie moje myśli są złe i zawsze miałam dokoła siebie ludzi złych. Czy to mnie usprawiedliwia? Myślałam, że potrafię żyć własnym życiem, i byłam dumna... ach, jaka dumna!... a teraz upadłam tak nisko jak oni...- Zniosła się płaczem, łkania wstrząsały całym jej ciałem, które poddawało się jak drzewo targane burzą.

Gerty uklękła koło niej i z cierpliwością, wynikającą z doświadczenia, czekała, dopóki ten wybuch nie doprowadzi do dalszych wyznań.

Lily uspokoiła się i uniosła głowę. - U ciebie są także złe dziewczęta. Powiedz mi... czy one podnoszą się z upadku? Czy stają się gorsze? - Wstała i wyciągnęła ręce ruchem skrajnego znużenia. - Idź spać kochanie! Ciężko pracujesz i musisz wstać wcześniej. Ja tu posiedzę przy ogniu. Najważniejsza jest świadomość, że mam cię blisko.

- Nie, Lily, nie opuszczę cię. Chodź i połóż się ze mną. Ręce masz lodowate... musisz się rozgrzać... Zostaniesz tutaj, ale powiedz, gdzie byłaś? To ci ulży... Wiem, że byłaś na obiedzie u Carry Fisher... - Po chwili dodała: - Lawrence Selden poszedł tam, żeby się z tobą zobaczyć.

Na te słowa twarz Lily zmieniła się; wyraz hamowanego skrywanego lęku zamienił się w wyraz dziecinnego rozzalenia. Usta jej drżały, oczy napęłniły się łzami. - Poszedł, żeby się ze mną zobaczyć? A ja się z nim minęłam! O Gerty, on chciał mi pomóc! Już dawno tłumaczył mi, ostrzegał... przewidział, że samą siebie znienawidzę! - Dręczący Lily niepokój ustępował z wolna wraz z potokiem łez. Chwyciła przyjaciółkę za ramiona. - Gerty, ty go znasz... ty go rozumiesz... po-

wiedz, gdybym poszła do niego i powiedziała wszystko... gdybym powiedziała: „Jestem złym stworzeniem... pragnę uwielbienia, podniecenia, pieniędzy...” Tak, pieniędzy! Tego się wstydzę, Gerty... bo wiem, że tak się o mnie mówi... tak myślą o mnie mężczyźni... Gdybym mu to wszystko wyznała... powiedziała, że upadłam niżej niż najniższe istoty... bo wzięłam to, co one biorą, i nie zapłaciłam tak, jak one płacą... Och, Gerty, powiedz, czy znienawidziłby mnie za to? Ty go znasz, możesz mówić za niego... Czy zlitowałby się i zrozumiał, i ocalił od znienawidzenia siebie samej...

- Tak... znam go i wiem, on ci dopomoże - odparła i w następnej chwili Lily leżała w jej objęciach płacząc.

Gerty rozebrała Lily i namówiła ją do wypicia gorącej herbaty, a potem położyły się obydwie do łóżka. Zgasiły światło i leżały cicho w ciemności. Gerty zsunęła się na brzeg wąskiego łóżka, natomiast Lily, odwróciwszy się do niej plecami, ułożyła się wygodniej - pasmo jej przyjemnie pachnących włosów musnęło twarz Gerty. Wszystko w Lily było ciepłe, miękkie i wonne, nawet ze łzami w oczach wyglądała ślicznie - przypominały krople deszczu na płatkach róży.

Nagle Lily wysunęła rękę spod kołdry i mocno ścisnęła dłoń przyjaciółki.

- Trzymaj mnie, Gerty... trzymaj mnie, bo inaczej będę myślała o strasznych rzeczach...

Gerty w milczeniu objęła ją ramieniem i przytuliła jej głowę, jak matka tuli rozżalone dziecko. Lily leżała cicho w tym ciepłym objęciu, oddech jej stawał się cichszy i spokojniejszy, uścisk palców zelżał, potem głowa opadła niżej w swym schronieniu i Gerty poczuła, że jej przyjaciółka śpi.

Nazajutrz, po powrocie do domu, Lily zastała panią Peniston w nastroju wielkiego wzburzenia. Posłała już po Grace Stepney i zażywała krople na serce. Lily odważnie stawiała czoło fali pytań - wyjaśniła, że wracając od pani Fisher omdlała z osłabienia i bojąc się, że nie zdoła sama dojechać do domu, wstąpiła do panny Farish; po spokojnie spędzonej nocy czuje się zupełnie dobrze.

Pani Peniston, rada tym wyjaśnieniom, mogła znów zająć się sobą i poradziła Lily, aby położyła się do łóżka - uważała to za najlepsze lekarstwo na wszystkie niedomagania ciała i duszy. W zaciszu swego pokoju Lily musiała trzeźwo przyjrzeć się faktom. W świetle dziennym widziała je nie tak mgliście i ponuro, jak poprzedniej nocy. Zresztą czas

było otrząsnąć się z gorączkowych majaczeń i przystąpić do działania.

Po raz pierwszy zmusiła się do dokładnego obliczenia sumy, jaką była winna Trenorowi; z obrachunku wynikało, że otrzymała od niego ogółem dziewięć tysięcy dolarów. I ani jeden grosz z tego nie był jej własnością. Jakież wstyd! Obezwładniło ją poczucie własnej bezsilności. Chcąc odzyskać szacunek dla samej siebie musi natychmiast zapłacić całą sumę. Po raz pierwszy uświadomiła sobie, że utrzymanie godności kobiecej może więcej kosztować niż stroje, a fakt, że moralność tak bardzo zależy od posiadania pieniędzy, sprawił, że świat wydał jej się podlejszym, niż przypuszczała.

Po drugim śniadaniu, gdy przestały ją śledzić drapieżne oczy Grace Stepney, Lily poprosiła ciotkę o chwilę rozmowy. Obie panie udały się na górę, do saloniku, gdzie pani Peniston zasiadła w fotelu obitym czarnym aksamitem i wypikowanym żółtymi guzikami, obok stolika, na którym stała brązowa szkatułka z miniaturą Beatrice Cenci. Tu właśnie ciotka wysłuchiwała rzadkich zwierzeń siostrzenicy, i Lily zdawało się, że w miarę jak ciotka się chmurzyła i zasepiała, Beatrice Cenci w turbanie uśmiechała się różowymi ustami coraz żywiej. Lily rzadko odważała się na poufne rozmowy z ciotką, a już nigdy nie czuła się mniej pewna powodzenia jak właśnie tego dnia. Lecz czyż miała inne wyjście?

Pani Peniston przyglądała się jej badawczo. - Jesteś mizerna, moja droga. Te nieustające zabawy zaczynają cię wyczerpywać.

- To nie zabawy, ciotko Julio - odparła - miałam kłopoty.

- A! - westchnęła pani Peniston i ściągnęła wargi, jak sakiewkę przed żebrakiem.

- Przykro mi, że cię tym nudzę - ciągnęła Lily - ale doprawdy przypuszczam, że moje wczorajsze omdlenie spowodowane zostało w części przez dręczące myśli...

- A ja byłabym skłonna myśleć, że odpowiada za to kucharka Carry Fisher. Pamiętam, że obiad, który u niej jadłyśmy przed wyjazdem do Francji w 1891 roku... to już pięć lat minęło!... bardzo mi nie posłużył.

- Niewiele jadłam; ale nie mogę ani jeść, ani spać. - Lily urwała, a po chwili rzekła znienacka: - Ciotko Julio, mam długi.

Pani Peniston, o dziwo nie okazała zaskoczenia ani oburzenia, którego spodziewała się Lily. Milczała nachmurzona.

- Byłam nierozważna... - dodała Lily.

- Niewątpliwie... bardzo nierozważna... - wtrąciła pani Peniston - z twoimi dochodami!... Nie licząc już moich hojnych podarunków, których nigdy nie skąpię...

- Jesteś zawsze wspaniałomyślna, ciotko Julio... nigdy nie zapomnę twojej dobroci. Ale może nie zdajesz sobie sprawy, na jakie wydatki jest dziś narażona młoda dziewczyna...

- Jeśli chodzi o ciebie, nie widzę innych wydatków jak na stroje i podróże. Chcę, żebyś była ładnie ubrana. Ale przecież zapłaciłam twój rachunek u Celestyny nie dalej jak w październiku.

Lily zawahała się, nienaganna pamięć ciotki jak nigdy jeszcze była jej nie na rękę.

- Jesteś zawsze bardzo dobra, ciociu, ale od tej pory wzięłam jeszcze inne rzeczy.

- Jakie inne rzeczy? Ile wydałaś? Pokaż mi rachunek... zdaje mi się, że ta kobieta cię oszukuje.

- O nie, nie sędzę... suknie są jednak dzisiaj strasznie drogie... a tyle ich trzeba, i to różnego rodzaju: na wieś, do golfa, do tenisa... na ślizgawkę.

- Pokaż mi rachunek - powtórzyła pani Peniston.

Lily zawahała się. Przede wszystkim pani Celestyna nie przysłała jeszcze rachunku, a po wtóre stanowił on zaledwie część tej sumy, jakiej Lily potrzebowała.

- Nie przysłała jeszcze rachunku za stroje zimowe, ale wiem, że jest duży. Poza tym są inne rzeczy... byłam tak lekkomyślna... nierozważna... boję się myśleć o moich długach... - dodała z minką

smutną i skruszoną. Lecz na pani Peniston wyraz jej uroczej buzi nie zrobił wrażenia. Cofnęła się w fotelu zirytowana, spojrzała na zegarek i połknęła proszek na serce.

- Jeżeli winna jesteś Celestynie znów tysiąc dolarów, niech mi przyśle rachunek - oznajmiła tonem wskazującym na to, że za każdą cenę pragnie skończyć tę dyskusję.

- Bardzo mi przykro, ciotko Julio... powinnam była powiedzieć to wcześniej... ale winna jestem znacznie więcej niż tysiąc dolarów.

- Znacznie więcej? Dwa tysiące? Ona cię chyba okrada!

- Powiedziałam cioci, że to nie tylko Celestyna... Mam jeszcze inne rachunki, które powinny być zapłacone.

- Cóżes ty, na Boga, kupowała? Bizuterię? Oszalałaś chyba!

- Długi, o których mówię, nie wynikają z kupna - zaczęła, ale pod wzrokiem pani Peniston zamilkła. Czy być może, żeby ciotka czegoś się domyślała? Najlepiej wyznać wszystko.

- Tak się złożyło, że grałam dużo w karty... w brydża... wszystkie kobiety dziś grają... i panny także... niekiedy wygrywałam... nawet dość dużo, ale w ostatnich czasach nie miałam szczęścia. To są długi honorowe i muszą być spłacone niezwłocznie. - Urwała. Twarz pani Peniston powoli kamieniała.

- Karty?... Grałaś w karty o pieniądze? A więc to prawda! Gdy mi o tym mówiono, nie chciałam wierzyć. Nie będę pytać, czy inne okropności, o których mi opowiadano, są również prawdziwe. Nie mam na to nerwów.

- Jesteś surowa dla mnie, ciotko Julio... nie lubiłam nigdy tych kart, ale tak łatwo dać się wciągnąć i robić to, co robią inni. Otrzymałam nauczkę, i jeżeli mnie wybawisz tym razem, to przyrzekam, że już nigdy...

Pani Peniston podniosła rękę ostrzegawczo. - Nie trudź się składaniem przyrzeczeń, to zbyteczne. Gdy ofiarowałam ci przytułek w moim domu, nie zobowiązałam się płacić twoich karcianych długów.

- Ciotko Julio... czy to znaczy, że nie chcesz mi pomóc?

- Nie uczynię nic, co mogłoby oznaczać, że pochwalam i popieram twoje postępowanie. Rachunek u krawcowej mogę zapłacić, ale nie mam żadnych zobowiązań wobec twoich innych długów.



Lily podniosła się i stała przed ciotką drżąca i blada. Duma buntowała się w niej, ale upokorzenie, jakie mogło ją czekać, wyrwało z jej ust okrzyk: - Ciotko Julio, będę zhańbiona, jeśli...

- Uważam, że już jesteś zhańbiona, zhańbiona swoim postępowaniem bardziej niż jego skutkami. Mówisz, że cię przyjaciele namówili, żebyś grała w karty. Zapewne mają oni trochę pieniędzy do stracenia. Ala ja moich nie myślę trwonić na to, żeby im płacić... A teraz bądź łaskawa zostawić mnie samą... nie mam zdrowia do takich spraw... Spuść rolety i powiedz Jenningsowi, że nie przyjmuję dziś nikogo oprócz Grace Stepney.

Lily poszła do siebie i zamknęła się na klucz. Drżąc ze strachu i gniewu chodziła z kąta w kąt krokiem gorączkowym, niezdolna zapanować nad myślami. Zatrzasnęły się przed nią ostatnie drzwi ratunku - czuła się jak w pułapce wraz ze swoją hańbą.

Nagle stanęła przed zegarem na kominku, zbliżała się trzecia... O czwartej miał przyjść Selden! Zamierzała pozbyć się go kilku słowami, ale teraz serce jej zabiło na myśl, że go zobaczy. Czyż w jego miłości nie było ratunku! Ubiegłej nocy, leżąc u boku Gerty, myślała o jego przyjściu, nie wątpiąc zresztą ani przez chwilę, że pani Peniston wybawi ją z przyziemnych kłopotów. Miłość Seldena nie mogła być jej ostateczną ucieczką. Ale jakżeż słodko byłoby znaleźć pod jej skrzydłami schronienie i nabrać świeżych sił do dalszej drogi. Pamiętała dobrze słowa Gerty: „Ja go znam... on ci dopomoże”, i uczepiła się tych słów z wiarą chorego w uzdrawiającą moc relikwii. Och, jeśli on ją naprawdę zrozumie - jeśli zechce jej pomóc naprawić złamane życie! Dawał jej zawsze odczuć, że jest godna lepszych rzeczy, a nigdy jeszcze bardziej nie potrzebowała takiej pociechy.

Godzina czwarta zastała ją w bawialni - Lily nie wątpiła, że Selden będzie punktualny. Ale oznaczona godzina nadeszła i minęła - minuty bieły, mierzone niecierpliwym biciem jej serca. Pomimo pewnych obaw, że zniszczy jego złudzenia, postanowiła zwierzyć mu się ze wszystkiego; potrzebowała jego rady, nie mogła dłużej znieść ciężaru swej nędzy. Nastąpi niewątpliwie chwila groźna, ale czyż nie może ufać swojej urodzie?

Czas mijał, a Selden nie przychodził. Musiało go coś zatrzymać albo źle odczytał jej kartkę, skreśloną w pośpiechu, i wziął czwórkę za piątkę. Dźwięk dzwonka w parę minut po piątej potwierdził to przypuszczenie - Lily postanowiła, że w przyszłości będzie pisać czytelniej. Odgłos kroków i głos Jenningsa wlał nową energię w jej żyły, poczuła się znowu zdolna do panowania nad okolicznościami, a wspomnienie władzy, jaką miała nad Seldenem, napełniło ją nagłą ufnością. Lecz gdy drzwi salonu otwarły się, wszedł Rosedale.

Lily zapanowała nad sobą i przywitała go przyjaźnie. Niemiłą jej była myśl, że Selden, gdy przyjdzie, zastanie tego właśnie gościa, który w jej chwilowym nastroju wydał się wyjątkowo nieznośny.

Zacząła rozmawiać o przyjęciu u Bry'ów - temat łatwy i bezpieczny, który mógł zappełnić czas do przyjścia Seldena, lecz pan Rosedale, siedząc przy stoliku do herbaty z rękami w kieszeniach, z nogami zbyt swobodnie wyciągniętymi, nadał od razu rozmowie ton osobisty.

- Tak, wieczór wypadł nieźle... nieźle. Oczywiście były pewne niedopatrzenia... szampan nie był mrożony, a w szatni bałagan. Ja osobiście wydałbym więcej pieniędzy na muzykę. Taki już jestem; jak mam na coś ochotę, to płacę bez mrugnięcia okiem, nie targuję się. Ja urządziłbym wszystko z większym rozmachem. A na to potrzeba dwóch rzeczy: pieniędzy i odpowiedniej kobiety, która wie, jak je wydać.

Urwał i patrzył na nią badawczo. Lily udawała, że ustawia filiżanki,

- Pieniądze mam - ciągnął dalej, odchrząknawszy - a teraz chcę mieć kobietę... i dostanę ją.

Lily milczała, uśmiechała się blado i patrzyła na niego z roztargnieniem. Zastanawiała się w duchu nad tym, że oświadczyły zabiorą nieco czasu i że Selden z pewnością zjawi się, zanim nadejdzie, chwila odmowy. Jej zamyślane spojrzenie podziałało na pana Rosedale'a jak subtelna zachęta. Wyraźną skwapliwość z jej strony przyjąłby bez zachwyty.

- I ja taką kobietę dostanę - powtórzył ze śmiechem, który miał wzmocnić jego pewność siebie. - Jak dotąd, zawsze dostawałem to,

czego chciałem. Chciałem pieniędzy i mam ich więcej, niż sam mogę wydać; a teraz pieniądze nie mają dla mnie znaczenia, dopóki nie będę mógł wydawać ich na odpowiednią kobietę. A wie pani, czego ja chcę? Żeby wobec mojej żony wszystkie kobiety czuły się niższe. Na to nigdy nie pożałuję pieniędzy. Chcę mieć kobietę, która nosiłaby głowę tym wyżej, im więcej zdobiłbym ją brylantami. A gdy patrzyłem na panią u Bry'ów, w tej skromnej białej sukni wyglądała pani jak królowa, to powiedziałem sobie: „Do licha, gdyby ona miała koronę, nosiłaby ją tak, jakby się w niej urodziła”.

Lily ciągle milczała, a on mówił dalej, zapalając się coraz bardziej: - Taka kobieta, mówię pani, kosztuje więcej niż wszystkie inne razem wzięte. Ale ja bym chciał, żeby moja żona uważała całą ziemię za swoją własność, gdyby jej to przyszło do głowy. Wiem, że pieniądze mają jedną przykrą stronę, trzeba je zdobywać, troszczyć się o nie. Moja żona nigdy nie będzie się do tego zniżać.

Umilkł, po czym dodał: - Założę się, że pani wie, kogo mam na myśli.

Lily podniosła głowę - twarz jej rozjaśniła się na to wezwanie. Brzęk milionów pana Rosedale'a nadzwyczaj ponętnie zabrzmiał poprzez ponury zamęt jej myśli. Och, mikroskopijna cząsteczka tej fortuny zlikwidowałaby jej nędzny dług! Ale mężczyzna posiadający te miliony stawał się coraz wstrętniejszy wobec spodziewanego przyścia Seldena. Kontrast był zbyt komiczny - Lily z trudnością stłumiła śmiech. Uznała, że najlepsza będzie tu szczerłość.

- Jeżeli pan mnie ma na myśli, jestem bardzo wdzięczna... pan mi ogromnie pochlebia, ale nie wiem, co uczyniłam kiedykolwiek, żeby pan mógł przypuszczać...

- O, jeśli chcesz mi pani powiedzieć, że nie jesteś we mnie śmiertelnie zakochana, to zbyteczne, bo mam jeszcze na tyle rozumu, że sam to widzę. Pani mi się piekielnie podoba - tak to mogę ująć - i skutki tego przedstawiam w prosty, handlowy sposób. Pani nie bardzo mnie lubi... jeszcze nie... ale pani lubi luksus i rzeczy wytworne, i rozrywki... i nie cierpi pani troszczyć się o gotówkę. Pani lubi się bawić, a ja mogę to pani zapewnić. Proszę mi wyba-

czyć - ciągnął dalej tym samym tonem - jeśli mówiłem zbyt otwarcie. Ale dlaczego pani nie jest ze mną szczerą?... Był przecież czas, kiedy miała pani kłopoty... szkaradne kłopoty... jakich młoda dziewczyna w pani stylu nigdy nie powinna znać, a ja ofiaruję możliwość zerwania z nimi raz na zawsze.

Gorący rumieniec zapłonął na twarzy Lily. Wyraz oburzenia drżał na jej ustach, ale powstrzymywał ją jakiś wewnętrzny głos, ostrzegający, żeby nie zrażała sobie tego człowieka. Zbyt wiele wiedział o niej i nawet w tej chwili, gdy powinien dbać o to, żeby pokazać się w jak najlepszym świetle, dawał jej do zrozumienia, jak wiele wie. Cała jej przyszłość mogła zależeć od tego, w jaki sposób mu odpowie.

- Ma pan słuszność - rzekła ze spokojem. - Miałam kłopoty i wdzięczna jestem, że chce pan mnie od nich uwolnić. Nie zawsze łatwo być zupełnie niezależną i zachować godność, gdy się jest osobą ubogą, a żyje się wśród ludzi bogatych; byłam rozrzutna, a potem dręczyły mnie długi. Ale byłabym niewdzięcznym i samolubnym stworzeniem, gdybym przyjęła pańską propozycję i w zamian dała tylko chęć uwolnienia się od moich trosk. Musi mi pan dać trochę czasu do zastanowienia się nad pańską dobrocią... i nad tym, co mogłabym ze swej strony panu ofiarować...

Pełnym wdzięku ruchem wyciągnęła rękę, który jej odprawę pozbawiał ostrza. Rosedale wstał posłuszny wymownej wskazówce, nieco wzruszony nadspodziewanym powodzeniem. Wierny tradycji swojej krwi, przyjmował to, co mógł dostać, nie nalegając na więcej w zbędnym pośpiechu. Coś w tej szybkiej uległości przeraziło Lily; odczuła za nią potęgę cierpliwości, zdolnej pokonać najsilniejszy upór. Ale przynajmniej rozstali się przyjaźnie i wyszedł, nie spotkawszy Seldena - Seldena, którego przedłużająca się nieobecność przejęła ją niepokojem. Rosedale był przeszło godzinę i Lily zrozumiała, że za późno już spodziewać się Seldena. Napisze, oczywiście, i wytłumaczy, dlaczego nie przyszedł; wieczorna poczta niewątpliwie przyniesie bilecik od niego.

Jakżeż ciężko było jej na duszy, gdy ostatni listonosz nic dla niej nie przyniósł i zmuszona była pójść na górę do siebie, gdzie czekała

ją ponura, samotna bezsenna noc. Nie umiała nigdy przebywać sama na sam ze swymi myślami.

Światło dzienne rozproszyło zgraję widziadeł i przyniosło jej przekonanie, że jeszcze przed południem będzie miała wiadomość od Seldena, ale dzień minął, a on ani nie napisał, ani nie przyszedł. Lily pozostała w domu, zjadła drugie śniadanie i obiad sama z ciotką, która skarżyła się na bicie serca i rozmawiała lodowatym tonem o rzeczach obojętnych. Pani Peniston udała się na spoczynek wcześniej, a po jej odejściu Lily usiadła i napisała bilecik do Seldena. W chwili, gdy chciała zadzwonić na pokojówkę, by go wysłać, wzrok jej padł na wiadomość w gazecie leżącej na biurku: „Pan Lawrence Selden znajdował się wśród pasażerów, którzy dziś po południu odpłynęli do Hawany i Indii Zachodnich”.

Odłożyła gazetę i siedziała bez ruchu wpatrzona w swój bilecik. Zrozumiała, że on nigdy nie przyjdzie, że odjechał, bo bał się, że ulegnie. Wstała, przeszła przez pokój i długo przyglądała się sobie w jasno oświetlonym zwierciadle wiszącym nad kominkiem. Rysy jej twarzy zaostrzyły się wyraźnie - wyglądała staro, a gdy dziewczyna wygląda staro dla samej siebie, jaka wydaje się innym? Odwróciła się i zaczęła chodzić po pokoju.

Nagle spostrzegła, że pióro, którym pisała do Seldena, leżało jeszcze na nie zamkniętym kałamarzu. Usiadła ponownie przy biurku, wyjęła z pudełka kopertę i zaadresowała ją do Rosedale'a. Następnie rozłożyła arkusik papieru i siedziała z piórem w ręku. Nietrudno było napisać datę i „Szanowny Panie”, lecz potem natchnienie osłabło. Pragnęła mu powiedzieć, żeby przyszedł do niej, ale słowa jakoś nie chciały się ułożyć. Wreszcie zaczęła: „Myślałam, że...”, i znowu odłożyła pióro, oparła łokcie na stole i ukryła twarz w dłoniach.

Nagle zadźwięczał dzwonek. Zerwała się z miejsca. Nie było jeszcze późno - zaledwie dziesiąta - mogła to być jeszcze jakaś wiadomość od Seldena, bilecik - a może on sam stał za drzwiami! Notatka o jego wyjeździe mogła być mylna - może to jakiś inny Lawrence Selden odpłynął do Hawany - wszystkie te możliwości

przemknęły przez jej głowę jak błyskawica i zanim otworzyły się drzwi i weszła pokojówka niosąc depezę, miała przekonanie, że go jednak zobaczy lub otrzyma od niego wiadomość.

Rozerwała kopertę drżącymi rękoma i przeczytała nazwisko Bert; Dorset pod następującym tekstem: „Odpływamy niespodzianie jutro Czy zechcesz towarzyszyć nam w podróży po Morzu Śródziemnym?”

RS

## CZEŚĆ DRUGA

### 1

Widok ze stopni kasyna wyraziście uprzytomnił Seldenowi, że Monte Carlo, bardziej niż jakakolwiek ze znanych mu miejscowości, każdemu potrafi dać to, czego pragnie.

Biały, kwadratowy gmach kasyna o egzotycznie kokieteryjnej architekturze, podzwrotnikowa roślinność w wypielegnowanych ogrodach, przechodzące się grupy ludzi na tle liliowych gór - jakby przez zapomnienie pozostawionej dekoracji teatralnej - wszystko tchnęło atmosferę blasku i rozleniwienia, której Selden poddawał się czując, że ucieka od kilku ostatnich miesięcy swego życia.

Gdy w pilnej sprawie musiał wyjechać z kraju, by odbyć naradę z klientem w Paryżu, niechętnie wyrwał się z rutyny swej pracy biurowej; dopiero teraz, po załatwieniu wszystkich spraw, umknąwszy na parę dni na Południe, rozkoszował się rolą widza, która jest poaciechą tych, co biernie przyglądają się życiu.

Ta różnorodność ponęt, ta wieczna niespodzianka kontrastów i podobieństw! Schodząc ze stopni kasyna zdawał sobie sprawę, że czekają na niego wszystkie niespodzianki tego wielkiego widowiska, jakim jest Monte Carlo.

Była połowa kwietnia i czuło się, że ogólne rozbawienie sięgnęło szczytu, że grupy ludzi na placach i w ogrodach rozpierzchną się za

chwilę i zbiorą na nowo w jakiejś innej scenerii, a tymczasem - jakby wiedząc, że niebawem zapadnie kurtyna, zdawały się jaśnieć wzmożonym blaskiem. Łagodność powietrza, obfitość kwiatów, intensywny błękit nieba i morza podnosiły walor sceny, jakby się na nią obróciły światła wszystkich reflektorów. Na czoło wysunęło się towarzystwo żyjące w przekonaniu, że skupia na sobie wszystkie spojrzenia. Przypominało aktorów sztuk kostiumowych, przeżywających na scenie wielkie namiętności, od których jednak nie drgnie ani jedna fałda w draperiach stroju. Panie upozowały się z myślą

o jak najlepszym efekcie, panowie tkwili przy nich w postawie bohaterów scenicznych, co do których program podaje na końcu wiadomość, u jakich krawców się ubierają. Selden nieopatrznie rozbił kompozycję tego obrazu zwróceniem uwagi na własną osobę.

- Ależ to Lawrence Selden! - zawołała głośno Carry Fisher i zwracając się do niego, ruchem ręki wskazała stojącą obok niej panią Bry i Gertrudę Stepney: - Umieramy z głodu, bo nie możemy się zdecydować, gdzie zjeść lunch!

Całe grono powitało Seldena. - Najlepsze miejsce to oczywiście „Na Tarasie” - oświadczyła z powagą pani Bry - ale człowiek wygląda tam, jakby przyszedł tylko po to, żeby się pokazać! Amerykanie, którzy nikogo tu nie znają, zawsze szukają najlepszej kuchni. A księżna Beltshire jada ostatnio u Becassina.

Jej małżonek, Welly Bry, biznesmen o bladej twarzy i w sportowym ubraniu, zauważył z humorem: - Księżna, zdaje się, jada tam, gdzie jest najtaniej. Gdybyśmy zaproponowali, że podejmiemy ją „Na Tarasie”, łatwo zmieniłaby decyzję.

Tu wtrącił się Jack Stephney: - Książęta jadają w małej knajpce w porcie. Lord Hubert twierdzi, że to jedyne miejsce w całej Europie, gdzie potrafią gotować zielony groszek.

- Zielony groszek? - spytał pan Bry z pogardą. - Ciekaw jestem, czy potrafią ugotować żółwia?! Najlepszy dowód, czym są te europejskie restauracje, jeżeli można zdobyć sławę gotując zielony groszek!

- A jednak tak jest! - potwierdził z subtelnym naciskiem lord Hubert Dacey, szczupły, niepozorny mężczyzna o czarującym, znużo-



nym uśmiechu i z miną człowieka, który najlepsze lata życia poświęcił na wskazywanie bliźnim co, gdzie i kiedy powinno się jadać.

- Niezupełnie zgadzam się z tobą, Hubercie - zaproponował aurytatywnie Jack Stepney. - Jest w Paryżu taka mała dziura na bulwarze Woltera... w każdym razie tej garkuchni w porcie nie polecam, przynajmniej paniom...

Stepney, od czasu jak się ożenił, przytył i kładł wielki nacisk na przestrzeganie konwenansów. Tym razem sprzeciwiła mu się własna żona.

- Właśnie dlatego tam pójdziemy! - oświadczyła potrząsając wielkimi piórami na kapeluszu. - „Na Tarasie” bardzo mi się sprzykrzyło. Nudno tam jak u mamy. A lord Hubert obiecał nam opowiedzieć dokładnie o tych strasznych typach w portowej knajpie... prawda? Nie bądź taki nadęty, Jack!

- Jestem ciekawa tylko jednego: gdzie się takie panie ubierają - oświadczyła pani Bry.

- Nie wątpię, że lord Dacey i to będzie wiedział - zauważył Stepney z przekąsem, na co ten odparł półgłosem: - Na pewno mogę się dowiedzieć.

Pani Bry oświadczyła, że nie może już zrobić ani kroku, wobec czego przywołano kilka lekkich powozów na resorach, bez drzwiczek, usłużnie czekających przy wejściu do ogrodów, i całą procesją udano się w kierunku portu. Celem wyprawy była jedna z małych knajpek przy dolnym bulwarze. Z jej okien roztaczał się widok na szafirową przystań położoną pomiędzy zielenią dwóch bliźniaczych przylądków; na prawo skała Monaco, ze średniowieczną sylwetką kościoła i zamku, na lewo tarasy i wieże kasyna gry. Po wodach akwenu portowego, tnąc ich modrą powierzchnię w głębokie bruzdy, sunęły spacerowe statki, a wśród nich, majestatycznie kołysząc się, płynął duży jacht parowy, który w kulminacyjnym punkcie śniadania odwrócił uwagę towarzystwa od zielonego groszku.

- Na Jowisza! Zdaje mi się, że to jacht Dorsetów! - zawołał Stepney.

- Tak. To „Sabrina”... na pewno - przytaknął mu lord Hubert.

- Są już tutaj? Mieli przecież spędzić miesiąc na Sycylii! - zauważyła Carry Fisher.

- Prawdopodobnie nie wytrzymali tak długo; tam jest przecież; tylko jeden przyzwoity hotel - zauważył pan Bry pogardliwie.

- To był pomysł Neda Silvertona... ale biedny Dorset i Lily Bart musieli tam umierać z nudów - rzekła pani Fisher i dodała półgłosem) zwracając się do Seldena: - Mam nadzieję, że nic tam nie zaszło.

- Ogromnie się cieszę, że panna Bart wraca - oznajmił lord Hubert swoim naturalnym głosem, a pani Bry dodała naiwnie: - No, teraz to księżna znów będzie z nami jadła, mając przy sobie Lily Bart.

- Księżna ją uwielbia - dodał lord Hubert, a Carry Fisher w dalszym ciągu objaśniała Seldenowi poufałym tonem: - Lily miała tutaj niebywałe powodzenie. Wygląda o dziesięć lat młodziej... chyba nigdy nie widziałam jej równie pięknej. W Cannes lady Skiddaw nie puszczala jej od siebie, a następczyni tronu macedońskiego zaszczyliła ją zaproszeniem na tydzień. Podobno właśnie z tego powodu pojechali stąd na Sycylię. Berta skręcała się z zazdrości, patrząc na tryumfy Lily.

Selden nic nie odpowiedział. Obracając w palcach filigranową filiżankę, z której pił kawę przyrządzoną po turecku, ze zdumieniem stwierdził, że widok „Sabriny” głęboko go poruszył.

Słyszał już, że panna Bart wędruje po Morzu Śródziemnym w towarzystwie Dorsetów, nie przypuszczał jednak, że może ją spotkać na Riwierze, gdzie sezon dobiegał końca. Miał wszelkie powody przypuszczać, że trzy miesiące wyteżonej pracy zawodowej po wstrząsie, jaki przeżył z powodu Lily, radykalnie uwolniły go od sentymentalnych porywów. Mógł się tylko cieszyć z ocalenia - jak podróżnik, gdy ujdzie z życiem z niebezpiecznej przygody. Dojmujący ból serca, który poczuł nagle, przekonał go, że nie uszedł cało.

W godzinę później przechadzał się z panią Fisher w ogrodach kasyna. Wszyscy rozpięchli się po leniwym zwlekaniu z decyzją, tak charakterystycznym dla trybu życia w Monte Carlo, gdzie całe otoczenie, wraz z powolnym upływem godzin wyzłoconych blaskiem słońca, podsuwa mnóstwo sposobów próżnowania. Lord Hubert udał się na poszukiwanie księżnej Beltshire, Stepneyowie pojechali autem do Nicei, a pan Bry podążył zająć swe miejsce w konkursie strzelania do gołębi, angażującym chwilowo jego najwyższe kwali-

fikacje. Pani Bry, ze swoją skłonnością do rumieńców i zadyszki po posiłkach, udała się do hotelu na godzinny odpoczynek.

Przechadzka Seldena i jego towarzyszki zamieniła się w spokojną sjęstę na ławce osłoniętej wawrzynem i krzewami róż, z której poprzez marmurową balustradę widać było połyskliwy błękit morza i ogniste kwiaty wysokich kaktusów na skale, strzelające w górę niczym płomienie meteorów. Łagodny półcień i woń róż skłaniały do leniwej zadumy i palenia papierosów, i Selden pozwolił pani Fisher spokojnie snuć historię jej ostatnich przygód. Wyjechała do Europy z Bry'ami w chwili, gdy cały modny świat uciekał od złośliwych kaprysów nowojorskiej wiosny. Bry'owie po swoich pierwszych sukcesach towarzyskich spragnieni byli nowego królestwa i pani Fisher uznała, że po pobycie na francuskiej Riwierze łatwiej jej będzie wprowadzić Bry'ów do wyższych sfer Londynu. Starannie rozsiewała pogłoski o niezwykłej zamożności Bry'ów, przyciągając tym kosmopolitycznych łowców rozrywek.

- Ale nie jest tak dobrze, jak się spodziewałam - wyznała szczerze pani Fisher. - Mówi się, że każdy, kto ma pieniądze, ma wstęp do wszystkich salonów, ale należałoby mówić: prawie każdy. Rynek londyński jest zatłoczony Amerykanami i zdobyć tam powodzenie mogą albo wielcy spryciarze, albo prawdziwe oryginały. A Bry'owie nie są ani jednym, ani drugim. On jeszcze uszedłby od biedy - ludzi bawi jego żargon, przechwałki i te niezliczone *faux pas*, którymi się kompromituje. Ale Ludwika... Gdyby jeszcze chciała być tym, czym jest - tłustą, pospolitą i nadętą babą, mogłaby ludzi bawić! Ale ona usiłuje być wytworna i majestatyczna! Księżna Beltshire i lady Skiddaw natychmiast od niej uciekły. Powtarzam jej bez przerwy: „Ludwiko, bądź naturalna!”, ale gdzie tam... Uważa, że to ja jestem winna wszystkiemu, i to jest najgorsze! Kiedy się tu zjawili przed miesiącem Dorsetowie i Lily, zaraz sobie pomyślała, że gdyby miała ze sobą Lily Bart zamiast mnie, byłaby od razu za pan brat z książętami i księżnymi królewskiej krwi. Lord Hubert opowiadał nam, jak przed dziesięciu laty zakochał się w Lily - a nie była jeszcze tak piękna jak teraz - pewien książę włoski, człowiek bardzo bogaty i poważny,

i chciał się z nią żenić. W krytycznej chwili zjawił się jego przystojny pasierb i Lily była tak lekkomyślna, że zaczęła z nim flirtować, gdy małżeństwo z ojczymem było już prawie ułożone. Niektórzy twierdzili, że młodzieniec zrobił to naumyślnie, w każdym razie wyobraża pan sobie ten skandal! Straszna kłótnia między panami, a na Lily zaczęto spoglądać tak dwuznacznie, że i jej ciotka, pani Peniston, musiała spakować rzeczy i dokończyć kuracji gdzie indziej. W tym jest cała Lily: zadaje sobie mnóstwo trudu, by przygotować grunt, a kiedy przychodzi chwila, żeby zebrać owoce swoich trudów, spóźnia się albo jedzie na piknik.

Pani Fisher umilkła i z zadumą spojrzała na migotliwą powierzchnię morza widoczną między kwiatami kaktusów.

- Czasem myślę - podjęła po chwili - że to tylko płochość... a czasem wydaje mi się, że Lily postępuje tak dlatego, że w głębi duszy pogardza tym wszystkim, o co się ubiega. Trudno ją osądzić, ale dlatego też jest tak interesująca. - Spojrzała bokiem na milczący profil Seldena. - W każdym razie chciałabym, żeby mi odstąpiła niektóre z tych okazji, którymi pogardziła - dodała z westchnieniem. - Chętnie zamieniłabym się z nią teraz na miejsca. Miałaby dobry wpływ na Bry'ów, a ja wiedziałabym, jak postępować z Dorsetem, gdy Berta z Nedom SiWertonem spędza czas, zagłębiając się w poezje Verlaine'a.

Na protest Seldena odpowiedziała ironicznym spojrzeniem. - Po co bawić się w pozory? Wszyscy wiemy, dlaczego Berta zabrała ze sobą Lily Bart. Kiedy chce się bawić, musi znaleźć jakieś zajęcie dla swego męża, a trzeba przyznać, że Dorset bardzo się Lily zajmuje. Ożeniłby się z nią jutro, gdyby się przekonał o niewierności żony. Ale pan go zna... A Lily w podobnych sprawach nie ma rozumu; jestem pewna, że kiedy Dorsetowi otworzą się oczy, Lily przy nim nie będzie.

Selden niecierpliwie odrzucił papierosa. - Na Jowisza! Czas mi na pociąg! - zawołał i spojrzął na zegarek.

- Myślałam, że jest pan w Monte Carlo.

- Nie, mieszkam w Nicei.

W hotelu pospiesznie wrzucił rzeczy do kuferka, gdy posługacz czekał, by go zanieść do dorożki, i dopiero gdy usadowił się w kącie puste-

go przedziału pociągu, szepnął do siebie z dezaprobatą: „Do licha, od czego ja właściwie uciekam?” Słuszność tego pytania ochłodziła w nim chęć ucieczki, jeszcze zanim pociąg ruszył. Śmieszne było takie bronienie się przed urokiem, którego wpływ udało mu się pokonać rozumem; postąpił jak sentymentalny tchórz. Pewne ważne listy kazał sobie przesyłać do Nicei, tam też spokojnie będzie na nie czekał. Był zły, że opuścił

Monte Carlo, gdzie zamierzał spędzić tydzień, który mu pozostał do od-

płynięcia statku, ale teraz trudno byłoby się cofnąć bez zwrócenia uwagi

i wywołania komentarzy, na co nie pozwalała mu duma.

W głębi serca nie przejmował się tym, że uniknął sposobności spotkania panny Bart. Nie mógł jeszcze patrzeć na nią obojętnie. Musi pozostać zupełnie wyłączona z jego życia, a wtedy nawał nowych różnorodnych wrażeń, z którymi żadna myśl o niej nie będzie związana, dokończy dzieła rozłąki. Pod tym względem rozmowa z panią Fisher pomogła mu bardzo i Selden doszedł do przekonania, że powróci stopniowo do równowagi, jeśli nie będzie widywał panny Bart.

Gęstniejący tłum na peronie ostrzegł go, że będzie musiał pożegnać się ze swoją samotnością; w następnej chwili drzwi przedziału otworzyły się i Selden ujrzał przed sobą twarz, od której uciekał.

Panna Bart, zarumieniona od szybkiego biegu, wiodła za sobą gro-  
no złożone z Dorsetów, Neda Silvertona i lorda Huberta Dacey'a. To-  
warzystwo, jak się okazało, spieszyło do Nicei na zaproszenie  
księżnej Beltshire, żeby zjeść z nią kolację i obejrzeć festyn na wo-  
dzie - plan ukuty na oczekaniu przeciwko pani Bry, o czym - z nie  
ukrywaną wesołością - dokładnie opowiedziano Seldenowi. Słucha-  
jąc miał czas przyjrzeć się pannie Bart. Zaledwie trzy miesiące minę-  
ły od chwili, gdy rozstali się na progu ciepłarni Bry'ów, ale w jej  
urodzie zaszła subtelna zmiana. Była w niej wówczas jakaś przejrzy-  
stość, ciało zdawało się zdradzać porywy duszy, z tragiczną niekiedy  
wyrazistością. Teraz miał przed sobą nieprzeniknioną piękność, która

przeszła proces krystalizacji - od Lily Bart bił blask twardego, gładkiego kamienia. Pani Fisher brała to za dowód odmłodzenia, Selden

RS

widział w tym ów moment pauzy i zawieszenia, kiedy ciepły prąc młodości zastyga i przybiera swój kształt ostateczny.

Świadczył o tym uśmiech, z jakim się do niego zwracała, ton głosu, swoboda, z jaką potrafiła niespodziewanie powrócić do kontaktów tak gwałtownie zerwanych, że on dotąd czuł zawrót głowy. To opanowanie bardzo go zabolalo - pocieszył się myślą, że taki ból poprzedza wyzdrowienie. Tak, pozbędzie się ostatniej kropli trucizny.

W obecności Lily czuł się spokojniejszy, niż kiedy myślał o niej. Widział też inne rzeczy w jej zachowaniu. Widział, jak dostroiła się do ukrytych powikłań sytuacji, w której nawet po wyjaśniających wzmiankach pani Fisher on sam czuł się zbity z tropu. Lily wobec każdego z obecnych była bez zarzutu - usłużna dla despotycznej Berty, dobrodusznie troskliwa dla kapryśnego Dorseta, wesoła i towarzyska w stosunku do Silvertona i Dacey'a, z których ten ostatni zachowywał ton dawnego wielbiciela, podczas gdy młody Silverton, posepnie zadumany, ledwie dostrzegał jej obecność. I nagle Seldenowi przyszło do głowy, że sytuacja, która wymaga takiej czujności i tak zręcznych manewrów, musi być istotnie rozpaczliwa. Lily niechybnie znajdowała się w przededniu czegoś rozstrzygającego - takie odniósł wrażenie. Jakby stała na skraju przepaści, z jedną stopą wysuniętą do przodu, by dowieść sobie, że grunt wcale nie usuwa jej się spod nóg.

W tych odczuciach utwierdził go młody Silverton, gdy nudzili się przez pół godziny na Promenadę des Anglais czekając na obiad.

- Dlaczego porzucili Sycylię i powrócili do tej dziury - narzekał.
- Głównie dlatego, że panna Bart tęskniła za brydżem i wielkoświatowym życiem. Głucha jest jak kamień na głos sztuki i poezji. I, naturalnie, wmówiła w Dorseta, że włoska kuchnia mu szkodzi. O, ona może wmówić mu wszystko, dosłownie wszystko! Pani Dorset wie o tym - o, wie doskonale, nic nie ujdzie jej uwagi, ale nie pozwoli powiedzieć na pannę Bart ani słowa, bo to jej przyjaciółka! Chociaż są rzeczy, które drażnią jej dumę... nie do wszystkiego człowiek może się przyzwyczaić... ale to w zaufaniu, oczywiście. Otóż i nasze panie dają nam sygnał z balkonu. Lecę! - Przebiegł przez promenadę pozostawiając Seldena palącego w zadumie cygaro.

Nazajutrz rano panna Bart wyszedłszy późno ze swej kabiny znalazła się sama na pokładzie „Sabriny”. Od stewarda dowiedziała się, że pani Dorset jeszcze jest u siebie, a panowie - każdy z osobna - popłynęli na ląd zaraz po śniadaniu. Lily oparła się na chwilę o burtę, porwana widokiem, który roztaczał się przed jej oczyma. Na niebie ani jednej chmurki, morze i ląd skąpane w przezroczystym blasku słońca. Zaróżowiona woda odcinała się białą krechą piany od wybrzeża, na którego nierównych wzniesieniach hotele i wille kryły się w zieleni drzew oliwkowych i eukaliptusowych, w dali drżały w bladym świetle cienką kreską zarysowane nagie szczyty gór.

Jakież to było wszystko piękne - i jak bardzo Lily lubiła to co piękne! Zawsze uważała, że jej wrażliwość na piękno równoważy pewien chłód uczuciowy, z którego była mniej dumna.

Zaproszenie Dorsetów do wyjazdu za granicę było dla Lily cudownym wybawieniem z kłopotów; sama zmiana miejsca stała się nie tylko odroczeniem, ale poniekąd załatwieniem dręczących ją spraw. Problemy moralne istniały dla niej tylko tam, gdzie się zrodziły; nie lekceważyła ich bynajmniej ani o nich zapominała, po prostu stawały się nierzeczywiste z chwilą, gdy zmieniały swoje tło. Nie mogłaby pozostać w Nowym Jorku bez zapłacenia winnych Trenorowi pieniędzy; dla uiszczenia tego długu gotowa była zdecydować się na małżeństwo z Rosedale'em. Przypadek sprawił, że od moralnych zobowiązań rozdzieliła ją szerokość Atlantyku, sprawia-



jąc, że stały się jak przydrożne kamienie, które mijała w podróży. Zwłaszcza te dwa miesiące na „Sabrinie” wzmogły złudzenie odległości. Ciągła zmiana miejsca obudziła w Lily dawne nadzieje i ambicje. Samo krążenie po morzu zachwycało ją jak romantyczna przygoda. Interesowały ją nieznane nazwy i miejsca, które zwiedzała, a słuchając Neda Silvertona recytującego Teokryta przy blasku księżyca, gdy jacht okrążał sycylijskie przylądki, doznawała uniesienia, utwierdzającego w niej wiarę we własną wyższość umysłową. Lecz najwięcej przyjemności zaznała w Cannes i w Nicei. Zadowolenie wynikające z faktu, że mile ją przywitały wybitne osobistości z najwyższych sfer towarzyskich, że zaznała tam sukcesów, znów figurowała jako „piękna panna Bart” w kronikach miejscowej prasy, notujących skwapliwie najdrobniejsze szczegóły z życia towarzyskiego na Riwierze - wszystko to sprawiło, że pamięć o prozaicznych i żenujących kłopotach odsunęła się na plan najdalszy.

Jeśli nawet Lily zdawała sobie sprawę, że może napotkać nowe trudności, to była pewna, że sobie z nimi poradzi; nie umiała rozwiązać jedynie tych spraw, z którymi się już oswoiła - była to charakterystyczna cecha jej natury. Tymczasem słusznie mogła być dumna ze zręczności, z jaką dostroiła się do delikatnej, poniekąd, sytuacji. Miała świadomość, że jest potrzebna zarówno Dorsetowi, jak i pani Dorset, i gdyby tylko jeszcze istniały jakieś bezwzględnie uczciwe sposoby osiągnięcia w tych warunkach korzyści finansowych, nie widziała na swoim horyzoncie najmniejszej chmurki. Nie traciła nadziei na szczęśliwą odmianę losu, a tymczasem cieszyła się życiem wesołym, pięknym i beztroskim wierząc, że jej się należy.

Tego ranka była zaproszona na śniadanie przez księżnę Beltshire i o godzinie dwunastej kazała się zawieźć łodzią na ląd. Berta Dorset nie należała do zaproszonych przez księżnę, pomimo najlojalniejszych usiłowań Lily w tym kierunku. - Ona jest taka nudna - oznajmiła księżna bez dłuższych tłumaczeń. - Jedyne znajome pani, którego lubię, to pan Bry. Ten jest zabawny. - Lily wiedziała, że nie należy nalegać, zresztą dobrze było od czasu do czasu zdezerterować z posterunku. Dorset stawał się coraz bardziej ponury i nieobli-

czalny, a Ned Silverton chodził z miną, jak gdyby chciał wyzwąć cały świat na pojedynek.

Po śniadaniu Lily nie mogła się oprzeć pokusie i wraz z gośćmi księżnej poszła zakosztować gorączkowych nastrojów kasyna.

Nie zamierzała grać - nie pozwalały jej na to szczupłe fundusze, lecz bawiła się siedząc na kanapie za plecami księżnej, która przy najbliższym stole w skupieniu pilnowała swoich stawek.

W salach kłębił się tłum ciekawych, którzy po południu ociężale przepływały między stolami do gry, przypominając niedzielny tłum mieszczuchów przed klatkami w zoo. Niełatwo było w tej ludzkiej fali rozpoznać kogokolwiek, ale Lily dostrzegła w pewnej chwili panią Bry,

energicznie torującą sobie drogę przy wejściu, a za nią jasną postać pani

Fisher, niby łódź ratunkową na rufie statku. Pani Bry parla z determinacją naprzód, lecz Carry mijając Lily zboczyła ze swego szlaku. -

Zgubię

ją? - powtórzyła pytanie Lily, rzucając obojętne spojrzenie na oddalającą się panią Bry. - Och, już ją zgubiłam. Wiesz, co postanowiłam?

Jadę

dzisiaj wieczorem do Paryża z Gormerami. Muszę ich poratować.

To para zupełnych prostaczków. Wyobraź sobie, byle fagasa gotowi są wziąć za księcia - dodała ze śmiechem. - Ale zanim odjadę, chcę ogłosić moją ostatnią wolę: zapisuję ci w testamencie Bry'ów.

- Mnie! - Lily zaśmiała się razem z nią. - To bardzo ładnie z twojej strony, moja droga, że o mnie pamiętasz, ale ja doprawdy...

- Czy interesy twoje stoją już tak dobrze? - Pani Fisher spojrzała na nią badawczo. - Lily, czyżbyś istotnie zamierzała odrzucić moją propozycję?

Lily uśmiechnęła się. - Zostań jeszcze jeden dzień, a namówię księżnę, żeby zjadła obiad z nami.

- Nie mogę... Gormerowie już zapłacili za mój sleeping - odparła Carry Fisher. - Ale mimo to namów księżnę, żeby zjadła z Bry'ami obiad.

- Niedobrze, że ich zaniedbywałaś; mam na myśli twoje sprawy
- dodała Carry Fisher i zamilkła; po chwili nachyliła się do Lily i przyciszonym tonem powiedziała: - Wiesz, że pojechaliśmy wszyscy do Nicei wczoraj wieczorem, gdy księżna dała nam kosza.
- Tak - odparła panna Bart - widziałam was na stacji.

RS

- Otóż mężczyzna, który siedział w wagonie z tobą i z Dorsetem, ten obrzydliwy mały Dabham, co robi kronikę towarzyską dla „Wiadomości z Riwiery”, jadł z nami obiad w Nicei i opowiadał wszystkim, że wracałaś sama z Dorsetem po północy.

- Sama? Skoro on był z nami? - Lily roześmiała się, ale spoważniała natychmiast pod wpływem spojrzenia pani Fisher. - Wracaliśmy sami... tak... i cóż w tym straszego! A czyja to była wina? Księżna spędzała noc w Nicei z następczynią tronu; Berta znudziła się widowiskiem i poszła wcześniej przyrzekając, że spotka się z nami na dworcu. My stawiliśmy się punktualnie, ale nie ona... W ogóle nie przyszła!

Wszystko to brzmiało jak usprawiedliwienie, lecz pani Fisher przyjęła słowa Lily w sposób nieoczekiwany, jakby nagle ujrzała w opisywanych wydarzeniach zupełnie nowy element. - Berta wcale nie przyszła? Więc w jakiż sposób powróciła do Monte Carlo na jacht?

- Chyba następnym pociągiem, jakżeż inaczej? W każdym razie jest zdrowa i cała na jachcie. Ale widzisz, że to nie była moja wina

- dodała Lily.

- Nie twoja wina, że Berta nie przyszła na stację? Moje biedne dziecko, jesteś niewinna, ale obyś za to nie zapłaciła! - rzekła pani Fisher i wstając uściśnięła rękę Lily. - Pamiętaj, że zostawiam ci Ludwikę Bry...

Lily przed wyjściem z kasyna uczyniła pierwszy krok dla odzyskania łask pani Bry. Uprzejme powitanie - wyszeptana sugestia, żeby widywać się częściej - mglista aluzja do możliwości spotkania z księżną i właścicielami „Sabriny” - jak to łatwo idzie, kiedy się ma dość sprytu! Lily dziwiła się sobie, że nie używa częściej tego sprytu z korzyścią dla siebie. Ale niekiedy była roztargniona, a niekiedy...

- czy to możliwe, że niekiedy kierowała się dumą? W każdym razie im dalej posuwała się naprzód, tym droga przed nią stawała się gładzsza. A jednak tego dnia nie mogła się otrząsnąć z jakiegoś dziwnego niepokoju. Czyżby z powodu Seldena? Nagłe i niespodziewane wyzwolenie z opresji sprawiło, iż niedawna przeszłość cofnęła się tak daleko, że nawet Selden, stanowiący część tej przeszłości, wydawał

się nieledwie zjawą. A przy tym tak wyraźnie dał do zrozumienia, że więcej się nie zobaczą, powiedział, że wpadł do Nicei na parę dni i jedną nogą jest już na statku. Więc skąd ten niepokój?

Zamienił się nieomal w bicie serca na widok George'a Dorseta, schodzącego ze stopni „Hotel de Paris”. Podeszedł do niej i zapytał:

- W którą stronę pani idzie? Może przejdziemy się trochę? Nie czekając na odpowiedź ujął ją pod ramię i bez słowa skierował do ogrodu kasyna. Zdradzał oznaki wielkiego napięcia nerwowego. Zapadłe oczy podkrążone były ciemną obwódka, twarz miała odcień ołowiu, od którego krzaczaste brwi i rudawe wąsy odcinały się ponuro.

Szedł obok Lily w milczeniu, niespokojnym krokiem i nagle spytał:

- Czy widziała pani Bertę?

- Nie. Nie wstała jeszcze, kiedy opuszczałam jacht.

Przyjął te słowa ze śmiechem, który zabrzmiał jak zgrzyt zepsutego zegara. - Nie wstała jeszcze? Czy w ogóle się położyła? Wie pani, o której ona wróciła na pokład? Dziś rano, o siódmej! - zawołał.

- O siódmej? Co się stało? Jakiś wypadek?

Dorset roześmiał się ponownie. - Spóźnili się na pociąg... na wszystkie pociągi... musieli jechać końmi! Dorożką!

Spojrzała na niego ze zdumieniem, a on ciągnął dalej: - Nie mogli znaleźć powozu... o tej porze w nocy, sama pani rozumie, że to niełatwe... - mówił tonem jakby usprawiedliwiającym żonę.

- Jakie to przykre - potwierdziła z tym większą powagą, że nie wierzyła w to, co mówił. Po chwili dodała: - Naprawdę bardzo przykre... ale czy powinniśmy byli czekać?

- I wracać we czwórkę dorożką? Gdzież byśmy się zmieścili!

Na te słowa roześmiała się, chcąc nadać całej sprawie ton humorystyczny. - Musielibyśmy kolejno iść pieszo. Ale zabawne byłoby zobaczyć wschód słońca.

- Tak. Wschód słońca był zabawny.

- Widział pan?

- Z pokładu jachtu. Czekałem na nich.

- To jasne... był pan zaniepokojony. Gdyby pan kazał mnie obudzić, czekałabym razem z panem.

- Ooo, zakończenie tego czekania nie byłoby dla pani przyjemne  
- odparł posepnie i Lily, zmieszana tą nagłą zmianą tonu, błyskawicznie pojęła konieczność dalszego udawania. - Jakżeż mógł się zakończyć taki drobny epizod? - zauważyła beztrąsko i dodała:

- Chyba najgorsze ze wszystkiego to zmęczenie Berty, ale mam nadzieję, że zdążyła już wypocząć i wypocząć. - Spojrzawszy jednak w oczy Dorseta zrozumiała cześć swoich wysiłków. Dorset padł na ławkę, obok której przechodzili, i nie krępując się już niczym, dał upust swej rozpacz.

Przerażająca to była godzina, po której Lily pozostało wrażenie, jakby przeszła przez ogień. Nigdy nie było tak, by nie odczuwała możliwości wybuchu - w ciągu tych trzech miesięcy na powierzchni codziennego dnia rysowały się nieraz pęknięcia i szczeliny, zmuszające ją do nieustannej baczności w obawie katastrofy. Uświadomiła sobie teraz, że katastrofa ta pociągnęła ją za sobą. *Dorset* wśród dzikich wybuchów oskarżeń pod adresem żony i gorzkich słów pogardy dla siebie samego dawał Lily do zrozumienia, jak bardzo jest mu potrzebna, jakie miejsce zajęła w jego życiu. Gdyby nie ona, któż by miał ucho dla jego skarg? Kto pomoże mu wrócić do równowagi i odzyskać szacunek dla samego siebie? Budził w Lily instynkty macierzyńskie i opiekuńcze, lecz jeśli lgnął ku niej, to nie po to, by go dźwignęła. Pragnął pociągnąć ją za sobą na dno rozpacz; chciał, żeby cierpiała razem z nim. Na szczęście dla obojga wściekłość wyzerpała go fizycznie; zaczął oddychać ciężko, wstrząsany nerwowym dreszczem, i zapadł w głęboką apatię. Dwie czy trzy przechodzące osoby spojrzały na siedzącą parę, nikt jednak nie narzucił się z natrętnym współczuciem - Monte Carlo przywykło do widoku ludzi w dramatycznych sytuacjach. W końcu Lily sama przerwała milczenie wstając z ławki: - Pan może nie wracać, ale ja muszę... muszę... a nie mogę tu pana zostawić. Nie będzie pan tu siedział przez całą noc...

- Jakżeż pani mi pomaga okazując tyle słodyczy i cierpliwości... Gdyby nie pani, dawno bym już z tym skończył. Ale teraz to się skończy! - Wstał nagle i z wysiłkiem wyprostował się. - Nie może

pani życzyć sobie, żebym się ośmieszył. Pójdę do hotelu. I przede wszystkim poradzę się adwokata. Jest przecież Selden niedaleko, w Nicei!

- Dobrze. Niech pan jedzie do niego... zdąży pan jeszcze przed obiadem... - i dodała z uśmiechem: - Przed obiadem na jachcie, proszę pamiętać. Poczekamy do dziewiątej, jeśli pan chce.

Było już po czwartej, gdy Lily wysiadła z dorożki na przystani i czekając na łódź pomyślała o Silvertonie. Gdzie też się on podziewa? Czy powrócił na „Sabrinę”? A może Berta, pozostawiona samej sobie, pojechała do niego? Lily zdrętwiała na tę myśl. Silverton budził jej sympatię; tak poważnie traktował swoje uczucia dla Berty, tak głęboko przejmował się jej sytuacją, podczas gdy Berta myślała tylko o sobie. Lecz obecnie, w momencie kryzysu, sympatia Lily przechyliła się na stronę Berty; bądź co bądź w takich sytuacjach najczęściej może ucierpieć kobieta. Wprawdzie Lily nie bardzo lubiła Bertę, ale Berta była dla niej dobra, przez ostatnie miesiące żyły ze sobą w przyjaźni, a lekka uraza, jaką Berta ostatnio czuła zazdroszcząc Lily sukcesów, nakazywała tym bardziej działać w interesie przyjaciółki. I właśnie dla jej dobra Lily wysłała Dorseta na naradę do Seldena. Któż jak nie Selden, subtelny, mądry, doświadczony, potrafi wyprowadzić Bertę z matni, jeśli podejmie ten obowiązek. Po drodze do przystani wysłała do niego depezę z ufnością polecając mu całą sprawę.

Pozostało jej jeszcze jedno zadanie do spełnienia. Wyobrażała sobie, że biedna Berta drży bezradnie, przejęta świadomością, iż przestało ją chronić ramię męża; że szuka jakiejś podpory, jakiegokolwiek oparcia. Byleby tego wszystkiego nie znalazła już gdzie indziej! Z tą myślą Lily dotknęła stopą drabiny przytwierdzonej do jachtu, by po kilku pierwszych krokach na pokładzie „Sabriny” przekonać się, że obawy jej były nieuzasadnione: w cieniu namiotu na rufie nieszczęsna Berta, wytworna jak zawsze, siedziała w towarzystwie księżnej Beltshire i lorda Huberta, zajęta nalewaniem herbaty.

Widok ten przejął Lily zdumieniem, a obojętny wzrok, jakim Berta odpowiedziała na jej spojrzenie, do reszty zbił ją z tropu.

W następnej chwili zrozumiała, że pani Dorset musi z konieczności zachować obojętną twarz wobec innych, zaś ona sama, chcąc złagodzić wrażenie wywołane jej własnym zdumieniem, powinna nie zwlekając podać jakiś prosty jego powód. Długoletnia praktyka szybkiego manewru pozwoliła Lily znaleźć natychmiast wybieg. Zwracając się do księżnej zawołała: - Jak to! Myślałam, że pani powróciła do następczyni tronu!

Wystarczyło to, by księżna z ożywieniem wyjaśniła, iż istotnie wraca tam niebawem, a na jacht wpadła na chwilę, by omówić z panią Dorset szczegóły planowanego na jutro obiadu z państwem Bry, na który lord Hubert zdołał ich w końcu namówić.

- Chcąc ocalić własną głowę - dorzucił lord Hubert z wymownym spojrzeniem.

- Pan Bry obiecał mu za to łapówkę, a on przysięga, że jeśli pójdziemy, to nam ją odstąpi!

Słowa księżnej przyjęto żartami, w których - pomyślała - pani Dorset ze zdumiewającym męstwem brała udział.

- Oczywiście możemy liczyć na Dorseta? - zawołał na odchodnym lord Hubert.

- Na pewno - odparła wesoło pani Dorset.

Trzyma się dzielnie do końca, ale gdy wróci, pożegnawszy gość<sup>^</sup> - pomyślała Lily - musi zdjąć maskę i ukazać pełną trwogi duszę.

Pani Dorset powolnym krokiem wracała do stolika doskonale panując nad sobą, a gdy usiadła znów w fotelu, zwróciła się do panny Bart z lekkim odcieniem ironii: - Zdaje mi się, że powinnam powiedzieć dzień dobry.

Jeśli to miało być wyzwanie, Lily była gotowa je podjąć, choć nie miała żadnego pojęcia, czego się od niej spodziewano. Było coś irytującego w opanowaniu pani Dorset, i odpowiadając jej Lily zmusiła się do lekkiego tonu: - Chciałam zobaczyć cię rano, ale powiedziano mi, że jeszcze nie wstałaś.

- Nie... późno się położyłam. Nie spotkaliśmy was na stacji i postanowiliśmy czekać do następnego pociągu. - Mówiła łagodnie, ale nie bez cienia wyrzutu.



- Wy nas nie spotkaliście? I czekaliście na nas? - Lily była tak zaskoczona, że nie mogła już ani zastanawiać się nad słowami przyjaciółki, ani kontrolować własnych. - Byłam przekonana, że przyjechaliście na stację już po odejściu ostatniego pociągu!

Pani Dorset mrużąc oczy zmierzyła ją wzrokiem. - Kto ci to powiedział?

- George... spotkałam go w Monte.

- Więc George tak to tłumaczy? Biedny George... był w takim stanie, że zapomniał, co mu powiedziałam. Miał dziś rano jeden ze swoich najgorszych ataków i wysłałam go do doktora. Nie wiesz, czy go zastał? - Pani Dorset rozsiadła się wygodniej w fotelu. - Rozdrażnienie zawsze mu szkodzi, i kiedy zdarzy się coś, co go zdenerwuje, zawsze kończy się to dla niego atakiem - dodała z niewinną miną.

Jednakże Lily wyczuła w tych słowach wyraźną aluzję i zaskoczona nieoczekiwanym obrotem sprawy zdołała tylko wyjąkać z niedowierzaniem: - Coś go zdenerwowało?

- Tak... na przykład to, że ci towarzyszył tak jawnie o tak późnej porze. To nakłada na niego wielką odpowiedzialność w takiej miejscowości jak Monte Carlo, w której roi się od skandali. Po północy!

Zdumiona zarzutem tak niespodziewanym i niebywale zuchwałym, Lily nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

- W istocie! Zwłaszcza że to ty sama obarczyłaś go tą odpowiedzialnością.

Pani Dorset przyjęła tę uwagę niezwykle łagodnie.

- Ponieważ nie miałam nadludzkich zdolności, żeby odnaleźć Wusa w tym dzikim tłumie, który szturmował do pociągu? Albo nie miałam dość wyobraźni, żeby pomyśleć, że pojedziecie bez nas... ty I nim, sami we dwoje... zamiast spokojnie czekać na nas?

Lily zarumieniła się: zdawała sobie sprawę, że Berta zmierza do jakiegoś celu. Lecz po co marnuje czas na dziecinne wysiłki, by Odwrócić cios, który jej groził? Otóż i dowód, do jakiego stopnia biedna kobieta była przerażona.

- Trzeba było trzymać się razem w Nicei - odparła.

- Trzymać się razem? Przecież skorzystałaś z pierwszej sposobności, żeby się wymknąć z księżną i jej gośćmi! Moja droga Lily, nie jesteś dzieckiem i nie mogę prowadzić cię za rękę!

- Na pewno nie. Ani też prawić mi morałów, Berto, jeśli taki masz zamiar.

- Prawić tobie morały... ja? Niech mnie Pan Bóg broni! Była to tylko przyjacielska uwaga. Ale uwagi powinnam przyjmować ja. prawda?... niczym innym nie karmiłaś mnie przez ostatnie miesiące.

- Chcesz powiedzieć, że...? - spytała Lily.

- A tak. Czym nie być, czego nie robić i nie wiedzieć... Zdaje mi się, że przyjmowałam twoje nauki z godną podziwu cierpliwością. Tylko, moja droga, pozwól sobie powiedzieć, że uważam za swój obowiązek ostrzec cię, gdy posuwasz swoją lekkomyślność za daleko.

Dreszcz strachu przebiegł po plecach panny Bart - przypomniała sobie, do czego Berta Dorset jest zdolna, i wydało jej się, że widzi błysk noża w ciemności. Lecz współczucie wzięło w niej górę nad instynktem samozachowawczym. Nedorzeczny wybuch goryczy był przecież odruchem samoobrony ściganego zwierzęcia, które chce osłonić drogę ucieczki. Lily miała ochotę krzyknąć: Biedaczko, nie uciekaj, nie odwracaj się ode mnie, razem znajdziemy jakieś wyjście!

Lecz słowa te zamarły na jej ustach, gdy ujrzała zagadkowy, bezczelny uśmiezek Berty. Siedziała chwilę w milczeniu, ze spokojem przyjmując wyzwanie, patrząc, jak w tym uśmiechu odsłania się do dna nieszczerłość przyjaciółki, potem bez słowa wstała i zeszła do swej kabiny.

Depesza panny Bart została wręczona Seldenowi, gdy wychodził z hotelu, zawrócił więc, by poczekać na Dorseta. Wiadomość, oczywiście, otwierała szerokie pole do przypuszczeń, a wszystko, co Selden widział i słyszał w ostatnich dniach, pozwalało domyślać się prawdy. Natomiast zawodowe doświadczenie mówiło mu, że w podobnych sprawach często z dużej chmury jest mały deszcz.

Porywcze usposobienie Dorseta i zuchwała pogarda dla pozorów, jaką okazywała jego żona, nadawały sytuacji szczególnej drastyczności; Selden jednak uważał, że nie tyle ze względu na osobiste powiązania, ile w zgodzie z praktyką zawodową nie powinien dopuścić do głośnego skandalu, zwłaszcza iż bał się, że może on dotknąć pannę Bart. Nie kierowały nim uczucia osobiste - chciał po prostu oszczędzić jej przykrości i jak najdalej odsunąć od publicznego prania cudzych brudów.

Jak wyczerpujące i niemiłe było to zadanie, przekonał się po dwugodzinnej rozmowie z biednym Dorsetem. Znajdował się on w takim litanie ducha, że nie trafiały do niego żadne argumenty, i Selden uznał, że chwilowo nie może zrobić nic więcej, jak tylko okazać współczucie i zalecić rozwagę. Udało mu się przekonać Dorseta, by powstrzymał się, przynajmniej do następnej narady, od jakichkolwiek decyzji i obiecał, że spotka się z nim nazajutrz rano w hotelu w Monte Carlo, a odpowiedź telegraficzna, jaką posłał pannie Bart, zawierała tylko polecenie: „Zachować się, jak gdyby nic nie zaszło”.

I zgodnie z tym poleceniem minął cały dzień. Dorset, jakby posłuszny Lily, powrócił na jacht i zasiadł do późnego obiadu. Obiad ten był najtrudniejszym momentem całego dnia. Dorset pograżył się w uporczywym milczeniu, następującym zwykle po tym, co jego żona nazywała „atakami”, a co stanowiło tym razem dogodne wyjaśnienie dla służby. Sama jednak najwidoczniej nie miała ochoty zasłonić się podobnym argumentem. Całą odpowiedzialność za sytuację zwała na męża; sprawiała wrażenie osoby głęboko urażonej, jak gdyby ona sama nie mogła być powodem cudzej urazy! Dla Lily wszystko to było w najwyższym stopniu zaskakujące. Dbając o zachowanie pozorów, próbowała podtrzymać więdnącą co chwila rozmowę, lecz bez przerwy niepokoiło ją pytanie: do czego Berta zmierza? Wyzywające milczenie przyjaciółki doprowadzało ją niemal do rozpacz. Gdyby dała Bercie jakąkolwiek wskazówkę, działałyby wspólnie, ale jakże mogła tu pomóc skoro tak uporczywie wyłączano ją z wszelkiego udziału? Była pełna najlepszych chęci, i to nie we własnym interesie lecz Dorsetów; nie myśląc o sobie pragnęła przywrócić ład w ich małżeństwie. Krótki, męczący wieczór pozostawił ją z przygnębiającym uczuciem daremnych starań. Wcześniej udała się na spoczynek pozostawiając Dorsetów przy stole, ale dopiero po godzinie - o dziwo - usłyszała na cichym korytarzu kroki Berty, zmierzającej do swojej sypialni, i jeszcze raz musiała zadać sobie pytanie: co to znaczy

Dzień następny minął w podobnym nastroju - nic nie zdradzało, jak stoją rzeczy pomiędzy skłóconą parą. Jeden tylko fakt świadczył o zaszłej zmianie, fakt, który wszyscy solidarnie starali się pominąć, zdając sobie sprawę, że rzuca się w oczy - nieobecność Neda Silvertona

Zaszła wszakże jeszcze jedna zmiana, widoczna tylko dla Lily - Dorset unikał jej niemal równie demonstracyjnie, jak i własnej żony. Może wstydził się swoich niewczesnych wynurzeń poprzedniego dnia, a może usiłował, we właściwy sobie, niezręczny sposób, zastosować się do wskazówek Seldena, by postępował tak, „jakby nic nie zaszło”. W wypadku ludzi takich jak Dorset, podobne zalecenie ma ten sam skutek, co prośba fotografa, by zrobić „wesoły wyraz twarzy” - efektem jest zupełnie nienaturalna poza.

Lily pozostawiona była samej sobie. Gdy wyszła rano ze swej kajuty, dowiedziała się, że pani Dorset jest jeszcze u siebie, a pan Dorset wcześniej opuścił jacht, wobec czego i ona kazała się zawieźć na ląd czując, że gnębiona uczuciem niepokoju nie zniesie samotności. Po drodze do kasyna spotkała Seldena, gdy szedł przez centralny plac Monte Carlo. Nie czekając na jej pytania rzekł: - Widziałem się z nim dzisiaj... rozstaliśmy się przed chwilą.

- I co? Co się stało? Co będzie? - spytała z niepokojem.

- Nic się nie stało... i sądzę, że nic się nie stanie.

- A więc sprawa załatwiona? Na pewno?

Uśmiechnął się.

- Niechże mi pani da czas. Nie jestem pewien... ale jestem o wiele pewniejszy.

Selden przesadził nieco z tą pewnością; gdy spojrzał w jej oczy pełne niepokoju, ogarnęły go wątpliwości. Pięciominutowa rozmowa z Dorsetem wystarczyła, żeby stwierdzić, że postawa jego klienta uległa jakiejś nieuchwytniej zmianie, której przyczyny trudno było dociec. Na pewno nie sprawiły tej zmiany argumenty Seldena ani świadome działanie własnego rozsądku Dorseta. Nie, działała tu jakaś obca siła, która nie tyle łagodziła jego urazę, ile pozbawiała woli; Dorset znajdował się w stanie głębokiej apatii; robił wrażenie człowieka oszołomionego jakimś środkiem nasennym, a zmiana ta położyła tamę jego szczerości. Miał nieodpartą chęć mówienia o swojej krzywdzie i uporczywie do tego wracał, a jednak czuło się, że coś powstrzymuje go od powiedzenia wszystkiego do końca. Nużył swego słuchacza, wreszcie zniecierpliwił; Selden nabrał przekonania, że zrobił wszystko, co mógł zrobić, i że wolno mu umyć ręce od dalszych konsekwencji tej sprawy.

W takim nastroju szedł na dworzec, gdy spotkał pannę Bart. Krótka z nią rozmowa obudziła w nim wątpliwości. Wywołał je wyraz jej oczu. By się zastanowić, co właściwie te oczy mówiły, usiadł na ławce i zadumał się głęboko.

Czy Lily bała się o siebie, czy też o swoich przyjaciół? Do jakiego stopnia jej obawa przed katastrofą spotęgowana była świadomo-

ścią, że może być fatalnie w to wszystko zamieszana? Przypuszczenie takie mogło się wydać niezasłużoną złośliwością, skoro wiadomo było, że cała wina leży po stronie pani Dorset. A jednak w małżeńskich konfliktach strona winna - o czym Selden wiedział - potrafi wystąpić z oskarżeniem, i to z tym większą zuchwałością, im większą ponosi winę. Pani Fisher nie zawahała się przed przypuszczeniem, że Dorset poślubi pannę Bart, „jeśli coś zajdzie”, i chociaż skłonna była do przesady, to jednak dzięki wrodzonej bystrości potrafiła dostrzec oznaki skłaniające do podobnego wniosku. Widocznie Dorset okazywał pannie Bart żywe zainteresowanie, co jego żona, w walce o rehabilitację, mogła z całym okrucieństwem wykorzystać. Selden był pewien, że Berta będzie walczyła do ostatniego naboju; łatwo ulegała impulsom, lecz w paradoksalny sposób potrafiła bronić się z zimną bezwzględnością przed skutkami swoich wybryków. Nie hamowały jej w tym żadne skrupuły.

Na razie trudno było przewidzieć, jaką obierze taktykę, co tym bardziej potęgowało obawy Seldena, a wraz z tym przeświadczenie, że przed odjazdem koniecznie musi pomówić z panną Bart. Jakikolwiek miała udział w toczących się wypadkach - a rzetelnie starał się nie sądzić jej miarą jej otoczenia - najrozsądniej będzie, jeśli w obliczu katastrofy usunie się z widowni; musi jej o tym powiedzieć, skoro zwróciła się do niego o pomoc.

Powziąwszy to postanowienie wstał i wrócił na plac, gdzie każdy bywał po kilkanaście razy dziennie. Zamiast panny Bart Selden dostrzegł w pewnej chwili lorda Huberta i panią Bry. Od lorda Huberta dowiedział się, że panna Bart odjechała przed chwilą na „Sabrinę”. Pani Bry, widząc zawód na jego twarzy, wystąpiła z propozycją, by przyszedł wieczorem na obiad, gdzie spotka swoich przyjaciół. - U Becassina, skromny obiad dla księżnej - dodała.

Świadomy zaszczytu, jakim było zaproszenie na obiad w takim towarzystwie, Selden stawił się wcześniej u wejścia do restauracji, skąd mógł śledzić gości napływających przez oświetlony taras. Wreszcie ukazali się wszyscy znajomi wraz z księżną, lordem i lady Skiddaw i Stepneyami. Łatwo przyszło Seldenowi oderwać na chwi-

lę pannę Bart. - Zostałem, żeby panią zobaczyć... żeby panią prosić, by opuściła pani jacht. Nic się nie stało, ale jeśli się stanie, to po co być blisko tego? - powiedział.

Ostre oświetlenie potęgowało bladość twarzy Lily i nadawało jej delikatnym rysom wyrazistość tragicznej maski. - Jak pan może przypuszczać, że zostawię Bertę samą?

W słowach tych dźwięczała nuta pogardy - czyżby dla niego? Lecz nie zważał na to. - Niechżeż pani pomyśli o sobie! - dodał tonem nalegania, na co Lily z dziwnym smutkiem w głosie, patrząc mu w oczy odparła: - Gdyby pan wiedział, jakie mi to jest obojętne! - Odwróciła się i oboje podążyli za resztą towarzystwa.

Gdy w restauracji pełnej ludzi zajęli przeznaczone miejsca przy bogato oświetlonym stole pani Bry, znane dobrze otoczenie spotęgowało ich ufność, że wszystko jest w porządku. Dorset i jego żona pokazywali światu zwykle swoje oblicza - ona, pyszniąca się jeszcze jedną nową toaletą, on, zdjęty obawą o swoją niestrawność wobec pokus bogatego menu. Sam fakt, że pokazali się razem w miejscu tak uczęszczanym, dowodził światu, iż zatarg między nimi został załagodzony. Panna Bart miała słuszość twierdząc, iż nic się nie stanie.

Osoba jej coraz bardziej przykuwała uwagę Seldena, w miarę jak obiad ciągnął się w zawiłym porządku wyszukanych dań. Był to jeden z tych dni, kiedy Lily błyszczała urodą tak wielką, że wystarczyłaby za wszystko, a reszta - jej wdzięk, temperament, zalety towarzyskie - zdawała się wybrykiem szczodrej natury. Najmocniej jednak Seldena uderzał fakt, że Lily różniła się dziesiątkami nieokreślonych odcieni od reszty osób na pozór tego samego co ona gatunku; odbijała od towarzystwa, jakiego zawsze pragnęła; przy niej inne kobiety wydawały się pospolite - gasiła wszystkie swoim wdziękiem i szykiem, a przy jej umiejętnie dozowanym milczeniu paplanina innych pań wydawała się nudna.

Przeżycia ostatnich godzin przywróciły jej twarzy ów głębszy wyraz, którego brak zauważył poprzednio, i ta sama odwaga, cechująca słowa do niego wypowiedziane, dźwięczała jeszcze w jej gło-

się, malowała się w spojrzeniu. Tak, pomyślał Selden, Lily jest nierównana, to jedyne godne jej określenie, a tym swobodniej puszczał wodze swemu uwielbieniu, że brał je za zupełnie obiektywne.

Zrywał z nią dopiero teraz - nie w owej posepnej chwili rozczerwania, lecz dopiero teraz, w momencie jasnej trzeźwości, widząc ją w otoczeniu, które sobie wybrała, a które zdawało się przeczyć jej wyższości. Świat zabawy z całą jaskrawością odsłaniał przy tym stole niedorzeczną kosztowność jadła i czczość rozmowy, niewyszukaną swobodę języka bez dowcipu i lekkość obyczajów pozbawioną romantyczności.

Hałaśliwe wnętrze restauracji, w której ich stół jakby umyślnie tak ustawiono, by przyciągał powszechną uwagę, i obecność przy nim małego Dabhama z „Wiadomości z Riwiery” dobitnie ilustrowały ideały tego świata; rzucić się w oczy znaczyło tu być dystyngowanym, a wzmianka w kronice towarzyskiej równała się nobilitacji.

I nagle Selden przeniósł swoją badawczą uwagę na osobę tego małego Dabhama; jego bystre oczka czujnie obiegały stół, jakby w poszukiwaniu żeru dla dziennikarskiej plotki, czego, zdaniem Seldena, chwilami tu nie brakowało; po czym spojrzenie tych oczu traciło intensywność zatrzymując się dla odpoczynku na toaletach pań, zwłaszcza pani Dorset. Niezwykle, wyszukane szczegóły tego stroju godne były - jak mawiał Dabham - „stylu literackiego”. Uderzająca swoboda i rozmowność pani Dorset robiła na Seldenie wrażenie pozy, to samo pomyślał o zachowaniu Dorseta.

Tymczasem obiad tryumfalnie zbliżał się do końca, ku wyraźnemu zadowoleniu pani Bry, której apoplektyczna postać królowała przy stole pomiędzy lordem Skiddawem a lordem Hubertem. Co by na to powiedziała Carry Fisher? Cóż za sukces! Tylko jej tu brakowało. Restauracja była przepelniona. Damy przy stole pani Bry budziły ogólny podziw, zwłaszcza Lily, toteż pani Bry spoglądała na nią z wdzięcznością w sercu, jakiej Carry Fisher nigdy nie udało się wzbudzić. Selden uśmiechnął się, gdy sobie przypomniał swój niepokój i przekonanie, że Lily potrzebuje jego pomocy. Nigdy nie wydawała się tak pogodna i panująca nad sytuacją, jak w mo-



mencie, gdy wszyscy wstali od stołu, a ona zwróciła się z uśmiechem i wdzięcznym pochyleniem ramion ku Dorsetowi, który podawał jej wieczorowy płaszcz.

Liczne stoły dokoła już opustoszały, lecz pozostało w sali jeszcze trochę ludzi przyglądających się pożegnaniu dystyngowanych gości pani Bry. Ceremonia ta przedłużała się i komplikowała, ponieważ księżna i lady Skiddaw żegnały się ze wszystkimi na dobre, wyrażając nadzieję na spotkanie w Paryżu, gdzie postanowiły zatrzymać się i zaopatrzyć w nowe stroje w drodze do Londynu.

Księżna, zerknąwszy na zegarek, zawołała do siostry, że muszą spieszyć się na pociąg, a po ich wyjściu Stepneyowie, którzy mieli samochód, zaofiarowali się odwieźć Dorsetów i pannę Bart do przystani. Propozycja została przyjęta i pani Dorset z mężem skierowała się ku wyjściu. Lily stała jeszcze, rozmawiając z lordem Hubertem. Stepney, któremu pan Bry na pożegnanie wciskał do ręki jedno ze swoich drogich cygar, zawołał: - Chodź, Lily, jeżeli wracasz na jacht.

Lily ruszyła z miejsca, lecz w tejże chwili pani Dorset odwróciła się od progu i podeszła do stołu.

- Panna Bart nie wraca na jacht - rzekła głosem dobitnym.

Wszyscy spojrzeli po sobie ze zdumieniem; pani Bry poczerwieniała jak w ataku apopleksji, pani Stepney lękliwie schowała się za plecy męża, a Selden w pierwszym porywie myślał o tym, by chwycić za kołnierz Dabhama i wyrzucić go na ulicę.

Dorset podszedł do żony. Twarz miał śmiertelnie bladą i toczył dokoła wściekłym i przerażonym spojrzeniem. - Ależ Berto! Panna Bart... to jakieś nieporozumienie... to omyłka...

- Panna Bart pozostanie tutaj - odparła jego żona z naciskiem.

- Zdaje mi się, George, że nie powinniśmy zatrzymywać dłużej pani Stepney.

Podczas tej krótkiej wymiany słów Lily stała imponująco wyprostowana wśród zaskoczonych gości. Pobladła lekko pod wpływem zniewagi, lecz zakłopotanie całego towarzystwa wcale nie odbiło się na jej twarzy. Lekkim, pogardliwym uśmiechem dawała do zrozumienia swojej nieprzyjaciółce, że jej dosięgnąć nie zdoła, i dopiero

po odczekaniu dobrej chwili dla pełnego efektu odwróciła się podając rękę gospodyni.

- Jadę jutro, by spotkać się z księżną w Paryżu - wyjaśniła - i wygodniej mi będzie pozostać przez noc na lądzie.

Mówiąc to z całą swobodą wytrzymała pytające spojrzenie pani Bry, ale potem Selden pochwycił badawczy wzrok, jakim powiódł po twarzach otaczających ją kobiet. Czytała niedowierzenie w ich odwróconych spojrzeniach i w żenującym milczeniu mężczyzn, stojących za plecami pań, i przez ułamek sekundy Selden myślał, że Lily zachwieje się pod ciosem. Jednakże ze swobodą wyciągnęła ku niemu rękę i rzekła odzyskując swój dzielny, blady uśmiech: - Drogi panie Selden, wszak przyrzekł pan odprowadzić mnie do dorożki.

Tymczasem niebo zasnuło się chmurami i kiedy Lily z Seldenem szli przez opustoszały ogród poniżej restauracji, krople ciepłego deszczu smagały ich po twarzy. Sprawę dorożki zgodnie pominęli milczeniem; szli nie mówiąc słowa, ona wsparta na jego ramieniu, póki nie objął ich głęboki cień drzew. Wówczas Selden przystanął obok ławki i powiedział: - Niech pani spocznie na chwilę.

Usiadła milcząc. Wyraz jej twarzy, którą Selden dojrzał w świetle latarni, był żaloszny. Zajął miejsce obok niej i czekał, aż sama się odezwie. Bał się jakimkolwiek słowem urazić jej świeżą ranę. Od szczerzej wypowiedzi powstrzymywały go też nędzne wątpliwości, które na nowo opanowały jego umysł. Co ją doprowadziło do takiego upokorzenia? Jaki postępek wydał tak nielitościwie na łaskę wroga? I skąd ta wrogość u Berty Dorset, która przecież sama potrzebowała solidnego kobiecego wsparcia? Pełen oburzenia na uległych mężów i kobiety wrogie dla kobiet, nie mógł się jednak uwolnić od myśli, że nie ma dymu bez ognia. Przypomniawszy sobie aluzje pani Fisher i zgodne z nimi własne wrażenia. Pogłębiły one jego litość dla Lily i jednocześnie powiększały jego rezerwę. Szukając wyrazów współczucia bał się popełnienia błędu.

Nagle uświadomił sobie, że jego milczenie może się wydać oskarżeniem, jak u tych mężczyzn, którzy odwrócili się od Lily, zajmującym jednak zdobył się na odpowiednie słowa, Lily zaskoczyła go

pytaniem: - Czy nie zna pan jakiegoś spokojnego hotelu? Rano posnę po moją pokojówkę.

- Hotel... tutaj... do którego pani mogłaby pójść sama? To niemożliwe!

Przez twarz jej przemknął cień dawnej figlarności. - Więc co? W ogrodzie spać nie mogę, ławka jest mokra.

- Przecież musi być ktoś...

- Ktoś, do kogo mogłabym pójść? Oczywiście... ale nie o tej porze. Zmieniłam moje plany tak nagle...

- Mój Boże... gdyby pani mnie posłuchała! - krzyknął gniewnie dając upust swej bezsilności.

Pohamowała go lekko ironicznym uśmiechem: - Jak to nie usłuchałam? Radził mi pan opuścić jacht i opuszczam go.

Zrozumiał, że nie chciała ani się tłumaczyć, ani też bronić. Podniosła się i stała przed nim dumna i wyniosła w chmurnym majestacie zdetronizowanej władczyni, która ze spokojem idzie na wygnanie.

- Lily! - zawołał z rozpaczliwym błaganiem, lecz ona upomniała go łagodnie: - Nie teraz. Skoro muszę znaleźć jakieś schronienie - rzekła ze zwykłą słodyczą w pełni panując nad sobą - i skoro pan jest tak dobry, że chce mi pomóc...

- A czy pani mnie posłucha? - zapytał. - Widzę tylko jedno wyjście: musi pani udać się prosto do swoich kuzynów, Stepneyów. Niech pani idzie... robi się późno, a trzeba, żeby myślano, że pani poszła prosto do nich.

Wsunął jej rękę pod swoje ramię, ale ona powstrzymała go. - Nie mogę... nie mogę... tylko nie to... pan nie zna żony Jacka... niech pan tego ode mnie nie wymaga!

- Muszę... proszę mnie posłuchać - nalegał, choć w duszy podzielał jej obawy.

- A jeżeli ona odmówi? - głos Lily zamienił się w szept.

- Proszę mi zaufać... proszę mi zaufać... - nalegał dalej i Lily, posłuszna tym razem, pozwoliła zaprowadzić się do dorożki.

Milczeli nadal w czasie krótkiej jazdy do hotelu Stepneyów. Przed jasno oświetlonym wejściem Selden wysiadł, zostawiając Lily

skrytą w cieniu podniesionej budy powozu, sam zaś posłał swoją kartę do Stepneya i krążył po oświetlonym hallu czekając na niego. W dziesięć minut później obaj mężczyźni zmierzali do wyjścia, ale Stepney pokonując resztki oporu zatrzymał się na progu: - A więc umawiamy się - rzekł kładąc dłoń na ramieniu Seldena. - Wyjedzie jutro rannym pociągiem... moja żona śpi i nie można jej budzić.

RS

Rolety w salonie pani Peniston, chroniące przed żarem czerwcowego słońca, były spuszczone. W dusznym półmroku twarze zebranych osób powlekał stosowny do okoliczności cień żałoby.

Byli tam wszyscy krewni pani Peniston: van Alstyne'owie, Stepneyowie, Melsonowie - nawet ze dwóch Penistonów, niezachwianych w swej pewności, że główna część majątku nieboszczyka Penistona powróci do rodziny, gdy krewni zmarłej mogli liczyć tylko na jej majątek prywatny o rozmiarach bliżej nie znanych.

Jack Stepney - jako najbogatszy z siostrzeńców nieboszczki - w milczeniu objął przewodnictwo, zaznaczając swą powagę grubszą żałobą i dyskretnym dostojenstwem postawy; jego żona - Gwen, z domu van Osburgh, znudzonym wyrazem twarzy i niestosownością stroju okazywała pogardę bogatej dziedziczki dla spraw, które jej nie dotyczyły. Siedzący obok niej stary Ned van Alstyne szarpał białe wąsy, by ukryć niespokojne drżenie ust. Grace Stepney z zaczerwienionym nosem i nieuchwytną wonią świeżej krepy siedziała obok pani Herbertowej Melson.

Zaszeleściły żałobne suknie i wszystkie głowy odwróciły się na dźwięk otwieranych drzwi - w towarzystwie Gerty Farish ukazała się Lily Bart, wysoka i smuklejsza niż zwykle, w wytwornej czarnej. Pani Stepney skinęła niedbale głową, a Grace grobowym ruchem wskazała jej miejsce obok siebie. Lily jednak pominęła to zaproszenie, swobodnym, płynnym krokiem przeszła przez pokój

i usiadła na krześle postawionym jakby naumyślnie z dala od reszty zebranych.

Pierwszy raz spotkała się z rodziną od chwili powrotu z Europy przed dwoma tygodniami, a wyczuwając przy powitaniu pewną rezerwę odpowiedziała zwykłym opanowaniem, zaprawionym lekką ironią. Była pewna, że ciotka słyszała o zerwaniu z Dorsetami, i drżała na myśl o reakcji staruszki; cóż dziwnego, że doznała uczucia ulgi, gdy przekonała się, że zamiast ciężkiej przeprawy czeka ją objęcie dawno zapewnionego spadku. Wiadomo, że pani Peniston obficie wyposaży siostrzenicę - tak zawsze mówiono; w umyśle Lily to „wiadomo” od dawna skryształizowało się w pewność.

- Przecież wiadomo, że ona dostanie wszystko... nie wiem do prawdy, po co tu przyszliśmy - głośno oświadczyła pani Stepney zwracając się do Neda van Alstyne'a, a jego wypowiedziane szepcąc słowa: - Julia była zawsze kobietą sprawiedliwą - można było zrozumieć zarówno jako potwierdzenie, jak i powątpiewanie.

- Wszystkiego razem jest około czterystu tysięcy - odparła pani Stepney ziewając. Wśród ciszy, wywołanej ostrzegawczym chrząknięciem notariusza usłyszano łkanie Grace:

- Znajdą wszystko w porządku - wyjąkała - nie brak ani jednego ręcznika... liczyłam je z nią tego samego dnia.

Lily, przygnębiona ciężką atmosferą i duszącą wonią świeżych strojów żałobnych, nie mogła skupić uwagi, gdy adwokat pani Peniston stojąc za sołem w końcu pokoju zaczął odbębniać wstępne formuły testamentu.

- Jak w kościele - pomyślała, jednocześnie dziwiąc się, gdzie też Gwen Stepney znalazła tak ohydny kapelusz. Potem zauważyła, że Jack roztył się - niebawem będzie z niego taki grubas jak Herbert Melson, który siedział opodal i sapał oparłszy na łasce dłonie w czarnych rękawiczkach.

- Ciekawe, dlaczego bogaci ludzie zawsze tyją, pewnie dlatego, że nie mają kłopotów. Jeśli dostanę ten spadek, będę musiała bardzo uważać...

Adwokat monotonnym głosem odczytywał cały szereg legatów: najpierw służba, potem kilku dalszych Melsonów i Stepneyów.

Kolej przyszła na Neda van Alstynę'a, Jacka Stepneya i kilka kuzynek - wszyscy dostali po parę tysięcy dolarów. Lily zdziwiła się, że nie było wśród nich Grace Stepney. Wreszcie usłyszała własne nazwisko: „siostrzenicy mojej, Lily Bart, dziesięć tysięcy”, po czym adwokat zagubił się w gąszczu prawnych terminów, by wystrzelić końcowym zdaniem ze zdumiewającą wyrazistością: - a resztę mego majątku - drogiej mojej kuzynce i imienniczce, Grace Julii Stepney.

Obecni ze zdumienia wstrzymali oddech; wszystkie głowy zwróciły się w jedną stronę i pochód czarnych postaci ruszył do miejsca, gdzie zasłoniwszy twarz chustką z czarnym brzeżkiem, Grace Stepney zawodziła żałośnie. Na Lily nikt nie spojrzał, nikt nie zwrócił uwagi - jakby nie istniała; dla obecnych straciła jakiegokolwiek znaczenie. Ta zbiorowa obojętność powiększyła ból zawiedzionych nadziei. Wydziedziczona! Została wydziedziczona, i to na rzecz Grace Stepney! Podniosła oczy i napotkała żałosny wzrok Gerty usiłujący ją pocieszyć; ten wzrok przywrócił jej równowagę. Coś trzeba zrobić, zanim opuści ten dom, pomyślała. Jakiś gest jest tu konieczny. Podeszła do grona otaczającego pannę Stepney i wyciągając rękę rzekła z prostotą: - Droga Grace, jakże się cieszę. - Wszystkie panie cofnęły się, zrobiło się dookoła Lily pusto, a gdy odchodziła, nikt nie podszedł, by jej towarzyszyć do wyjścia. Przystanąła na chwilę i spojrzeniem powiodła dokoła, spokojnie oceniając swoją sytuację. Słyszała, jak ktoś zapytał o datę testamentu; pochwyciła urywek odpowiedzi - coś o nagłym wezwaniu i o istnieniu „wcześniejszego dokumentu”. Potem wszyscy zaczęli się rozchodzić; pani Stepney z panią Herbertową Melson zatrzymały się na progu czekając na samochód, życzliwe grono otoczyło pannę Stepney - uważano za stosowne wezwać dla niej dorożkę, chociaż mieszkała na sąsiedniej ulicy; panna Bart i Gerty Farish znalazły się prawie same w purpurowym salonie, który bardziej niż kiedykolwiek swoją mroczną pompatycznością przypominał grobowiec rodzinny, do którego złożono ostatnie zwłoki.

W pokoju Gerty Farish Lily upadła na krzesło z cichym śmiechem - rozbawił ją fakt, że zapis wynosił prawie tyle, co jej dług u Trenora. Konieczność spłacenia tego długu uprzytomniła sobie ze

spotęgowaną siłą po powrocie do Ameryki i dlatego odzywając się do zatroskanej Gerty, wypowiedziała swoją pierwszą myśl: - Ciekawa jestem, kiedy wypłacone będą legaty.

Ale panna Farish nie była w stanie myśleć o legatach. - Och, Lily - uniosła się oburzeniem. - jakie to niesprawiedliwe... jakie okrutne... Grace Stepney chyba czuje, że nie ma prawa do tych wszystkich pieniędzy!

- Każdy, kto wiedział, jak przypodobać się ciotce Julii, ma prawo do jej pieniędzy - odparła panna Bart filozoficznie.

- Ależ twoja ciotka była przywiązana do ciebie... dawała każdemu do zrozumienia... - Gerty urwała z widocznym zakłopotaniem, a Lily spojrzała jej w oczy: - Gerty, powiedz uczciwie: testament został spisany dopiero przed sześciu tygodniami, prawda? Czy ciotka słyszała o moim zerwaniu z Dorsetami?

- Wszyscy słyszeli... podobno były jakieś nieprzyjemności...

- Czy ciotka słyszała, że Berta wyrzuciła mnie?

- Och, Lily!

- Tak było, moja droga. Powiedziała, że chciałam jej zabrać męża. Wmówiła mu to, żeby myślał, że jest o niego zazdrosna. Czyż nie tak powiedziała Gwen Stepneyowej, powiedz?

- Nie wiem... nie słucham takich niegodziwości.

- Ale ja muszę słuchać... muszę wiedzieć, na czym stoję. -

Umilkła i znów zaśmiała się ironicznie. - Czy zwróciłaś uwagę na nasze panie? Bały się okazać mi pogardę, dopóki myślały, że dostaną pieniądze... potem uciekły ode mnie jak od zarazy. - Gerty milczała. - Gerty, muszę wiedzieć, co o mnie mówią.

- Mówię ci, że nie słucham tego...

- To się słyszy bez słuchania. - Wstała i stanowczym ruchem położyła ręce na ramionach Gerty Farish. - Gerty, czy ludzie zamierzają mnie nie przyjmować?

- Twoi przyjaciele...? Lily... jak możesz przypuszczać coś podobnego!

- A kto jest moim przyjacielem? Kto, prócz ciebie, moje ty kochane, łatwowieczne biedactwo... A Bóg tylko wie, o co ty mnie po



sadzasz! - i z przymilnym, żartobliwym mrużeniem ucałowała Gerty. - Ale nigdy nie będziesz robiła żadnej różnicy... ty lubisz wykolejeńców! Czy także tych niepoprawnych? Bo ja nie czuję żadnej skruchy - dodała prostując dumnie swoją wdzięczną postać.

- Lily, Lily... jak możesz śmiać się z takich rzeczy?!

- Może dlatego śmieję się, żeby nie płakać, przekonałam się już bardzo dawno, że od płaczu czerwienieje nos, i to mi pomogło znieść niejednego cios. - Przeszła się niespokojnie po pokoju, usiadła i z drwiącym wyrazem jasnych oczu objęła spojrzeniem wzburzoną twarz Gerty. - Byłoby mi to obojętne, gdybym dostała pieniądze... - i widząc jej gest protestu dodała: - najzupełniej, moja droga. Przede wszystkim nikt nie ośmieliłby się ignorować mnie, a gdyby nawet, to nie dbałabym o to, bo byłabym od nich niezależna. Ale teraz...

Wyraz ironii zniknął z jej oczu i pochyliła ku przyjaciółce zasępioną twarz.

- Jak możesz tak mówić, Lily? Ten majątek należał się tobie, to rzecz oczywista. Ale ostatecznie to wszystko jedno. Ważne jest, żeby... - Gerty zawahała się, lecz po chwili dokończyła tonem stanowczym - żebyś się oczyściła z zarzutów... żebyś powiedziała wszystkim całą prawdę.

- Całą prawdę? - Lily roześmiała się. - Co jest prawdą? Gdy chodzi o kobietę, ludzie najbardziej wierzą w bajkę. W tym wypadku o wiele łatwiej uwierzyć w historię Berty Dorset niż w moją, dlatego że ona ma wspaniały dom i łożę w operze i że wygodnie jest być z nią w dobrych stosunkach.

Panna Farish nadal patrzyła na nią z niepokojem. - Ale jaka jest twoja historia? Myślę, że nikt jej jeszcze nie zna.

- Moja historia? Ja chyba sama nie wiem. Widzisz, nigdy nie myślałam o tym, żeby mieć jakąś z góry przygotowaną wersję, tak jak Berta - a gdybym nawet miała, to pewnie nie zadałabym sobie trudu, żeby z niej teraz skorzystać.

Lecz Gerty nie zrezygnowała. - Nie potrzebuję z góry ułożonej historii - tłumaczyła z typowym dla niej rozsądkiem i spokojem. - Chcę, żebyś mi opowiedziała dokładnie, co się stało... od samego początku.

- Od początku? - powtórzyła Lily z leciutką drwiną. - Droga Gerty, jakżeż mało macie wyobraźni, wy, zacni i poczciwi! Wszystko zaczęło się, kiedy leżałam w kołysce... w sposobie, w jaki zostałam wychowana, do czego nauczono mnie przywiązywać wagę... Albo nie... nie chcę nikogo oskarżać za moje błędy i winy: powiem raczej, że mam to we krwi, że odziedziczyłam po jakiejś niegodziwej, zepsutej, egoistycznej babce, która buntowała się przeciw domowym cnotom Nowego Amsterdamu... - A gdy Gerty nadal błagała ją spojrzeniem, dodała niecierpliwie: - Pytasz o prawdę... otóż prawdą jest, że kiedy panna dostanie się na języki, jej kariera jest skończona i im więcej się tłumaczy, tym gorzej dla niej... Moja kochana, nie masz przypadkiem papierosa?

Tegoż wieczora, w ciasnym pokoju hotelowym, w którym mieszkała od chwili powrotu, Lily Bart pogrążyła się w rozważaniach nad swoim położeniem. Był już ostatni tydzień czerwca i wszyscy znajomi wyjechali z miasta. Krewni, którzy zjawili się na odczytanie testamentu pani Peniston, natychmiast uciekli z powrotem do Newportu albo na Long Island - nikt z nich nie zaofiarował Lily gościny. Po raz pierwszy w życiu poczuła się zupełnie sama - pozostała jej tylko Gerty Farish. Nawet w chwili zerwania z Dorsetami nie czuła się tak osamotniona, gdyż księżna Beltshire, dowiedziawszy się o katastrofie od lorda Huberta, ofiarowała natychmiast swoją opiekę i pod jej skrzydłami Lily odbyła tryumfalny niemal wjazd do Londynu.

Miała wielką pokusę pozostać tam na dłużej w towarzystwie, które oczekiwało od niej tylko tego, by je bawiła i czarowała swoim wdziękiem, nie wnikając, jak i gdzie się tego nauczyła. Jednakże Selden, zanim się rozstali, zdołał ją przekonać, że powinna natychmiast wrócić do ciotki. Poza tym zdawała sobie sprawę, że jej arystokratyczna protektorka mogła ją w każdej chwili opuścić dla jakiejś nowej pupilki. Z wielką niechęcią postanowiła powrócić do Ameryki.

Stanąwszy na ziemi ojczyściej już po dziesięciu minutach wiedziała, że za długo zwlekała z przyjazdem. Dorsetowie, Stepneyowie, Bry'owie - wszyscy aktorzy i świadkowie żałobnego dramatu -

uprzedzili ją opowiadając o zajściu każdy po swojemu; gdyby nawet istniała najmniejsza szansa, że zyska posłuch dla swojej wersji, powstrzymałoby ją to samo uczucie, które nie pozwoliło jej bronić się przed Gerty Farish - uczucie dumy i jednocześnie upokorzenia. Padła ofiarą pozbawionej skrupułów Berty Dorset, która pragnęła odzyskać męża, i chociaż jej własny stosunek do Dorseta miał charakter czystej przyjaźni, to jednak od początku była świadoma, że jej udział w tej żalösnej historii polegał - jak to brutalnie ujęła Fisher - na odwróceniu uwagi Dorseta od żony. Po to tam była i oto jaką cenę zapłaciła za trzy miesiące luksusowego i beztroskiego życia. W rzadkich chwilach introspekcji miała zwyczaj patrzeć prawdzie w oczy bez ozdabiania jej fałszywymi pozorami. Cierpiała za uczciwość, z jaką ze swej strony dotrzymywała milczącej umowy, lecz jej rola - w najlepszym razie - nie była piękna i wiedziała to teraz w całej szpetocie porażki. Równie wyraziście rysowały się przed nią wszystkie skutki, jakie ta porażka za sobą pociągnie; widziała to coraz jaśniej z każdym dniem nudnego pobytu w mieście. Nie wyjeżdżała po części dlatego, by nie rozstawać się z Gerty - jedyną jej pociechą - a po części dlatego, że nie wiedziała, dokąd wyjechać. Pojmowała doskonale, jakie ją czeka zadanie. Musi odzyskać krok po kroku utraconą pozycję, a zacząć należało od zorientowania się, na kogo ze swych przyjaciół mogła liczyć. Najbardziej liczyła na panią Trenor - były w niej skarby pobłażliwości dla tych, co ją bawili lub byli jej potrzebni. Ale Judyta nie dała znaku życia, nie przysłała nawet kondolencji, należnych przyjaciółce po poniesionej stracie. Pierwszy krok ze strony Lily byłby groźnym ryzykiem - nie pozostało nic innego, jak czekać na szczęśliwy przypadek, a Lily wiedziała, że nawet o tej porze roku mogła liczyć na spotkanie znajomych, którzy często wpadali do miasta.

W tym celu pokazywała się wytrwale w restauracjach, w których bywali, i w towarzystwie zakłopotanej Gerty jadała wytworne śniadania, których koszty, jak mówiła, opłaca się w przyszłości.

- Moja droga Gerty, chyba nie chcesz, żeby kelnerzy domyślali się, że nie mam nic oprócz tego legatu ciotki Julii? Pomyśl, jaką

satysfakcję miałyby Grace Stepney, gdyby nas zobaczyła tutaj przy zimnej baraninie i herbatce! Więc co wolisz na deser - lody z owocami czy melbę?

Nagle upuściła jadłospis, zarumieniła się i Gerty idąc w ślad za jej wzrokiem ujrzała wychodzące z bocznej sali znajome towarzystwo z panią Trenor i Carry Fisher na czele. Obydwie panie i towarzyszący im panowie, wśród których Lily dostrzegła Trenora i Rosedale'a, musieli w drodze do wyjścia przejść obok ich stolika i świadoma tego Gerty zupełnie straciła kontenans, natomiast panna Bart nadała spotkaniu cechę naturalności, którą potrafiła zachować w najbardziej napiętych sytuacjach. Nie ona, lecz pani Trenor wydała się zakłopotana witając Lily wylewnie i jednocześnie z lekką rezerwą. Jej głośno demonstrowana radość ze spotkania rozplynęła się w mglistych frazesach - nie spytała Lily o jej plany i nie wyraziła życzenia, by się ponownie spotkały. Lily, dobrze obeznana z językiem podobnych przemilczeń, zdawała sobie sprawę, że zna go również reszta towarzystwa; nawet Rosedale od razu ocenił temperaturę serdeczności pani Trenor i powitał Lily z daleka gestem ręki. Trenor, czerwony i zakłopotany, wymknął się mruczając, że musi coś załatwić z kierownikiem sali, a reszta podążyła za panią Trenor.

Wszystko to trwało jedną chwilę - kelner z jadłospisem w ręce czekał na wybór lodów albo melby - a tymczasem panna Bart zrozumiała jaki los ją czeka. Świat pójdzie za Judytą Trenor, ona zaś pozostanie rozbitkiem, który na próżno daje znaki przepływającym statkom.

Przypomniała sobie skargi Judyty Trenor na zachłanność Carry Fisher, co dowodziło, że pani Trenor doskonale znała prywatne interesy męża; jeśli Judyta wiedziała, kiedy Carry pożyczala pieniądze od męża, miałażby nie wiedzieć o takich samych transakcjach ze strony Lily? Nie dbała o mężowskie uczucia, ale z pewnością była zazdrosna o jego kieszeń i tym należało tłumaczyć afront, jaki spotkał Lily. Tak! Dług Trenora musi był spleciony! Gdy uwolni się od tego zobowiązania, pozostanie jej tylko tysiąc dolarów z legatu pani Peniston i własne fundusze o wiele mniejsze niż mizerne zarobki Gerty, lecz te względy musiały ustąpić wymaganiom zranionej du-

my. Najpierw musi załatwić sprawę z Trenorami, o przyszłości pomysli później.

Nie znając powolności procedur prawnych sądziła, że legat będzie jej wypłacony w ciągu kilku dni po odczytaniu testamentu; gdy sprawa odwlekała się, napisała do adwokata ciotki pytając o powód zwłoki. Minął znów czas jakiś, zanim otrzymała odpowiedź, z której dowiedziała się, że legaty z pewnych powodów nie mogą być wypłacone przed upływem roku. Zaskoczona tym i oburzona postanowiła interweniować osobiście, lecz uroda i wdzięk okazały się bezsilne wobec bezdusznych przepisów prawa. Wydało jej się niepodobieństwem żyć cały rok pod ciężarem tego długu i wobec takiej ostateczności postanowiła zwrócić się do panny Stepney. Gorzko było prosić o łaskę Grace Stepney, lecz alternatywa była jeszcze cięższa do zniesienia.

Z dziwnym uczuciem wchodziła Lily jako suplikantka do domu, w którym tak długo rozkazywała; tym prędzej więc pragnęła tę ciężką próbę zakończyć. Gdy panna Stepney weszła do mrocznego salonu szeleszcząc spódnicą z kosztownej krepy, Lily przedstawiła jej sprawę prosto z mostu: czy zechciałaby wypłacić jej pieniądze na poczet należnego legatu?

W odpowiedzi Grace rozplakała się, wyraziła zdumienie taką prośbą, poskarżyła się na bezwzględność przepisów prawnych i ubolewała nad naiwnością Lily - czyżby Lily nie zdawała sobie sprawy, że ich położenie jest identyczne? Również i ona, główna spadkobierczyni, nie otrzymała ani grosza i płaci komorne za przywilej mieszkania w domu, który stanowi jej własność, to fakt! Nie pozostaje nic innego, tylko czekać, i niech Lily za jej przykładem będzie cierpliwa, powinny obie pamiętać, jak cudownie cierpliwa była zawsze kuzynka Julia...

Gdy drzwi domu pani Peniston zamknęły się za nią, Lily poczuła, że na dobre żegna się ze swym dawnym życiem. Przyszłość widziała przed sobą szarą i pustą, jak wyludniona w owej chwili Fifth Avenue, po której z rzadka wlokły się pojedyncze dorożki w próżnym poszukiwaniu pasażerów. Jednakże gdy Lily skręciła w najbliższą przecznicę, jakaś przejeżdżająca w szybkim tempie dorożka ze stosem kufrów na dachu zatrzymała się nagle, a w chwilę potem wyskoczyła z niej na chodnik pani Fisher i objęła Lily manifestacyjnym uściskiem.

- Kochanie, jesteś jeszcze w mieście? To niemożliwe! Gdy spotkałam cię u Sherry'ego, nie miałam czasu zapytać... - zawahała się i w porywie szczerości dodała: - Prawdę mówiąc postąpiłam szkaradnie, moja kochana Lily, i zaraz potem chciałam się do tego przyznać.

- O... - zaprotestowała panna Bart uwalniając się z uścisku; ale pani Fisher z właściwą sobie szczerością ciągnęła dalej: - Nie bawmy się w chowanego: połowa przykrości w życiu jest skutkiem tego, że ludzie nie chcą się do nich przyznać. Ale nie ja! Wstydzę się, że poszłam za przykładem tamtych kobiet, zresztą pomówimy o tym później... Powiedz mi, gdzie mieszkasz i jakie masz plany?

Trudno było Lily, w jej obecnym nastroju, oprzeć się szczerzej życzliwości tych słów. - Właściwie na razie nie mam się gdzie podziać - odparła z uśmiechem. - Ale Gerty Farish jest taka dobra, że pomaga mi, kiedy tylko ma czas.

Pani Fisher skrzywiła się lekko. - Hm... to mało zabawne. Och, wiem, że Gerty to ideał i więcej jest warta od nas wszystkich razem wziętych, ale *a la longue* wolałabyś chyba weselej spędzić ten sezon, prawda? Więc posłuchaj mnie: włóż trochę rzeczy do kufra i jedź ze mną dziś wieczorem do Gormerów. Co myślisz o tym?

Lily przyjęła tę nieoczekiwaną propozycję z takim zdumieniem, że Carry Fisher głośno się roześmiała.

- Ty ich nie znasz i oni ciebie nie znają, ale to nic nie szkodzi. Wzięli dom van Alstynów w Roslynie i dali mi *carte blanche* na przywożenie swoich znajomych... im więcej, tym lepiej. Bardzo jest u nich przyjemnie, a na ten weekend zapowiada się wesołe towarzystwo... - urwała, powstrzymana zmianą w wyrazie twarzy panny Bart. - Bądź spokojna, nikt z twego danego kółka; zupełnie nowi ludzie, ale bardzo zabawni. Gormerowie idą własną drogą - chcą się bawić, i to bawić po swojemu. Przez kilka miesięcy popróbowali - pod moim szacownym kierownictwem - poddać się naszym zwyczajom i prowadzili życie według reguł wielkiego świata, zachowywali się świetnie, słowo daję, o wiele lepiej niż Bry'owie, bo nie przywiązywali do tego tak wielkiej wagi - ale nagle doszli do wniosku, że to wszystko ich nudzi i że wolą towarzystwo, w którym będą się czuli swobodnie, bez wielkich ceremonii. To dość oryginalne, nie uważasz? Mattie Gormer niewątpliwie ma jakieś aspiracje - kobiety zawsze mają aspiracje! Ale jest bardzo bezpośrednia. Sam Gormer nie znosi nudziarzy, a oboje pragną rozgłosu. Ja się tam bawię doskonale... przyjmują cyganerię artystyczną, znane, ładne aktorki, i tak dalej, i tak dalej... Więc nie stój z taką miną i nie namyślaj się, moja droga... przecież to daleko lepsze, niż smażyć się w niedzielę w mieście... Morpeth, którego znasz - maluje portret Mattie Gormer - przywozi zawsze ze sobą paru swoich kolegów.

- Pani Fisher pociągnęła Lily do dorożki. - Wsiadaj teraz, moja kochana; pojedziemy do hotelu, każemy zapakować twoje rzeczy, a potem napijemy się herbaty...

Istotnie było to o wiele lepsze, niż smażyć się w niedzielę - co do tego Lily nie miała najmniejszej wątpliwości, leżąc

w cieniu osłoniętej zielenią werandy, z widokiem na morze poprzez rozległą murawę, na której rysowały się malowniczo grupy pań w koronkowych sukniach i panów w strojach tenisowych.

Obszerny dom van Alstyne'ów z przyległościami wypełniony był do ostatniego pokoju gośćmi Gormerów, którzy wylegli wszyscy, by w blasku niedzielnego poranka zakosztować różnorodnych rozrywek, jakimi dom dysponował - od tenisa po strzelnice, od brydża i whisky w salonie po samochody i jachty parowe. Lily dziwnie się tu czuła - jak pasażer obojętnie zagarnięty przez tłum, który wsiadł do jakiegoś pociągu pospiesznego. U Gormerów zbierało się towarzystwo, którego wybredna Lily zawsze starannie unikała; teraz, przyglądając mu się bliżej, przekonała się, że było jaskrawą kopią jej własnego świata, a raczej jego karykaturą, jak „sztuka salonowa” naśladowująca na scenie autentyczny salon. Ludzie obok niej robili to samo co u Trenorów, Osburghów czy Dorsetów, różnica leżała w odcieniach ich wyglądu i sposobu bycia, od kroju męskich kamiżelek po intonację kobiecych głosów. Było gwarniej i barwniej, więcej szampana i poufałości - lecz również więcej życzliwości, mniej rywalizacji i bardziej spontaniczna zdolność do zabawy.

Pannę Bart powitano z bezkrytyczną uprzejmością, co zrazu podrażniło jej miłość własną, lecz później pomogło trzeźwo ocenić to miejsce w życiu, które musiała chwilowo zaakceptować, by umiejętnie je wykorzystać. Znano tu jej historię - co do tego długa rozmowa z Carry Fisher nie pozostawiła najmniejszych wątpliwości; była bohaterką skandalu, a jednak przyjęto ją bez zastrzeżeń, byleby na swój własny sposób - szanowano bowiem różnicę upodobań - przyczyniła się do ogólnej zabawy. Poczwała od razu, że jakakolwiek wyniosłość czy podkreślanie własnej odrębności byłoby fatalne dla dalszych kontaktów z Gormerami. Być przyjętą na takich warunkach i do takiego świątka! Bolesnie raniło to jej dumę. Ale musiała przyznać, z pewną pogardą dla samej siebie, że jednak wolała tu bywać, niż zostać wyłączonej. Bo niemal natychmiast podziałał na nią zdradliwy urok beztroskiego życia, wolnego od materialnych kłopotów. Nagła ucieczka z dusznego hotelu w opustoszałym mie-



ście do tego obszernego, zbytkownie urządzonego domu, owianego morską bryzą, wprowadziła Lily w stan moralnego rozleniwienia, bardzo przyjemnego po nerwowym napięciu i fizycznym znużeniu ostatnich tygodni. Zabawę psuła jej tylko świadomość, że korzysta z gościnności i stara się o uznanie ludzi, którymi w innych warunkach pogardzałaby, lecz wrażliwość jej powoli topniała: pokrywała się przy każdym ustępstwie coraz grubszą skorupą obojętności.

W poniedziałek, gdy wśród hałaśliwych pożegnań towarzystwo rozjechało się, powrót do miasta uświadomił Lily rozmiar uroków życia, które musiała porzucić. Innych gości czekały one w innych miejscach - w Newport, w Bar Harbor. Nawet Gerty Farish, która powitała Lily z czułością i oddaniem, wybierała się do ciotki nad Lake George; jedynie Lily nie miała żadnych planów - świat zepchnął ją na mieliznę, a sam toczył się dalej wartkim nurtem powszechnej zabawy.

Carry Fisher, która zabrała ją do siebie na tych kilka dni dzielących ją od wyjazdu do Bry'ów, pospieszyła na ratunek z nową propozycją.

- Posłuchaj mnie, Lily, coś ci powiem: chcę, żebyś tego lata zajęła moje miejsce u Mattie Gormer. W przyszłym miesiącu zabierają całą masę ludzi własną salonką na Alaskę, a ponieważ Mattie jest najleniwszą kobietą na świecie, chce, żebym ją uwolniła od obowiązków gospodyni. Ale Bry'owie też chcą mnie mieć u siebie... o, tak, przeprosiliśmy się... nie mówiłam ci o tym?... Szczerze mówiąc, wolę Gormerów, ale Bry'owie zapewniają mi więcej korzyści. Chodzi o to, że chcą tego lata poznać Newport, i jeśli ten pobyt będzie dla nich sukcesem, to... to postarają się, żeby i dla mnie był sukcesem. - Pani Fisher z radością klasnęła w ręce. - Wiesz, im więcej o tym myślę, tym więcej mi się mój pomysł podoba... dobry jest dla ciebie i dla mnie. Gormerowie się tobą zachwycają, a ta wycieczka na Alaskę... tak... bardzo ci się teraz przyda.

Panna Bart spojrzała na nią bystro. - Żeby usunąć się z drogi różnym moim znajomym, o to ci chodzi? - powiedziała spokojnie.

- Żeby poczuli, jak im ciebie brak - odparła pani Fisher, pieczętując te słowa pocieszającym pocałunkiem.

Panna Bart pojechała z Gormerami na Alaskę i chociaż ta wyprawa nie przyniosła skutków przewidywanych przez panią Fisher, to przynajmniej odsunęła Lily od gniazda plotek i obmowy. Gerty Farish oponowała przeciw tej wyprawie z całą energią swej małomównej natury. Była nawet gotowa poświęcić wypoczynek nad Lake George i pozostać z Lily w mieście, byleby Lily wyrzekła się zamierzonej podróży; jej niechęci do takiego pomysłu Lily przeciwstawiła dość słuszny argument: - Moje ty kochane niewiniątko - powiedziała. - Czy nie widzisz, że Carry ma słuszność? Muszę wrócić do mego dawnego trybu życia i przebywać jak najwięcej z ludźmi. Jeżeli moi dawni przyjaciele postanowili wierzyć w kłamstwa na mój temat, to muszę sobie znaleźć nowych przyjaciół; a przecież żebrak nie może być wybredny. Zresztą ja naprawdę lubię Mattie Gormer, jest miła, szczerza i naturalna; a czy nie sądzisz, że powinnam być jej wdzięczna za to przygarnięcie mnie, kiedy odwróciła się ode mnie nawet moja rodzina?

Gerty potrząsnęła głową. Milczała, lecz nie była przekonana. Uważała, że Lily nie tylko poniża się korzystając ze stosunków, których nigdy by nie nawiązała z własnego wyboru, ale że wracając do dawnego stylu życia traci ostatnią sposobność zerwania z nim na zawsze. Przyszędłszy Lily raz z pomocą, Gerty uważała, że w dalszym ciągu musi jej pomagać, a żeby to było możliwe, musi wierzyć w Lily, gdyż dla takich natur jak Gerty wiara jest głównym bodźcem działania. Lily natomiast zgadzała się z panią Fisher; nieobecność w tym momencie może się stać pierwszym krokiem do rehabilitacji, podczas gdy pozostanie w mieście byłoby otwartym przyznaniem się do porażki. Pragnienie powrotu do dawnego otoczenia stało się jej obsesją, lecz równocześnie coraz lepiej uświadamiała sobie, że nie osiągnie celu bez pewnych ustępstw. Streszczały się one - po powrocie z Alaski - do dalszego - niezbyt przyjemnego przebywania z Gormerami. Ogromna zręczność towarzyska, długoletnia praktyka dopasowywania się do innych bez zatracania własnej indywidualności, wszystkie zalety, jakimi rozporządzała, zapewniły jej znaczące miejsce w gronie ludzi otaczających Gormerów. Nie-

zdolna do dzielenia ich jaskrawej wesołości, wносиła cenniejszy dla Mattie Gormer ton swobodnej nieprzymuszonej elegancji. Mattie dawała jej odczuć, że ceni ją właśnie dla tych zalet, na których wszystkim w jej salonie zbywało.

W ten sposób Lily w środowisku pełnym zamętu stworzyła sobie załączek przyjaznych związków. Dobiegały ją też echa z własnego świata, zwłaszcza gdy zakończenie sezonu w Newport skierowało nurt życia towarzyskiego z powrotem ku Long Island. Przyjeżdżała bowiem do Gormerów pani Fisher, przebywająca często w sąsiedztwie, i dostarczała Lily ostatnich - jak mówiła - komunikatów meteorologicznych. Lily nigdy jej się nie zwierzała, lecz mogła z nią rozmawiać o wiele swobodniej niż z Gerty Farish. Zresztą Carry Fisher nie była wścibska. Nie dociekała prawdy, wystarczały jej pozory, z których wysnuwała odpowiednie wnioski. Pewnego dnia streściła je w zaskakującym oświadczeniu: - Musisz jak najprędzej wyjść za mąż.

Lily zaśmiała się w duchu - tym razem pani Fisher zabrakło oryginalności. - Czy zamierzasz, jak Gerty Farish, zalecać mi niezawodne lekarstwo w postaci „miłości zacnego człowieka”?

- Nie... nie sędzę, żeby którykolwiek-z moich kandydatów odpowiadał temu opisowi - powiedziała pani Fisher po chwili namysłu.

- Którykolwiek? Więc jest ich dwóch?

- Może raczej powinnam powiedzieć: chwilowo półtora.

- Ponieważ mogą się różnić między sobą najwyżej w połowie - odpowiedziała Lily coraz bardziej rozbawiona - wolałabym pół męża.

- Tylko nie rzucaj się na mnie, proszę cię, zanim mnie nie wysłuchasz do końca. Chodzi o Dorseta.

- Och - szepnęła Lily z wyrzutem.

Ale pani Fisher spokojnie ciągnęła dalej: - Czemużby nie? Dorsetowie przeżyli na nowo miodowy miesiąc po powrocie z Europy, ale teraz znów jest z nimi źle. Bertę ogarnęło szaleństwo większe niż kiedykolwiek, a łatwowierność George'a jest na wyczerpaniu. Są teraz u siebie, na Long Island, spędziłam u nich ostatnią niedzielę. Straszne nudy... nikogo prócz tego biednego Silvertona, który

wyglądał jak galernik... Pamiętasz, jak mówiono, że to ja go unieszczęśliwiam?... George zabrał mnie na długi spacer po śniadaniu i powiedział, że to się musi wkrótce skończyć.

Panna Bart uśmiechnęła się z niedowierzaniem. - To się nigdy nie skończy... Berta zawsze wie, jak wpłynąć na męża, kiedy jej to potrzebne.

- Ale nie wtedy, kiedy będzie miał się do kogo zwrócić! - odpowiedziała pani Fisher, badawczo przyglądając się Lily. - Tak, o to właśnie chodzi! Ten biedak nie może być sam. A pamiętam go pełnym życia i zapału... - Umilkła i po chwili, nie patrząc Lily w oczy, dodała: - Nie pozostałby z nią ani dziesięciu minut, gdyby wiedział...

- Wiedział? Co?

- To, co na przykład ty musisz dobrze wiedzieć... skoro miałaś tyle sposobności! Gdyby miał w ręku dowody...

. Lily przerwała jej rumieniąc się z zażenowania. - Proszę cię, Carry! To dla mnie zbyt wstrętne. -I by zmienić temat, dodała siląc się na lekki ton: - A twój drugi kandydat? Nie zapominajmy o nim.

- Ciekawa jestem, czy krzykniesz głośno, jeśli powiem, że to Sim Rosedale - odpowiedziała Carry ze śmiechem.

Panna Bart nie krzyknęła - milcząc spojrzała z namysłem na przyjaciółkę. Jej słowa wyrażały możliwość, o której w ostatnich tygodniach nieraz myślała, po chwili jednak rzekła obojętnie: - Pan Rosedale pragnie mieć żonę, która go wprowadzi do grona van Osburghów i Trenorów.

- A ty mogłabyś tego dokonać - podchwyciła żywo pani Fisher - mając jego pieniądze! Czy nie widzisz, jak świetnie złożyłoby się dla was obojga?

- Nie widzę sposobu, żeby go o tym przekonać - odrzekła Lily ze śmiechem, który kładł koniec rozmowie.

Lecz temat zajmował ją jeszcze długo po wyjeździe pani Fisher. Lily bardzo rzadko widywała teraz Rosedale'a - zabiegał o wejście do tego raj, z którego ona została wypędzona. Ale raz czy dwa, nie mając nic lepszego na widoku, zjawił się w niedzielę u Gormerów, a wówczas pozwalał jej domyślać się, jak ocenia jej sytuację. Swoje

uwielbienie okazywał jej w sposób bardziej niż kiedykolwiek obraźliwy - w kółku Gormerów nie obowiązywały konwenanse. Z upodobaniem dawał im do zrozumienia, że znał „pannę Lily” - bo przestała być dla niego „panną Bart” - jeszcze zanim oni mieli jakąkolwiek pozycję towarzyską; próbował imponować wszystkim, dając swoim zachowaniem do zrozumienia, iż jako człowiek prowadzący wielkie interesy i bardzo zajęty lekko traktował znajomość z „panną Lily”.

Konieczność pogodzenia się z takim lekceważeniem i przyjmowania tego w żartobliwym tonie była dla Lily nad wyraz upokarzająca. Lecz mniej niż kiedykolwiek odważyłaby się teraz zrazić sobie Rosedale'a. A sugestia Carry Fisher obudziła w niej nową nadzieję. Nie cierpiała Rosedale'a, ale już nim nie pogardzała; był człowiekiem, który stopniowo osiągał wytknięty sobie cel, a to było dla Lily zawsze mniej godne wzgardy niż życiowe niepowodzenie. Z powolną, niezachwianą wytrwałością, którą zawsze w nim wyczuwała, Rosedale torował sobie drogę wśród rozlicznych antagonizmów towarzyskich. Majątek, jaki zdobył, i użytek, jaki z niego robił, zapewniały mu nie byle jaką pozycję w świecie interesów. Nazwisko jego zaczęło figurować w komitetach municypalnych i komisjach dobroczynnych. Rosedale pokazywał się na bankietach wydawanych na cześć znakomitych cudzoziemców, a jego kandydatura do jednego z modnych klubów spotykała się z coraz mniejszą opozycją. Był już parę razy na obiedzie u Trenorów i nauczył się z odpowiednim odcieniem pogardy mówić o tłumnych zebraniach u van Osburghów; potrzebował już tylko żony, której stosunki pomogłyby mu pokonać ostatnie stopnie dzielące go od szczytu. Z tym też zamiarem, rok wcześniej, zwrócił swoje afekty ku pannie Bart; lecz podczas gdy on o własnych siłach zbliżył się do celu, ona straciła moc wyniesienia go na szczyty. Wszystko to widziała Lily z jasnością, którą zyskiwała w momentach zwątpienia i przygnębienia. Powodzenie oślepiało ją - w mroku porażki umiała zawsze trzeźwo oceniać fakty. Ten mrok, który usiłowała przebić wzrokiem, zaczęła rozjaśniać słaba iskierka nadziei. Lily wyraźnie wyczuwała za czy-

sto praktycznymi motywami konkurów Rosedale'a żar osobistych uczuć. Ośmielał się uwielbiać ją - za to go tak szczerze nienawidziła. Jeśli jednak jego namiętne uczucie trwa nadal, pomimo zniknięcia względów praktycznych? Nigdy nie starała się podobać Rosedale'owi - urok jej działał pomimo jej jawnego lekceważenia. A gdyby spróbowała swego czaru, działającego tak silnie, gdy była bierna? Gdyby doprowadziła Rosedale'a do tego, że ożeniłby się z nią z miłości, nie mając już żadnego innego powodu?

RS

Jak przystało ludziom dbającym o towarzyskie znaczenie, Gormerowie zaczęli budować sobie willę na Long Island i do obowiązków panny Bart należało towarzyszenie pani Gormer w częstych inspekcjach nowej posiadłości. Podczas gdy Mattie Gormer absorbowwały problemy oświetlenia i urządzeń sanitarnych, Lily mogła sobie pozwolić na wędrowkę wysadzonym drzewami brzegiem zatoki w rześkim jesiennym powietrzu.

Przychodziły na nią chwile, kiedy pragnęła samotności szukając w niej schronienia przed czczą wrzawą swego obecnego życia. Nużyła ją bierność, z jaką musiała poddawać się nurtom zabawy i interesu, nużyło obcowanie z ludźmi, którzy bawili się i trwonili pieniądze i dla których - czuła to dobrze - znaczyła tyle, ile kosztowna zabawka w rękach rozpieszczonego dziecka.

W takim stanie ducha Lily pewnego ranka porzuciwszy brzeg zatoki spotkała nagle na nieznannej ścieżce George'a Dorseta. Posiadłość Dorsetów sąsiadowała z nowo nabytą posiadłością Gormerów i pędząc samochodem z Mattie Gormer, Lily kilkakrotnie już widziała z dala Dorsetów, którzy jednak obracali się w tak odmiennym kółku znajomych, że nie spodziewała się żadnego z nimi kontaktu.

Dorset, idący powoli ze spuszczoną głową i pogrążony w myślach, spostrzegł pannę Bart w ostatniej chwili, lecz zamiast przystanąć na jej widok, jak się spodziewała, pospieszył ku niej ze

słowami: - Panna Bart! Poda mi pani rękę, prawda? Liczyłem wciąż na to spotkanie... byłbym napisał, gdybym śmiał...

Twarz Dorseta z rozwichrzoną rudą czupryną i postrzępionym wąsem miała wyraz niepokoju i wyczerpania człowieka, którego ścigają własne myśli. Tknięta współczuciem Lily powitała go przyjaźnie, on zaś, ośmielony jej tonem, mówił dalej: - Chciałem się wytłumaczyć... prosić o przebaczenie... odegrałem tak nikczemną rolę...

Powstrzymała go ruchem ręki. - Nie mówmy o tym. Budził pan moje współczucie - dodała tonem lekkiej pogardy, którą - jak spostrzegła - Dorset wyraźnie odczuł. Zarumienił się aż po białka wpadniętych oczu, tak gwałtownie, że Lily pożałowała swoich słów.

- Rozumiem to, ale niech mi pani pozwoli wytłumaczyć się... pani nie wie... Zostałem oszukany... podle oszukany...

- W takim razie jeszcze mocniej panu współczuję - przerwała mu bez ironii - ale musi pan zrozumieć, że jestem ostatnią osobą, z którą może pan o tej sprawie mówić.

Spojrzał na nią z najprawdziwszym zdziwieniem. - Dlaczego? Czyż nie pani przede wszystkim winien jestem wyjaśnienie?...

- Nie trzeba tu żadnych wyjaśnień; sytuacja była dla mnie zupełnie jasna.

- Och... - szepnął i spuścił głowę na pierś. Ale gdy Lily uczyniła ruch, by pójść dalej, wybuchnął ze wznowioną gwałtownością: - Panno Bart na miłość boską, niech się pani ode mnie nie odwraca! Byliśmy dobrymi przyjaciółmi... była pani zawsze dobra dla mnie... nie ma pani pojęcia, jak mi teraz potrzeba przyjaznej duszy.

Żałosna słabość bijąca z tych słów wzbudziła litość w sercu Lily. Ona również potrzebowała przyjaciół, zaznała przecież bólu osamotnienia, zaś sprzeciw wobec okrucieństwa Berty Dorset kazał jej z tym większym współczuciem patrzeć na tego biedaka, który - ostatecznie - był zawsze pierwszą ofiarą Berty. - Pragnę być dobra dla pana i nadal - powiedziała. - Ja do pana żalu nie mam, ale rozumiem pan chyba, że po tym, co zaszło, nie możemy być przyjaciółmi... nie możemy się widywać.



- Ale dlaczego? - spytał i spojrział na nią żałośnie. - Byłem dostatecznie ukarany w swoim czasie... Czy nie ma dla mnie łaski?

- Mogłam sądzić, że dostąpił pan łaski w postaci pojednania się z Bertą moim kosztem - zaczęła Lily zniecierpliwiona, lecz Dorset przerwał jej.

- Niech pani tak nie mówi! Przecież w ten sposób zostałem naj-  
srożej ukarany! Cóż ja mogłem zrobić w chwili, kiedy to pani zosta-  
łaś przeznaczona na ofiarę?... Każde moje słowo posłużyłoby za  
argument przeciw pani!

- Powiedziałam już panu, że go nie potępiam, chcę jedynie, żeby  
pan zrozumiał, że po tym, jak Berta posłużyła się moją osobą dla  
swoich celów... i wobec tego, co jej postępowanie za sobą pociąg-  
nęło... niepodobieństwem jest, żebyśmy się mogli widywać.

Z uporem ludzi słabych Dorset nie ustępował. - Czy... czy to  
nieuniknione?... Czyż przynajmniej mogę odwołać się do pani  
współczucia? Może poruszy panią moja prośba, żeby pani myślała  
o mnie jak o więźniu, którego tylko pani może wyzwolić?

Serce Lily zabiło mocniej, co zdradził przelotny rumieniec na jej  
twarzy. Czyżby chodziło o to, o czym napomykała Carry Fisher?

- Doprawdy nie widzę, w jaki sposób mogłabym panu pomóc -  
szepnęła cofając się o krok przed jego natarczywym spojrzeniem.

Ton jej odpowiedzi otrzeźwił Dorseta, jak nieraz się zdarzało  
w momentach jego burzliwych uniesień. Wyraz uporu zniknął z je-  
go twarzy. - O, wiedziałyby to pani, gdyby pani była tak miłosierna  
jak dawniej; a Bóg jeden wie, iż nigdy bardziej nie potrzebowałem  
pani pomocy.

Lily milczała przez chwilę; poruszyło ją wspomnienie własnej  
mocy, jaką miała nad tym człowiekiem, a tragedia jego życia roz-  
broiła pogardę dla jego słabości.

- Żal mi pana, naprawdę... pomogłabym chętnie... ale musi pan  
przecież mieć jakichś przyjaciół... doradców.

- Nie miałem nigdy takiego przyjaciela jak pani - odparł - a po-  
za tym... czyż pani nie rozumie - i tu głos jego zamienił się w szept  
- że jest pani jedyną osobą, która wie.

Lily poczuła, że znów się rumieni; serce zabiło jej mocniej w oczekiwaniu tego, co teraz miała usłyszeć.

- Zgadza się pani ze mną, prawda? Pani się domyśla? Jestem zrozpaczony... jestem u granic wytrzymałości... Pani oczy patrzą teraz tak pocziwie... i mówi pani, że mnie żałuje. Proszę tego dowieść. Chcę być wolny i pani może mnie uwolnić. Nic nie stoi na przeszkodzie. Wszystko pozostałoby w najgłębszej tajemnicy, rzecz jasna... nigdy ani słówka, że pani ma z tym jakikolwiek związek. Zresztą nigdy do tego nie dojdzie. Ja tylko muszę mieć możliwość powiedzenia: „Wiem to... i to... i to...”. Wtedy skończy się walka, droga będzie wolna i ten cały koszmar zniknie w ciągu sekundy.

Mówił z przerwami, dysząc ciężko jak człowiek wyczerpany długim biegiem, a jej, niby przez unoszącą się mgłę, jawiła się cudowna, złocista wizja życia w spokoju i bezpieczeństwie. Nie mogła się bowiem mylić co do istotnych zamiarów Dorseta, ukrytych w jego mglistym wezwaniu - niepotrzebne tu były napomknienia pani Fisher. Oto miała przed sobą człowieka doprowadzonego do ostateczności w swoim osamotnieniu i upokorzeniu; wystarczyło wyciągnąć do niego rękę, a przylgnie do niej z całą siłą swego zawiedzionego serca. Mogła z nim zrobić wszystko, a to dawało sposobność, by za jednym zamachem zemścić się i zrehabilitować - sposobność, która ją na moment olśniła.

Stała milcząc, nie patrząc na Dorseta; oczy jej pobiegły w dal, w jesienną perspektywę pustej ścieżki. I nagle przeszył ją strach - złękła się samej siebie i strasznej siły pokusy. Ujrzała wszystkie swoje słabości rozumiejąc, że to one winne są jej obecnej niedoli. Poruszyła się żywo i wyciągnęła dłoń do Dorseta. - Żegnam pana... bardzo żałuję. Proszę mi wierzyć, że niczego dla pana zrobić nie mogę.

- Niczego? Ach, niechże pani tak nie mówi! - zawołał. - Niech pani powie prawdę... że mnie opuszcza, jak inni. Pani, jedyna istota, która mogłaby mnie ocalić!

- Żegnam, żegnam! - powtórzyła z pośpiechem i odeszła; gonił ją za plecami jego błagalny okrzyk:

- Niechże mi wolno będzie przynajmniej jeszcze raz panią zobaczyć!

Gdy panna Bart weszła w aleje na gruntach Gormerów, ujrzała za szpalerami drzew lekki powozik zaprzężony w parę rączych koni, dążący w kierunku bramy; na stopniach domu zastała zaś panią Gormer promieniejącą niezwykłym zadowoleniem. Widok Lily sprawił, że otwarta twarz pani Gormer zarumieniła się jeszcze mocniej, a w oczach jej odbiło się zakłopotanie. - Widziałaś mego gościa? - spytała. - To była pani Dorset... powiedziała, że wpadła, by złożyć sąsiedzką wizytę.

- Oczywiście - mówiła dalej - sprowadziła ją tu ciekawość... musiałam ją oprowadzić po całym domu. Ale wierz mi, nie mogła być miłsza... żadnych tonów... żadnych min, sama uprzejmość; rozumiem teraz doskonale, że ludzie tak się nią zachwycają.

Niespodziewana wizyta pani Dorset przejęła Lily nieokreśloną obawą. Berta nie miała zwyczaju odwiedzać sąsiadów, a tym bardziej robić awanse komuś, kto nie należał do najściślejzego grona jej znajomych. Ignorowała tych, co pragnęli do tego grona należeć, chyba że kierowała nią myśl o własnej korzyści; Lily czuła, że jeśli te wizyty będą się powtarzały, to mogą bardzo niekorzystnie zaciążyć na jej własnym losie.

Przerwała zatem pobyt u swoich przyjaciół kilkoma wizytami u innych, równie świeżych znajomych. Powróciwszy z tej mało zabawnej wyprawy stwierdziła natychmiast, że u Gormerów dał się odczuć wpływ pani Dorset: była dalsza wymiana wizyt, herbatka w klubie wiejskim, spotkanie na balu myśliwskim, wspomniano o obiedzie, który pani Gormer zamierzała wydać w najbliższej przyszłości, choć starannie omijała ten temat w obecności Lily.

Pewnej niedzieli Lily, pożegnawszy swoich przyjaciół, postanowiła wrócić do miasta. Z pomocą Gerty Farish znalazła hotelik, w którym mogła zainstalować się na zimę. Mieścił się on w sąsiedztwie modnej dzielnicy i cena kilkunastu metrów kwadratowych, które Lily miała zająć, znacznie przekraczała jej środki materialne; nie znosząc marnego mieszkania usprawiedliwiała się przed sobą, że jej sytuacja wymaga utrzymania pozorów zamożności. W rzeczywistości była w stanie opłacić hotel tylko na tydzień z góry, ale broniła

się jeszcze przed podjęciem takiej egzystencji, jaką wiodła Gerty Farish. Dwa pokoiki hotelowe z ograniczonym widokiem na długi szereg ciemnych murów i tylnych ścian kamienic, samotne posiłki w małych tanich restauracyjnkach, skąpo oświetlonych i wypełnionych duszącą wonią taniej kawy - wszystkie te udreki, które musiała uważać za przywileje, bo i tych niebawem zmuszona będzie się wyrzec, nieustannie uprzytomniały jej położenie i coraz częściej zwracały myśli ku radom pani Fisher. Istniało tylko jedno wyjście - małżeństwo z Rosedale'em; utwierdziła ją w tym przekonaniu nieoczekiwana wizyta Dorseta.

Pierwszej niedzieli po powrocie do miasta zastała go w swoim saloniku; krążył niespokojnie po ciasnym wnętrzu, narażając na niebezpieczeństwo tych kilka drobiazgów, którymi usiłowała stonować pretensjonalną banalność hotelowego wnętrza. Widok Lily jakby uspokoił Dorseta. Powiedział nieśmiało, że nie przyszedł, żeby ją dręczyć; prosił, żeby mu pozwoliła usiąść na pół godziny i porozmawiać, o czym będzie chciała. Lecz wiedziała dobrze, że w rzeczywistości jeden tylko znał temat: siebie i swoją niedolę, i że przywiodła go jedynie potrzeba współczucia. Zaczął jednakże - dla utrzymania pozorów - od pytania, jak jej się wiedzie, a gdy słuchał jej odpowiedzi, obraz cudzej niedoli zdawał się po raz pierwszy przenikać do świadomości tego człowieka, zajętego wyłącznie sobą. Czy możliwe, żeby ta stara wiedźma, jej ciotka, wydziedziczyła swoją siostrzenicę? Że Lily mieszka w hotelu sama, bo nie ma gdzie się udać? I że ma zaledwie na życie z dnia na dzień, zanim nie wypłacą jej tego nędznego legatu? Pograżony we własnych cierpieniach, Dorset potrafił mgliście zrozumieć cudze; co więcej - zauważyła Lily - jednocześnie zorientował się, w jaki sposób jej kłopoty mogą przysłużyć się jego sprawie.

Gdy w końcu pożegnała go pod pozorem, że musi się przebrać do kolacji, przystanął na progu i wybąkał: - Tak mi tu było dobrze... niech pani mi powie, że wolno mi będzie przyjść jeszcze raz...

Niepodobieństwem było przystać na takie żądanie i Lily odparła życzliwie, ale stanowczo: - Bardzo mi przykro... ale pan dobrze wie, że nie mogę na to pozwolić.

Zarumienił się po białka oczu, zamknął drzwi i stał przed nią zakłopotany, ale natarczywy. - Wiem jedno: mogłaby pani, gdyby pani chciała... gdyby się wszystko zmieniło... a to zależy przecież od pani. Jedno słowo... i wyzwoli mnie pani z mojej nędzy! - Oczy ich spotkały się i Lily na chwilę zadrżała - pokusa była tak blisko...

- Pan się myli... ja nic nie wiem, nic nie widziałam - zawołała usiłując tym okrzykiem odgrodzić się od niego i od niebezpieczeństwa, które niósł ze sobą. A gdy Dorset wychodząc odwrócił się i jęknął: - Poświęca nas pani oboje! - powtórzyła niby słowa zaklęcia: - Ja nic nie wiem... nic absolutnie.

Od czasu pouczającej rozmowy z panią Fisher Lily widziała Rosedale'a zaledwie parę razy, ale przy każdej okazji stwierdzała, że najwyraźniej rośnie w jego oczach. Nie ulegało wątpliwości, że podziwiał ją i uwielbiał coraz bardziej i tylko od niej zależało, aby te uczucia dały jej jakiś pożytek.

Zadanie nie było łatwe, ale niełatwo też było w czasie długich bezsennych nocy walczyć z myślą o tym, co George Dorset gotów jej był zaofiarować. Nikczemność za nikczemność - wołała popełnić tylko jedną; zwłaszcza że bywały chwile, kiedy małżeństwo z Rosedale'em wydawało jej się jedynym przyzwoitym wyjściem z opresji. Nie pozwalała swojej wyobraźni wybiegać poza dzień klęski, wszystko, co miało przyjść potem, rysowało się jako wizja dobrobytu, w której osoba dobroczyńcy rozpływała się we mgle. W te bezsenne noce Lily zrozumiała, że o pewnych rzeczach lepiej nie myśleć, że koszmarnie obrazy należy odganiać za wszelką cenę, a jednym z takich koszmarów był obraz jej własnej osoby jako żony Rosedale'a.

Carry Fisher dzięki powodzeniu Bry'ów w Newporcie mogła - jak sama otwarcie przyznawała - wynająć na jesienne miesiące niewielki dom w Tuxedo, do którego Lily udała się w niedzielę po wizycie Dorseta. Przybyła w porze obiadu, lecz nie zastała gospodyni; cichy, dobrze ogrzany dom podzielał na Lily kojąco nastrojem spokoju i czegoś bardzo swojskiego. Po raz pierwszy od powrotu z Europy do tego stopnia poczuła się u siebie, że schodząc na obiad była prawie przygotowana na spotkanie grona dawnych znajomych, gdy-

by nie myśl, że kto z przyjaciół pozostał jej wierny, nigdy nie narażałby jej na podobne spotkanie. Bez zdziwienia zatem ujrzała pana Rosedale'a w saloniku przy kominku klęczącego przed córeczką pani Fisher. Nie wydał jej się szczególnie ujmujący w tej ojcowskiej pozie, ale trudno było nie zauważyć pewnej dobroduszości, z jaką traktował dziecko. Nie było w tym nic z obowiązkowej, nieszczerzej czułości, jaką goście demonstrują pod okiem pani domu - Rosedale był sam z dziewczynką i coś nieokreślonego w jego postawie zdradzało prostotę i dobroć wobec dziecka, które kapryśnie i z wysoka przyjmowało jego hołdy. Tak, ten człowiek potrafi być dobry - pomyślała Lily przystając na progu - z całym swoim prostactwem, brutalnością i bezwzględnością potrafi być dobry dla kogoś bliskiego. Tylko przez moment mogła się zastanawiać, czy widok tej sceny zmniejszył jej odrazę lub raczej nadał jej inny odcień, gdyż na jej widok Rosedale zerwał się na równe nogi - wymowny i pełen pychy Rosedale z salonu Mattie Gormer.

Lily nie zdziwiła się, iż właśnie on został wybrany, by dotrzymać jej towarzystwa. Zręczność, z jaką Carry Fisher torowała sobie drogę - bezpieczną i przyjemną drogę wśród wrogich sił - często służyła jej przyjaciołom. Carry zapobiegliwie krzątając się dokoła własnych zysków w świecie dobrobytu, sercem była zawsze po stronie przeciwnej - wszystkich nieszczęśliwych i pokrzywdzonych - tych, którzy nie mają powodzenia w gonitwie za sukcesem. Zbyt doświadczona, by od razu pierwszego wieczoru narazić Lily wyłącznie na towarzystwo Rosedale'a, co uważałaby za błąd, zaprosiła jeszcze na obiad Kate Corby i kilku panów, Lily zaś, świadoma metod swojej przyjaciółki, wiedziała, że nie ustanie ona w następczaniu podobnych sposobności, zanim Lily nie nabierze odwagi, by z nich skorzystać. Przystawała na ten plan z rozsądkiem i biernością chorego, który oddaje się w ręce chirurga, i trwała w uczuciu letargicznej niemal bezsilności nawet wtedy, gdy po odjeździe gości pani Fisher poszła za nią na górę.

- Czy mogę wejść i wypalić u ciebie papierosa przy kominku?  
Rozmawiając w moim pokoju obudzimy małą. - Rozejrzała się do-

koła okiem troskliwej gospodyni. - Czy urządziłaś się tu wygodnie, moja kochana? Prześliczny domek, prawda? Cóż to za szczęście móc spędzić kilka spokojnych tygodni z dzieckiem!

Carry w rzadkich momentach stabilizacji namiętnie oddawała się uczuciom macierzyńskim i panna Bart podejrzewała, że gdyby kiedyś pani Fisher miała dość czasu i pieniędzy, to jedno i drugie całkowicie należałoby do jej córki.

- Dobrze zasłużyłam na ten odpoczynek - ciągnęła dalej padając z westchnieniem na szeslong przy kominku. - Louisa Bry to trudna osoba... często wspominałam z żalem Gormerów. Mówi się, że zakochani są zazdrośni i podejrzliwi, a tymczasem to nic w porównaniu z tymi, którzy mają ambicje towarzyskie! Louisa nocami nie spała zastanawiając się, czy odwiedzające nas panie składały mi wizyty dlatego, że byłam z nią, czy też jej dlatego, że była ze mną. Musiałam się wyrzec moich najstarszych przyjaciół, żeby nie budzić podejrzeń, że to mnie zawdzięcza nowe znajomości. A przecież właśnie po to mnie wzięła ze sobą i za to ofiarowała mi hojny czek!

Pani Fisher nie należała do kobiet mówiących o sobie bez powodu. Poprzez dym papierosa spoglądała z zastanowieniem na pannę Bart, która odprawiwszy pokojówkę siedziała przed toaletą z włosami rozsypanymi na ramionach.

- Masz wspaniałe włosy, Lily. Wypadają? Nic nie szkodzi, są wciąż puszyte i błyszczące. KobiECE zmartwienia odbijają się na włosach, ale twoje wyglądają tak, jakbyś nie znała żadnej przykrej myśli. Nigdy chyba nie wyglądałaś tak dobrze jak dzisiejszego wieczora. Mattie Gormer mówiła mi, że Morpeth chciał cię malować... dlaczego nie pozwoliłaś?

Lily rzuciła krytyczne spojrzenie na własne odbicie w lustrze i z pewnym rozdrażnieniem odpowiedziała przyjaciółce: - Nie chcę przyjmować portretu od Morpetha.

Pani Fisher zamyśliła się. - Taaak... Zwłaszcza teraz... Ale będzie mógł cię malować, kiedy wyjdiesz za mąż. - Po krótkiej pauzie mówiła dalej: - Wyobraź sobie, Mattie była u mnie w tych dniach... w ubiegłą niedzielę... i to z kim? Z Bertą Dorset!

Zamilkła ponownie, by ocenić wrażenie swoich słów, ale szczotka, którą panna Bart trzymała w uniesionej ręce, nie drgnęła.

- Nie mogłam wyjść ze zdumienia, wiesz? Nie wyobrażam sobie dwóch kobiet mniej do siebie pasujących... to znaczy z punktu widzenia Berty, bo Mattie Gormer na pewno uważa, że Berta szuka jej towarzystwa... królik zawsze myśli, że to on hipnotyzuje węża.. Pamiętasz, jak ci mówiłam, że Mattie zawsze marzyła o tym, żeby się nudzić w wytwornym towarzystwie, i teraz, kiedy to jest możliwe, gotowa jest poświęcić wszystkich swoich dawnych przyjaciół.

Lily odłożyła szczotkę do włosów i posłała przyjaciółce przenikliwe spojrzenie. - Nie wyłączając mnie?

- Och, moja droga - szepnęła pani Fisher i wstała, żeby poprawić ogień na kominku.

- Takie zamiary ma Berta, prawda? - pytała dalej panna Bart. - Bo ona niczego nie robi bez celu i zanim opuściłam Long Island zorientowałam się, że nastawia sidła na Mattie.

Pani Fisher westchnęła wymijająco. - W każdym razie trzyma ją mocno w ręku. I może w nią wmówić wszystko, co zechce... Obawiam się, moje drogie dziecko, że opowiada jej okropności o tobie.

Twarz Lily w cieniu rozsypanych włosów pociemniała od rumieńca. Odwróciła się, by ją ukryć przed badawczym wzrokiem pani Fisher, i szepnęła: - Świat jest podły!

- Nie jest to przyjemne miejsce, i jedyny sposób, by się na nim utrzymać, to walczyć taką samą bronią... a przede wszystkim nie w pojedynkę! Jeśli Berta jest tak niegodziwa i nadal cię obmawia, to pewnie dlatego, że się ciebie boi. Tylko jeden może mieć do tego powód, a ja uważam, że jeśli chcesz ją ukarać, to masz środki w ręku. Myślę, że mogłabyś wyjść jutro za Dorseta. Jeśli taka zemsta ci nie odpowiada, to uwolnisz się od Berty tylko przez wyjście za mąż za kogoś innego.



Światło, które pani Fisher rzuciła na sytuację Lily, było niewesołe jak zimowy świt i fakty zarysowały się w nim ostro, bez żadnych półcieni ani barw, jakby ktoś otworzył okno, z którego nie widać nieba. Lily uświadamiała sobie najdalsze konsekwencje swego położenia, gdy następnego dnia wyszła na przechadzkę z Rosedale'em.

Był to jeden z tych cichych dni listopada, kiedy powietrze przesycone jest jeszcze blaskiem lata i coś nieuchwytnego w zarysie krajobrazu, skąpanego w złocistej mgiele, przypomniało pannie Bart owo wrześnie popołudnie, gdy wraz z Seldenem wędrowała po wzgórzach Bellomont. Uderzył ją ironiczny kontrast między tamtą chwilą i obecną: uciekała wówczas od tego, do czego obecnie świadomie zmierzała. Podjęła decyzję. Jeśli Berta Dorset zdoła zerwać jej przyjaźń z Gormerami, cały trud rehabilitacji zacznie się od nowa, trud o wiele większy; potrzeba opieki i spokoju potęgowała w niej teraz namiętne pragnienie tryumfu nad Bertą za pomocą bogactwa i pozycji towarzyskiej. Jako żona Rosedale'a, takiego Rosedale<sup>^</sup>, jakiego - czuła to - potrafi stworzyć, stanie się dla Berty nietykalna i potrafi stawić jej czoło.

Dodawala sobie sił taką myślą, by dobrze odegrać rolę w scenie, ku jakiej Rosedale aż nadto jawnie zmierzał. Szła obok niego drżąc z oburzenia na poufałość jego spojrzeń i głosu; powtarzała w duchu, że chwilowa uległość to cena, jaką musi zapłacić za uzyskanie władzy nad nim; rozważała w myśli, kiedy trzeba będzie ustępliwość

zamienić na opór i dokładnie uprzytomnić Rosedale'owi, jaką też cenę musi zapłacić. Lecz on w swojej niewzruszonej pewności siebie zdawał się niedostępny dla jej zabiegów; Lily miała wrażenie, że pod powierzchownym żarem jego wynurzeń kryje się coś twardego i nieprzeniknionego.

Siedzieli od dłuższej chwili w ustronnym skalistym zakątku nad jeziorem, gdy Lily przerwała nagle namiętne wywody Rosedale'a spoglądając na niego poważnie swoimi pięknymi oczami.

- Wierzę w to, co pan mówi - rzekła spokojnie - i gotowa jestem zostać pańską żoną, kiedykolwiek pan zechce.

Rosedale słysząc to poczerwieniał po same uszy, zerwał się na nogi i stanął przed nią niemal do śmieszności zakłopotany.

- Przypuszczam bowiem, że tego właśnie pan pragnie - ciągnęła dalej Lily tym samym spokojnym głosem. - Nie mogłam się na to zgodzić, gdy poprzednim razem mówił pan mi o tym, lecz teraz, poznawszy pana o wiele lepiej, gotowa jestem złożyć mój los w pańskie ręce.

Mówiła ze szlachetną szczerością, którą umiała przywołać w podobnych okolicznościach i która była jak wielki jasny snop światła rzucony na niejasną sytuację. W jego kłępującym blasku Rosedale zdawał się wahać przez chwilę, jakby świadomy, że wszystkie drogi ucieczki są nieprzyjemnie oświetlone. Wreszcie roześmiał się sucho, grubymi upierścienionymi palcami wydobyl papierosa ze złotym ustnikiem, przyjrzał mu się i odpowiedział: - Droga panno Lily, przykro mi, że powstało między nami pewne nieporozumienie, ale dała mi pani odczuć, że moje starania były zupełnie bezcelowe, i do prawdy nie miałem zamiaru ich ponawiać.

Krew w Lily zawrzała wobec brutalności takiej odpowiedzi, lecz opanowała pierwszy odruch gniewu i odrzekła tonem łagodnym i pełnym godności: - Nikogo nie mogę obwiniać prócz siebie samej, jeśli odniósł pan wrażenie, że moja decyzja była ostateczna.

Zawsze miała dla niego gotową odpowiedź, czuł się wobec niej bezradny. Tymczasem ona wyciągnawszy rękę, dodała z nieuchwytnym odcieniem smutku: - Zanim się pożegnamy, chcę przynajmniej podziękować panu za to, że kiedyś myślał pan o mnie tak życzliwie.

Dotknięcie jej dłoni, wzruszająca łagodność spojrzenia działały na jakąś czułą w nim strunę. Wyniosła niedostępność, umiejętność utrzymania dystansu bez okazywania pogardy sprawiały, że tak trudno mu było wyrzec się tej kobiety.

- Czemu pani mówi o pożegnaniu? Czy mimo wszystko nie możemy zostać parą dobrych przyjaciół? - spytał nie puszczając jej ręki.

Spokojnie uwolniła się z uścisku. - Co pan rozumie przez „parę dobrych przyjaciół”? - spytała z lekkim uśmiechem. - Chce się pan we mnie kochać i nie żenić?

Rosedale roześmiał się odzyskawszy swobodę. - Tak, chyba pani zgadła. Nie mogę się w pani nie kochać - chyba nikt tego nie potrafi - ale nie zamierzam się oświadczyć, jak długo mogę tego uniknąć.

- Podoba mi się pańska szczerość - odparła Lily wciąż uśmiechnięta - ale obawiam się, że w tych warunkach nasza przyjaźń nie jest możliwa.

Wstała i zrobiła kilka kroków, jakby chcąc mu dowieść prawdy swoich słów, a on poszedł za nią zmieszany i z uczuciem, że mimo wszystko ona wygrała.

- Panno Lily - zaczął porywczo, lecz Lily szła dalej jakby go nie słysząc.

Dogonił ją kilku szybkimi krokami i błagalnie położył dłoń na jej ramieniu. - Niech pani tak nie ucieka... Jest pani bardzo surowa dla człowieka, ale jeżeli postanowiła pani mówić prawdę, to nie widzę powodu, żeby nie pozwolić mi na to samo.

Zatrzymała się na chwilę unosząc brwi i cofając się instynktownie przed jego dotknięciem, lecz bez zamiaru zamknięcia mu ust.

- Miałam wrażenie, że już to pan uczynił nie czekając na moje pozwolenie.

- Czemuż by zatem nie miała pani wysłuchać powodów, które mną kierują? Nie jesteśmy oboje dziećmi i odrobina szczerości nas nie dotknie. Tracę głowę dla pani, nic w tym nowego. Jestem bardziej w pani zakochany niż w zeszłym roku o tej porze; ale muszę liczyć się z faktem, że sytuacja się zmieniła.

Nie przestawała mierzyć go oczami z tym samym ironicznym spokojem. - Chce pan powiedzieć, że nie jestem tak pożądaną partią, jak pan sądził?

- Tak, to właśnie chciałem powiedzieć - rzekł otwarcie. - Nie będę wnikał w to, co się stało. Nie wierzę w te wszystkie historie, które o pani opowiadają - nie chcę wierzyć. Ale fakt, że opowiadają, pozostaje faktem i ja tego nie zmienię.

Zarumieniła się aż po skronie, lecz pamiętając o swej biedzie ugryzła się w język i nie tracąc spokoju spytała: - Jeśli te historie nie są prawdziwe, czyż nie zmienia to sytuacji?

Odpowiedział jej trzeźwym spojrzeniem biznesmena, pod którym poczuła się jak kosztowny i wytworny przedmiot czysto handlowej transakcji. - Pewnie zmienia, ale w romansach, nie w prawdziwym życiu. Wie pani o tym tak samo dobrze jak ja; jeśli już mówimy sobie prawdę, to mówmy ją do końca. W zeszłym roku z całej duszy pragnąłem panią poślubić, a pani nie chciała na mnie patrzeć; w tym roku, zdaje mi się, byłaby pani skłonna. Co się przez ten czas zmieniło? Pani sytuacja. Nic więcej. Wówczas myślała pani, że znajdzie coś lepszego... teraz...

- Pan myśli, że znajdzie - przerwała mu ironicznie.

- Tak... tak właśnie... poniekąd. - Stał przed nią z rękami w kieszeniach wypinając pierś w jaskrawej kamizelce. - Bo jest tak, widzi pani: namęczyłem się niemało w ostatnich latach, żeby zdobyć pozycję towarzyską. Pani może się to wydać śmieszne, prawda? Ale dlaczego nie mam się przyznać, że chcę należeć do towarzystwa? Nikt nie wstydzi się przyznać, że chce mieć stajnię wyścigową albo galerię obrazów. A ja mam innego rodzaju hobby. Może chcę dorównać tym, co jeszcze rok temu patrzyli na mnie z góry... nazwijmy to tak, jeśli brzmi lepiej. Tak czy inaczej, chcę bywać w najlepszych domach i stopniowo to osiągam. Ale najłatwiej zrazić sobie właściwe osoby przez pokazywanie się z niewłaściwymi. I z tego to powodu chcę unikać pomyłek.

Panna Bart stała przed nim milcząc, dając tym wyraz albo drwiny, albo niechętnego szacunku dla jego szczerości. Rosedale ciągnął

dalej: - Tak rzeczy stoją, jak pani widzi. Jestem w pani bardziej niż kiedykolwiek zakochany, ale gdybym się z nią teraz ożenił, naraziłbym się całemu towarzystwu raz na zawsze i zmarnowałbym wszystko, co przez te lata zdobyłem.

Przyjęła to spojrzeniem, z którego zniknął wszelki ślad urazy. Obracając się tak długo w świecie fałszu i towarzyskiej obłudy poczuła coś orzeźwiającego w zetknięciu z tak jawną i rzeczową otwartością.

- Rozumiem pana - rzekła. - Przed rokiem byłabym dla pana pożyteczna, teraz stałabym się przeszkodą; lubię pana za tę szczerść. - Wyciągnęła do niego rękę z uśmiechem.

I znów ten gest zachwiał jego opanowaniem.

- Tam do licha! Niełatwo dać sobie z panią radę! - zawołał, a widząc, że chce odejść, wybuchnął: - Panno Lily... chwileczkę! Wie pani przecież, że nie wierzę w te wszystkie historie... wymyśliła je kobieta, która nie wahała się poświęcić pani dla własnej korzyści...

Lily cofnęła się w odruchu pogardy: łatwiej było znieść jego zachwałność niż współczucie. - Bardzo jest pan łaskaw, lecz nie widzę powodu, byśmy dalej o tym rozmawiali.

Zlekceważył jej sprzeciw z wrodzonym sobie brakiem wrażliwości. - Nie chcę niczego rozważać - powiedział. - Chcę pani jasno przedstawić pewną sprawę.

Stała mimowiednie, powstrzymana jego spojrzeniem i tonem zapowiadającym coś nowego, on zaś nie spuszczać z niej wzroku ciągnął dalej: - Zastanawia mnie, że tak długo zwleka pani, żeby rozliczyć się z tą kobietą mając w ręku takie atuty. Czemu nie robi pani użytku z tych jej listów, które pani kupiła w zeszłym roku?

Lily zaniemówiła wstrząśnięta tym pytaniem. Korzystając z jej oszołomienia Rosedale ciągnął dalej; mówił szybko, jakby chciał zapewnić sobie całkowite panowanie nad sytuacją. - Widzi pani, że wiem doskonale, jak rzeczy stoją, wiem, że ma ją pani w ręku. Nie sądzę, żeby pani kupiła te listy do kolekcji autografów.

Patrzała na niego z rosnącym zdumieniem; zdawała sobie sprawę tylko z jednego - że Rosedale ma ją, Lily Bart, w ręku.

- Dziwi panią, skąd ja o tym wiem? - spytał odpowiadając na jej spojrzenie. - Może pani zapomniała, że jestem właścicielem „Benedicka”, zresztą to nieważne. Lubię wiedzieć o wszystkim - to bardzo pożyteczne w interesach, a stosuję to również do moich spraw prywatnych. Bo to częściowo jest moja sprawa, a przynajmniej od pani zależy, żeby była. Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy: Niektórzy mówią, że Dorset ożeniłby się z panią choćby jutro, gdybyś mu powiedziała wszystko, co wiesz, i dała szansę pokazania drzwi małżonce; myślę, że zrobiłby to, ale pani, zdaje się, nie zależy na takim rozwiązaniu i słusznie, z punktu widzenia własnego interesu. Z podobnych transakcji nikt nie wychodzi z zupełnie czystymi rękoma i widzę tylko jeden sposób odzyskania pozycji towarzyskiej - zyskać poparcie Berty Dorset, zamiast z nią walczyć.

Urwał, by zaczerpnąć oddechu, ale zaraz potem nalegał dalej, nie dając jej dojść do słowa, wyjaśniając swoją myśl ze szczerością człowieka głęboko przekonanego o słuszności swej sprawy.

A więc Rosedale ożeniłby się z nią natychmiast, gdyby mogła odzyskać przyjaźń Berty Dorset, w tym celu wystarczyłoby zagrozić tej pani ową paczką listów, która w zadziwiający sposób znalazła się w jej posiadaniu. Lily uświadomiła sobie nagle wyższość takiego postępowania nad tym, do czego namawiał ją Dorset. Słuchając Dorseta mogła osiągnąć swój cel jedynie przez wyrządzenie krzywdy, gdy Rosedale'owi chodziło o zawarcie tajnego porozumienia, o którym nikt nie musiał wiedzieć. Przedstawił to jak niewinną transakcję handlową, rodzaj umowy o przejęciu własności albo ustaleniu obowiązujących warunków.

Życie na pewno jest prostsze, gdy się je bierze za nieustanne przystosowanie do okoliczności, polityczną grę, w której każde ustępstwo daje jakiś uznany ekwiwalent: znużony umysł Lily pociągnęła możliwość ucieczki od płynnych ocen etycznych w sferę konkretnych miar i wag.

Rosedale zdawał się czytać w jej milczeniu nie tylko stopniową uległość wobec jego planu, ale również ryzykownie daleko sięgające wyczucie szansy z nim związanej, gdyż nie czekał na jej słowa i myśląc

o sobie wybuchnął: - Wszak pani teraz widzi, jakie to proste, prawda? Ale proszę sobie nie wyobrażać, że jest zbyt proste. Nie tak, jakby się zaczynało bez żadnych obciążeń. Nazwijmy rzeczy po imieniu, skoro już o tym mówimy. Doskonale się pani orientuje, że Berta Dorset nie tknęłaby pani, gdyby nie było przedtem... hm... żadnego gadania... powiedzmy - żadnych znaków zapytania. Zdarza się to ładnej dziewczynie, która ma skąpych krewnych, w każdym razie - zdarzyło się i Berta grunt miała przygotowany. Pani rozumie, o co mi chodzi, praw-  
da? Powody do takiej gadaniny muszą zniknąć raz na zawsze. Nie wystarczy przywołać Bertę Dorset do porządku, trzeba ją jeszcze w takiej postawie utrzymać. Łatwo możesz ją pani nastraszyć, ale jak utrzymać w tej obawie? Beze mnie nie przeprowadzisz tego wszystkiego. Za pół roku wrócą stare kłopoty, może jeszcze gorsze; a oto jestem przed panią gotów uwolnić ją choćby jutro od wszystkich trudności, jeśli pani zechce. Czy zechce pani, panno Lily? - dodał zbliżając się nagle.

Słowa Rosedale'a i jego zachowanie wyrwały Lily ze stanu niemal hipnotycznej uległości, w jaki zapadła. Światło krętymi drogami dociera do świadomości tego, kto błądzi po omacku; Lily wzdrygnęła się na myśl, że jej ewentualny partner uważał za rzecz naturalną, iż mogła mu nie ufać, próbować go oszukać i pozbawić należnych mu korzyści. Rzuciło to nowe światło na całą transakcję; ujrzała, że nikczemność takiego posunięcia na tym polega, iż jest pozbawione wszelkiego ryzyka.

W odruchu wstrętu cofnęła się szybko i głosem obcym dla niej samej rzekła: - Pan się myli... myli się pan zasadniczo... i co do faktów, i co do wniosków, które pan z nich wyciąga.

Rosedale zaniemówił na chwilę, kompletnie zaskoczony jej nieoczekiwanym odwrotem ze ścieżki, po której pozornie dawała się prowadzić.

- A cóż to takiego? Myślałem, żeśmy się zrozumieli! - zawołał.  
- Och, dopiero teraz się rozumiemy - szepnęła.  
- To pewnie dlatego, że listy pisane są do niego! - wyrzucił z siebie brutalnie. - Doskonale! Niech mnie diabli porwą, jeśli się nie dowiem, jakie pani za to dostała podziękowanie!

Dni jesienne przechodziły w zimowe. Świat zabawy znalazł się raz jeszcze między wsią i miastem; Fifth Avenue pustoszała na koniec tygodnia, natomiast od poniedziałku do piątku wypełniał ją coraz gęstszy sznur pojazdów toczących się pomiędzy domami, które stopniowo wychodziły z letargu.

Nieco wcześniej pozorne ożywienie wywołała wystawa koni wypełniająca przy sposobności teatry i restauracje wytwornym tłumem. Pani Gormer nie pogardziła sposobnością pokazania swoich koni i siebie, a Lily mogła kilka razy wystąpić przy boku przyjaciółki w pierwszej łoży. Tym silniej jednak uświadomiła sobie zmianę, jaka zaszła w ich wzajemnym stosunku; była pewna, że gdy Gormerowie zainstalują się w mieście na zimę, prąd życia towarzyskiego ułatwi Mattie Gormer definitywne oderwanie się od jej osoby. Nie umiała stać się niezbędną, a raczej wszystkie jej wysiłki zostały zniweczone przez wpływ czegoś silniejszego od niej. Tą siłą były pieniądze: autorytet towarzyski Berty Dorset opierał się na niezachwianym rachunku bankowym. Rosedale nie przesadził określając położenie Lily i pełnię zadośćuczynienia, które ofiarował; gdy dorówna Bercie środkami materialnymi, wrodzone jej zalety pozwolą zatryumfować nad przeciwniczką. A co znaczyłby ten tryumf i rezygnacja z niego, o tym miały ją przekonać już pierwsze tygodnie zimowego sezonu. Fakt, iż nie wróciła do dawnego trybu życia, dowodził wyłączenia jej z tego życia. Kto nie uczestniczy w ustalonej rutynie życia towarzyskiego, ten przestaje dla ludzi istnieć. Lily,



pomimo swych nie spełnionych pragnień, nigdy nie brała pod uwagę możliwości istnienia w jakiejś innej sferze - można było gardzić tym światkiem, ale trudno było żyć poza nim. Zmysł ironii nigdy nie opuszczał panny Bart i teraz, drwiąc z samej siebie, stwierdzała, że najnudniejsze i pozbawione znaczenia szczegóły jej poprzedniej egzystencji nabrały nagle niezwyklej wartości. Ileż uroku miały najuciąźliwsze obowiązki towarzyskie teraz, gdy została od nich uwolniona; składanie wizytówek, pisanie bilecików, prawienie grzeczności nieciekawym i starym osobom, znoszenie z uśmiechem nudy długich obiadów - jak przyjemnie wypełniłoby to wszystko pustkę jej dni!

Wizytówek składała jeszcze mnóstwo; z uśmiechem na ustach i mężną wytrwałością trzymała się dzielnie w oczach świata i wcale nie spotykały jej afronty - po prostu jej nie zauważano, co boleśnie raniło jej dumę.

Odrzuciła propozycję Rosedale'a w porywie gniewu, który ją samą zdumiał - nie straciła jeszcze zdolności do aktów szlachetnego oburzenia. Ale długo na takich wyżynach nie mogła przebywać; brak było w jej wychowaniu tego, co w człowieku podtrzymuje siłę moralną: uważała, że ma prawo do takiej sytuacji, w której najszlachetniejsza postawa byłaby jednocześnie najłatwiejszą. Jej chwilowe porywy szlachetności wystarczały dotychczas do podtrzymania szacunku dla samej siebie. Jeśli się poślizgnęła, odzyskiwała równowagę zdając sobie sprawę dopiero później, że lądowała za każdym razem na nieco niższym poziomie. Odrzuciła propozycję Rosedale'a, bez świadomego wysiłku buntując się całą swoją istotą, i jeszcze nie zdawała sobie sprawy, iż przez sam fakt słuchania jego argumentów dowiodła oswojenia się z pojęciami, które dawniej przejęłyby ją wstrętem.

Dla Gerty Farish, która śledziła postępowanie Lily okiem tkliwszym, choć mniej przenikliwym niż Carry Fisher, wyniki walki były już wyraźnie widoczne: Lily z zapamiętaniem prowadziła beznadziejną politykę „zachowania pozorów”. Gerty z uśmiechem wspominała marzenie o tym, że jej przyjaciółka odrodzi się w walce z przeciwnościami losu. Lily nie należała do tych, co potrafią do

strzec znikomość rzeczy utraconych. Ale tym bardziej w oczach Gerty stała się osobą potrzebującą pomocy.

Tymczasem Lily od chwili powrotu do miasta nie widziała swojej kuzynki. Było coś irytującego w jej niemym współczuciu; poza tym skromność egzystencji Gerty Farish, mająca kiedyś urok kontrastu, boleśnie kazała pamiętać o poziomie, do którego spadało jej własne bytowanie. Gdy wreszcie pewnego popołudnia zdecydowała wprowadzić w czyn długo odwlekane postanowienie i udała się do przyjaciółki, poczucie własnego upadku ogarnęło ją z niezwykłą siłą. Te wąskie, strome schody wiodące jakby do ciasnego zaułka życia, smutne schody dla smutnych ludzi! Ileż to tysięcy istot pozbawionych znaczenia wchodzi na takie schody i schodzi z nich w tej chwili na całym świecie, ludzi takich jak ta niemłoda dama w zruddziałej czarnej sukni zamykająca za sobą drzwi mieszkania Gerty.

- To biedna Jane Silverton... przyszła do mnie po radę: chcą obie z siostrą zabrać się do czegoś, żeby zarobić na utrzymanie - wyjaśniła Gerty prowadząc Lily do saloniku.

- Zarobić na utrzymanie? Czy z nimi tak źle? - spytała panna Bart z lekkim rozdrażnieniem w głosie: nie przyszła, by słuchać o cudzym nieszczęściu.

- Obawiam się, że nic nie mają, długi Neda pochłonęły wszystko. Myślały, że Berta będzie miała dobry wpływ na niego, ponieważ nie gra w karty i tak pięknie mówi o tym, że traktuje Neda jak młodszego brata, że chce go zabrać na jacht, żeby się odzwyczaił od kart i wyścigów i zabrał do pracy literackiej. Ale zdaje się, że Ned pogniwał się z Dorsetami, w każdym razie Berta zabroniła mu bywać u niej, a on jest taki nieszczęśliwy, że wrócił do kart i zadaje się z jakimiś okropnymi typami... Jane przyszła do mnie, bo myśli, że gdybym znalazła dla niej jakieś zajęcie, to mogłaby spłacić długi swojego braciszka... Gdy powrócił z tej wycieczki jachtem, był okropnie zadłużony... nie mogę zrozumieć dlaczego... a ty?

- Och, moja droga Gerty! - odparła Lily niecierpliwie. - Ja zawsze mogę zrozumieć, jak wydać więcej pieniędzy, niż się ma... nie rozumiem ludzi, którzy wydają mniej.

Rozpięła futro i usiadła w fotelu, Gerty zajęła się przyrządzaniem herbaty. - Ale cóż one mogą robić... te panny Silverton? Jak zamierzają zarobić na utrzymanie? - spytała świadoma, że odcień rozdrażnienia nie zniknął z jej głosu. Nie miała najmniejszego zamiaru poruszać tego tematu - sprawa była jej zupełnie obojętna, a jednak poczuła nagle przewrotną ciekawość, co też zrobią te dwie bezbarwne, przelekłe ofiary sentymentalnych doświadczeń młodego Silvertona, by sprostać twardej konieczności, która przecież zaglądała również w jej własne progi.

- Nie wiem - odparła Gerty. - Postaram się coś znaleźć dla nich. Jane bardzo ładnie czyta na głos... ale tak trudno znaleźć kogoś, kto chciałby, żeby mu czytano. A jej siostra maluje trochę.

- Wiem: kwiaty jabłoni na bibułce, to, co ja wkrótce będę robić!  
- zawołała Lily i z westchnieniem dodała: - Och Gerty, nie jestem stworzona na kobietę dobrą, uczciwą!

Gerty podniosła wzrok na jej bladą twarz, w której oczy jaśniały szczególnym blaskiem bezsenności.

- Wyglądasz na strasznie zmęczoną; napij się herbaty i pozwól, że podam ci poduszkę, żebyś oparła się wygodnie.

Panna Bart przyjęła filiżankę herbaty, ale odsunęła poduszkę niecierpliwym ruchem.

- Nie dawaj mi tego! Nie chcę się opierać... położę się spać, jak zechcę.

- Czemu nie miałabyś się przespać? Będę cicho jak mysz pod miotłą.

- Nie, nie... mów do mnie. Po południu ogarnia mnie straszna senność i potem w nocy nie śpię.

- Nie sypiasz w nocy? Od kiedy?

- Nie wiem... nie pamiętam. - Wstała i odstawiła pustą filiżankę na tacę. - Proszę jeszcze o herbatę, ale mocniejszą.

- Będziesz jeszcze gorzej spać...

- Nie praw mi morałów, proszę! - odparła Lily rozkazująco. Głos jej zabrzmiał niebezpiecznie, a ręka wyciągnięta po filiżankę drżała.

- Ale wyglądasz tak mizernie... jestem pewna, żeś chora...

Panna Bart drgnęła i odstawiła filiżankę: - Co? Mizernie wyglądam? - Wstała i podeszła do małego lustra nad biurkiem. - Okropne lustro, całe porysowane... Każdy wyglądałby jak trup! Ty mój głuptasku kochany, czemu mówisz mi takie ohydne rzeczy? Wyglądać mizernie, znaczy wyglądać brzydko... Powiedz prawdę, Gerty: Czy jestem już zupełnym straszylem?

- Jesteś piękna teraz, Lily, oczy ci błyszczą i policzki nagle zrobiły się różowe...

- Ach, więc byłam blada... trupio blada, kiedy weszłam? Dlaczego nie mówisz mi otwarcie, że jestem ruiną? Oczy mi błyszczą, bo jestem zdenerwowana, ale rano wyglądają jak z ołowiu. I te zmarszczki! Zmarszczki ze zmartwień, kłopotów, rozczarowań i porażek! Każda bezsenna noc zostawia nowe... a jakżeż ja mogę spać, skoro muszę myśleć o takich okropnych rzeczach?

- Okropnych rzeczach? Jakich? - spytała Gerty, delikatnie uwalniając dłonie z rozpalonego uścisku przyjaciółki.

- O jakich rzeczach? Przede wszystkim o ubóstwie, a nie znam nic straszniejszego. - Lily odwróciła się nagle i opadła z powrotem na fotel. - Pytałaś przed chwilą, czy potrafię zrozumieć, dlaczego Ned Silverton wydał tyle pieniędzy. Oczywiście, potrafię, wydał je na życie wśród ludzi bogatych. Tobie się zdaje, że my z nich żyjemy, a tak nie jest. Za każdy przywilej trzeba drogo płacić. Za to, że u nich jemy i pijemy, że palimy ich papierosy, korzystamy z powozów i salonek, siedzimy w ich łóżach - od tego wszystkiego płaci się podatek. Mężczyzna musi dawać duże napiwki służbie, grać w brydża wysoko, przynosić kwiaty i prezenty i rujnować się na wiele innych rzeczy... a panna także płaci napiwkami i przegraną w karty... o tak, musiałam powrócić do brydża... płacę tym, że ubieram się u najlepszej krawcowej i mam zawsze odpowiedni strój na każdą okazję, że zawsze jestem wesoła, elegancka i interesująca.

Umilkła na chwilę, oparła głowę o poręcz fotela i przymknęła oczy, a Gerty z przerażeniem stwierdziła zmianę w jej twarzy - jakby szare światło dzienne zgasiło jej sztuczny blask. Lily podniosła powieki i wrażenie to zniknęło.

- Nie bardzo to zabawne, prawda? Jestem już tym śmiertelnie znużona, a mimo to myśl, że miałabym się tego wszystkiego wyrzec, doprowadza mnie do rozpaczy... Dłużej już w ten sposób żyć nie mogę... ale co mnie czeka?

Wstała i rzuciła szybkie spojrzenie na zegar: - Późno, muszę iść... umówiłam się z Carry Fisher. Nie patrz na mnie tak smutno, moja kochana, nie myśl za dużo o głupstwach, które ci naopowiadałam. - Stała znów przed lustrem, przyglądała włosy, spuściła woalkę i zapięła futro. - Na razie jest mi bardzo ciężko i gdybym mogła znaleźć jakieś zajęcie... pisać listy, układać spis wizyt, coś w tym rodzaju... podtrzymałoby to mnie, dopóki nie wypłacą mi legatu. Carry obiecała, że znajdzie kogoś, kto potrzebuje sekretarki. .. jak widzisz, jej specjalnością są bezradni, biedni bogacze.

Dopiero w dwa tygodnie po tej wizycie Gerty znalazła sposobność, by podzielić się z Seldenem swymi obawami na temat Lily Bart. Przyszedszy pewnego niedzielnego popołudnia odczekał, aż przebrnie przez staroświecki ceremoniał herbatek swojej kuzynki, gdyż dostrzegł w jej głosie i spojrzeniu coś, co wskazywało, że chce z nim pomówić na osobności. Gdy tylko zamknięty się drzwi za ostatnim gościem, Gerty przystąpiła do rzeczy pytając Seldena, jak dawno widział pannę Bart.

Selden przez chwilę zwlekał z odpowiedzią, co zdziwiło trochę pannę Farish.

- Wcale jej nie widziałem... odkąd wróciła z zagranicy - i dodał widząc jej zdziwienie: - Chciałem się z nią zobaczyć, ale jest całkowicie zaabsorbowana Gormerami...

- Tym bardziej powinienesz być ją zobaczyć. Jest bardzo nieszczęśliwa.

- Nieszczęśliwa w towarzystwie Gormerów?

- Och, nie bronię jej przyjaźni z Gormerami, ale to też się skończyło. Wiesz, że ludzie bardzo źle ją traktują od czasu, jak Berta Dorset poróżniła się z nią... i opowiada o niej okropne rzeczy. Ciotka jej, pani Peniston, zbyła ją małym legatem, chociaż zawsze dawała do zrozumienia, że siostrzenica dostanie po niej wszystko.

- Tak... wiem... - potwierdził krótko Selden i zaczął krążyć nerwowo po ciasnej przestrzeni między drzwiami i oknem. - Tak, potraktowano ją ohydnie... ale właśnie tego nie może powiedzieć mężczyzna, który chce okazać jej współczucie.

Gerty, lekko zawiedziona jego słowami, odparła: - Mógłbyś znaleźć inny sposób dla wyrażenia współczucia.

Selden roześmiał się i usiadł obok niej na sofce przy kominku.

- Cóż zatem masz na myśli, niepoprawna misjonarko?

- Myślę o tym, że zawsze byliście przyjaciółmi... że ogromnie jej zależało na twoim zdaniu... i że jeśli z twojego zachowania wynioskuje, że źle o niej sądzisz, to poważnie przyczynisz się do powiększenia jej nieszczęścia.

- Moje drogie dziecko, nie przesadzaj, nie przypisuje jej własnej wrażliwości - powiedział dość oschle, lecz widząc spojrzenie Gerty dodał tonem łagodniejszym: - Ogromnie wyolbrzymiasz znaczenie tego, co mógłbym zrobić dla panny Bart, ale zapewniam cię, że zrobię, wszystko, co w mojej mocy, jeśli ty mnie o to prosisz. - Położył rękę, na jej dłoni i przez tę krótką chwilę dokonała się między nimi bez słów wymiana myśli, które składają się na skarby przywiązania.

- Proszę cię zatem: proszę dlatego, że mi powiedziała, że kiedyś byłeś dla niej pomocą, i dlatego, że tej pomocy potrzebuje teraz bardziej niż kiedykolwiek... Sama dopomóc jej nie mogę... zdaje mi się, że ona boi się być dla mnie ciężarem. Napisała, że przyjęła posadę sekretarki, którą znalazła dla niej Carry Fisher, i żebym była spokojna, i że jak będzie miała czas, to przyjdzie, ale nie przyszła, a ja do niej nie pójde, żeby nie pomyślała, że narzucam się wbrew jej woli. Pewnego razu, kiedy byliśmy małe, rzuciłam się na nią po długiej rozłące, a ona powiedziała: „Proszę cię, Gerty, nie całuj mnie, dopóki cię o to nie poproszę”, i w minutę później poprosiła; ale odtąd zawsze czekam, aż ona pierwsza się do mnie zwróci.

Selden słuchał w milczeniu z wyrazem skupienia, który jego szczupłą

twarz przybierała, gdy bronił się przed zdradzeniem jakichkolwiek uczuć. Gdy Gerty skończyła, powiedział z lekkim uśmiechem: - Skoro nauczyłaś się sztuki czekania, czemuż chcesz, żebym ja się wtrącał? - ale

widząc jej pełne niepokoju, błagalne spojrzenie dodał: - Zrobię to, czego

chcesz, i nie będę cię obarczał odpowiedzialnością, jeśli mi się nie uda.

Niezupełnie było to dziełem przypadku, że Selden nie widział panny Bart, choć kazał tak myśleć swojej kuzynce. Prawdą jest, że wspomnienie ostatniej godziny spędzonej z Lily w Monte Carlo wciąż przejmowa-

ło go głębokim oburzeniem i że niecierpliwie czekał jej powrotu, ale sprawiła mu zawód pozostając w Anglii, a gdy w końcu wróciła, tak się złożyło, że w interesach musiał wyjechać na Zachód. Wróciwszy zaś do

Nowego Jorku dowiedział się, że Lily wybiera się na Alaskę z Gormerami. Zaskoczony tą nagle zrodzoną przyjaźnią, stracił ochotę widzenia panny Bart. Jeśli w momencie, gdy całe jej życie załamało się, mogła beztrudno powierzyć swój los Gormerom, nie miał powodu przypuszczać, że podobny kryzys może odczuwać jako katastrofę. Każdy kolejny

jej krok zdawał się prowadzić ją coraz dalej od tych regionów, w których

raz czy dwa spotkali się w momencie uniesienia; gdy sobie to uprzytomnił, po pierwszym bolesnym skurczu doznał uczucia przykrew ulgi.

Da-

leko łatwiej było mu sądzić pannę Bart według jej postępowania niż według tych rzadkich chwil, w których tak niepokojąco zjawiała się na jego drodze. Wystarczyły jednak słowa Gerty Farish, by zdał sobie spra-

wę, jak dalece nie podzielał ogólnej opinii o pannie Bart i jak trudno mu

było zachować spokój na wspomnienie Lily. Wiadomość, że potrzebuje pomocy, nawet tak nikłej pomocy, jaką mógł zaofiarować, wystarczyła, by myśl o niej opanowała go na nowo, a gdy znalazł się na ulicy, był tak

przekonany o konieczności pośpiechu, że skierował swoje kroki prosto do hoteliku, w którym mieszkała Lily.

Zapał jego został ostudzony wiadomością, że panna Bart wypro-  
wadziła się. Po dłuższych naleganiach portier przypomniał sobie, że  
zostawiła adres, i w końcu zaczął go szukać w jakiejś księdze.

Dziwne, że powziąwszy taką decyzję Lily nie zawiadomiła o tym  
Gerty Farish; Selden czekał z niepokojem, niepokój zamienił się  
w obawę; po dłuższym szukaniu portier wręczył mu kartkę papieru,  
na której Selden przeczytał: „U pani Normy Hatch, hotel «Empo-  
rium»”. Zdumiony wytrzeszył oczy, potem podarł kartkę ze wstrę-  
tem i pospieszył do domu.

RS



Gdy Lily obudziła się w hotelu „Emporium”, pierwszym jej uczuciem było czysto fizyczne zadowolenie. Siła kontrastu z poprzednimi warunkami spotęgowała rozkosz leżenia znów na miękkich poduszkach w wygodnym łóżku, w pokoju pełnym słońca, gdzie nęciła ustawiona na stolyczku przy kominku taca ze śniadaniem. Lily przeniosła się tu poprzedniego dnia skierowana przez Carry Fisher i od razu poczuła, że wkracza w świat zupełnie dla niej nowy. Pani Norma Hatch, rozwódka, przybyła tu „z Zachodu”. Posiadała duży majątek. Carry Fisher określiła ją pobieżnie tak: bogata, bezradna i bez pozycji towarzyskiej - jest stworzona do tego, by nią pokierowała wprawna ręka Lily. Pani Fisher nie udzieliła Lily żadnych wskazówek przyznając, że panią Hatch zna tylko z opowiadań Melville'a Stancy'ego, który zajmował się adwokaturą, gdy miał czas, w swoim klubie zaś grał rolę Falstaffa. Pod względem towarzyskim pan Stancy stanowił ogniwo między światem Gormerów i na wpół mroczną sferą, do której wkroczyła obecnie panna Bart.

Otoczenie, w którym się znalazła, było dla niej równie obce jak żyjący w nim ludzie. Nie знаła modnych nowojorskich hoteli z ich duszną atmosferą przepychu i przegrzania, ani mieszkających w nich bladych istot w bogatych strojach przypominających wyściełane meble; snuły się te istoty bez określonego celu i zamiaru; nie miały żadnych przyjaciół ani rodziny, pchane leniwą ciekawością przenosiły się z restauracji na koncert, z ogrodu do salonu muzycz-

nego, z wystawy sztuki na rewię mody. Czekwały na te damy świetne konie albo luksusowe samochody, by zabrać je gdzieś w głąb wielkiego miasta, skąd wracały jeszcze bardziej znużone pod ciężarem swoich sobolowych futer i na powrót zanurzały się w duszny bezruch hotelowej egzystencji. Miały gdzieś za sobą jakieś życie, same były zapewne wytworem upartych ambicji, wytrwałej energii, różnorodnych doświadczeń życiowych, a jednak nie czuło się w nich nic autentycznego.

Panią Hatch z widowni poprzedniego etapu jej życia przeniósł na wyższy stopień egzystencji w nowojorskim hotelu pan Melville Stancy - dusza towarzystwa na koleżeńskich biesiadach, wzór rycerskości nakazujący pamiętać panom o łoży na premierę i tysięczdolarowej bombonierce. To on, postawny mężczyzna o tubalnym głosie, wybrał konie, które przyniosły pani Hatch nagrodę Błękitnej Wstęgi na pokazie koni, on wprowadził ją do fotografa, który jej fotografiami ozdobił raz po raz „Dodatk Niedzielny” i on wreszcie zebrał koło niej pewne grono ludzi. Ale - jak to często bywa - uczeń prześcignął mistrza; pani Hatch odkryła, że wyżyny elegancji i głębie luksusu istnieją poza hotelem „Emporium” i natychmiast zapragnęła lepszego przewodnictwa - zręcznej ręki kobiecej, która nadałaby właściwy styl jej korespondencji, szyk jej kapeluszą i prawidłowy układ kartom menu. Krótko mówiąc - od panny Bart zażądano, by pokierowała kielkującą karierą towarzyską pani Hatch; pozorne obowiązki jej sekretarki ograniczone były faktem, że pani Hatch jeszcze nie bardzo miała do kogo pisać.

Jej tryb życia, nacechowany lenistwem i niechlujstwem, szczególnie był dla Lily przykry. Mogło się zdawać, że pani Hatch i jej znajomi przebywali poza granicami czasu i przestrzeni, tak zupełnie nie liczone się z godzinami ani podjętymi zobowiązaniami; dzień i noc zlewały się w jedno - lunch potrafił wypaść w porze popołudniowej herbaty, a obiad, często połączony z kolacją po teatrze, przeciągał się do białego rana. Asystowała temu przedziwna mieszanina różnych typów - fryzjerów, masażystów, manikiurzystów, nauczycieli języka francuskiego, których wygląd i zażyłość z panią

Hatch często nie pozwalały na odróżnienie ich od gości. Wśród tych ostatnich Lily, ku swemu zdumieniu, napotkała kilku dawnych znajomych - rozkrzewiona działalność pana Stancy'ego zahaczała również o świat pani Fischer, którego niejedną ozdobę udało mu się wciągnąć do kółka odwiedzającego hotel „Emporium”.

Spotkanie Neda Silvertona w salonie pani Hatch było dla Lily pierwszą tego rodzaju niespodzianką; niebawem przekonała się, że nie on był najcenniejszą zdobyczą pana Stancy'ego. Młody Fred van Osburgh, drobny, wąty spadkobierca milionowej fortuny van Osburghów, ledwie po studiach, pojawił się na towarzyskim horzonce, gdy Lily już stamtąd zniknęła; ze zdumieniem stwierdziła teraz, że był on pierwszą gwiazdką na firmamencie pani Hatch, oświetlającą półmrok jej egzystencji. A więc to tutaj spieszyła młodzież uciekając z wytwornych salonów, to były te „wcześniejsze zaproszenia”, którymi wymawiano się sprawiając zawód gorliwym gospodyniom. Lily miała dziwne uczucie, że ogląda społeczeństwo jak gobelin - od lewej strony, gdzie się wiąże nitki na supełki i pozostawia luźne końce. Z początku bawił ją ten obraz i własny w nim udział, bawiła sytuacja zapewniająca swobodę i bezceremonialność wprost orzeźwiająca dla kogoś, kto tak jak ona poznał perfidną siłę konwenansów. Lecz bywały to tylko krótkie chwile na tle długich dni pełnych niesmaku i obrzydzenia. W porównaniu z pozłacaną pustką, w jakiej tkwiła pani Hatch, życie dawnych przyjaciółek wydawało się Lily pełne ładu i treści. Nawet najpłochsze ładne kobiety miały swoje dziedziczne obowiązki, konwencjonalną dobroczynność, swój udział w funkcjonowaniu wielkiej maszyny społecznej, a wszystko to spojone było solidarnością wspólnych tradycji. Wypełnianie konkretnych obowiązków wyjaśniałoby pozycję panny Bart, natomiast oddawanie bliżej nieokreślonych przysług pani Hatch sprawiało Lily niemało kłopotu. Nie było to winą jej chlebowdawczyni; pani Hatch od pierwszej chwili okazywała niemal wzruszającą chęć przypodobania się Lily. Nie pyszniła się swoim majątkiem, jej piękne oczy błagały, by wybaczyć jej brak wyrobienia: chciała wiedzieć, co „wypada” robić, a czego „nie wypada”;

chciała być „dystygowana”. Trudność kontaktu z nią na tym polegała że hołdowała zupełnie innym ideałom.

Pani Hatch dawała się ponieść aspiracjom zaczerpniętym ze sceny i gazet, modnych pism i kręgów sportowych, jak najdalszych od stanowiska, z którego wywodziła się jej towarzyszka. Zadaniem Lily było oddzielić mętne pojęcie od takich, które najskuteczniej utorowałyby pani Hatch drogę wzwyż; w tym zadaniu przeszkadzały jej szybko rosnące wątpliwości. Lily coraz wyraźniej uświadamiała sobie dwuznaczność swojej sytuacji. Nie raziło jej zatrzymanie maniukurzystki na lunch czy zaproszenie fryzjera do łoża w teatrze, ale nie potrafiła z równie lekkim sercem traktować mniej jaskrawych odstępstw od konwenansów. Przyjaźń Neda Silvertona, na przykład, ze Stancym robiła wrażenie czegoś intymniejszego i mniej zrozumiałego, niżby mogły to wytłumaczyć naturalne skłonności ludzkiej natury; a ci dwaj uparli się wspólnie podniecać rosnący apetyt małego Freda na panią Hatch. Mogli to robić dla zabawy, lecz Lily czuła, że Fred jest na to za młody, za bogaty i za naiwny, Zakłopotanie jej powiększał fakt, iż Fred zdawał się widzieć w niej współniczkę w towarzyskiej edukacji pani Hatch - dowodziło to trwałego z jego strony zainteresowania przyszłością tej damy. Bywały chwile, kiedy Lily szczerze to bawiło: myśl, by znane jej grono ludzi trafić w samo serce takim pociskiem jak osoba pani Hatch, nie pozbawiona była uroku. Oczami duszy widziała piękną pannę prowadzoną na rodzinny bankiet u Osburghów. Lecz perspektywa osobistego udziału w podobnej transakcji była mniej przyjemna i po momentach zabawy przychodziły coraz częściej okresy zwątpienia i niepewności, które dosięgły szczytu, gdy pewnego popołudnia zaskoczyła ją wizyta Lawrence'a Seldena.

Zastał ją samą w ogromnym, obitym różowym adamaszkiem salonie pani Hatch, dla której godzina herbaty nie była poświęcona towarzyskim rytuałom - pani Hatch znajdowała się właśnie w rękach masażystki.

Wejście Seldena poruszyło Lily do głębi, lecz widok jego zakłopotania przywrócił jej panowanie nad sobą; powitała go tonem przyje

mnego zdziwienia, zapytała, jakim sposobem znalazł ją w tak nieprawdopodobnym miejscu i co go natchnęło do podjęcia poszukiwań.

Selden słuchał jej z niezwykłą powagą - jeszcze nigdy nie widział go tak mało panującego nad sytuacją, tak bardzo zdanego na jej wolę, gdyby zechciała mu w czymkolwiek przeszkodzić.

- Chciałem się widzieć z panią - powiedział. Nie mogła powstrzymać uwagi, że umiał trzymać na wodzy swoje pragnienia. W istocie bowiem jego długa nieobecność chyba najwięcej przyczyniła jej goryczy w ostatnich miesiącach; zranił jej uczucia schowani głęboko pod maską dumy.

Selden odpowiedział na wyzwanie pełną szczerością: - Nie przyszedłbym, gdybym nie przypuszczał, że mogę się na coś przydać. Tylko to może tłumaczyć moje przekonanie, że pani zechce mnie widzieć.

Przyjęła to jako niezręczną wymówkę, co odbiło się w tonie jej odpowiedzi: - A zatem przyszedł pan teraz, bo sądzi pan, że może mi być pożyteczny?

Znów się zawahał. - Tak. Choćby w skromnym charakterze osoby, z którą można się naradzić.

Jak na człowieka inteligentnego początek był głupi; myśl, że jego niezręczność pochodzi z obawy, by nie przypisywała jego wizycie motywów osobistych, zatrąła przyjemność, jaką sprawił jego widok. Nawet w najmniej sprzyjających warunkach zawsze taką przyjemność odczuwała: mogła go nienawidzić, lecz nigdy nie była w stanie pragnąć, żeby sobie poszedł. Była teraz bardzo bliska nienawiści, a jednak świadoma tego, że jego głos, smuga światła na rzadkich ciemnych włosach, to, jak siedział, jak się ruszał, jak nosił ubranie - wszystkie te drobiazgi tak głęboko splotły się z jej życiem. W jego obecności ogarnął ją nagle spokój, ustał zamęt w jej duszy, lecz równocześnie był w niej jakiś instynktowny opór przeciw niemu. Powiedziała: - Bardzo to pocziwe zameldować się w takim charakterze, ale z czego pan wnosi, że mamy się nad czym naradzać?

Powiedziała to lekkim tonem, lecz pragnęła podkreślić, że nie szuka jego pomocy, i Selden zmieszał się na moment. Sytuację między nimi mógł wyjaśnić tylko nagły wybuch uczucia, ale ich wycho-

wanie, ich nawyki myślowe sprzeciwiały się możliwości takiego wybuchu. Spokój Seldena zdawał się raczej zamieniać w opór, zaś u panny Bart przybierał postać błyskotliwej ironii, gdy patrzyli na siebie usadowieni w przeciwległych rogach ogromnej sofy pani Hatch. Sofa ta, jak i reszta okropnych mebli zapelniających apartament, nasunęły Seldenowi odpowiedź.

- Gerty powiedziała mi, że jest pani sekretarką pani Hatch, i wiem, że byłaby bardzo rada usłyszeć, jak się pani wie dzie.

- Dlaczegoż sama mnie nie odwiedziła? - odparła panna Bart obojętnie.

- Nie przysłała jej pani swojego adresu, więc obawiała się być natrętna, mnie zaś - dodał z uśmiechem - jak pani widzi, nie powstrzymały takie skrupuły; ale ja mniej ryzykuję, jeśli narażę się na pani niezadowolenie.

- Nie grozi to panu w tej chwili - odpowiedziała Lily uśmiechem na jego uśmiech - choć nie jestem pewna, jak będzie dalej.

- To już zależy od pani, prawda? Ograniczam się jedynie do tego, by służyć pani swoją osobą.

- Ale w jakim charakterze? Co mam z panem zrobić? - spytała tak samo lekkim tonem.

Selden rozejrzał się ponownie po salonie pani Hatch, po czym, jakby w wyniku tej inspekcji, rzekł tonem stanowczym: - Ma pani pozwolić, bym panią stąd zabrał.

Na ten nieoczekiwany atak Lily zarumieniła się, zeszywniała i odparła zimno: - A mogę spytać, dokąd też chce pan mnie zabrać?

- Najpierw do Gerty, jeśli pani zechce; przede wszystkim chodzi o to, żeby jak najdalej stąd.

Niezwykła szorstkość jego głosu powinna była jej dowieść, ile kosztowały go te słowa, lecz nie była w stanie liczyć się z jego uczuciami, gdy w niej samej wszystko zawrzało. Zaniedbać ją, być może nawet unikać jej w czasie, gdy tak potrzebowała przyjaciół, a potem nagle, bez żadnego usprawiedliwienia, wtargnąć w jej życie z taką dziwną wyższością i poczuciem władzy - wszystko to po drażniło jej dumę i sprowokowało odruch obrony.

- Jestem panu ogromnie zobowiązana za tyle zainteresowania dla moich planów, ale czuję się całkiem dobrze tu, gdzie jestem, i nie zamierzam nigdzie się ruszać.

Selden wstał. - To znaczy, że pani nie wie, gdzie pani jest!  
Lily również wstała ogarnięta gniewem.

- Jeśli przyszedł pan, żeby mówić mi przykre rzeczy o pani Hatch...

- Obchodzi mnie jedynie pani związek z tą osobą.

- Nie muszę się go wstydzić. Pani Hatch pomaga mi zarabiać na życie, gdy moi starzy przyjaciele gotowi byli patrzeć, jak umrę z głodu.

- Cóż za nonsens! Alternatywą nie jest śmierć z głodu! Przecież pani wie, że może zawsze, zawsze znaleźć schronienie u Gerty, do czasu odzyskania niezależności.

- Jest pan tak wprowadzony w moje interesy, że zapewne chciał pan powiedzieć: dopóki nie wypłacą mi legatu mojej ciotki?

- Owszem, właśnie to miałem na myśli, wiem o tym od Gerty - przyznał Selden bez skrępowania; zbyt poważnie brał w tej chwili całą sprawę, by krępowało go powiedzenie tego, co myśli.

- Ale Gerty nie wie, że cały ten legat pójdzie na spłacenie moich długów.

- Boże drogi! - wykrzyknął Selden wstrząśnięty tym zaskakującym oświadczeniem.

- Wszystko co do grosza i jeszcze nie starczy - powtórzyła Lily  
- Teraz pan rozumie, dlaczego wolę pozostać tu, u pani Hatch, nie korzystać z dobroci Gerty. Nie mam żadnych pieniędzy, a do mojej małej renty muszę dorobić, żeby się wyżywić.

Selden zastanowił się przez chwilę, po czym odparł spokojniejszym tonem: - Ale renta i pieniądze, i Gerty, jeśli mi już wolno wkra-  
czać w podobne szczegóły, pozwoliłyby na pewno na ułożenie sobie wspólnego życia tak, że nie musiałaby pani pracować zarobkowo. Wiem, że Gerty bardzo tego pragnie i bardzo byłaby szczęśliwa...

- Ale nie ja - przerwała mu panna Bart. - Jest wiele powodów dla których nie byłoby to dobre dla Gerty ani wskazane dla mnie.

Zamilkła, a ponieważ Selden zdawał się czekać na dalsze wyjaśnienia, dodała unosząc dumnie głowę: - Musi mi pan wybaczyć, że panu tych powodów nie podam.

- Nie mam prawa ich znać - odpowiedział Selden, nie zwracając uwagi na ton jej głosu - ani komentować albo wysuwać propozycji, poza tą jedną, którą już wysunąłem. A i to prawo przysługuje mi po prostu jako mężczyźnie, powszechnie prawo mężczyzny do zwrócenia uwagi kobiecie, która nie widzi tego, że znajduje się w fałszywej sytuacji.

Lily uśmiechnęła się. - Jak przypuszczam, mówiąc o mojej fałszywej sytuacji ma pan na myśli fakt, że znalazłam się poza gronem ludzi z towarzystwa, ale musi pan pamiętać, że dawno zostałam z tego grona wyłączona. O ile się orientuję, to naprawdę bardzo mała różnica, czy człowiek jest w tym gronie, czy poza nim, i pamiętam, jak mi pan powiedział, że tylko ci „z towarzystwa” biorą tę różnicę na serio.

Nie bez zamiaru zrobiła aluzję do ich pamiętnej rozmowy w Belmont i czekała z dziwnym wewnętrznym drżeniem, jaką otrzyma odpowiedź; próba nie powiodła się. Selden nie dał się zwieść tej aluzji. Z jeszcze większym naciskiem powiedział: - To, czy człowiek należy do pewnego grona, czy znajdzie się poza jego obrębem, jak to pani nazywa, jest pozbawione większego znaczenia i nie ma tu nic do rzeczy, chyba tyle tylko, że pani Hatch pragnie się do tego towarzystwa dostać, a to może panią postawić w sytuacji, którą nazywam fałszywą.

Mówiąc zważał na ton głosu, lecz mimo to z każdym jego słowem opór Lily wzrastał. Czekwała na jakiś znak uczuć osobistych, na dowód, że znów ma nad nim władzę; jego postawa trzeźwej bezstronności, brak jakiegokolwiek odpowiedzi na jej wezwanie, zamieniły uczucie zranionej dumy w głęboką urazę. Przekonanie, że był przysłany przez Gerty, że nawet wiedząc o jej przejściach nie pośpieszył z własnej woli z pomocą, utwierdziło w niej postanowienie, by nie dopuszczać go do dalszych zwierzeń. Boleśnie odczuwała dwuznaczność swojej roli u boku pani Hatch, lecz wolą raczej w tym trwać, niż przyznać, że Selden otworzył jej oczy.



- Nie wiem - powiedziała, gdy skończył swoje wywody - dlaczego właśnie w taki sposób ocenia pan sytuację, w której się znalazłam. Zawsze mi pan tłumaczył, że jedynym celem takiego wychowania, jakie odebrałam, jest nauczyć dziewczynę, że musi dostać to, czego chce. Przyjmijmy, że właśnie to robię.

Uśmiech, którym poparła swoje słowa, był wyraźną barierą przeciw dalszym wyznaniom; odsunęła go tym promiennym uśmiechem na taką odległość, że nie był pewien, czy go słyszy, gdy odparł:

- Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek uważał panią za wzorowy przykład takiego wychowania.

Zarumieniła się lekko na tę uwagę, lecz dodając sobie sił bezstroskim śmiechem odpowiedziała: - Och, niech pan jeszcze trochę poczeka... niech mi pan da trochę czasu, zanim pan wyda wyrok!

Selden stał przed nią nie tracąc nadziei, że Lily zachwieje się w swojej nieustępliwości, lecz ona dodała: - Proszę mnie nie przekreślać! Może jeszcze pokażę, czego mnie nauczono!

- Panno Bart, proszę spojrzeć na te pajety... wszystkie krzywo naszyte.

Kierowniczka pracowni, panna Haines, wysoka, chuda i sztywno wyprostowana, upuściła na stół zganioną formę z drutu i tiulu i przeszła do następnej z kolei pracownicy. Było ich dwadzieścia w tej pracowni kapeluszy; pochylały zmęczone profile i pretensjonalne fryzury nad narzędziami ich sztuki, bo z całą pewnością tworzenie wciąż zmieniających się ram dla twarzy kobiet szczęśliwych było czymś więcej niż rzemiosłem.

Lily Bart, poczerwieniała z gniewu, zaczęła odpruwać źle naszyte pajety. Gerty Farish w swoim optymizmie była przekonana, że znalazła deskę ratunku dla Lily, gdy przypomniała sobie, jak ona umie gustownie ubierać kapelusze. Przykłady młodych panien, które wstępowały do znanych magazynów i nadawały swoim „kreacjom” ten nie dający się określić szyk, niedostępny rękom zawodowych modystek, podtrzymały nadzieję Gerty na przyszłość i przekonały nawet Lily, że po rozłącze z panią Hatch nie będzie zależna od swoich przyjaciół.

Pożegnanie z panią Hatch nastąpiło w kilka tygodni po wizycie Seldena, a byłoby nastąpiło wcześniej, gdyby nie upór Lily wywołany jego niefortunną ofertą pomocy.

Świadomość Lily, że została wplątana w aferę, której wolała nie badać bliżej, wzrosła wkrótce potem wskutek aluzji pana Stancy'ego,

że „jeśli im dopomoże”, to nie będzie miała powodu do niezadowolenia - lojalność jej miała spotkać się z natychmiastową nagrodą. Przyspieszyło to ucieczkę Lily i sprowadziło ją z powrotem, zawstydzoną i pełną skruchy, na łono współczującej Gerty. Nie zamierzała spocząć beczynnie i pomysł Gerty dotyczący kapeluszy na nowo obudził w Lily nadzieję korzystnego zajęcia.

Lily raz jeszcze wycofała się z dwuznacznej sytuacji w porę, by uratować własną godność, ale za późno, by zrehabilitować się w oczach opinii publicznej. Fred van Osburgh nie ożenił się z panią Hatch, został uratowany w ostatniej minucie - niektórzy twierdzili, że dzięki staraniom Trenora i Rosedale'a - i wysłany do Europy pod opieką starego Neda van Alstyne'a, lecz ryzyko, jakie mu groziło, przypisywano machinacjom Lily Bart; usprawiedliwiły one ogólną dla niej niechęć i nieufność. Ci, którzy się od niej odwrócili, z zadowoleniem znaleźli potwierdzenie swego postępowania i skłonni nawet byli przesadzać w podkreślaniu roli, jaką grała u boku pani Hatch, by dowieść, że mieli słuszność. Ostatecznie po wielu staraniach i naradach pani Fisher i Gerty Farish - ten jeden raz zjednoczone we wspólnym wysiłku pomocy dla przyjaciółki - postanowiły umieścić ją w renomowanej pracowni Madame Reginy.

Nawet i to nie obyło się bez przewlekłych układów, gdyż madame Regina miała silne uprzedzenia do nie wyszkolonej pomocy i uległa jedynie dlatego, że wpływowi pani Fisher zawdzięczała takie klientki jak pani Bry i pani Gorner.

Madame Regina chciała zatrudnić Lily w salonie, modna piękność prezentująca kapelusze mogła być cennym nabytkiem, ale Lily stanowczo się temu sprzeciwiła - lepiej będzie, gdy nauczy się rzemiosła. Została więc umieszczona w pracowni.

Upłynęły już dwa miesiące, odkąd zaczęła pracę, a wciąż jeszcze zbierała nagany za nieumiejętne wykonywanie najprostszych czynności.

Pochylona nad odpruwaniem ornamentu, Lily z roztargnieniem słuchała szmeru rozmów; w pokoju było duszniej niż zwykle, ponieważ panna Haines, która miała katar, nie pozwoliła otworzyć okna nawet podczas południowej przerwy. Głowa ciążyła Lily

ogromnie wskutek bezsennej nocy i paplaninę towarzyszek słyszała jak przez mgłę.

- Kapelusz pani Trenor? Ten z zielonym rajskim ptakiem? Zaraz go przyniosę... za chwilę będzie gotów... to była jedna z córek pani Trenor, ta, co przyszła wczoraj z panią Dorset. Skąd wiem? Pani Regina posłała mnie kiedyś, żebym zmieniła kwiat z niebieskiego tiulu na tym kapeluszu od Virota. Ta panna Trenor jest wysoka i zgrabna... do twarzy jej z nową fryzurą...

Zdania płynęły jedno po drugim niby fala pozbawionych znaczenia dźwięków i tylko raz po raz na powierzchnię wypływały znajome nazwiska. Było to najdziwniejsze z dziwnych przeżyć Lily - słyszeć te nazwiska, widzieć fragmenty swego dawnego życia, odbite w umysłach tych pracujących dziewcząt jak w krzywym zwierciadle. Nigdy nie przypuszczała, że ona i jej równi budzili taką nienasyconą ciekawość, że ten świat wyrobników, żyjących z próżności i rozrzutności bogatych ludzi, oceniał ich z tak pogardliwą swobodą. Każda dziewczyna w pracowni madame Reginy wiedziała, dla kogo jakie nakrycie głowy jest przeznaczone, miała swoje zdanie o jego przyszłej właścicielce, znała jej pozycję towarzyską. Fakt, że Lily błyszczała niegdyś na tym horyzoncie, wcale nie powiększył - poza pierwszym porywem ciekawości - zainteresowania jej osobą; te dziewczęta, wierne ideałom swojego stanu, miały respekt tylko dla sukcesu, dla namacalnych dowodów materialnej przewagi. Trzymały się od Lily z daleka, jak gdyby była kimś obcym, z kim rozmowa wymaga wysiłku.

- Panno Bart, jeżeli nie umiesz naszyć dokładniej tego ornamentu, to proszę oddać kapelusz pani Kilroy.

Lily spojrzała żałośnie na swoją robotę. Dlaczego szło jej gorzej niż zwykle? Była zmęczona i rozstrojona, z wysiłkiem zbierała myśli.

- Bardzo mi przykro, niedobrze się dziś czuję.

Panna Haines odparła suchu: - Trzeba będzie powrócić do obszycia drutu.

Wśród wychodzących po skończonej pracy Lily była zawsze ostatnia. Unikała kontaktu z hałaśliwym tłumem; na ulicy nie potra-

fiła się oprzeć uczuciu, że jest znowu dawną sobą; instynktownie odsuwała się od wszystkiego, co pospolite i bezładne. Skierowała swoje kroki na zachód i szła wśród smutnego zmroku marcowego wieczoru w stronę pensjonatu, w którym zamieszkała. Odrzuciła stanowczo gościnność Gerty. Zaczęła się w niej rozwijać skrytość matki, która nie znosiła współczucia, i konieczność bliskiego współżycia w ciasnym mieszkaniu wydawała jej się w sumie bardziej nieznośna od samotnej sypialni w pensjonacie, gdzie mogła wchodzić i wychodzić niepostrzeżenie jak reszta robotnic. Przez jakiś czas pragnienie samotności i niezależności podtrzymywało ją na duchu, lecz teraz, może wskutek rosnącego zmęczenia i godzin spędzonych w zamknięciu, zaczynała dotkliwie odczuwać szpetotę i niewygodę swego otoczenia. Bała się powrotu z pracy do ciasnego pokoiku o poplamionych tapetach i nienawidziła każdego kroku ulicą, która stopniowo degradując się wiodła ze świata mody i elegancji do dzielnicy handlu i rzemiosła. Najwięcej jednak bała się przechodzenia obok apteki na rogu Sixth Avenue, którą ostatnimi czasy starała się nawet omijać. Lecz dziś mimowiednie skierowała swoje kroki ku wielkiej, błyszczącej z daleka szybie; zamierzała skrócić w bliższą przecznicę, ale drogę zatarasowała jej naładowana platforma, musiała więc przeciąć ulicę na ukos i znalazła się na chodniku tuż przed drzwiami apteki.

Powitał ją zza kontuaru subiekt, który raz już kiedyś ją obsłużył. Wsunęła mu w rękę receptę, nie mogącą budzić żadnych wątpliwości - była kopia recepty pani Hatch. Odczytał receptę bez komentarza, ale podając flaszeczkę zauważył: - Nie można powiększać dawki, wie pani o tym, prawda?

Serce w niej zadrzało: co miał na myśli, patrząc na nią w ten sposób?

- Tak... naturalnie... wiem o tym - szepnęła wyciągając rękę.

- W porządku. To zdradliwe lekarstwo. Parę kropel więcej i koniec! Lekarze nie wiedzą, dlaczego.

Obawa, że będzie ją wypytywał albo zatrzyma cenną flaszeczkę zdławiła jej odpowiedź. Gdy w końcu wydostała się szczęśliwie na

ulicę, uczucie ulgi ją oszołomiło. Samo dotknięcie flaszeczki działało kojąco na jej napięte nerwy, obiecywało rozkoszny sen. W tym stanie roztargnienia wpadła na mężczyznę, który schodził pospiesznie ze stopni wznoszącej się tu ulicy. Cofnął się i Lily usłyszała swoje nazwisko wymówione ze zdziwieniem. Był to Rosedale otulony futrem; bił od niego blask powodzenia - ale czemuż to widzi go jakby z wielkiej odległości, jakby przez ścianki potłuczonego kryształu? Zanim zdążyła zdać sobie sprawę, z kim ma do czynienia, witała się z nim uściskiem ręki. Rozstali się w nastroju pogardy z jej strony i jego gniewu, ale wszelki ślad tych uczuć zniknął, gdy dłonie ich spotkały się i Lily uświadamiała sobie tylko jedno: że pragnie mocno trzymać się tej ręki.

- Panno Lily, co się stało? Pani źle się czuje! - zawołał.

Lily zmusiła swoje usta do bladego uśmiechu.

- Jestem trochę zmęczona. Proszę, niech pan pozostanie ze mną przez chwilę.

I to ona żąda od Rosedale'a takiej przysługi!

- Nie możemy stać tutaj, niechże pani pozwoli zaprowadzić się gdziekolwiek na filiżankę herbaty. „Longworth” jest parę kroków stąd, o tej porze nie będzie tam nikogo.

Spojrzał na brudny, odpychający róg ulicy, na którym stali: ogłuszał ich huk kolejki nadziemnej i łoskot toczących się tramwajów i wozów.

W chwilę później Rosedale siedział naprzeciw Lily, a kelner stał między nimi tackę z herbatą.

- Może najpierw kroplę whisky albo koniaku? Wygląda pani na zupełnie chorą, panno Lily. Proszę sobie przynajmniej nalać mocnej herbaty; garson, podaj pani poduszkę, żeby mogła się wygodnie oprzeć.

Gdy tak siedziała spuściwszy powieki, śmiertelnie znużona, chociaż pierwsze łyki gorącej herbaty już przywracały różowość jej policzkom, Rosedale na nowo poczuł się zaskoczony pięknnością Lily. Ciemne obwódki zmęczenia pod oczami, śmiertelna bladość skroni porysowanych niebieskimi żyłkami podkreślały lśnienie włosów i kolor ust, w których zdawała się skupiać zanikająca żywotność. Na

ponurym tle czekoladowych ścian śliczny zarys jej głowy zdawał się wyrazistszy niż kiedykolwiek na sali balowej. Patrzył na nią zdumiony i zaniepokojony, jak gdyby jej piękność była zapomnianym wrogiem, który czaił się w zasadzce i teraz go zaskoczył.

- I cóż, panno Lily - powiedział lekkim tonem, usiłując zmienić nastrój. - Nie widziałem pani wieki całe. Nie wiedziałem nawet, co się z panią dzieje.

Po tych słowach umilkł bojąc się zabrnąć za daleko. Nie widział jej, lecz słyszał o niej, o jej związku z panią Hatch i plotkach stąd wynikłych. Środowisko pani Hatch było jednym z tych, w których kiedyś bywał gorliwie i które teraz równie gorliwie omijał.

Lily, odzyskawszy dzięki herbacie zwykłą jasność umysłu, czytała w nim jak w otwartej księdze. - Nawet by pan nie chciał wiedzieć - odpowiedziała z lekkim uśmiechem. - Należę teraz do klasy pracującej.

Spojrzał na nią z naiwnym zdumieniem. - Chyba nie chce pani powiedzieć...? Cóż takiego, na Boga, pani robi?

- Uczę się modniarstwa... w każdym razie próbuję.

Rosedale stłumił okrzyk zdziwienia. - Cóż znowu... Chyba nie mówi pani poważnie?

- Najzupełniej poważnie. Muszę zarabiać na życie.

- Ależ słyszałem... myślałem, że jest pani u Normy Hatch?

- Jako jej sekretarka?

- Coś w tym rodzaju, o ile się nie mylę. - Pochylił się, żeby napęłnić znów filiżankę.

Lily domyśliła się, jak dalece kępuje go ten temat i patrząc mu prosto w oczy powiedziała: - Rozstałam się z nią przed dwoma miesiącami.

Rosedale nie przestawał manewrować niezdarnie imbrykiem i Lily była pewna, że słyszał, co o niej mówiono. Bo czegoż to Rosedale nie słyszał!...

- Czy nie był to przytulny kącik? - spytał lekkim tonem.

- Aż nazbyt, można tam było utonąć. - Lily oparła się łokciem o brzeg stolika i wpatrywała się w Rosedale'a jak jeszcze nigdy dotąd. Jakiś niepoohamowany odruch kazał jej przedstawić swoją

sprawę człowiekowi, przed którego ciekawością zawsze tak zaciekle się broniła.

- Zdaje się, że pan zna panią Hatch... Potrafi pan zrozumieć, że przy takiej osobie życie może się stać aż za łatwe...

Rosedale spojrział na nią zdumiony, ona zaś przypomniała sobie, że wszelkie aluzje były dla niego niedostępne.

- W każdym razie to nie było miejsce odpowiednie dla pani - odrzekł tak dalece olśniony blaskiem jej spojrzenia, że poczuł się słuchaczem najtajniejszych zwierzeń. On, który dotychczas musiał się zadowalać jedynie przelotnymi spojrzeniami, czuł teraz na sobie oczy wpatrzone w niego z napięciem.

- Rozstałam się z nią - mówiła dalej Lily - żeby ludzie nie mówili, że pomagam jej wyjść za Freda van Osburgha.

- Och, Fred... on się nie liczy, ale wiedziałem, że ktoś taki jak pani nie może się do tego mieszać. To nie w pani stylu.

Lily zarumieniła się lekko - nie mogła ukryć przed sobą, że słowa te sprawiły jej przyjemność. Byłaby chętnie siedziała dłużej pijąc herbatę i opowiadając Rosedale'owi o sobie, lecz stary nawyk przestrzegania konwenansów przypomniawszy, że czas zakończyć pogawędkę i lekko cofnęła krzesło.

Rosedale zatrzymał ją ruchem ręki. - Jeszcze chwilę... proszę jeszcze nie odchodzić; niech pani posiedzi i odpocznie, wygląda pani na zupełnie wykończoną. - Urwał, świadomy tego, że posunął się za daleko. Lily spostrzegła jego wahanie i zrozumiała, że znów był pod działaniem jej osobistego czaru.

- Co pani, na Boga, miała na myśli - zaczął nagle - mówiąc, że się pani uczy modniarstwa?

- To, co powiedziałam. Jestem na nauce u madame Reginy.

- Boże miłosierny... pani?! Ale po co? Wiem od pani Fisher, że ciotka zawiodła panią... ale zdawało mi się, że zostawiła pani legat...

- Otrzymałam dziesięć tysięcy dolarów, które będą mi wypłacone dopiero w przyszłym roku.

- Ależ mogła pani na ten legat w każdej chwili zaciągnąć pożyczkę.



Z całą powagą zaprzeczyła ruchem głowy: - Nie. Muszę tym legatem spłacić długi.

- Całe dziesięć tysięcy?

- Co do grosza. - I wpatrując się w niego dodała: - Zdaje mi się, że Gus Trenor powiedział panu kiedyś, że zarobił dla mnie na akcjach trochę pieniędzy.

Czekała, a Rosedale wijąc się w zakłopotaniu z trudem wyjąkał, iż coś takiego sobie przypomina.

- Zarobił około dziesięciu tysięcy - ciągnęła dalej z tą samą otwartością - a ja myślałam, że spekuluje moimi pieniędzmi, co było oczywiście bardzo głupie z mojej strony, ale nie znałam się zupełnie na interesach. Dopiero później dowiedziałam się, że po prostu dał mi te pieniądze, w najlepszej wierze, rzecz jasna, ale ja takiej przysługi przyjąć nie mogłam. Na nieszczęście wydałam wszystko, zanim wykryłam swoją pomyłkę, wobec czego mój legat pójdzie na spłacenie tego długu. I z tego powodu próbuję nauczyć się rzemiosła.

Gorąco pragnęła, by ktoś wreszcie poznał prawdę, a także by wiadomość o jej intencjach dotarła do uszu Judy Trenor. Odczuła nawet przez moment radość, że pozbywa się swej nienawistnej tajemnicy, lecz uczucie to mijało w miarę jak mówiła i gdy skończyła, jej blada twarz zarumieniła się ze wstydu.

Rosedale nie odrywał od niej oczu pełnych zdumienia, które jednak wyraził w najmniej spodziewany sposób.

- Ależ, moja pani... jeśli tak się rzeczy mają, to jest pani zupełnie bez środków do życia.

Powiedział to do niej, jakby sama nie rozumiała skutków własnego postępowania, jakby jej niepoprawna ignorancja miała ją popchnąć do jakiegoś nowego szaleństwa.

- Zupełnie - przytaknęła ze spokojem.

Rosedale siedział w milczeniu złożonywszy tłuste dłonie na stoliku, jego małe oczka obiegały opustoszałe wnętrze restauracji. Lily wstała z krzesła zbierając końce swego boa z piór, lecz Rosedale tego nie zauważył, pogrążony w myślach.

- Panno Lily, gdyby pani potrzebowała pomocy... ja... z przyjemnością służyć... - wybuchnął nagle.

- Dziękuję panu - powiedziała Lily wyciągając do niego rękę. - Pańska herbata ogromnie mi pomogła. Czuję, że teraz podołam wszystkiemu.

Jej gest wyrażał ostateczną chęć pożegnania, lecz Rosedale rzucił nerowi banknot i wsunął ręce do rękawów swojego kosztownego futra.

- Chwileczkę... musi pani pozwolić, żebym odprowadził panią do domu.

Lily nie protestowała i gdy Rosedale przeliczył otrzymaną resztę, wyszli oboje na ulicę. Prowadziła go na zachodnią stronę ulicami pełnymi śmieci i odpadków, przez okolice, które Rosedale ogarniał wzrokiem pełnym pogardy, a gdy w końcu zatrzymała się, Rosedale spojrzał na nią z niedowierzaniem. - To chyba nie tu? Mówił mi ktoś, że mieszka pani z panną Farish.

- Nie. Mieszkam w tym pensjonacie. Zbyt długo wykorzystywałam moich przyjaciół.

Przyjrzał się badawczo obłupanym murom z brunatnego kamienia, oknom z wyblakłymi firankami, pompejańskim ozdobom w zabłoconym przedsionku, a potem skierował wzrok na jej twarz i z widocznym wysiłkiem zapytał: - Pozwoli się pani odwiedzić któregoś dnia?

Uśmiechnęła się niemal ze wzruszeniem, doceniając bohaterstwo tej propozycji. - Dziękuję panu... będzie mi bardzo miło. - Były to pierwsze szczerze słowa, które do niego powiedziała.

Tego wieczoru panna Bart siedząc w swoim pokoiku, po szybkiej ucieczce z pełnej swądu jadalni w suterenie, zastanawiała się, co też takiego kazało jej zwierzyć się Rosedale'owi. Doszła do wniosku, że winne temu było rosnące uczucie samotności, strach przed powrotem do samotnego pokoju, gdy mogła być gdzie indziej lub mieć inne towarzystwo niż własne. Ostatnio okoliczności oddalały ją coraz bardziej od tej odrobiny przyjaciół, która jej została. Jeśli chodzi o Carry Fisher, to ta zniknęła nie całkiem może mimo woli. Zdobyła się na ostatni wysiłek i ulokowała ją u madame Reginy, po czym

wycofała się, by odpocząć po trudach i Lily jej nie potępiała: Carry zaangażowała się w epizod z panią Hatch, a było to dla niej towarzysztwo ryzykowne. Dowiodła swojej przyjaźni w ciężkich dniach i Lily rozumiała jej sytuację. Okoliczności nie mogły zachwiać tylko takiej przyjaźni jak Gerty Farish, ale Lily zaczęła unikać także Gerty. Nie mogła bywać u niej nie narażając się na spotkanie z Seldenem, a spotkanie z nim byłoby teraz zbyt bolesne.

Bolesna była sama myśl o nim; prześladowała ją na jawie jego twarz i obsesyjnie czuła jego obecność poprzez mgłę męczących snów. Był to jeden z powodów, dla których powróciła do narkotyku pani Hatch; płyn z flaszeczki dawał sen, w którym zapadała się w głębiny unicestwienia, a po przebudzeniu przeszłość wymazana była z pamięci. Narkotyk zapewniał złudę pełnego odrodzenia i czerpała z tego siły do podjęcia codziennych zajęć. A sił potrzebowała coraz więcej, w miarę jak rosła w niej troska o przyszłość. Przychodziła na nią pokusa, by za pieniądze z legatu ciotki założyć własną firmę. Wierzyła, iż posiada tyle taktu i umiejętności, że mając własne pracownice potrafi ściągnąć modną klientelę, a zdobywszy powodzenie odłoży dość pieniędzy na spłacenie długu. Jednakże pod tymi rozważaniami kryła się obawa, że nie może liczyć na trwałość swoich zamiarów, i przerażała ją myśl, że stopniowo pogodzi się z faktem, iż jest dłużniczką Trenora, podobnie jak pogodziła się z rolą, którą jej wyznaczono na „Sabrinie”, i jak omal nie przystała na plan Stancy'ego w sprawie małżeństwa pani Hatch.

Wiedziała dobrze, że największym niebezpieczeństwem grozi jej dawny chroniczny strach przed niewygodą i ubóstwem; bała się życia wśród miernoty, przed którym matka tak gorliwie ją ostrzegała. Teraz zaś otwarła się przed nią perspektywa nowego niebezpieczeństwa: Rosedale gotów był pożyczyć jej pieniądze i myśl, by z tego skorzystać, prześladowała ją uparcie. Oczywiście wykluczała możliwość pożyczki, ale była pewna, że Rosedale przyjdzie ją odwiedzić? i prawie pewna, że mogłaby - jeśli przyjdzie - nakłonić go do ponownych oświadczeń na warunkach, które poprzednio odrzuciła. Czy znowu je odrzuci? Prześladowcze furie, napastujące ją po każ-

dym kolejnym niepowodzeniu, coraz wyraźniej przybierały postać Berty Dorset, a tuż pod ręką bezpiecznie zamknięte w jej szkatułce listy mogły tę udramę zakończyć. Pokusa, którą niegdyś z pogardy dla Rosedale'a potrafiła odrzucić, uparcie teraz wracała, a ileż miała sił, by się jej oprzeć?

W każdym razie tą resztą sił, która jej pozostała, musi jak najoszczędniej gospodarować i nie wolno jej narażać się na niebezpieczeństwo bezsennych nocy, po których rankiem umysł jej mącił się z osłabienia. Jediną szansą była ta mała flaszeczka przy łóżku. Na jak długo? O tym bała się myśleć.

RS

Kwiecień dobiegał końca, w powietrzu unosiła się słodycz wiosny. Łagodziła szpetotę długiej, zatłoczonej Fifth Avenue i ostrych linii dachów; przygnębiającą perspektywę bocznych ulic przesłoniła liliową mgiełką i pierwszej zieleni, znaczącej wejście do parku, nadała poetycki urok.

Lily przyglądając się południowej rewii na Fifth Avenue dostrzegła w przejeżdżających powozach kilka znajomych twarzy. Oto majestatyczna pani van Osburgh z panią Gryce i nowym dziedzicem Gryce'owych milionów na kolanach piastunki. Za nimi elektryczną wiktoria jechała pani Hatch, samotna, we wspaniałej wiosennej toalecie; w chwilę później nadjechała Judyta Trenor w towarzystwie lady Skiddaw, która przybyła - jak co roku - z Londynu, by „rzucić okiem” na Nowy Jork i odwiedzić Florydę.

Przelotne wspomnienie niedawnej przeszłości spotęgowało w Lily uczucie pustki. Madame Regina oznajmiła jej tego dnia, że nie będzie już potrzebowała jej usług. Zawsze z początkiem maja zmniejszała sztab swoich pracowników, a pomoc panny Bart stała się w ostatnich czasach taka nieregularna - Lily tak często bywała niezdrowa, tak mało robiła, gdy przysła do pracowni, że dotychczas tylko z łaski nie wymówiono jej miejsca.

Lily nie zastanawiała się nad sprawiedliwością tego postanowienia. Miała pełną świadomość, że była nieuważna, niezręczna, że bardzo powoli się uczyła. Ciężko było przyznać się nawet przed

samą sobą do niższości i pożegnać się z przeświadczeniem, że wszystko potrafi.

Kierując swoje kroki do pensjonatu z przygnębieniem zdała sobie sprawę, że nazajutrz rano nie będzie po co wstać. Lubiła opuszczać swój pokój wcześniej i powracać jak najpóźniej; szła teraz powoli, by odwlec chwilę, gdy będzie musiała wejść na stopnie pensjonatu.

Nagle miejsce to wydało jej się interesujące - ujrzała z dala pokaźną postać pana Rosedale'a u wejścia,.

Widok ten obudził w Lily uczucie tryumfu. Rosedale w kilka dni po ich spotkaniu przyszedł, żeby dowiedzieć się o jej zdrowie, ale od tego dnia nie widziała go ani o nim nie słyszała; brała jego nieobecność za oznaki walki, jaką toczył ze sobą, za chęć wyłączenia jej ze swego życia. Jeśli tak, to walka okazała się bezskuteczna; wiedziała, że był zbyt zajęty, zbyt praktyczny, a przede wszystkim zbyt zaabsorbowany własną karierą, by pozwolić sobie na działanie bezcelowe.

W bawialni koloru pawiego przybranej pękami suszonej trawy z pampasów i wyblakłymi stalorytami przedstawiającymi jakieś sentymentalne sceny, Rosedale, rozejrzawszy się z nie ukrywaną niechęcią, ostrożnie położył kapelusz na zakurzonej konsolce i usiadł w fotelu na biegunach, gdzie wykrochmalona serwetka na wezglowiu niemile drażniła mu czerwoną fałdę skóry nad kołnierzykiem. - Ależ na miłość boską - zawołał - przecież pani tu dalej żyć nie może!

Lily, siedząca na obitej pluszem sofie z różanego drzewa, uśmiechem przyjęła te słowa. - Nie wiem nawet, czy będę mogła. Ale obliczyłam dokładnie moje wydatki i być może zdołam związać koniec z końcem.

- Związać koniec z końcem?! Nie to miałem na myśli. To nie jest otoczenie dla pani.

- A ja myślę tylko o tym: od tygodnia jestem bez pracy.

- Bez pracy!... Bez pracy!... Co to za wyrażenie? Myśl, że pani musi pracować, jest... po prostu śmieszna. - Wyrzucił z siebie te słowa gwałtownie, jakby dławił się z oburzenia. - To jakaś kome

dia... wariacka komedia! - powtórzył patrząc na odbity w porysowanym lustrze długi korytarz z szeregiem drzwi.

Lily z uśmiechem słuchała jego uwag. - Nie wiem, dlaczego miałabym uważać siebie za wyjątek... - zaczęła.

- Dlatego, że jest pani osobą wyjątkową. A pobyt pani w takim miejscu jest niesłychaną zniewagą. Nie mogę mówić o tym spokojnie.

Musiała przyznać w duchu, że istotnie nigdy nie widziała go tak wyprowadzonego z równowagi i ten wybuch uczuć niemal ją wzruszył.

Rosedale zerwał się z miejsca, fotel zakołysał się gwałtownie za jego plecami.

- Proszę mnie posłuchać... jadę do Europy w przyszłym tygodniu - mówił stojąc tuż przed nią - zabawię w Paryżu i Londynie parę miesięcy... nie mogę pani tak zostawić. Nie mogę. Wiem, że to nie moja rzecz... dała mi to pani do zrozumienia parę razy... ale znajduje się pani w sytuacji o wiele gorszej niż przedtem i niechże pani zrozumie, że ktoś

musi pani pomóc. Wspomniała pani zeszłym razem o jakimś długu u Trenora, wiem, co pani zamierza... i bardzo panią za to szanuję.

Zanim Lily, zarumieniona ze zdumienia, zdołała przemówić, skwapliwie ciągnął dalej: - Otóż pożyczę pani te pieniądze dla spłacenia Trenora i nie chcę... proszę, niech mi pani nie przerywa, dopóki nie skończę... Chcę powiedzieć, że będzie to czysto handlowa transakcja, taka, jaką zawierają między sobą mężczyźni. Co pani ma temu do zarzucenia?

Jeszcze mocniej zarumieniona Lily czuła upokorzenie i zarazem wzruszenie, a obydwie te uczucia znalazły wyraz w niespodziewanej łagodności i delikatności, z jaką odpowiedziała: - Zarzucić mogę ; tylko jedno: że Gus Trenor proponował mi to samo i że ja już nigdy nie będę się znała na interesach. - I czując, że nie jest całkiem sprawiedliwa, dodała jeszcze łagodniejszym tonem: - niech pan nie sądzi, że nie cenię pańskiej dobroci... że nie jestem za nią wdzięczna. Ale żadna umowa handlowa nie jest tu możliwa, ponieważ nie mogłabym przedstawić dowodu, że dług u Trenora spłaciłam.

Rosedale przyjął te słowa w milczeniu; zdawał się wyczuwać w jej głosie stanowczość i jednocześnie nie mógł zgodzić się na ta

kie zakończenie sprawy. Lily widziała, że niezrozumiałe dla niego skrupuły i opór umacniały jej władzę nad nim, jak gdyby posiadały ten sam urok co subtelność rysów i czar obejścia, nadające Lily odrębne piętno, cechę wyjątkowości. W miarę jak Rosedale nabierał doświadczenia towarzyskiego, ta wyjątkowość Lily zyskiwała w jego oczach większą wartość, jak u zbieracza, który nauczył się odróżniać usterki i zalety w upragnionym od dawna przedmiocie.

Dostrzegając to wszystko Lily rozumiała, że ożeniłby się z nią natychmiast pod warunkiem jej pogodzenia się z panią Dorset, i powoli oswajała się z tą myślą, zwłaszcza że okoliczności coraz mocniej kruszyły jej niechęć do Rosedale'a; łagodziły ją niektóre jego zalety: pewien rodzaj szorstkiej dobroci, bezradna poniekąd wierność uczucia, które walczyło w nim z jego materialnymi ambicjami.

Odczytał w jej oczach pożegnanie i wyciągnął rekę ruchem, w którym odbiło się coś z jego wewnętrznej walki: - Gdyby mi pani tylko pozwoliła... już ja bym panią wyniósł popnad całe towarzystwo... stopy mogłaby pani im stawiać na karku! - oświadczył, a ją dziwnie wzruszył fakt, że namiętne uczucie wcale nie zmieniło jego skali wartości.

Tej nocy Lily nie wzięła swoich kropli na sen. Leżała z otwartymi oczami i próbowała ocenić swoją sytuację po ostatniej wizycie Rosedale'a. Czy odrzucenie jego propozycji, którą skwapliwie gotów był ponowić, nie byłoby ofiarą na rzecz abstrakcyjnego pojęcia honoru, ofiarą w imię czysto konwencjonalnych skrupułów moralnych? Czyżby była coś winna tym, którzy ją potępili i wydali na nią wyrok bez wysłuchania jej obrony? Była niewinna. Fakt, że mimo to skazano ją, całkowicie mógłby usprawiedliwić sposób odzyskania utraconych praw. Jeśli Berta Dorset dla ratowania siebie nie wahała się jej zniszczyć, posługując się bronią nieuczciwą, czemuż by ona, Lily Bart, nie miała wykorzystać szansy, którą los postawił na jej drodze? Ostatecznie szantaż jest szantażem, dopiero kiedy zyska taką nazwę. Jeśli nie krzywdzi nikogo, a przywraca niesłusznie zabrane prawa, to tylko jakiś formalista może się w tym dopatrzeć czegoś niewłaściwego.



Przekonała się, że nie posiada ani zdolności, ani wytrwałości, by rozpocząć życie na nowo, w innych warunkach, by na zawsze porzucić świat zbytku i zabawy. Nie mogła ganić siebie za tę nieudolność, a była może mniej godna nagany, niż przypuszczała.

Odziedziczone skłonności połączyły się z wychowaniem, by zrobić z niej istotę niezdolną do życia poza swoim środowiskiem. Była stworzona na to, by zdobić i budzić zachwyt; w jakimżeż innym celu przyroda modeluje płatek róży i barwi pierś kolibra? Nie było to winą Lily Bart, że zawsze stawały jej na drodze albo konieczności materialne, albo skrupuły natury moralnej.

Te dwie wrogie siły staczały w niej walkę w ciągu długiej bezsennej nocy; gdy wstała nazajutrz, nie wiedziała, po której stronie jest zwycięstwo. Była wyczerpana bezsennością i widziała przed sobą tylko jedno: długie lata życia szarego i w zupełnym osamotnieniu.

Leżała w łóżku do późna; uprzejma irlandzka służąca wsunęła jej do pokoju tacę ze śniadaniem, lecz Lily nie wypła kawy i nie tknęła jajek; wyprowadzał ją z równowagi hałas docierający z głębi domu i uliczna wrzawa. Tydzień beczynności sprawił, że z podwójną siłą odczuwała drobne niedogodności swojej egzystencji i tym silniejszą tęsknotę za dawnym światem, w którym mechanizm codziennego życia był starannie ukryty. W końcu wstała i ubrała się. Od czasu, gdy przestała chodzić do madame Reginy, spędzała dni na ulicach mając nadzieję, iż fizyczne zmęczenie pomoże jej zasnąć.

Ranek był w jaskrawej sprzeczności z poprzednim dniem. Zimne szare niebo groziło deszczem, silny wiatr pędził ulicami tumany kurzu. Lily poszła przez Fifth Avenue w stronę parku, licząc na to, że znajdzie jakiś cichy zakątek, gdzie będzie mogła posiedzieć, lecz ziębła na wietrze i po godzinnej wędrówce pod rozkołysanymi konarami drzew, zmęczona, schroniła się w małej restauracyjce. Pełno tam było młodych kobiet i dziewcząt, zbyt zajętych herbatą i ciastem, by zwrócić uwagę na jej wejście; ich ostre głosy odbijały się od niskiego sufitu, pozostawiając Lily w małym kręgu ciszy. Doznała nagle przejmującego poczucia osamotnienia. Wszystkie siedzące dokoła kobiety, obładowane torbami, notesami, rulonami nut, były

zajęte i nawet te samotne, pijąc z pośpiechem herbatę, przeglądały jakieś notatki albo magazyny. Tylko Lily tkwiła w wielkiej pustce beczynności.

Wypiła kilka filiżanek herbaty, którą tu podawano z porcją dużych ostryg, i gdy wyszła na ulicę, poczuła, że umysł ma żywszy i jaśniejszy. Zdała sobie sprawę, że dojrzała w niej ostateczna decyzja. Świadomość tego pociągnęła za sobą złudzenie aktywności; podnieciła ją myśl, że ma powód, by spieścić do domu. Znalazłszy się w pensjonacie przekonała się, iż jest tak wcześnie, że będzie mogła odpocząć, zanim wprowadzi swój plan w życie. Zwłoka nie osłabiła jej postanowienia; miała pewność, że zamiar swój wykona i że będzie to o wiele łatwiejsze, niż sądziła.

O piątej wstała, otworzyła swoją szkatułkę, wyjęła zapieczętowaną paczkę i wsunęła ją za stanik. Nawet bezpośredni kontakt z tą paczuszką nie poruszył jej, choć się tego obawiała. Czowała się osłonięta pancerzem obojętności, jak gdyby nadmierny wysiłek woli stępił wreszcie jej wrażliwość.

Ubrała się jeszcze raz, zamknęła drzwi na klucz i wyszła. Znała dostatecznie obyczaje pani Dorset, by wiedzieć, że można ją zawsze zastać w domu po piątej. Na wypadek, gdyby nie przyjmowała nikogo, a przede wszystkim panny Bart, Lily napisała bilecik, który zamierzała posłać wraz ze swoją wizytówką i który, jak sądziła, zapewni jej przyjęcie.

Szła umyślnie dłuższą drogą, żeby szybki ruch na powietrzu w tak zimny wieczór wzmocnił jej nerwy, ale po krótkim czasie stwierdziła, że nie było to potrzebne. Traktowała sytuację z całym spokojem, postanowienie jej było niezachwiane.

Nagle z zachmurzonego nieba lunęło. Lily nie miała parasolki i deszcz smagał ją po twarzy, a wiosenna sukienka natychmiast przemokła. Lily postanowiła dojść do Madison Avenue, by tam wsiąść w tramwaj elektryczny. W tym celu skręciła w pierwszą przecznicę i od razu zdała sobie sprawę, że już to miejsce zna - drzewa obsypane pączkami, nowe domy, duża kamienica z balkonami, kwiaty w skrzynkach.

Tą samą ulicą szła z Seldenem owego dnia wrześniowego przed dwoma laty; parę kroków dalej była brama, do której weszli razem. Wspomnienie to obudziło burzę drzemiących w niej uczuć - pragnień, żalów, złudzeń, zrodzonych tej jednej, jedynej wiosny, jaką znało jej serce. Cóż za zbieg okoliczności, że mija ten dom idąc z takim zamiarem! I nagle wydało jej się, że na to, co zamierza zrobić, patrzy jego oczami, a fakt, że to się wiązało z jego osobą, że dla osiągnięcia celu musi frymarczyć jego nazwiskiem i wykorzystać fragment jego przeszłości, zmroził w niej krew wstydem. Jakąż długą drogę przebyła od owego dnia, gdy po raz pierwszy rozmawiali ze sobą! Już wówczas tkwiła na ścieżce, którą szła teraz, już wówczas odepchnęła jego rękę.

Uraza za jego urojony chłód zniknęła pod przemożną falą wspomnień. Dwa razy gotów był jej pomóc - pomóc kochając ją, jak powiedział - a jeśli pozornie zawiódł ją za trzecim razem, to kogo jak nie siebie samą mogła oskarżać?... Trudno, tę część życia ma za sobą i nie wiadomo, dlaczego do niej wraca... Lecz chęć ujrzenia go zamieniła się w namiętne pragnienie, gdy przystanęła na chodniku na wprost wejścia do jego domu. Ulica była ciemna i pusta, zalana deszczem. Oczami duszy ujrzała jego zaciszny pokój, książki na półkach i ogień na kominku. Spojrzała w górę i zobaczyła światło w jego oknie, potem przecięła ulicę i weszła do domu.

Pokój wyglądał, jak go sobie wyobrażała: w gęstniejącym mroku lampy ocienione zielonymi daszkami rzucały spokojne kręgi światła, niewielki ogień płonął na palenisku, przy kominku odsunięty fotel, z którego Selden wstał, by ją wpuścić.

Stłumił pierwszy odruch zdumienia i milczał, czekając, aż się odezwie, gdy przystanąła na progu ogarnięta falą wspomnień.

Nic się tu nie zmieniło. Rozpoznała półkę, z której zdjął swego La Bruyere'a, i wytartą poręcz fotela, o którą się oparła oglądając tę cenną książkę. Ale wówczas jasne światło wrześniowe wypełniało pokój, niejako łącząc go ze światem zewnętrznym, gdy teraz ogień na kominku i przyćmione światło lamp odgradzało pokój od mroku ulicy, nadając wnętrzu skupiony nastrój przytulnego zacisza.

Milczenie Seldena uprzytomniło Lily, że jest zaskoczony jej przyjściem, więc zwróciła się do niego i rzekła z prostotą: - Przyszłam, żeby powiedzieć, jak bardzo żałuję, że rozstaliśmy się w taki sposób... i tego, co powiedziałam wtedy u pani Hatch.

Słowa te powiedziała bez namysłu. Wchodząc po schodach nie zastanawiała się nad przygotowaniem odpowiedniego pretekstu dla tej nieoczekiwanej wizyty, teraz zaś poczuła gorące pragnienie, by rozproszyć chmurę nieporozumień między nimi.

Selden odpowiedział uśmiechem na jej spojrzenie. - Mnie też było przykro, żeśmy się tak rozstali. Ale nie jestem pewien, czy to nie

moja wina. Na szczęście przewidywałem niebezpieczeństwo, na jakie się narażałem...

- Więc nie zależało panu na... - przerwała mu tonem dawnej ironii.

- Po prostu byłem przygotowany na konsekwencje - poprawił ją pogodnie. - Ale porozmawiamy o tym później. Proszę wejść i usiąść przy ogniu. Polecam ten fotel, jeśli mi pani pozwoli podłożyć sobie poduszkę pod plecy.

Gdy to mówił, ona powoli przeszła przez pokój i przystanęła przy biurku, gdzie stojąca tam lampa rzuciła podłużne cienie na jej bladą, lekko zapadłą twarz.

- Pani jest zmęczona... proszę usiąść - powtórzył łagodnie.

Zdawała się nie słyszeć jego prośby. - Chciałam panu powiedzieć, że opuściłam panią Hatch natychmiast po widzeniu się z panem - powiedziała, jakby ciągnąc dalej swoją spowiedź.

- Tak... tak, wiem - odparł z rosnącym zakłopotaniem.

- I że zrobiłam to, ponieważ pan mi powiedział, żeby to zrobić. Zanim pan się zjawił, czułam już, że nie będę mogła zostać z tą panią, z powodów, które pan podał, ale nie chciałam się do tego przyznać... nie chciałam panu pokazać, że rozumiem, co pan miał na myśli.

- Och, powinienem był wiedzieć, że sama pani znajdzie wyjście... proszę mnie nie pognebiać przypominaniem mojego natręctwa.

Gdyby nie była tak poruszona, dostrzegłaby w jego lekkim tonie po prostu chęć przetrwania kłopotliwej chwili, lecz drażnił ją ten ton, ponieważ tak bardzo pragnęła być zrozumiana. - Nie o to chodzi... nie byłam niewdzięczna - i nagle zabrakło jej słów; poczuła skurcz gardła i dwie łzy powoli spłynęły jej z oczu.

Selden podszedł i wziął ją za rękę. - Pani jest bardzo zmęczona. Proszę usiąść, a ja podam pani poduszkę...

Podprowadził ją do fotela przy ogniu i podsunął poduszkę pod plecy.

- A teraz zrobię pani herbaty; wie pani przecież, że ten dom zawsze dysponuje taką odrobiną gościnności.

Potrząsnęła głową i dwie dalsze łzy spłynęły z jej oczu. Lecz niełatwo przychodził jej płacz i długoletni nawyk panowania nad sobą zrobił swoje, choć wzruszenie nie pozwoliło jej jeszcze mówić.

- Wszak pani wie, że potrafię nakłonić wodę, by zawrzała w pięć minut - ciągnął dalej Selden takim tonem jakby chciał pocieszyć zmartwione dziecko.

Słowa jego wywołały wspomnienie tamtego popołudnia, kiedy siedzieli razem przy herbacie i żartowali na temat jej przyszłości. Bywały chwile, kiedy ów dzień zdawał się bardziej odległy niż jakiegokolwiek inne wydarzenie w jej życiu, a przecież potrafiła przeżyć go na nowo w najdrobniejszych szczegółach.

Potrząsnęła głową na znak odmowy.

- Nie, za dużo piję herbaty. Wolałabym posiedzieć spokojnie... Muszę iść za chwilę - dodała zmieszana.

Selden stał ciągle przy niej oparty o kominek. Pod przyjazną swobodą jego zachowania dawał się wyczuć pewien przymus. Zaabsorbowana sobą, Lily zdawała się nie dostrzegać, że jej obecność zaczyna ciążyć Seldenowi. Po chwili jednak spostrzegła to. Poczucie osamotnienia powróciło z podwójną siłą, gdy zrozumiała, że nie ma dla niej miejsca w jego duszy. Przyszła do niego bez konkretnego zamiaru; po prostu, żeby go zobaczyć, lecz nagły ból, który poczuła, był bólem zawiedzionej nadziei.

- Muszę iść - powtórzyła usiłując wstać z fotela. - Prawdopodobnie nieprędko się zobaczymy, a chciałam panu wyznać, że nigdy nie zapomniałam tego, co mi pan powiedział Bemonont, i że czasem... czasem, kiedy zdawało się, że jestem jak najdalsza od tych wspomnień, były dla mnie podporą i ustrzegły mnie od wielu błędów; uchroniły od tego, bym została naprawdę tym, za co wielu ludzi mnie uważało.

Starła się jak mogła wprowadzić pewien ład do swoich myśli, lecz słowa jakoś nie chciały złożyć się składniej; mimo to czuła, że nie może go opuścić, zanim on nie zrozumie, że z oczywistej ruiny swego życia ocaliła siebie.

W twarzy Seldena zaszła zmiana, gdy słuchał tych słów. Zniknął z niej wyraz przymusu, pojawiło się pełne delikatności zrozumienie, choć wciąż wolne od bardziej osobistych uczuć.

- Rad jestem to słyszeć, ale nic z tego, co mówiłem, nie miało większego znaczenia. Ważne jest to, co jest w pani - i co zawsze będzie.

Podniosła się i stała przed nim znowu do głębi przejęta doniosłością chwili. Przestała przejmować się jego niechęcią do zwierzeń. Chce czy nie, musi choć raz ujrzeć ją całą, zanim się rozstaną. Głos jej odzyskał siłę i patrząc mu w oczy z powagą mówiła: - Niektóre kobiety są tak silne, że bywają dobre same z siebie, ale mnie potrzeba było pańskiej wiary we mnie. Może potrafiłabym się oprzeć wielkiej pokusie, ale te małe pokonałyby mnie zawsze. A później przypominałam sobie... przypominałam sobie, jak to pan mi powiedział, że takie życie zadowolić mnie nie może, i wtedy wstydziłam się przed samą sobą, że mogło... To jest to, co pan dla mnie uczynił... za to właśnie chciałam panu podziękować. Chciałam powiedzieć, że zawsze pamiętałam... i że starałam się... starałam się ze wszystkich sił...

Urwała nagle. Oczy jej znów wezbrały łzami i sięgając po chusteczkę poczuła pod palcami paczuszkę w fałdach sukni. Zarumieniła się gwałtownie i słowa zamarły jej na ustach. Po chwili podniosła spojrzenie na niego i mówiła dalej głosem zmienionym: - Próbowałam, jak mogłam... ale życie jest trudne, a ja nie jestem nikomu potrzebna. I nawet nie wiem, czy mogę uchodzić za osobę istniejącą niezależnie. Byłam tylko częścią tej wielkiej maszyny, którą nazywałam moim światem, i kiedy z niej wypadłam, nigdzie nie ma dla mnie miejsca. Co można zrobić, kiedy człowiek się przekona, że jego przeznaczeniem jest tylko to jedno miejsce? Wrócić albo wylądować na śmietniku, a pan nie wie, co to jest być śmieciem!

Skrzywiła usta w uśmiechu; przypomniały jej się własne zwierzenia w tym samym pokoju przed dwoma laty. Wówczas zamierzała poślubić Percy'ego Gryce'a. A jaki teraz miała zamiar?

Fala krwi zabarwiła smagłą twarz Seldena, lecz jego wzruszenie zdradzała tylko wzmożona powaga zachowania.

- Pani pragnie mi coś powiedzieć - czy zamierza pani wyjść za mąż? - zapytał znienacka.

Lily wytrzymała jego spojrzenie, lecz w oczach jej stopniowo zarysowało się zastanowienie nad sobą samą: czy podjęła już taką decyzję, zanim weszła do tego pokoju?

- Zawsze mi pan mówił, że prędzej czy później będę musiała to zrobić - odpowiedziała z wątlym uśmiechem.

- I teraz zrobi to pani?

- W końcu będę musiała. Lecz jest coś, co najpierw muszę zrobić. - Zamilkła ponownie, usiłując nadać swemu głosowi spokój, jaki był w jej uśmiechu. - Muszę się z kimś pożegnać. Och, nie, nie z panem. My na pewno zobaczymy się nieraz - ale pożegnać się z tą Lily Bart, którą pan znał. Była ze mną przez cały czas, lecz teraz musimy się rozstać i przyprowadziłam ją z powrotem do pana. Kiedy wyjdę stąd za chwilę, nie będzie jej ze mną. Chciałabym myśleć, że została tu z panem, a nie sprawi kłopotu, nie zajmie miejsca.

Podeszła do niego i wciąż uśmiechając się wyciągnęła do niego rękę. - Czy pozwoli jej pan zostać? - spytała.

Chwycił jej dłoń, a ona poczuła w nim żar uczucia, które nie wypłynęło jeszcze na usta.

- Lily... czy nie mogę pani pomóc? - zawołał.

Spojrzała na niego z wielką łagodnością. - Czy pamięta pan, co mi pan kiedyś powiedział? Że może mi pan pomóc tylko kochając mnie. No cóż, kochał mnie pan przez chwilę i pomógł. Zawsze było mi to pociechą. Ale ta chwila minęła... i to ja pozwoliłam jej przeminąć. A żyć dalej trzeba. Do widzenia.

Nakryła drugą ręką jego dłoń i patrzyli na siebie przez chwilę z taką powagą, jakby stali w obliczu śmierci. Bo coś między nimi istotnie umarło - miłość, którą w nim zabiła i której nie mogła na powrót przywołać do życia. Lecz coś również między nimi żyło i wybuchło w Lily nie gasnącym płomieniem - miłość, która jego miłość wznieciła, tęsknota jej duszy za jego duszą. Zrozumiała teraz, że nie może odejść zostawiając tu taką Lily, jaką znał Selden; ta lepsza Lily musi w niej samej istnieć zawsze.

Selden, nie puszczając jej dłoni, patrzył na Lily badawczo z uczuciem pewnego niepokoju. Nie istniały okoliczności zewnętrzne - ani dla niego, ani dla niej; czuł tylko, że przeżywa jedną z tych rzadkich chwil, które mijając uchylają zasłony.



- Lily - rzekł cichym głosem - nie mów w ten sposób. Nie mogę pani puścić nie wiedząc, co zamierzasz. Wszystko może się zmienić, ale nie przeminąć. Pozostanie pani zawsze w moim życiu.

Odpowiedziała mu jasnym, wszytkowiedzącym spojrzeniem.

- Tak. Rozumiem to teraz. Pozostaniemy na zawsze przyjaciółmi. Wtedy będę się czuła bezpieczna, cokolwiek by się stało.

- Co pani przez to rozumie? Co ma się stać?

Odwróciła się w milczeniu i podeszła do kominka.

- Teraz nic. Chyba tylko to, że musi pan dodać do ognia, bo zrobiło mi się bardzo zimno.

Przyklękła na dywaniku przed kominkiem, wyciągając dłonie do ognia. Selden, zaskoczony nagłą zmianą jej tonu, odruchowo sięgnął do kosza i dorzucił trochę drewna na palenisko, zauważył przy tym, w świetle buchających płomieni, wychudłe, przezroczyście niemal ręce Lily, a pod fałdami luźnej sukni wyszczupłałe kształty ciała; i długo jeszcze potem pamiętał, jak czerwień tańczącego ognia wydobyla rzeźbę jej nozdrzy i podkreśliła czern leżącą między kością policzkową i okiem. Klęczała tam przez kilka chwil w milczeniu, którego nie ośmielił się przerwać. Gdy wreszcie dźwignęła się z kolan, wydało mu się, że wrzuca do ognia jakąś paczuszkę wyciągniętą spomiędzy fałd sukni, lecz ledwie ten gest zauważył. Był oszołomiony jak pod działaniem jakiegoś czaru i na próżno szukał słów, które przywróciłyby mu równowagę ducha.

Lily podeszła do niego i położyła mu dłonie na ramionach. - Do widzenia - rzekła, a gdy nachylił się ku niej, dotknęła wargami jego czoła.

Siódma dawno już minęła; światło i kuchenne wyziewy świadczyły, że obiad w pensjonacie już się zaczął. Lily pospieszyła po schodach do swojego pokoju, zapaliła gazową lampę i zaczęła się przebierać. Postanowiła nie głodzić się i nie unikać posiłków tylko dlatego, że otoczenie odbierało jej apetyt. Jeśli los każe jej żyć w pensjonacie, musi przystosować się do warunków. Była jednak bardzo rada, gdy znalazłszy się w dusznej jadalni stwierdziła, że obiad już się kończył.

Na górze, z powrotem w swoim pokoiku, poczuła nagłą gorączkę czynu. W ostatnich tygodniach, ogarnięta apatią i obojętnością, nie mogła się zdobyć na uporządkowanie swoich rzeczy, teraz więc zaczęła systematycznie przeglądać zawartość wszystkich szuflad i szafy. Pozostało jej kilka pięknych sukien z ostatniego okresu świetności „Sabriny” i pobytu w Londynie; częścią z nich hojnie obdarowała pokojówkę, kiedy musiała się z nią rozstać. Reszta strojów, mimo utraconej świeżości, zachowała wspaniałą linię, piętno artystycznej ręki, która je stworzyła. Rozłożyła suknie na łóżku i oto stanęły jej przed oczyma wszystkie chwile, w których je nosiła. Wspomnienia czyhały w każdej fałdzie, każdy zwój koronki, każdy deseń haftu był jak kartka z jej przeszłości. Ze zdumiewającą siłą ogarnęła ją na chwilę atmosfera dawnego życia. Z dna kufra wyciągnęła na końcu białą draperię, która bezwładnie zwisała jej przez ramię. Była to owa biała suknia, która w żywych

obrazach u Bry'ów posłużyła jej do przedstawienia portretu Reynoldsa. Nie miała sił pozbyć się tej szaty, lecz od owego wieczoru nigdy jej nie oglądała. Gdy potrząsnęła fałdami, w powietrzu uniósł się zapach fiołków; uderzył w nią niby tchnienie owej fontanny w oranżerii, gdzie stała u boku Lawrence'a Seldena i wzgardziła swoim losem. Złożyła suknie, jedną po drugiej, z powrotem do kufru, grzebiąc wraz z nimi lśnienie światła, odgłos śmiechu, nieuchwytny, zabłąkane powiewy z różanych ogrodów rozkoszy. Znajdowała się wciąż w stanie niezwykłego podniecenia i każde echo przeszłości było wstrząsem dla jej nerwów.

Zamykała właśnie kufer, gdy usłyszała pukanie i czerwona dłoń irlandzkiej pokojówki wrzuciła do pokoju list. Lily ze zdziwieniem przeczytała adres nadawcy wydrukowany w górnym rogu koperty. Było to urzędowe zawiadomienie z biura notariusza - wykonawcy testamentu ciotki. Otworzyła kopertę i na ziemię wypadł czek. Gdy schyliła się, by go podnieść, krew uderzyła jej do twarzy: czek opiewał na sumę legatu pani Peniston, a dołączony do niego list wyjaśniał, że dzięki wcześniejszemu załatwieniu formalności związanych z testamentem postanowiono przyspieszyć termin oznaczony dla wypłaty zapisów.

Lily usiadła przy biurku stojącym w nogach łóżka i rozpostarła przed sobą blankiet czekowy, wpatrywała się w zapis dokonany wprawna ręką: dziesięć tysięcy dolarów. Jeszcze nie minął rok, gdy suma ta oznaczałaby dla Lily ostateczne ubóstwo, lecz jej miara wartości zmieniła się przez ten czas i teraz z tej kartki wзираła wizja dobrobytu. Blask tej wizji podniecał coraz mocniej jej wyobraźnię i po chwili wsunęła czek pod blat biurka - łatwiej było myśleć bez tych pięciu cyfr tańczących jej przed oczami, a musiała przemyśleć wiele rzeczy, nim uda się na spoczynek.

Sięgnęła po swoją książeczkę czekową i pogrążyła się w ścisłych obliczeniach, jak kiedyś owej nocy w Bellomont, kiedy postanowiła poślubić Percy'ego Gryce'a. Ubóstwo ogromnie upraszcza wszelkie rachunki i łatwiej było teraz określić jej sytuację finansową niż przed dwoma laty. Lily jednakże nie nauczyła

się jeszcze rozsądnego panowania nad pieniędzmi i w przejściowym okresie zbytku, gdy mieszkała w hotelu „Emporium”, powróciła do nawyku rozrzutności, poważnie naruszając swój skromny budżet. Dokładne zbadanie książeczki czekowej i leżących na biurku rachunków wykazało, że gdy zapłaci wszystko, to pozostanie jej pieniędzy zaledwie na trzy do czterech miesięcy życia, a jeśli potem nie będzie nic zarabiać, to jakiegokolwiek dodatkowe wydatki musi zredukować niemal do zera. Wzdrygnęła się i zasłoniła oczy ręką. Ujrzała siebie wkraczającą na coraz węższą ścieżkę, która wiodła donikąd.

Lecz nie wizja ubóstwa materialnego napełniała ją największą odrazą. Miała poczucie o wiele większej biedy, wobec której nędza materialna traciła znaczenie. Serce czuło pustkę osamotnienia. Owładnęło nią uczucie, że jest czymś bez oparcia, stworzeniem unoszonym przez wir życia, nie posiadającym niczego, czego mogłoby się ucześć i ocalić przed zagładą. A gdy spojrzała wstecz, widziała, że nigdy nie było takiej chwili, w której czułaby istotny związek z życiem. Z jej rodzicami było tak samo - nie posiadali żadnego oparcia, miotani nakazami mody, kaprysami fortuny, nie znali schronienia, jakie daje życie osobiste. Ona sama wyrosła nie znając nawet takiego miejsca na ziemi, które byłoby jej milsze od innego; nie istniał dla niej ośrodek wczesnych wzruszeń ani za cnych i drogich tradycji, to wszystko, do czego człowiek zwraca się o pokrzepienie, skąd serce czerpie siłę dla siebie i czułość dla innych. W jakiegokolwiek postaci narastająca powoli przeszłość gromadzi się w naszej krwi - czy w konkretnym obrazie starego domu budzącego żywe wspomnienia, czy w pojęciu domu, który nie ręce zbudowały, lecz odziedziczone pasje i wierzenia - w równym stopniu poszerza to i pogłębia naszą egzystencję, i spaja ją tajemniczymi ogniwami pokrewieństwa z całą ogromną sumą ludzkich dążeń.

Nigdy dotąd nie spojrzała Lily na życie w taki sposób. Być może instynktownie szukała autentycznych związków z ludźmi, lecz te porywy tłumiał deprawujący wpływ otoczenia. Wszyscy mężczyźni

i wszystkie kobiety, które znała, zdawali się wirować w pustce jak atomy, odpychane od siebie wiecznie odśrodkowym ruchem. Tylko Selden, tylko on jeden dwukrotnie gotów był obdarzyć ją wiarą i zaufaniem, trzecia próba przekraczała jego wytrzymałość. Sama istota jego miłości sprawiła, że nie można było jej wskrzesić. Gdyby to był po prostu zew krwi, mogłaby działać potęgą jej urody. Lecz że to była sprawa głębsza, że jego miłość nierozzerwalnie była związana z odziedziczonymi przez niego nawykami myśli i uczuć, przywrócić jej życie niby roślinie wyrwanej z korzeniami okazało się niemożliwością. Selden dał jej to, co w nim było najlepszego, ale podobnie jak ona nie potrafił bezkrytycznie powrócić do dawnego stanu serca.

Pozostała jej, jak mu wyznała, krzepiąca pamięć jego wiary w nią. Ale przecież nie osiągnęła jeszcze wieku, w którym kobieta może żyć tylko wspomnieniami! Czuła w sobie głód życia, cała jej istota domagała się własnej porcji osobistego szczęścia. Tak, Lily pragnęła szczęścia. Przyziemną możliwość takiego szczęścia odrzucała jedną po drugiej. Teraz widziała, że została jej pustka rezygnacji.

Było już późno. Bezbrzeżne znużenie owładnęło całą jej istotą. Nie była to skradająca się powoli potrzeba snu, lecz jakaś bezsilna jasność umysłu, w której niesamowicie ostro rysowała się perspektywa przyszłości. Przerażająca wyrazistość wizji - Lily miała wrażenie, że rozdarła miłosierną zasłonę dzielącą intencje od czynu i że widzi dokładnie, co będzie robiła przez długi szereg czekających ją dni. Na przykład w biurku leży czek, którym postanowiła spłacić dług Trenorowi, lecz gdy nadejdzie rano, odsunie ten zamiar i stopniowo przywyknie do myśli o długu. Wizja ta przeraziła ją - bała się spaść z tej wysokości, na jaką wyniosła ją ostatnia chwila spędzona z Seldenem. Ale jak długo może ufać sobie? Znała siłę pokusy ciągnącą ją jakby niezliczonymi rękoma z powrotem do jakiegoś nowego kompromisu. Pragnęła gorąco przedłużyć, utrzymać na zawsze tę chwilę duchowego uniesienia. Gdyby życie mogło skończyć się teraz - teraz, na tej tragicznej, ale jakżeż słod-

kiej wizji utraconych możliwości, która dała jej odczuć związek ze wszystkimi, co zdolni są do miłości i wyrzeczeń.

Nagle sięgnęła do biurka, wyjęła przysłany jej czek i włożyła do koperty, na której napisała adres swojego banku. Następnie wypisała czek dla Trenora i wsunawszy go bez słowa wyjaśnienia do drugiej koperty, zaadresowała ją i położyła obok pierwszej na biurku. Po czym siedziała jeszcze przy stole, przez czas jakiś porządkując papiery i pisząc, póki wreszcie głęboki spokój panujący w domu nie przypomniał jej, że jest już bardzo późno. Za oknem ustał turkot kół, a huk kolejki naziemnej powtarzał się jedynie po długich przerwach wstrząsając nienaturalną ciszą ulic.

Wśród tajemniczej nocnej rozłąki ze wszystkimi zewnętrznymi przejawami życia Lily doznała przedziwnego uczucia, że znalazła się oko w oko z własną przyszłością. Przyprawiło ją to o zawrót głowy; by wyłączyć świadomość, przycisnęła ręce do oczu. Lecz przerażająca cisza i pustka zdawały się symbolem tej przyszłości - jakby dom, ulica, cały świat, wszystko było puste i tylko ona została we wszechświecie pozbawionym życia.

Czuła się na granicy obłędu... nigdy jeszcze nie była tak bliska utraty poczucia rzeczywistości. Potrzebowała snu - nie spała dwie ostatnie noce. Flaszeczka z chloralem stała przy łóżku, gotowa rzucić na nią swój czar. Wstała z krzesła, szybko rozebrała się tęskniąc do poduszki. Przy swoim ogromnym zmęczeniu myślała, iż od razu zaśnie; lecz gdy tylko się położyła, ciało jej poczuło każdy nerw z osobna. Wydało jej się, że w głowie ktoś zapalił jaskrawe, elektryczne światło i w jego blasku ona sama, biedna, przerażona istota, kuliła się, na próżno szukając schronienia.

Nigdy nie wyobrażała sobie, że świadomość może osiągnąć takie napięcie - na nowo stanęło przed nią nagle całe jej życie. Czym uspokoić nerwy? Skrajne wyczerpanie byłoby czymś rozkosznym wobec tej nieludzko wzmożonej aktywności, zmęczenie zniknęło, jakby ktoś siłą wlał w jej żyły okrutny środek podniecający.

Mogłaby znieść ten stan, ile jednak sił pozostanie na dzień następny, za którym cisną się dalsze dni, niby dziko wrzeszczący

tlum. Musi to uciszyć choćby na parę godzin; stłumić podniecenie; zapomnieć o wszystkim. Wyciągnęła rękę i odmierzyła do szklanki kojące krople. Zdała sobie jednak sprawę, że ich działanie nie wystarczy dla nadmiernie pobudzonego umysłu. Od dawna już powiększała dawkę do granicy dozwolonej, ale dziś musi wziąć tych kropli trochę więcej. Wiedziała, że to niebezpieczne - pamiętała przestrożę aptekarza. Jeśli zaśnie, może się nigdy nie obudzić. Lecz ostatecznie była to jedyna szansa na sto, działania tego środka nie można było przewidzieć, a kilka kropli więcej ponad zwykłą dawkę nie będzie miało najprawdopodobniej innego skutku jak tylko wy-poczynek, którego rozpaczliwie pragnęła...

Nie zastanawiała się długo - była w niej tylko fizyczna potrzeba snu. Umysł cofał się przed myśleniem odruchowo, jak kurczą się źrenice w blasku światła. Ciemność za wszelką cenę! Uniosła się na łóżku i wychyliła zawartość szklanki; potem zdmuchnęła świecę i wyciągnęła się w pościeli.

Leżała bardzo spokojnie, czekając z uczuciem fizycznej rozkoszy na pierwsze skutki środka nasennego. Wiedziała z góry, co to będzie: stopniowe zwolnienie tętna, łagodnie ogarniająca bierność, jakby jakaś niewidzialna ręka magnetyzowała ją w ciemności. Powolność, niemal ostrożność tego działania powiększała jego urok. Jak rozkosznie było przechylić się i spoglądać w mgliste przepaście nieświadomości. Tym razem krople zdawały się działać wolniej niż zwykle; wreszcie jednak przyszło uczucie zupełnego odrętwienia i wtedy leniwie zdziwiła się, co mogło przyprawić ją o taki niepokój i podniecenie. Przecież nie było powodu - jutro nie będzie takie straszne, na pewno starczy jej sił, by stawić czoło trudnościom. Nie pamiętała już, czego się tak bała, dość, że przestała ją dręczyć niepewność. Była nieszczęśliwa, a teraz jest szczęśliwa, czuła się samotna, a teraz poczucie osamotnienia znikło.

Leżąc tak powiedziała do siebie, że jest coś, co musi przekazać Seldenowi, że znalazła słowo, które wszystko wyjaśni między nimi. Usiłowała je powtórzyć... jaśniało ulotnie gdzieś na najdalszym

krańcu myśli - bała się, że go sobie nie przypomni, kiedy się obudzi, a przecież czuła, że jeśli zapamięta i powie mu, to wszystko się naprawi.

RS



Nazajutrz ranek wstał ciepły i pogodny, przynosząc w powietrzu zapowiedź lata. Promienie słońca kładły się radośnie na ulicę, przy której mieszkała Lily, wygładzały odrapane mury kamienic, wyłączały nagie poręcze przy stopniach wiodących do wejścia i tęczowymi blaskami zdobiły szyby w jej pokoju, zasłonięte roletą.

Gdy taki dzień jest w zgodzie z tym, co czujemy, upaja nas tchnienie powietrza, i Selden, spiesząc ulicą wśród jej porannej intymnej krzątaniny, czuł w sobie siłę młodzieńczych porywów. Zerwał tego ranka z ru-

tyną swoich przyzwyczajzeń i dał się ponieść fali uczucia; był jak żeglarz,

który porzucił wytyczone szlaki i zawierzył nowym gwiazdom.

Tymczasem droga wiodła go po prostu do pensjonatu panny .Bart, a podniszczone stopnie u wejścia były dla niego progiem wielkiej niewiadomej. Zbliżając się do domu spojrzał w górę i z młodzieńczą ciekawością zastanowił się, które też okno należy do niej. Była godzina dziewiąta i front domu, zamieszkały przez osoby pracujące, zdradzał już oznaki przebudzenia. Selden przypomniał sobie później, że tylko na jednym oknie roleta była nie podniesiona. Zauważył również, że na parapecie stała doniczka z bratkami, i od razu wywnioskował, że to musi być okno Lily; nie ulegało wątpliwości, że jedyny piękny szczegół w obskurnej scenerii można było łączyć tylko z jej osobą.

Dziewiąta to wczesna godzina na wizytę, lecz Selden odrzucił wszelkie konwenanse towarzyskie. Wiedział jedno: musi zobaczyć

Lily natychmiast - odnalazł słowo, które chciał jej powiedzieć i nie mogło ono czekać ani chwili dłużej. Dziwił się. Dziwił się, że nie wybiegło mu na usta wcześniej, że pozwolił jej odejść wieczorem i wypowiedzieć go nie zdołał. Ale nic się nie stało, jest nowy dzień. Takim słowem należy witać nie zmrok, lecz poranek.

Selden wbiegł szybko po stopniach i pociągnął za dzwonek; pograżony we własnych myślach, zdał sobie jednak sprawę, że drzwi otwarto mu natychmiast. Zdumiał się. Jeszcze bardziej zaskoczył go fakt, że to Gerty Farish otworzyła mu drzwi i że za jej plecami zebrało się grono osób w stanie widocznego wzburzenia.

- Lawrence! - krzyknęła Gerty nieswoim głosem. - Jak to się stało, żeś tu przyszedł tak szybko? - Jej drżąca dłoń, którą poczuł na ramieniu, zdawała się zaciskać dokoła jego serca.

Spostrzegł inne twarze, dziwnie przelęknięte i przejęte, dojrzał imponującą postać właścicielki pensjonatu sunącą ku niemu, lecz cofnął się i zasłonił uniesioną ręką, a oczy jego pobiegły mimowiednie ku stromej, ciemnej katce schodowej z orzechowego drzewa, czując, że Gerty natychmiast poprowadzi go na górę.

W głębi domu odezwał się jakiś głos mówiący, że doktor powróci za chwilę i żeby niczego na górze nie ruszać. Ktoś inny wykrzyknął: „To łaska prawdziwa...”, po czym Selden poczuł, że Gerty wzięła go delikatnie za rękę i że dopuszczono, by sami poszli na górę.

W milczeniu weszli na trzecie piętro, gdzie przebyli korytarz i stanęli przed zamkniętymi drzwiami. Gerty weszła pierwsza, Selden za nią. Roleta była spuszczone, lecz przemożne światło słońca zamgloną złocistą smugą wdzierało się do pokoju i w jego blasku Selden ujrzał wąskie łóżko pod ścianą, a na nim kogoś, kto leżał z rękoma bezwładnymi i twarzą podobną do Lily Bart.

Bo to nie była ona - każde uderzenie jego serca namiętnie temu przeczyło. Prawdziwą Lily Bart miał przy sobie zaledwie parę godzin wcześniej - co mogło go łączyć z tą obcą i nieruchomą twarzą, która po raz pierwszy ani zbladła, ani się zarumieniła na jego wejście?

Gerty, równie spokojna jak on, panująca nad sobą z wprawą ludzi przywykłych do cudzego nieszczęścia, stała przy łóżku zwracając

się do niego głosem łagodnym, jakby przekazując mu czyjeś ostatnie polecenie:

- Lekarz znalazł buteleczkę chloralu... źle sypiała przez dłuższy czas i musiała wziąć za dużą dozę przez pomyłkę... to nie ulega wątpliwości... żadnej wątpliwości... nie będzie sprawy... był bardzo miły. Powiedziałam mu, że chcielibyśmy oboje zostać sami, żeby przejrzeć jej rzeczy, zanim ktoś przyjdzie. Wiem, że ona życzyłaby sobie tego.

Selden ledwie słyszał, co mówiła Gerty. Stał wpatrzony w uśpioną twarz, która robiła wrażenie zakrytej delikatną niewyczuwalną maską na żywych rysach, tak dobrze mu znanych. Czuł, że prawdziwa Lily jest wciąż przy nim, choć niewidzialna i niedostępna, i znikomość dzielącej ich bariery kpiła sobie z jego bezsilności. Zawsze była między nimi znikoma, niewyczuwalna bariera, a przecież pozwalał, żeby ich rozdzielała!

Zdawała się teraz jeszcze bardziej niż kiedykolwiek niepochwytosa i krucha, a przecież była nie do pokonania, choćby nawet bił w nią głową.

Padł na kolana przed łóżkiem, lecz Gerty dotknięciem dłoni kazała mu wstać.

- Rozumiesz, po co doktor poszedł? Obiecał, że nie będzie żadnych kłopotów... ale formalności trzeba dokonać. A ja poprosiłam go, żebyśmy mogli przedtem przejrzeć jej rzeczy...

Selden skinął głową. - To nie potrwa długo - i powiodła wzrokiem po małym, pustym pokoju.

- Nie, nie potrwa długo - zgodził się z nią.

Przytrzymała jego dłoń na chwilę, potem rzuciła ostatnie spojrzenie na łóżko i milcząc skierowała się do drzwi. Na progu przystanąła i dodała: - Znajdziesz mnie na dole, jeśli będę ci potrzebna.

Selden ocknął się i próbował ją zatrzymać: - Ale dlaczego odchodzisz? Ona chciałyby...

Gerty potrząsnęła głową z uśmiechem: - Nie... ona by właśnie tego chciała... - i przy tych słowach przeszło Seldena światło zrozumienia najgłębszych tajemnic miłości.

Drzwi zamknęły się za Gerty, on zaś pozostał sam z nieruchomą, pogrążoną we śnie postacią na łóżku. Zapraagnął powrócić do niej,

RS

paść na kolana i przytulić rozgorączkowaną głowę do tchnącego spokojem policzka na poduszce. Nigdy nie zaznali spokoju we dwoje i teraz poczuł pragnienie, by zatonać w tej dziwnej, tajemniczej ciszy, która ją ogarnęła.

Lecz pamiętał ostrzeżenie Gerty i zdał sobie sprawę, że jeśli nawet czas w tym pokoju przystanął, to niebawem zapuka do drzwi. Gerty ofiarowała mu te bezcenne pół godziny i musi uszanować jej wolę.

Odwrócił się i rozejrzał dokoła, starając się odzyskać przytomność umysłu. Pokój był skąpo umeblowany: zniszczona komoda przykryta koronkową serwetką, na niej jakieś puzderka i flakony ze złoconymi zakrętkami, różowa poduszczyca do szpilek, szklana taca i rzucone na nią szyldkretowe szpilki do włosów - wstrząsnęła Seldenem intymność tych drobiazgów i pustka wiszącego nad nimi toaletowego lustra.

Były to jedyne ślady zbytku i dbałości o drobiazgową osobistą schludność, świadczące o cenie innych wyrzeczeń. Poza tym nic w całym pokoju nie nosiło piętna jej osobowości, chyba tylko czystość nielicznych mebli - umywalki, dwóch krzeseł, małego biurka i stoliczka przy łóżku. Stała na nim pusta buteleczka i szklanka, od której Selden odwrócił wzrok.

Biurko było zamknięte, lecz na jego pochyłym wieku leżały dwa listy, które wziął do ręki. Jeden z nich nosił nazwę banku, a ponieważ był zapieczętowany, Selden odłożył go po chwili wahania. Natomiast na drugim w otwartej kopercie odczytał nazwisko Trenora.

Poczuł pokusę jak ukłucie noża; zachwiał się i oparł o biurko. Dlaczego pisała do Trenora - najprawdopodobniej poprzedniego wieczora po ich rozstaniu? Ta myśl zbezczeszczyła wspomnienie ich ostatniej godziny, zamieniała w drwinę słowo, które przyszedł jej powiedzieć i splugawiła nawet tę ciszę, która ich teraz pojednała. Ostatecznie cóż on wiedział o jej życiu? Tylko tyle, ile sama zechciała zdradzić, a jakżeż tego było mało! Jakim prawem - zdawał się pytać list w jego ręku - jakim prawem wdzierał się w jej tajemnice wrotami, które śmierć zostawiła otwarte? Serce w nim krzychało w odpowiedzi, że prawem uzyskanym w ich ostatniej

wspólnej godzinie, gdy klucz do tajemnicy złożyła w jego ręce. Tak - ale skoro ten list do Trenora napisała później?

Odłożył kopertę w nagłym odruchu obrzydzenia i zacisnąwszy usta zabrał się energicznie do spełnienia reszty podjętego zadania. Ostatecznie łatwiej mu to przyjdzie teraz, gdy jego udział osobisty przestał istnieć.

Podniósł wieko biurka i ujrzał wewnątrz książeczkę czekową wraz z rachunkami i listami ułożonymi ze starannością, która charakteryzowała wszystkie osobiste przyzwyczajenia Lily. Najpierw przejrzał listy, ponieważ wydało mu się to najtrudniejszą częścią zadania. Niewiele było tej korespondencji pozbawionej znaczenia, lecz znalazł tam bilecik, który napisał do Lily nazajutrz po zabawie u Bry'ów, i serce w nim zabiło ze wzruszenia: „Kiedy mogę przyjść do pani?” Własne słowa uprzytomniły mu jego tchórzostwo, które powstrzymało go w momencie gdy był bliski celu. Tak, zawsze bał się spojrzeć w twarz przeznaczeniu, a wrodzona uczciwość kazała mu teraz przyznać się do tchórzostwa; bo czyż nie odżyły w nim stare wątpliwości na sam widok listu do Trenora?

Schował swój bilecik do portfela składając go starannie jako coś cennego, ponieważ dla niej był cenny, i zdając sobie sprawę, że czas upływa, przejrzał dalsze papiery.

Ze zdumieniem stwierdził, że wszystkie rachunki były zapłacone nie brakowało pokwitowania na żadnym. Otworzył książeczkę czekową i stwierdził, że poprzedniego wieczoru na rachunek Lily wpłynęło dziesięć tysięcy dolarów od egzekutorów testamentu pani Peniston. A zatem legat został wypłacony wcześniej, niż wynikało to z informacji Gerty. Lecz odwróciwszy dwie strony przekonał się ze zdumieniem, że pomimo tego ostatniego wpływu na konto, końcowe saldo opiewało zaledwie na kilka dolarów. Przebiegł szybko wzrokiem odcinki ostatnich czeków datowane poprzedniego dnia i stwierdził, że około pięćset dolarów poszło na spłacenie rachunków, natomiast na pozostałą sumę wystawiony został czek dla pana Karola Augusta Trenora.

Odłożył książeczkę czekową, osunął się na krzesło, oparł łokcie na biurku i ukrył twarz w dłoniach. Czy ten czek dla Trenora wyjaś-

niał tajemnicę, czy też ją gmatwał? Nie był zdolny do myślenia, czuł tylko odrażającą niewłaściwość podobnej transakcji pomiędzy kimś takim jak Trenor i kobietą taką jak Lily. Stopniowo minął zamęt w jego umyśle i Selden przypomniał sobie zasłyszane aluzje i plotki i z tych samych insynuacji, nad którymi kiedyś bał się zastanawiać, wysnuł teraz rozwiązanie tajemnicy. Prawdą było, że Lily brała pieniądze od Trenora, ale prawdą również i to, że nie mogła znieść ciężaru tego długu i przy pierwszej sposobności uwolniła się od niego, choć stawiało ją to oko w oko z zupełną nędzą.

I to było wszystko - nie wiedział nic więcej i nie spodziewał się dowiedzieć. Milczące usta na poduszce niczego mu już nie zdradzą, chyba że resztę zawarły w pocałunku złożonym na jego czole. Tak, odnajdywał teraz w tym pożegnaniu wszystko, co jego serce pragnęło znaleźć; mógł nawet z tego pożegnania czerpać odwagę, by nie oskarżać siebie, że ze sposobności przez los podsunętej nie skorzystał.

Widział teraz jasno, że samo życie sprzysięgło się, by ich rozłączyć; był niezależny wobec tego wszystkiego, czemu ona bezwolnie ulegała, i ta niezależność wzmagala jego duchowe wymagania nie pozwalając żyć i kochać bezkrytycznie. Ale jednak kochał ją naprawdę - gotów złożyć swój los w jej ręce, bo wierzył w nią, i jeśli przeznaczenie wymknęło im się w decydującej chwili, to widział teraz, że oboje uratowali tę chwilę z ruiny swego życia.

Miłość niosąca zwycięstwo nad samym sobą chroniła ich od zniknięcia uczuć, od martwoty; jej kazała zwracać się ku niemu w kolejnych walkach z wpływami otoczenia, w nim utrzymała przy życiu wiarę, która sprawiła, że przyszedł tu ze skruchą i pojednaniem.

Ukląkł przy łóżku i pochylił się nad zmarłą, a wśród śmiertelnej ciszy przemknęło między nimi to słowo, które wszystko wyjaśniło.